



**Kobieta
w klatce**

Jussi
Adler-Olsen

Jussi
Adler-Olsen

Kobieta w klatce

Z języka duńskiego przełożyła
Joanna Cymbrykiewicz



WYDAWNICTWO
SONIA DRAGA

Dedykowane Hanne Adler-Olsen.

Bez niej źródółko by wyschło.

prolog

Palce miała całe we krwi od drapania w gładkie ściany, a od walenia pięściami w grube szyby straciła czucie w dłoniach. Co najmniej dziesięć razy podchodziła po omacku do stalowych drzwi, wsuwała paznokcie w szczelinę i szarpała, ale drzwi były niewzruszone, a ich krawędź ostra.

W końcu, gdy paznokcie zaczęły się odrywać, upadła na lodowatą podłogę, ciężko dysząc. Z walącym sercem i szeroko otwartymi oczami wpatrywała się przez chwilę w przytłaczający mrok, po czym krzyknęła. Krzyczała, aż zaczęło dzwonić jej w uszach i straciła głos.

Odchyliła głowę i znów poczuła powiew świeżego powietrza spod sufitu. Może, jeśli weźmie rozbieg i podskoczy, uda jej się czegoś chwycić. Może to coś da.

Tak, może te gnojki z zewnątrz będą musiały do niej wejść.

Jeśli wceluje rozcapierzonymi palcami w oczy, może zdoła ich oślepić. Jeśli będzie wystarczająco szybka i nie zawaha się, może się udać. Może się wymknie.

Possała krwawiące palce, położyła je na ziemi i się podniosła.

Skierowała wzrok w ciemność pod sufitem. Może było za wysoko, żeby tam dosięgnąć. Może wcale nie było czego się złapać. Ale musiała spróbować. Co innego jej pozostało?

Najpierw zdjęła marynarkę i starannie ułożyła ją w kącie, żeby się o nią nie potknąć. Poderwała się z podłogi i podskoczyła, unosząc wyprostowane ręce tak wysoko, jak tylko mogła, ale na nic nie natrafiła. Powtórzyła to jeszcze kilka razy, po czym wycofała się pod ścianę, gdzie chwilę postąla, aby dojść do siebie. Gdy odpoczęła, wzięła rozbieg i z całej siły rzuciła się w ciemność, wyciągając ręce z nadzieją. Przy lądowaniu poślizgnęła się na gładkiej podłodze. Upadła na bok. Zajęczała głośno, uderzywszy barkiem o beton, i wydała z siebie okrzyk, gdy jej głowa po zetknięciu ze ścianą wypełniła się nagłą jasnością.

Przez długi czas leżała zupełnie spokojnie. Chciało jej się płakać, ale się powstrzymała. Ci, którzy ją uwięzili, mogliby to źle zrozumieć. Pomyśleliby, że jest bliska kapitulacji. A było wręcz przeciwnie.

Będzie o siebie dbać. Dla nich jest kobietą w klatce, ale to ona decyduje o odległości między prętami. Będzie przywoływać myśli otwierające na świat i trzymające szaleństwo na dystans. Nigdy nie zmuszą jej do zgięcia karku. Tak postanowiła, leżąc na podłodze z pulsującym od bólu barkiem i okiem tak opuchniętym, że nie było go widać.

Któregoś dnia uda jej się uciec.

2007

Carl zrobił krok w stronę lustra i przejechał palcem po skroni, w miejscu, gdzie drasnęła go kula. Rana się zagoiła, ale pod linią włosów rysowała się wyraźna blizna, jeśli ktoś w ogóle zadałby sobie trud, by jej szukać.

Komu, do diabła, by się chciało? – pomyślał, przyglądając się swojej twarzy.

Widać było, że się zmienił. Bruzdy wokół ust się pogłębiły, cienie pod oczami zrobiły się ciemniejsze, a spojrzenie zdradzało głęboką obojętność. Carl Mørck nie był już sobą, doświadczonym śledczym, który żył i oddychał dla swojej pracy. Nie był już tym wysokim, eleganckim Jutlandczykiem, na widok którego unosiły się brwi i rozchyłały usta kobiet. Do czego, u diabła, miałyby mu się to przydać?

Zapiął koszulę, założył marynarkę, wypił ostatni łyk kawy i trzasnął za sobą drzwiami wejściowymi, dając do zrozumienia pozostałym mieszkańcom domu, że powinni już wyłazić z wyr. Jego wzrok powędrował ku tabliczce z nazwiskiem. Nadeszła pora ją zmienić. Minęło sporo czasu, odkąd Vigga się wyprowadziła. I choć nie mieli jeszcze rozwodu, ta historia była już zakończona.

Odwrocił się i obrał kurs na Hestestien. Gdyby udało mu się zdążyć na pociąg za dwadzieścia minut, mógłby spędzić dobre pół godziny u Hardy'ego w szpitalu, zanim ruszyliby dalej do Komendy Głównej.

Ujrzał kościół, górujący czerwienią nad nagimi drzewami, i zamyślił się nad tym, ile mimo wszystko miał szczęścia. Tylko dwa centymetry w prawo i Anker nadal by żył. Jeden centymetr w lewo, a sam byłby martwy. Kapryśne centymetry, które uchroniły go od wędrówki wzdłuż zielonych pól i chłodnych płyt nagrobnych leżących kilkaset metrów przed nim.

Carl od dawna usiłował to zrozumieć, ale nie było mu łatwo. Nie wiedział zbyt wiele o samej śmierci. Tylko tyle, że może być nieprzewidywalna jak uderzenie pioruna albo nieskończenie spokojna, gdy już nastąpi.

Wiedział za to wszystko o tym, jak brutalne i bezsensowne może być umieranie. Naprawdę to wiedział.

Zaledwie kilka tygodni po opuszczeniu szkoły policyjnej widok pierwszej ofiary morderstwa wypalił się jak piętno na siatkówce Carla. Niewysoka, szczupła kobieta, uduszona przez męża, leżała z matowymi oczami i wyrazem twarzy, który nawiedzał Carla tygodniami. Od tamtej pory przewinęło się mnóstwo spraw. Każdego ranka przygotowywał się na najgorsze. Na widok zakrwawionych ubrań, woskowo bladych twarzy, ziejących chłodem zdjęć. Codziennie słuchał ludzkich kłamstw i usprawiedliwień. Codziennie przestępstwo w nowej odsłonie, z czasem

coraz bardziej nieistotne. Dwadzieścia pięć lat w policji, a dziesięć w Wydziale Zabójstw hartowało.

Tak było do dnia, gdy pojawiła się sprawa, która skruszyła jego pancierz.

Wysłali jego, Ankera i Hardy'ego do gnijącego baraku przy szutrowej drodze w dzielnicy Amager, gdzie leżały zwłoki, czekając, by opowiedzieć swoją historię. Jak wiele razy wcześniej, to smród skłonił sąsiada do interwencji. Można by pomyśleć, że zmarły był zwykłym samotnikiem, który położył się spokojnie w swoim bałaganie i wyzionął ostatnie opary alkoholu, dopóki nie odkryto wystrzelonego z pistoletu gwoździa wbitego do połowy w jego czaszkę. Właśnie z powodu tego gwoździa Wydział Zabójstw Policji w Kopenhadze wkroczył do akcji.

Tego dnia to zespół Carla jeździł do zgłoszeń. Ani on, ani żaden z jego dwóch kolegów nie miał nic przeciwko temu, ale Carl i tak uskarżał się na nawal pracy i ślamazarność pozostałych ekip. Ale kto mógł przewidzieć, jak fatalna będzie ta sprawa? Że w pięć minut od chwili, gdy otoczył ich trupi odór, Anker będzie leżał na podłodze w kałuży krwi, Hardy postawi swoje ostatnie kroki, a w Carlu zgaśnie ten ogień, który był absolutnie niezbędny, by być detektywem w Wydziale Zabójstw Policji w Kopenhadze.

2002

Plotkarskie gazety uwielbiały wiceprzewodniczącą Demokratów Merete Lynggaard za wszystko, co sobą reprezentowała. Za cięte riposty z mównicy Folketingu oraz brak szacunku wobec premiera i jego zauszników. Za kobiece atrybuty, figlarne oczy i uwodzicielskie dołączki. Kochali ją za młodość i sukces, ale nade wszystko za to, jaką pożywkę dawała spekulacjom, dlaczego taka zdolna i ładna kobieta jeszcze nigdy nie pokazała się publicznie z mężczyzną.

Dzięki Merete Lynggaard gazety sprzedawały się doskonale. Lesbijka czy nie, stanowiła naprawdę wdzięczny temat.

O tym wszystkim Merete wiedziała aż nazbyt dobrze.

– Dlaczego nie umówisz się z Tagem Baggesenem? – naciskała sekretarka, gdy dreptały wspólnie do małego niebieskiego audi Merete przez kałuże, ciągnące się aż do parkingu przy Rigsdagsgård. – Wiem, że wielu chciałoby się z tobą gdzieś wybrać, ale on zupełnie zwariował na twoim punkcie. Ile razy próbował cię gdzieś zaprosić? Możesz się doliczyć tych wszystkich liścików, które zostawia ci na biurku? Nie dalej jak dziś zostawił kolejny. Daj mu szansę, Merete.

– Czemu sama go sobie nie weźmiesz? – Merete pochyliła się i wrzuciła stertę teczek na tylne siedzenie. – Co mam robić z ekspertem od ruchu drogowego z Radykalnego Centrum, możesz mi powiedzieć, Marianne? Czy jestem może rondem w Herning?

Merete uniosła wzrok na Muzeum Wojskowe Tøjhus, gdzie stał mężczyzna w białym prochowcu i fotografował budynek. Czy jej też zrobił zdjęcie? Potrząsnęła głową. Uczucie, że jest obserwowana, zaczynało ją powoli irytować. Zupełna paranoja. Teraz powinna odpoczywać.

– Tage Baggesen ma trzydzieści pięć lat, wygląda cholernie dobrze, no, może mógłby zrzucić parę kilo, ale za to ma domek w Vejby. Tak, i kilka, zdaje się, na Jutlandii. Czego więcej ci trzeba?

Merete spojrzała na nią, kręcąc sceptycznie głową.

– Owszem, ma trzydzieści pięć lat i mieszka z matką. Zupełnie oszalałaś. Bierz go, jest twój!

Sięgnęła po stos teczek, które trzymała w objęciach jej sekretarka, i wrzuciła je na siedzenie obok pozostałych. Zegarek na desce rozdzielczej pokazywał siedemnastą trzydzieści. Była już spóźniona.

– Dziś wieczorem zabraknie twojego głosu w sali obrad Folketingu, Merete.

– Ach tak – odparła i wzruszyła ramionami. Odkąd weszła do polityki, między nią a przewodniczącym klubu parlamentarnego Demokratów

obowiązywała umowa, że po godzinie osiemnastej czas należy do niej, z wyjątkiem palących, niezbędnych prac w komisjach lub głosowań. „Nie ma problemu”, powiedział wtedy, wiedząc dobrze, ile głosów przyciągała. Teraz więc też nie powinno być problemu.

– Dalej, Merete, powiedz, dokąd się tak spieszysz. – Jej sekretarka przekrzywiła głowę. – Jak on ma na imię?

Merete uśmiechnęła się do niej lekko i zamknęła drzwi. Najwyższy czas pozbyć się Marianne Koch.

2007

Szef Wydziału Zabójstw Marcus Jacobsen był bałaganiarzem i nic sobie z tego nie robił. Bałagan przejawiał się przecież tylko na zewnątrz. Wewnątrz czuł się wyjątkowo dobrze zorganizowany. W jego przenikliwym mózgu sprawy ułożone były w największym porządku. Nigdy nie gubił szczegółów. Nawet po dziesięciu latach rysowały się w jego pamięci ostre jak brzytwa.

Tylko w sytuacjach takich jak ta przed chwilą, gdy pokój pękał w szwach od bacznie obserwujących go bliskich współpracowników, którzy musieli tłoczyć się wokół zniszczonych stolików na kółkach i stert akt, spoglądał na armagedon swojego biura z pewną irytacją.

Podniósł wyszczerbiony kubek z Sherlockiem Holmesem i wziął duży łyk zimnej kawy, myśląc po raz dziesiąty tego ranka o paczce papierosów leżącej w kieszeni marynarki. Już nie można było nawet zrobić sobie przerwy na papierosa na prostokątnym dziedzińcu. Cholerne dyrektywy.

– Posłuchaj! – Marcus Jacobsen skierował spojrzenie na swojego zastępcę Larsa Bjørna, który poprosił o spotkanie po wspólnym briefingu. – Sprawa morderstwa rowerzysty w parku Valby wyszła z nas wszystkie siły, jeśli nie będziemy uważać – powiedział.

Lars Bjørn pokiwał głową.

– I na dodatek Carl Mørck właśnie teraz musiał wrócić do swojego zespołu i zacząć komenderować czterema naszymi najlepszymi detektywami. Ludzie skarżą się na niego, a komu? – Wskazał na swoją klatkę piersiową, jakby był jedyną osobą, która musi wysłuchiwać ludzkiego biadolenia. – Przychodzi mocno spóźniony – kontynuował. Pomiata podwładnymi, wprowadza zamęt, nie odbiera telefonów, jego biuro to chaos i jakby tego było mało, dzwonił z Instytutu Medycyny Sądowej i skarżyli się na to, jak rozmawia z nimi przez telefon. Faceci z sądówki, pojmujesz? Trzeba coś, kurwa, na to poradzić. Bez względu na to, ile Carl przeszedł, musimy coś z tym zrobić, Marcus. Inaczej nie wiem, jak wydział będzie dalej funkcjonował.

Marcus uniósł brwi, myśląc o Carlu. Właściwie to nawet go lubił, ale wiedział, że to wiecznie sceptyczne spojrzenie i uszczypliwe uwagi mogły wkurzyć każdego.

– Taak, masz rację. Pewnie tylko Hardy i Anker umieli z nim wytrzymać. Ale oni też pracowali w dziwny sposób.

– Marcus, ludzie nie powiedzą tego wprost, ale facet jest strasznie upierdliwy, zresztą zawsze był. Nie nadaje się do pracy tutaj, jesteśmy od siebie

zbyt zależni. Carl był beznadziejnym współpracownikiem już od pierwszego dnia. Dlaczego go w ogóle zabierałeś z posterunku w Bellahøj?

Utkwił spojrzenie w oczach Bjørna.

– Był i jest świetnym detektywem, Lars. Dlatego.

– Tak, tak, wiem, że nie możemy tak po prostu pokazać mu drzwi, a już na pewno nie w tej sytuacji. Ale musimy wymyślić coś innego, Marcus.

– Jest tutaj niewiele ponad tydzień po powrocie z urlopu zdrowotnego, więc musimy dać mu szansę. Co powiesz, żeby go trochę oszczędzać?

– Jesteś pewien? Przez ostatnie tygodnie dostaliśmy więcej spraw, niż możemy udźwignąć. Niektóre z nich to zresztą duże śledztwa, sam wiesz. Pożar na Amerikavej to podpalenie czy jak? Napad na Tomsgårdsvej, w którym zginął klient banku. Sprawa gwałtu i zabójstwa dziewczyny w Tårnby, zadżganie członka gangu młodzieżowego w Sydhavnen, zabójstwo rowerzysty w parku Valby. Mam wymieniać dalej? Do tego dochodzą wszystkie zaległe dochodzenia. W wielu z nich nawet nie mamy przełomu. I w tym wszystkim taki szef zespołu jak Mørck. Leniwy, ponury, gderliwy, zrzędlivy i tak szorstki wobec kolegów, że zespół jest niemal w rozsypce. On jest solą w oku nas wszystkich, Marcus. Wyślij Carla do diabła. Potrzeba nam świeżej krwi. Wiem, że to brzmi brutalnie, ale tak właśnie uważam.

Szef Wydziału Zabójstw pokiwał głową. Przyjrzał się ludziom jeszcze podczas briefingu. Milczący, zacięci i zmęczeni. Jasna sprawa, że nie życzyli sobie, by ktoś im dopieprzał.

Zastępca stanął przy oknie, spoglądając na budynki po drugiej stronie.

– Myślę, że mam propozycję. Możemy mieć trudności ze związkiem, ale niekoniecznie.

– Lars, do cholery. Nie mam siły podkładać się związkowi. Jeśli chodzi ci o to, żeby pogorszyć mu warunki pracy, to zaraz tu przylecą.

– Damy mu kopa w górę!

– Ach tak. – Marcus zrobił się czujny. Jego zastępca był dobrym detektywem, z dużym doświadczeniem i mnóstwem wyjaśnionych spraw na koncie, ale w kwestii zarządzania zespołem musiał się jeszcze wiele nauczyć. W tym miejscu nie popychało się ludzi w górę czy w dół tak po prostu.

– Proponujesz, żeby popchnąć go wyżej, tak? W jaki sposób? I kto ma mu ustąpić miejsca?

– Wiem, że nie spałeś prawie całą noc i byłeś zajęty przez większość przedpołudnia tym przeklętym morderstwem w Valby, więc pewnie nie jesteś na bieżąco z wiadomościami. Nie słyszałeś, co się wydarzyło w Christiansborgu przed południem?

Szef Wydziału Zabójstw potrząsnął głową. Fakt, miał dużo na głowie, odkąd sprawa zabójstwa rowerzysty w parku Valby przyjęła nowy obrót. Do

wczorajszego wieczora mieli dobrego świadka, wiarygodnego. Widać było, że kobieta ma więcej do opowiedzenia. Byli pewni, że są blisko przełomu. I nagle świadek zamknął się w sobie jak ostryga. Komuś z jej otoczenia musiano grozić. Przesłuchiwali ją, aż zupełnie zmiękła, rozmawiali z jej córkami i z matką, ale żadna z nich nie chciała mówić. Po prostu się bały. Nie, Marcus nie spał zbyt dużo. Oprócz nagłówków porannych gazet nie był na bieżąco absolutnie z niczym.

– Znów Partia Danii? – spytał.

– Właśnie. Ich ekspert od polityki prawnej jeszcze raz wystąpiła z tą propozycją porozumienia z policją i tym razem dostała większość. Uchwałę to, Marcus. Piv Vestergård dostanie, czego chciała.

– Niemożliwe!

– Palnęła mowę z trybuny na dwadzieścia minut i oczywiście koalicja ją poparła, choć Prawica, ma się rozumieć, szarpała się jak pies na łańcuchu.

– No i?

– A jak myślisz? Powiedziała o czterech brzydkich sprawach, które odłożono na półkę. Jej zdaniem nie jest w interesie opinii publicznej, by pozostały niewyjaśnione. Powiem ci, że miała znacznie więcej w zanadrzu.

– Cholera jasna, czy ona sobie wyobraża, że policja kryminalna odkłada sprawy ot tak sobie?

– Sugerowała, że tak właśnie może być w niektórych przypadkach.

– Co za brednie! Niby w jakich?

– Wymieniała między innymi przestępstwa, których ofiarami padali członkowie Partii Danii i Liberalów. Mówimy o sprawach na skalę kraju.

– To babsko jest psychiczne!

Zastępca pokręcił głową.

– Tak myślisz? To dopiero początek. Później wymieniła też oczywiście sprawy zaginięcia dzieci, sytuacje zagrożenia organizacji politycznych atakami terrorystycznymi, zbrodnie o bestialskim charakterze.

– Tak, tak, próbuje zdobyć głosy, tylko o to tu chodzi.

– Jasne, że tak. W przeciwnym razie nie robiłaby tego w sali obrad Folketingu. Wszyscy próbują zdobyć głosy, bo wszystkie partie uczestniczą teraz w negocjacjach w ministerstwie sprawiedliwości. Dokumenty zostaną błyskawicznie przesłane do komisji finansów. Według mnie decyzja zapadnie w ciągu czternastu dni.

– I na czym to dokładnie ma polegać?

– Trzeba utworzyć nowy wydział policji kryminalnej. Zaproponowała nawet, żeby się nazywał Departamentem Q na cześć Partii Danii¹ – zaśmiał się gorzko.

– A cel? Bez zmian?

– Tak, jedynym celem jest skuteczne i właściwe prowadzenie spraw, które oni nazywają sprawami pod specjalnym nadzorem.

– Prowadzenie spraw pod specjalnym nadzorem. – Pokiwał głową. – Tak, to naprawdę piękne określenie, w stylu Piv Vestergård. Brzmi imponująco. I niby kto ma ocenić, które sprawy na nie zasługują? O tym też mówiła?

Zastępca wzruszył ramionami.

– Okej, prosi nas o zrobienie czegoś, co i tak już robimy. I co z tego? Co to ma wspólnego z nami?

– Wydział ma być stworzony przez Komendę Główną, ale wygląda na to, że administracyjnie będzie podlegać Wydziałowi Zabójstw Policji w Kopenhadze.

Po tych słowach szefowi Wydziału Zabójstw opadła szczęka.

– Nie wierzę! Jak to administracyjnie?

– To my wykładamy budżet i prowadzimy rachunki. My zapewniamy personel. No i lokale.

– Nie rozumiem. Wydział kopenhaski ma teraz dodatkowo rozwiązywać jakieś wiekowe sprawy z okręgu w Hjørring? Ci z okręgów na to nie pójdą. Zažadają reprezentantów w wydziale.

– To wcale nie jest powiedziane. Zaprezentują to jako odciążenie, a nie jako dodatkowy obowiązek dla okręgów.

– Czy to znaczy, że pod tym dachem ma jeszcze być lotna brygada od przypadków beznadziejnych? Z moimi pracownikami w roli wsparcia? Nie, do cholery, to nie może być prawda.

– Marcus, posłuchaj. Chodzi tylko o parę godzin tu i tam i zaledwie kilku pracowników. To pestka!

– To wcale nie brzmi jak pestka.

– Okej, powiem wprost, jak ja to widzę, słuchasz?

Szef potarł dłonią czoło. Miał jakieś wyjście?

– Marcus, za tym idą pieniądze. – Zrobił pauzę i wlepił wzrok w swojego przełożonego. – Niewiele, ale wystarczy, żeby zająć czymś pewnego człowieka, a przy okazji wpompować parę milionów w nasz własny wydział. To jest dodatkowa dotacja, która niczego nie naruszy.

– Okej! Parę milionów? – Pokiwał głową z uwagą. – Dobrze, dobrze!

– Genialne, co? Utworzymy wydział błyskawicznie, Marcus. Oni myślą, że staniemy okoniem, ale tak nie będzie. Złożymy im atrakcyjną propozycję i ustalimy budżet, w którym nie będzie szczegółowo rozpisanych kwot na poszczególne zadania. A Carla Mørcka ustanowimy szefem nowego wydziału, ale nie będzie miał za bardzo czym rządzić, bo znajdzie się w nim sam. I w bezpiecznej odległości od wszystkich innych, to mogę ci obiecać.

– Carl Mørck jako szef Departamentu Q! – szef Wydziału Zabójstw wyobraził to sobie. Taki wydział z łatwością poradziłby sobie z budżetem poniżej miliona koron rocznie. Włączając wyjazdy, badania laboratoryjne i tak dalej. Gdyby wydział zażądał pięciu milionów koron rocznie na utrzymanie, Marcus

Jacobsen miałby dodatkowo kilka zespołów dochodzeniowych w Wydziale Zabójstw. Mogliby pracować głównie nad starszymi sprawami. Może nie sprawami dla Departamentu Q, ale coś w tym stylu. Płynne granice to podstawa. Genialne. Nie inaczej.

2007

Hardy Henningsen był najwyższym człowiekiem, jaki kiedykolwiek pracował w Komendzie Głównej. W papierach miał wpisane dwa metry siedem centymetrów, ale musiał mierzyć więcej. Podczas zatrzymania to Hardy zawsze mówił – po to, żeby ludzie musieli zadzierać głowy, gdy odczytywano ich prawa. Na większości robiło to trwałe wrażenie.

Obecnie wzrost Hardy’ego nie stanowił zalety. Według Carla jego długie, sparaliżowane nogi nigdy nie były do końca wyprostowane. Carl proponował już pielęgniarce usunięcie przedniej ścianki łóżka, ale najwyraźniej jej kompetencje nie sięgały tak daleko.

Hardy nie odzywał się do nikogo. Jego telewizor włączony był całą dobę, ludzie wchodzili i wychodzili z pomieszczenia, a on nie reagował. Leżał w Klinice Urazów Rdzenia Kręgowego w Hornbæk i usiłował żyć. Przeżuwać jedzenie, poruszać lekko ramieniem – najdalej wysuniętym na południe od szyi miejscem, nad którym miał kontrolę, i pozwalać pielęgniarzom na manewrowanie jego sparaliżowanym, niezbornym ciałem. Patrzył tylko w sufit, gdy myli mu krocze, wkłuwali w niego igły, opróżniali worek na fekalia. Nie, Hardy nie mówił już za wiele.

– Wróciłem na komendę, Hardy – powiedział Carl, wygładzając mu kołdrę.
– Pracują nad sprawą pełną parą. Chociaż jeszcze niczego nie doszli, to na pewno znajdą tego, co do nas strzelał.

Ciężkie powieki Hardy’ego nie poruszyły się nawet o milimetr. Nie zaszczycił spojrzeniem ani Carla, ani patetycznego, jałowego reportażu stacji TV2 News o wysiedlaniu młodzieży z Ungdomshuset. Widać było gołym okiem, że jest mu wszystko jedno. Nie było w nim już nawet gniewu. Carl rozumiał go lepiej niż ktokolwiek inny. Choć nie okazywał tego Hardy’emu, jemu też to wszystko zwisało. Nie miało najmniejszego znaczenia, kto ich postrzelił. Co by to mogło zmienić? Nie ten, to inny. Takich śmieci było wśród ludzi wystarczająco dużo.

Skinął pielęgniarce, która przysłała z nową kroplówką. Ostatnim razem usiłowała go wyprosić, kiedy doprowadzała Hardy’ego do porządku. Niewiele wskórała i było jasne, że o tym pamięta.

– O, już pan jest? – spytała kwaśno i spojrzała na zegarek.

– Bardziej mi pasuje przychodzić tu przed pracą. To jakiś problem?

Jeszcze raz spojrzała na zegarek. Całe szczęście zaczynał pracę później niż większość.

Pielęgniarka podniosła ramię Hardy’ego i sprawdziła kroplówkę tkwiącą

w grzbiecie dłoni. Po chwili otworzyły się drzwi i weszła pierwsza fizjoterapeutka. Czekala ją ciężka praca.

Carl poklepał prześcieradło w miejscu, pod którym rysował się kontur prawej ręki Hardy'ego.

– Te baby chcą cię teraz mieć tylko dla siebie, więc zmykam, Hardy. Jutro rano przyjdę trochę wcześniej, to pogadamy. Trzymaj się ciepło.

Wyszedł na korytarz otoczony zapachem medykamentów i oparł się o ścianę. Koszula kleiła mu się do ciała, a plamy pod pachami szybko się powiększały. Niewiele było mu trzeba po tamtej strzelaninie.

Hardy, Carl i Anker jak zwykle dotarli na miejsce zabójstwa na Amager przed wszystkimi pozostałymi i stali już w białych jednorazowych kombinezonach, maseczkach chirurgicznych, rękawiczkach i czepkach na głowach, jak przewidywały procedury. Za ledwie pół godziny wcześniej znaleziono starszego człowieka z gwoździem w głowie. Ekipa z Komendy Głównej w Kopenhadze była niezawodna.

Do oględzin zwłok pozostało im sporo czasu. Szef Wydziału Zabójstw był z komendantem policji na jakimś spotkaniu dotyczącym restrukturyzacji, ale nie ulegało wątpliwości, że zjawi się z lekarzem sądowym tak szybko, jak tylko będzie mógł. Żadne biurowe pierdoły nie mogły utrzymać Marcusa Jacobsena z dala od miejsca zbrodni.

– Wokół domu nie ma za dużo roboty dla techników – powiedział Anker, przyciskając butem grunt rozmiękły po nocnych opadach.

Carl się rozejrzył. Oprócz śladów drewniaków sąsiada nie było zbyt wielu odcisków wokół baraku – jednego z tych wyprzedawanych przez wojsko w latach sześćdziesiątych. Wtedy baraki wyglądały ładnie, ale dobre czasy tego tutaj już minęły. Dach był zapadnięty, papa cała poorana, brakowało dwóch desek w fasadzie; wilgoć też zrobiła swoje. Nawet tabliczka z nazwiskiem, na której czarnym flamastrem napisano „Georg Madsen”, była na wpół zgniła. Do tego dochodził trupi odór, sączący się na zewnątrz przez wszystkie szczeliny. Ogólnie rzecz biorąc, dom był w gównianym stanie.

– Porozmawiam z sąsiadem – powiedział Anker i obrócił się ku człowiekowi, który od półgodziny stał i czekał. Do werandy jego małego gospodarstwa było najwyżej pięć metrów. Gdy barak zostanie zburzony, widok z jego domu z pewnością znacznie się poprawi.

Hardy nieźle znosił odór zwłok. Może dlatego, że był wysoki i to, co najgorsze, nie docierało na jego poziom, a może dlatego, że zmysł węchu miał mniej czuły niż inni. Tym razem było wyjątkowo źle.

– Kurwa, co za syf! – burknął Carl, gdy stali w korytarzu, naciągając na buty niebieskie foliowe ochraniacze.

– Otworzę okno – zaproponował Hardy i wszedł do pomieszczenia

znajdującego się obok klaustrofobicznego przedsionka.

Carl podszedł do drzwi prowadzących do niedużego pokoju dziennego. Przez zaciągniętą roletę wpadało niewiele światła, ale wystarczająco, by ujrzyć postać siedzącą w przeciwległym kącie pokoju, z szarzieloną skórą i głębokimi pęknięciami w pęcherzach pokrywających całą twarz. Z nosa sączył się rzadki czerwony płyn, a zapięta na guziki koszula niemal eksplodowała pod naporem spuchniętego tułowia. Jego oczy przypominały stearynę.

– Gwóźdź w jego głowie został wystrzelony z gazowego pistoletu na gwóździe Paslode – odezwał się z tyłu Hardy, zakładając bawełniane rękawiczki. – Leży na stole w drugim pokoju. Jest też wkrętarka, jeszcze naładowana. Pamiętaj, żebyśmy sprawdzili, jak długo może wytrzymać akumulator.

Gdy tak stali i rozglądali się wokół, wrócił Anker.

– Sąsiad mieszka tu od 16 stycznia – oznajmił. – Czyli od dziesięciu dni, i w tym czasie nie widział, żeby zmarły opuszczał dom.

Wskazał na ciało i rozejrzał się po pokoju.

– Siadywał na werandzie, napawając się globalnym ociepleniem, dlatego zwrócił uwagę na smród. Biedak jest w szoku. Może niech lekarz sądowy rzuci na niego okiem po oględzinach zwłok.

To, co wydarzyło się zaraz potem, Carl potrafił później opisać jedynie ogólnikowo i tym trzeba się było zadowolić. Według opinii większości on sam był nieprzytomny. Ale to nieprawda. Pamiętał wszystko aż zbyt dokładnie. Nie miał po prostu ochoty wdawać się w szczegóły.

Słyszał, jak ktoś wchodzi przez drzwi kuchenne, ale nie zareagował. Może przez ten odór, może myślał, że to technicy.

Kilka sekund później zarejestrował kątem oka postać w czerwonej koszuli w kratę, która wtargnęła do pokoju. Pomyślał o tym, żeby wyciągnąć pistolet, ale tego nie zrobił. Zawiodł go refleks. Poczul za to, jak ogarnia go fala szoku, gdy pierwszy strzał trafił Hardy'ego w plecy w taki sposób, że upadł na Carla, przygważdżając go do podłogi. Ogromny ciężar przestrelonego ciała Hardy'ego wygiął kręgosłup Carla w łuk i zmiażdżył mu kolano.

Wtedy padły kolejne strzały, które trafiły Ankera w klatkę piersiową, a Carla w skroń. Pamiętał doskonale, jak leżał pod łapiącym gorączkowo powietrze Hardyem i jak krew Hardy'ego przesączała się przez ubranie i mieszała z jego własną na podłodze. I gdy czyjeś nogi poruszały się tuż obok niego, myślał ciągle, że powinien wydobyć pistolet.

Za nim leżał na ziemi Anker, próbując się obrócić, podczas gdy przestępcy rozmawiali w małym pokoju za przedsionkiem. Po kilku sekundach byli z powrotem w salonie. Carl usłyszał, jak Anker rozkazuje im, by się zatrzymali. Później dowiedział się, że Anker wyciągnął pistolet.

Odpowiedzią na rozkaz był kolejny strzał, który trafił Ankera prosto w serce

i sprawił, że podłoga zadrżała.

To nie trwało długo. Przestępcy wymknęli się kuchennymi drzwiami. Carl się nie poruszał. Leżał zupełnie spokojnie. Nawet gdy pojawił się lekarz sądowy, nie dawał znaku życia. Później obaj – lekarz sądowy i szef Wydziału Zabójstw – mówili, że myśleli z początku, że Carl nie żyje.

Carl leżał długo niczym w omdleniu, z głową pełną rozpaczliwych myśli. Zmierzyli mu puls i zabrali z pozostałą trójką. Dopiero w szpitalu otworzył oczy. Mówili, że miał martwe spojrzenie.

Myśleli, że to szok, ale to był wstyd.

– Mogę jakoś pomóc? – spytał facet po trzydziestce ubrany w kitel.

Carl oderwał się od ściany.

– Właśnie byłem u Hardy’ego Henningsena.

– Aha, u Hardy’ego. Jest pan członkiem rodziny?

– Nie, jestem jego kolegą. Byłem szefem zespołu Hardy’ego w Wydziale Zabójstw.

– Ach tak!

– Jakie są rokowania Hardy’ego? Będzie mógł chodzić?

Młody lekarz lekko się cofnął. Odpowiedź została udzielona. To nie była sprawa Carla, jak się czuje jego pacjent.

– Niestety nie mogę udzielać informacji osobom spoza rodziny. Na pewno pan to rozumie.

Carl chwycił lekarza za rękaw.

– Byłem z nim, gdy to się stało, rozumie pan? Mnie też postrzelono. Jeden z naszych kolegów został zabity. Byliśmy tam razem i dlatego chcę wiedzieć. Czy on będzie mógł chodzić? Może mi pan to powiedzieć?

– Przykro mi. – Lekarz strząsała dłoń Carla z rękawa. – Na pewno może się pan dowiedzieć o stanie Hardy’ego Henningsena za pośrednictwem pracodawcy, ale ja nie mogę udzielić panu tej informacji. Każdy z nas musi pilnować swoich obowiązków.

Ledwie wyczuwalny, wyuczony ton lekarskiego autorytetu, wyniosła artykulacja i lekko uniesione brwi z pewnością nie zaskakiwały, ale i tak zadziały na Carla jak płachta na byka. Mógł walnąć faceta w łeb, ale zdecydował się, by chwycić go za kołnierz i przyciągnąć na wysokość swojej twarzy.

– Pilnuj swoich obowiązków – warknął. – Lepiej zabieraj tę swoją oślizgłą burzującą mordę i spieprzaj, tylko uważaj, żebyś nie dostał zadyszki, rozumiałeś?

Szarpnął za kołnierz, aż lekarz zaczął się trząść.

– Kiedy twoja córka nie wróci na dwudziestą drugą, jak powinna, to my zasuwamy, żeby ją znaleźć. Kiedy twoja żona zostanie zgwałcona albo kiedy zniknie z parkingu twoje gówniane beżowe bmw, to też się tym zajmiemy. Jesteśmy zawsze do usług, nawet jak trzeba cię pocieszać, rozumiesz, gnojku?

Pytam jeszcze raz: czy Hardy będzie mógł chodzić?

Lekarz wciągnął powietrze gwałtownym haustem, gdy Carl puścił jego kołnierz.

– Jeżdżę mercedesem i nie jestem żonaty – wydusił z siebie. Myślał, że rozumie, w jakim stanie znajduje się teraz Carl. Najwyraźniej liznął to i owo na kursie psychologii, upchniętym gdzieś między wykładami z anatomii. Pewnie się nauczył, że odrobina humoru potrafi rozbroić każdego, ale na Carla to nie zadziało.

– Spadaj do ministra zdrowia i dowiedz się, co to jest arogancja, gówniarzu – powiedział Carl i odepchnął go. – Jesteś niedouczony.

Czekali na niego w jego biurze, obaj – szef Wydziału Zabójstw i mały Lars Bjørn. Niepokojący znak, że lekarskie wołanie o pomoc dotarło poza grube mury kliniki. Przez chwilę mierzył ich wzrokiem. Nie, wyglądało raczej na to, że jakiś kretyński pomysł strzelił im do tych biurokratycznych łbów. Wypatrywał ich porozumiewawczych spojrzeń. A może to wszystko załatwiała interwencją kryzysową? Mieliby go znów zmusić do rozmowy z psychologiem o tym, jak zwalczać traumy pourazowe? Czy można się było spodziewać kolejnego człowieka o przenikliwym wzroku, chcącego przedostać się do najmroczniejszych zakamarków umysłu Carla, żeby odkryć to, co wypowiedziane i niewypowiedziane? Mogli sobie darować, bo Carl i tak wiedział lepiej. Problemu, który miał, nie można było rozwiązać poprzez rozmowę. Miał go od dawna, a epizod na Amager wytrącił go tylko z równowagi.

Mogli się wszyscy wypchać.

– Carl – powiedział szef Wydziału Zabójstw i skinął głową w kierunku jego pustego krzesła. – Dyskutowaliśmy z Larsem o twojej sytuacji i możemy powiedzieć, że pod wieloma względami jesteśmy na rozdrożu.

To zabrzmiało jak zwolnienie. Carl zaczął bębnić palcami o kant stołu, spoglądając ponad głową szefa. Chce go wylać? Nie pójdzie mu tak łatwo.

Carl spojrział przez okno na park Tivoli, nad którym kłębiły się groźne chmury. Jeśli go wyleją, opuści budynek jeszcze przed ulewą. Nie ma mowy o mediacjach. Pójdzie prosto do siedziby związku zawodowego na bulwarze Andersena. Zwolnić kogoś zaledwie tydzień po jego powrocie z urlopu zdrowotnego i dwa miesiące po tym, jak został postrzelony i stracił dwóch dobrych kumpli z zespołu – to nie może ująć płazem. Najstarszy na świecie związek zawodowy policji pokaże, że jest godzien swojej wiekowej renomy.

– Wiem, że to dla ciebie zaskoczenie, Carl, ale zdecydowaliśmy, że chcemy zaoferować ci małą zmianę klimatu, i to taką, która pozwoli jak najlepiej wykorzystać twoje doskonałe umiejętności detektywistyczne. Mówiąc krótko, chcemy cię awansować na szefa nowego wydziału, Departamentu Q. Jego zadaniem będzie prowadzenie nierozwiązanych spraw o szczególnym znaczeniu

dla dobra publicznego. Spraw pod specjalnym nadzorem, można powiedzieć.

A niech mnie! – pomyślał Carl, odchylając się na krześle.

– Tak, będziesz kierował wydziałem sam, a kto się lepiej do tego nadaje od ciebie?

– Ktokolwiek inny! – odparł i utkwił spojrzenie w ścianie.

– Posłuchaj, Carl. Masz za sobą ciężki okres, a ta praca jakby została dla ciebie stworzona! – powiedział zastępca szefa.

A co ty o tym możesz wiedzieć, palancie? – pomyślał Carl.

– Będziesz kierował wydziałem całkowicie samodzielnie. Wybierzemy kilka spraw na obradach komendantów w okręgach, a ty sam ustalisz kolejność i sposób postępowania. Dostaniesz oddzielny budżet na podróże, będziesz tylko musiał składać miesięczny raport – dodał szef.

Carl zmarszczył brwi.

– Komendantów? Tak powiedziałaś?

– Tak, to ma być na skalę kraju. Dlatego już nie będziesz mógł siedzieć ze swoimi starymi kolegami. Utworzyliśmy nowy wydział tu, w komendzie, ale nie będzie on z nami połączony. Twoje biuro jest właśnie urządzane.

Sprytne posunięcie, nie będą musieli słuchać narzekań – pomyślał Carl.

– No dobrze, a gdzie się mieści to biuro, jeśli wolno spytać? – powiedział.

W tym momencie szef uśmiechnął się trochę nerwowo.

– Gdzie mieści się twoje biuro? Chwilowo mieści się w piwnicy, ale to się może później zmienić. Najpierw musimy sprawdzić, jak to będzie funkcjonować. Jeśli odsetek wyjaśnionych spraw okaże się przyzwoity, to nie wiadomo, jak to się dalej rozwinie.

Carl ponownie spojrzął na chmury. W piwnicy, mówią. A więc chodzi o to, żeby go skruszyć. Żeby poczuł się jak wyrzutek, żeby go zbojkotować, odizolować i zdołować. Tak jakby to miało jakieś znaczenie, czy ma się to odbywać na górze, czy na dole. I tak będzie robić, co mu się żywnie podoba, czyli, o ile to możliwe, absolutnie nic.

– A jak się ma Hardy, tak poza tym? – zapytał szef po odpowiednio długiej przerwie.

Carl skierował wzrok na swojego przełożonego. To był pierwszy raz, gdy go o to zapytał.

2002

Wieczory należały tylko do Merete Lynggaard. Z każdą linią na jezdni znikającą pod jej pędzącym do domu samochodem pozostawiała w tyle te elementy samej siebie, które nie pasowały do jej życia za szpalerem cisów w Magleby. W chwili gdy wjeżdżała w senne przestrzenie gminy Stevns i pokonywała most nad potokiem Tryggevælde, czuła się, jakby przechodziła transformację.

Uffe siedział jak zwykle z zimną herbatą na brzegu ławy, skąpany w świetle telewizora, z dźwiękiem na pełen regulator. Kiedy zaparkowała samochód w garażu i szła do tylnych drzwi, widziała go wyraźnie przez szybę od strony podwórza. Jak zawsze ten sam Uffe. Cichy i nieruchomy.

Energicznym ruchem ściągnęła w pomieszczeniu gospodarczym buty na wysokim obcasie, wrzuciła teczkę na piec, powiesiła płaszcz w korytarzu i położyła papiery w gabinecie. Następnie zdjęła kostium od Filippy K, ułożyła go na krześle przy pralce, ściągnęła szlafrok z haczyka i wślizgnęła się w domowe pantofle. Było dokładnie tak, jak miało być. Nie musiała zmywać z siebie dnia pod prysznicem zaraz po powrocie do domu.

Następnie pogrzebała w plastikowej paczce i znalazła na jej dnie kilka cukierków kawowych. Kiedy cukierek leżał już na języku, podnosząc szybko poziom cukru we krwi, była gotowa, by zajrzeć do salonu.

Dopiero wtedy krzyczała:

– Cześć, Uffe, już jestem!

Zawsze ten sam rytuał. Wiedziała, że Uffe zauważył światła samochodu w chwili, gdy wjeżdżała na wzgórze, ale żadne z nich nie czuło potrzeby kontaktu, nim nadszedł właściwy czas.

Usiadła przed nim i próbowała pochwycić jego wzrok.

– Hej, kolego! Oglądasz sobie wiadomości i napalasz się na Trine Sick?

Zacisnął usta tak mocno, że zmarszczki wokół oczu sięgnęły niemal włosów, ale wzroku nie oderwał od ekranu.

– Tak, niezły z ciebie numer.

Wzięła go za rękę. Była ciepła i miękka, jak zawsze.

– Ale przecież bardziej ci się podoba Lotte Mejlhede, myślisz, że tego nie wiem?

Zobaczyła, jak jego wargi powoli rozciągają się w uśmiechu. Kontakt został nawiązany. Tak, Uffe nadal był w środku. I Uffe doskonale wiedział, czego w życiu pożąda.

Obróciła się do telewizora i obejrzała dwie ostatnie wiadomości dziennika.

Pierwsza dotyczyła inicjatywy Rady do Spraw Żywnienia w kwestii wprowadzenia zakazu przemysłowej produkcji tłuszczów trans, druga zaś fatalnej kampanii marketingowej, którą Duńskie Zrzeszenie Drobiarskie prowadziło przy wsparciu państwa. Znała obie sprawy aż za dobrze. Ostatnio zafundowały jej dwie przepracowane noce.

Odwróciła się do Uffego i zwichrzyła mu włosy, odsłaniając bliznę na skórze głowy.

– No, chodź, ty leniuchu, coś sobie zjemy.

Chwyliła wolną ręką jedną z poduszek leżących na kanapie i zaczęła go okładać po karku, aż po chwili kwiczał z uciechy, wymachując rękami i nogami. Wtedy puściła jego czuprynę, przeskoczyła niczym kozica przez sofę i pogalopowała przez salon po schodach na górę. To zawsze działało. Chichocząc i piszcząc z radości i z powodu tłumionej energii, popędził zaraz jej tropem. Niczym dwa wagony ze stalowym łącznikiem pomknęli na pierwsze piętro, z powrotem na dół, na zewnątrz przed garaż, z powrotem do salonu i wreszcie do kuchni. Za chwilę, siedząc przed telewizorem, zjedzą posiłek przygotowany przez opiekunkę. Wczoraj oglądali Jasia Fasolę. Przedwczoraj Chaplina. Dziś znów będzie Jaś Fasola. Wideoteka Merete i Uffego ograniczała się wyłącznie do tego, co Uffe uwielbiał oglądać. Z reguły zasypiał po półgodzinie. Wtedy okrywała go kocem i zostawiała śpiącego na sofie, a w nocy sam trafiał na górę do sypialni. Chwytał ją za rękę i pomrukiwał, zanim ponownie zapadł w sen u jej boku w podwójnym łóżku. Kiedy już spał głęboko, cichutko poświstując, zapalała światło i zaczynała przygotowywać się na kolejny dzień.

Tak właśnie mijały wieczory i noce. Bo tak lubił Uffe – jej słodki, niewinny młodszy braciszek. Uroczy, milczący Uffe.

2007

Na drzwiach faktycznie wisiała mosiężna tabliczka z napisem „Departament Q”, tyle że drzwi zostały wyjęte z zawiasów i stały oparte o pęk rur grzewczych, ciągnących się wzdłuż długich piwnicznych korytarzy. Dziesięć wiader wypełnionych do połowy farbą nadal stało na podłodze, wydzielając smród w pomieszczeniu, które miało stanowić jego biuro. Z sufitu zwisało kilka świetlówek – takich, które po jakimś czasie przyprawiają o świdrujący ból głowy. Ale ściany były ładne – nie licząc koloru. Skojarzenia ze szpitalami Europy Wschodniej wydawały się nieuniknione.

– Wiwat Marcus Jacobsen – warknął Carl, próbując odnaleźć się w tej sytuacji.

Na przestrzeni ostatnich stu metrów korytarza nie widział żywego ducha. W jego piwnicznym zaułku nie było ani ludzi, ani światła dziennego, ani powietrza, ani niczego innego, co mogłoby złagodzić skojarzenia z *Archipelagiem Gulag*. Trudno było nazwać to miejsce inaczej niż zatęchłą dziurą.

Spojrzał na swoje nowiuteńkie komputery i wystające z nich wiązki kabli. Najwyraźniej rozdzielili kanały informacyjne w ten sposób, że intranet podłączyli do jednego komputera, a resztę świata do drugiego. Poklepał komputer numer dwa. Tutaj będzie mógł siedzieć godzinami i surfować do woli po Internecie. Żadnych paraliżujących zasad bezpiecznego użytkowania i brak ochrony centralnych serwerów to już coś. Rozejrzył się za czymś, co mogłoby mu posłużyć za popielniczkę, stuknął w paczkę i wyciągnął jednego zielonego cecila. „Palenie poważnie szkodzi Tobie i osobom w Twoim otoczeniu” – przeczytał napis. Spojrzał wokół siebie. Kilka stonóg, które pomieszkiwały tu na dole, na pewno wytrzyma. Zapalił papierosa i głęboko się zaciągnął. Były jakieś plusy szefowania własnemu wydziałowi.

– Przyślemy ci sprawy na dół – obiecywał Marcus Jacobsen, ale jedyną zawartością biurka i ziejących pustką półek była kartka formatu A5. Pewnie myśleli, że na razie będzie chciał się tu trochę urządzić. Ale Carlowi było wszystko jedno, nie miał zamiaru niczego porządkować, zanim najdzie go ochota.

Ustawił krzesło obrotowe ukośnie do biurka, wyciągnął nogi i oparł je o blat. W ten sposób siedział w domu przez większą część swojego urlopu zdrowotnego. Palił fajki i próbował przestać myśleć o ciężarze bezwładnego ciała Hardy’ego i rżeniu Ankerka w ostatnich sekundach przed śmiercią. Od tamtej pory surfował po Internecie. Bezcelowo, bez planu, otępiająco. Zamierzał to robić i teraz. Spojrzał na zegarek. Miał pięć godzin do zmitręczenia, zanim będzie mógł pójść do

domu.

Carl mieszkał w Allerød. To był wybór jego żony. Przenieśli się tam na kilka lat, zanim od niego czmychnęła do domku na działce w Islev. Po przestudiowaniu mapy Zelandii uznała szybko, że jeśli chce się mieć wszystko, to albo trzeba dysponować pełnym portfelem, albo przeprowadzić się do Allerød. Małe, przyjemne miasteczko, kolejka podmiejska, wszędzie wokół pola, las w tak zwanej odległości spacerowej, wiele sympatycznych sklepików, kino, teatr, życie towarzyskie, no i dzielnica Rønneholtparken. Jego żona była zachwycona. Tutaj mogli kupić w rozsądnej cenie betonowy szeregowiec z wystarczającą ilością miejsca dla nich dwojga i jej syna i w gratisie dostać prawo do korzystania z kortów tenisowych, basenu i świetlicy oraz bliskość pól uprawnych, wrzosowisk i od groma dobrych sąsiadów. Bo w Rønneholtparken wszyscy się o siebie troszczyli – jak przeczytała. Wtedy nie był to dla Carla plus, bo kto, do diabła, wierzy w taką gadaninę, ale z czasem zaczął być. Gdyby nie przyjaciele z Rønneholtparken, Carl wyładowałby w szambie. Zarówno dosłownie, jak i w przenośni. Najpierw związała mu żona. Potem jednak nie chciała się rozwodzić, ale pozostać w domku na działce. Następnie miała kilka romansów z młodszymi facetami, o czym niestety opowiadała mu przez telefon. Później jej syn odmówił dalszego mieszkania z nią i w najgorętszym okresie wieku dojrzewania wprowadził się z powrotem do Carla. I w końcu strzelanina na Amager zabiła wszystko, do czego Carl przywykł – życiową rutynę i dwóch dobrych kumpli, którzy mieli w dupie, którą nogą wstał dziś z łóżka. Nie, gdyby nie Rønneholtparken i wszyscy ci ludzie stamtąd, to tkwiłby, szczerze mówiąc, po uszy w gównie.

Gdy Carl dotarł do domu i postawił rower przy komórcie obok kuchni, stwierdził, że pozostali mieszkańcy byli już obecni. Sublokator Carla Morten Holland jak zwykle słuchał w piwnicy opery na cały regulator, a ściągnięty z Internetu wrzaskliwy rock dudnił na piętrze z okna jego przyszywanego syna. Trudno było sobie wyobrazić szkaradniejszy kolaż dźwięków.

Wkroczył w to inferno i tupnął parę razy w podłogę, aż dźwięk *Rigoletta* z dołu stał się bardziej przytłumiony. Gorzej będzie z chłopakiem na górze. Wbiegł na schody, przeskakując po trzy stopnie, i nie zadał sobie trudu, by zapukać do drzwi.

– Jesper, do jasnej cholery! Fale dźwiękowe roztrzaskały dwa okna na Pinjevungen! Będziesz musiał sam za to zapłacić! – wrzasnął najgłośniejszym głosem, jak umiał.

Chłopak słyszał to już wcześniej, więc jego zgięte nad klawiaturą plecy nie drgnęły nawet o milimetr.

– Hej! – Carl krzyknął mu prosto w ucho. – Ścisz albo przetną kabel od modemu!

To trochę pomogło.

Na dole w kuchni Morten Holland rozłożył już talerze na stole. Ktoś z dzielnicy przezwiał go zastępczą matką spod numeru 73, ale się mylił. Morten nie był zastępstwem, był najlepszą i najprawdziwszą matką, jaką Carl miał kiedykolwiek obok siebie. Zakupy, pranie, gotowanie i sprzątanie z ariami operowymi błakającymi się po jego wrażliwych ustach. No i płacił za wynajem.

– Byłeś dziś na uniwersytecie, Morten? – spytał, znając odpowiedź. Morten miał trzydzieści trzy lata, a ostatnich trzynaście spędził, ucząc się pilnie wszystkich możliwych przedmiotów, oprócz tych związanych z trzema kierunkami, na które się w tym czasie zapisał. W rezultacie miał porażającą wiedzę na każdy temat, poza tymi, za które dostawał stypendium i które miały mu w przyszłości zapewnić utrzymanie.

Morten odwrócił się do niego swymi ciężkimi, otłuszczonymi plecami i utkwiał wzrok w bulgoczącej masie w garnku.

– Zdecydowałem, że będę studiował administrację.

Wspominał już o tym wcześniej, była to tylko kwestia czasu.

– Kurwa, Morten, nie powinieneś najpierw skończyć politologii? – zapytał mimo wszystko Carl.

Morten dosypał trochę soli do garnka i zamieszał.

– Większość na politologii głosuje na koalicję, to do mnie nie pasuje.

– A co ty o tym wiesz? Przecież nigdy cię tam nie ma, Morten.

– Byłem tam wczoraj. Opowiedziałem ludziom z mojej grupy kawał o Karinie Jensen.

– Kawał o polityku, który zaczyna karierę w radykalnej lewicy, a kończy u Liberalów? To chyba nic trudnego.

– Ona jest dowodem na to, że za wysokim czołem może się kryć niski iloraz – tak powiedziałem. I nikt się nie śmiał.

Morten był wyjątkowy. Przerośnięty, sztubacki, androginiczny prawiczek, dla którego relacje społeczne z czasem ograniczyły się do wymiany uwag z przypadkowymi klientami sklepu Kvickly na temat zakupów. Pogawędka przy zamrażarce o tym, czy szpinak podawać z sosem śmietanowym czy bez.

– Nie śmiali się, Morten, ale powodów może być kilka. Ja też się nie śmiałem, a bynajmniej nie głosuję na partie koalicyjne.

Pokręcił głową. To i tak na nic. Dopóki Morten pracował w wypożyczalni wideo, Carlowi było wszystko jedno, co studiuje, a czego nie.

– Administracja, mówisz? To chyba nudne jak flaki z olejem.

Morten wzruszył ramionami i wrzucił kilka marchewek do drugiego garnka. Przez chwilę milczał, co było dla niego nietypowe. Carl już wiedział, co będzie dalej.

– Vigga dzwoniła – powiedział w końcu Morten z pewną troską w głosie i odsunął się nieco. W takich sytuacjach dodawał zwykle: *Don't shoot me, I'm only*

the piano player. Ale nie tym razem.

Carl nie skomentował. Jeśli Vigga czegoś od niego chciała, to mogła poczekać z telefonem, aż wróci do domu.

– Wydaje mi się, że marznie w tym domku na działce – odważył się dodać Morten, mieszając w garnku.

Carl odwrócił się do niego. To coś na kuchence pachniało diabelnie dobrze. Już od dawna nie miał takiego apetytu.

– Marznie? To niech wsadzi do pieca paru swoich wypasionych kochasiów.

– O czym gadacie? – rozległo się w progu. Drzwi w korytarzu za Jesperem aż się trzęsły od wylewającej się z jego pokoju kakofonii.

To cud, że w ogóle się słyszeli.

Gdy Carl przesiedział w piwnicy trzy dni, gapiąc się na zmianę to w Google'a, to w ścianę, i kiedy znał już na pamięć odległość do prowizorycznej toalety, a w dodatku czuł się wyspany jak nigdy dotąd, udał się czterysta pięćdziesiąt dwa stopnie w górę do Wydziału Zabójstw, na drugie piętro, gdzie rezydowali jego dawni koledzy. Chciał zażądać, żeby wreszcie skończyły się prace w piwnicy i żeby zawieszono drzwi w zawiasach, tak by przynajmniej mógł nimi trzaskać, jeśli najdzie go ochota. Chciał też im ostrożnie przypomnieć, że nie dostał jeszcze teczek ze sprawami. Nie dlatego, że mu się spieszyło, ale żeby nie stracić pracy, nim ją faktycznie dostanie.

Może spodziewał się, że dawni koledzy będą się na niego gapić z zaciekawieniem, gdy wkroczy do wydziału. Czy jest na skraju załamania nerwowego? Czy zrobił się woskowo blady od siedzenia w wiecznych ciemnościach? Spodziewał się zaciekawionych i pogardliwych spojrzeń, ale nie tego, że wszyscy będą wchodzili do swoich gabinetów, trzaskając drzwiami w sposób tak skoordynowany jak teraz.

– Co tu się dzieje? – spytał faceta, którego nigdy wcześniej nie widział, a który stał i wypakowywał kartony w pierwszym gabinecie.

Facet wyciągnął rękę.

– Peter Vestervig, jestem z posterunku City. Mam być w zespole Viggo.

– W zespole Viggo? Viggo Brinka? – spytał. Szef zespołu? Viggo? To chyba musieli mianować go wczoraj.

– Tak. A ty jesteś... – Facet sam chwycił dłoń Carla.

Carl uściśnął ją pospiesznie i rozejrzał się po pomieszczeniu, nie udzielwszy odpowiedzi. Były jeszcze dwie twarze, których nie znał.

– Też z zespołu Viggo?

– Ten przy oknie nie.

– Widzę nowe meble.

– Tak, właśnie je wniesiono. Czy ty nie jesteś przypadkiem Carl Mørck?

– Kiedyś byłem – odparł i skierował ostatnie kroki do gabinetu Marcusa

Jacobsena.

Drzwi były otwarte, ale zamknięte też nie powstrzymałyby go przed wtargnięciem z impetem do środka.

– Przybywa was w wydziale, Marcus? – spytał bez ogródek, przerywając spotkanie.

Szef Wydziału Zabójstw spojrział z rezygnacją na swojego zastępcę i jedną z dziewczyn z sekretariatu.

– Okej, Carl Mørck wyległ z czeluści. Będziemy kontynuować za pół godziny – oznajmił, zbierając papiery na kupkę.

Carl posłał zastępcy kwaśny uśmiech, gdy ten wychodził z gabinetu, a zastępca nie pozostał mu dłużny. Podinspektor kryminalny Lars Bjørn zawsze dbał o to, by panujący między nimi chłód nie uległ ociepleniu.

– Co tam słyhać na dole, Carl? Dajesz radę z ustalaniem priorytetu spraw?

– Z pewnością. W każdym razie w przypadku tych spraw, które jak dotąd dostałem. – Wskazał ręką za siebie. – Co się tam dzieje?

– Tak, nic dziwnego, że pytasz. – Uniósł brwi i wyprostował Krzywą Wieżę w Pizie, jak ludzie nazywali stosik nowych spraw na jego biurku. – Natłok spraw zmusił nas do utworzenia dwóch dodatkowych zespołów dochodzeniowych.

– Na miejsce mojego? – Uśmiechnął się krzywo.

– No, to znaczy dwa zespoły oprócz tego.

Carl zmarszczył brwi.

– Trzy zespoły. Jak, do kurwy nędzy, udało się wam to sfinansować?

– Ponadprogramowa dotacja. Jakies wyrównanie w związku z reformą, sam wiesz.

– Czy wiem? Za cholerę!

– Życzysz sobie czegoś konkretnego, Carl?

– Tak, ale pomyślałem, że to może poczekać. Muszę najpierw rozwiązać jakąś sprawę. Przyjdę później.

Wiadomo było, że w partii Prawica zasiadało sporo ludzi ze świata biznesu, dobrze się wspólnie bawiąc i spełniając życzenia organizacji biznesowych. Ale ta najbardziej wysztafirowana partia w kraju przyciągała też zawsze policjantów i wojskowych, bogowie raczą wiedzieć dlaczego. Wiedział, że przynajmniej dwóch takich rezyduje w tej chwili w Christiansborgu. Jednym był biedak, który tylko przelotnie znalazł się w strukturach policji, aby pędem się z nich wydostać; drugim zaś sympatyczny, niemłody już podkomisarz do spraw kryminalnych, którego Carl poznał swego czasu w Randers. Nie miał szczególnie konserwatywnych przekonań, ale kandydował z okręgu, z którego pochodził, a praca z pewnością była niezłe płatna. Tak Kurt Hansen z Randers został deputowanym z ramienia Prawicy oraz członkiem komisji ustawodawczej, a dla Carla najlepszym źródłem informacji natury politycznej. Kurt nie mówił wszystkiego, ale łatwo się zapalał do sprawy,

jeśli była interesująca. Carl zastanawiał się, czy ta była.

– Pan podkomisarz Kurt Hansen, jak mniemam – powiedział, słysząc głos w telefonie.

W słuchawce rozległ się głęboki śmiech.

– Proszę, proszę, Carl – kopę lat! Miło usłyszeć twój głos. Chodzą słuchy, że zostałeś postrzelony.

– To nic takiego, czuję się dobrze, Kurt.

– Gorzej z twoimi dwoma kolegami. Czy są postępy w śledztwie?

– Posuwa się do przodu.

– Cieszę się, naprawdę. Pracujemy teraz nad projektem ustawy o zaostrzeniu wymiaru kary za napaść na funkcjonariusza na służbie o pięćdziesiąt procent. To powinno pomóc. Musimy was przecież wspierać tam na barykadach.

– Świetnie, Kurt. Wsparliście też Wydział Zabójstw w Kopenhadze jakąś nadprogramową dotacją, jak słyszałem.

– Nie, nie wydaje mi się.

– No to może nie sam Wydział Zabójstw, ale coś innego w Komendzie Głównej. Mam nadzieję, że to nie żadna tajemnica?

– Czy mamy jakieś tajemnice w kwestii nadprogramowych dotacji? – spytał Kurt i roześmiał się tak serdecznie, jak tylko potrafi człowiek, którego czeka w przyszłości pokaźna emerytura.

– To na co daliście dofinansowanie, jeśli mogę spytać? To podlega Komendzie Głównej Policji?

– Tak, wydział podlega właściwie pod Centralne Biuro Dochodzeniowe, ale żeby uniknąć prowadzenia spraw po raz kolejny przez tych samych ludzi, postanowiono założyć samodzielną jednostkę administrowaną przez Wydział Zabójstw. Ma się zajmować tak zwanymi sprawami pod specjalnym nadzorem, ale to już wiesz.

– Mówisz o Departamencie Q?

– Tak go nazwaliście? No, no, doskonała nazwa.

– Jak duże jest to dofinansowanie?

– Nie znam dokładnej kwoty, ale to coś pomiędzy sześcioma a ośmioma milionami rocznie przez najbliższe dziesięć lat.

Carl powiódł wzrokiem po jasnozielonym pokoju w piwnicy. Okej, teraz już rozumiał, dlaczego Marcus Jacobsen i Bjørn musieli deportować go na tę ziemię niczyją. Powiedział, że między sześcioma a ośmioma milionami. Prosto do kieszeni Wydziału Zabójstw.

Niech go diabli, jeśli nie będzie ich to drogo kosztować.

Szef Wydziału Zabójstw spojrział na niego jeszcze raz, zanim zdjął okulary do czytania. Miał ten sam wyraz twarzy, gdy badał niewyraźne ślady na miejscu przestępstwa.

– Mówisz, że chcesz mieć własny samochód służbowy? Czy muszę ci przypominać, że w kopenhaskiej policji nie mamy służbowych pojazdów? Musisz zwrócić się do biura zawiadującego pojazdami i dostać przydział na wóz, jak będziesz go potrzebował. Tak jak wszyscy inni, Carl, tak to już jest.

– Nie pracuję w kopenhaskiej policji. Sprawujecie nade mną jedynie władzę administracyjną.

– Carl, wiesz przecież dobrze, że ludzie będą się burzyć na taką formę specjalnego traktowania, prawda? I sześciu dodatkowych ludzi w twoim wydziale, mówisz. Upadłeś na głowę?

– Próbuję tylko zorganizować Departament Q zgodnie z założeniami, czy nie to powinienem robić? Mam wziąć całą Danię pod skrzydła. Sam widzisz, że to nie lada rewir. A więc nie chcesz dać mi sześciu ludzi?

– Nie, do diabła.

– Czterech? Trzech?

Szef Wydziału Zabójstw pokręcił głową.

– Czyli sam mam wypełniać wszystkie zadania.

Pokiwał głową.

– Powinieneś więc rozumieć, że nie mogę się obejść bez stałego dostępu do samochodu służbowego. A jeśli będę musiał jechać do Aalborga albo do Næstved? Żyję pod presją. Nie wiem nawet, ile spraw znajdzie się na moim biurku, prawda?

Usiadł naprzeciwko swojego przełożonego i nalał kawy do filiżanki pozostawionej przez zastępcę.

– Ale bez względu na wszystko muszę dostać człowieka do pomocy tam, na dół. Takiego z prawem jazdy, który mi pomoże w załatwianiu spraw. W wysyłaniu faksów i tak dalej. W sprzątanii. Mam przecież dużo roboty, Marcus. Musimy mieć rezultaty. Folketing będzie chciał sprawdzić, czy dobrze wydał pieniądze, prawda? To było osiem milionów, tak? To naprawdę dużo pieniędzy.

2002

Dla wiceprzewodniczącej klubu parlamentarnego Demokratów żaden kalendarz nie był wystarczająco duży. Od siódmej do siedemnastej Merete Lynggaard miała czternaście spotkań z organizacjami pozarządowymi. Przynajmniej czterdzieści twarzy przewinęło się przed nią jako ekspertem do spraw zdrowia, a większość z nich oczekiwała, że będzie znała ich przynależność, dokonania, nadzieje na przyszłość i zaplecze naukowe. Gdyby nadal miała do pomocy Marianne, być może by się jej to udało, ale nowa sekretarka, Søs Norup, nie była taka bystra. Była za to dyskretna. Przez cały miesiąc przepracowany w gabinecie Merete ani razu nie zająknęła się na tematy prywatne. Była świetnym robotem, nawet jeśli jej pamięć RAM trochę szwankowała.

Przedstawiciele organizacji siedzący przed Merete chodzili od Annasza do Kajfasza. Najpierw byli u partii koalicyjnych, potem u największej partii opozycyjnej, wreszcie u Merete. Sprawiali wrażenie naprawdę zdesperowanych, i to nie bez powodu, bo mało kto w rządzie interesował się czymkolwiek innym poza skandalem w Farum i atakiem burmistrza na kilku ministrów.

Delegacja dokładała wszelkich starań, by wprowadzić Merete w tajniki potencjalnie groźnych dla zdrowia nanocząsteczek, magnetycznego sterowania cząsteczkami w organizmie, systemu immunologicznego i badań nad łożyskiem. To ostatnie było dla nich kwestią kluczową.

– Jesteśmy całkowicie świadomi zastrzeżeń natury etycznej, jakie mogą się pojawić – powiedział główny prelegent. – Wiemy też, że zwłaszcza partie koalicyjne reprezentują grupy społeczne, które sprzeciwią się wykorzystywaniu łożysk na szerszą skalę. Mimo to jesteśmy zdecydowani podjąć tę kwestię.

Prelegent był eleganckim mężczyzną po czterdziestce, który już dawno temu dorobił się w swojej branży milionów. Założył znane przedsiębiorstwo farmaceutyczne BasicGen, które przede wszystkim prowadziło badania podstawowe dla innych, większych firm farmaceutycznych. Za każdym razem, gdy miał nowy pomysł, pojawiał się u drzwi ekspertów do spraw zdrowia. Merete nie znała pozostałych osób z grupy, ale zauważyła, że za prelegentem stał młodszy mężczyzna, który się jej przyglądał. Nie podrzucał mówcy zbyt wielu danych, może był tam tylko po to, by obserwować.

– To Daniel Hale, nasz najlepszy partner na froncie laboratoryjnym. Brzmi z angielska, ale Daniel to Duńczyk z krwi i kości – przedstawił go później prelegent, gdy witała się z każdym z osobna.

Podawała mu rękę, odnotowując przy okazji, jak gorąca była jego dłoń.

– Daniel Hale, zgadza się? – spytała.

Uśmiechnął się. Na chwilę uciekła spojrzeniem. Żenująco.

Popatrzyła na sekretarkę, jeden z neutralnych elementów gabinetu.

Gdyby to była Marianne, kryłaby uśmiezek za papierami, które zawsze trzymała. Ta sekretarka się nie uśmiechała.

– Pracuje pan w laboratorium?

W tym momencie wtrącił się prelegent. Stał na straży swoich cennych sekund. Kolejna organizacja czekała już pod drzwiami Merete Lynggaard. Kiedy będzie kolejna szansa, tego nie wie nikt. Chodziło o pieniądze i drogo zainwestowany czas.

– Daniel jest właścicielem najlepszego niewielkiego laboratorium w Skandynawii. No, może nie jest już takie małe, odkąd masz te nowe budynki – zwrócił się do niego, a on z uśmiechem potrząsał głową. To był przyjemny uśmiech.

– Chcielibyśmy wręczyć ten oto raport – kontynuował prelegent. – Może pani ekspert do spraw zdrowia przeczyta go dokładniej, kiedy znajdzie czas. To niezmiernie ważne dla naszych potomnych, aby tę sprawę potraktować z największą powagą.

Nie sądziła, że zobaczy Daniela Hale'a na dole w restauracji parlamentarnej, nazywanej Sznappingiem. Najwyraźniej czekał na nią. Przez pozostałe dni tygodnia jadała u siebie w gabinecie, ale w każdy piątek przez ostatni rok zasiadała przy wspólnym stole z pozostałymi ekspertkami do spraw zdrowia z partii Socjaliści i Radykalne Centrum. Wszystkie trzy były nieustraszonymi kobietami, które potrafiły doprowadzić ludzi z Partii Danii do wściekłości. Już to, że zorganizowały swój klub kawowy zupełnie jawnie, było solą w oku wielu z nich.

Siedział sam, zasłonięty częściowo kolumną, na skraju designerskiego krzesła projektu Kaspera Salta, z filiżanką kawy przed sobą. Ich spojrzenia spotkały się w chwili, gdy wchodziła przez szklane drzwi, i odtąd nie myślała już o niczym innym.

Kiedy kobiety podniosły się po rozmowie, podszedł do niej.

Już widziała spekulacje na ich temat, czując, jak zniewalająco działa na nią jego spojrzenie.

2007

Carl był dość zadowolony. Robotnicy uwijali się w piwnicy przez cały poranek. On sam stał na korytarzu i parzył kawę na jednym ze stołów na kółkach. Wypalił też prawie całą paczkę papierosów. Obecnie podłoga w gabinecie Departamentu Q przykryta była dywanem, puszek po farbie zniknęły w ogromnych plastikowych worach, drzwi umieszczono w zawiasach, a na ścianach powieszono płaski telewizor, białą tablicę do pisania i tablicę korkową. Regał wypełnił się jego prawniczym księgozbiorem, który inni usiłovali sobie przywłaszczyć. W kieszeni miał kluczyki do granatowego peugeota 607 wymienionego właśnie przez policyjne służby specjalne, które nie chciały konwojować królowej w samochodach z zarysowanym lakierem. Miał zaledwie czterdzieści pięć tysięcy kilometrów na liczniku i należał wyłącznie do Departamentu Q. Jaką chlubą będzie na parkingu przy Magnolievangen! Tylko dwadzieścia metrów od okna jego sypialni.

Za kilka dni miał dostać współpracownika, jak mu obiecali, postarał się także, żeby opróżnili małe pomieszczenie po drugiej stronie piwnicznego korytarza. Lokal, gdzie Wydział Prewencji składował zużyte hełmy i tarcze po awanturze o Ungdomshuset, wyposażono teraz w stół, krzesło, szafę na miotły i świetlówki, których Carl pozbył się ze swojego gabinetu. Marcus Jacobsen potraktował słowa Carla poważnie i zatrudnił człowieka na stanowisku sprzątacza i złotej rączki, ale zażądał, by sprzątał też pozostałe pomieszczenia w piwnicy. Carl spodziewał się to zmienić przy najbliższej okazji; pewnie tego samego spodziewał się też Marcus Jacobsen. Toczyła się rozgrywka o podejmowanie decyzji i ustalanie, czym można handlować, a w szczególności – kiedy. Mimo wszystko to on siedział w mrokach piwnicy, a pozostali na górze z widokiem na park Tivoli. Coś za coś, żeby była równowaga.

O trzynastej tego samego dnia przyszły wreszcie dwie sekretarki z administracji z aktami spraw. Oznajmiły, że to najważniejsze akta, a jeśli chce bardziej szczegółowych materiałów, to może zamawiać je za ich pośrednictwem. W ten sposób zyskał przynajmniej kogoś, dzięki komu mógł podtrzymywać dialog ze swoim dawnym wydziałem. W każdym razie z jedną z nich, Lis, ciepłą jasnowłosą kobietą o ekscytującym uśmiechu, który odsłaniał nieco krzywe zęby, chciałby wymienić coś więcej niż tylko spostrzeżenia.

Poprosił, by położyły papiery po obu stronach biurka.

– Czy to przypadkiem nie zalotny błysk w twoich oczach, czy też zawsze wyglądasz tak zniewalająco pięknie, Lis? – zwrócił się do jasnowłosej.

Ciemnowłosa posłała koleżance spojrzenie, które sprawiłoby, że nawet

Einstein poczułby się jak idiota. Pewnie już dawno nie była adresatką takich uwag.

– Carl, przyjacielu – odparła jasnowłosa Lis. – Błysk w moich oczach jest zarezerwowany dla mojego męża i dzieci. Kiedy to do ciebie dotrze?

– W dniu, w którym zgaśnie światło, a wieczny mrok ogarnie mnie i cały świat – odrzekł. Mocno powiedziane.

Ciemnowłosa przechyliła głowę do koleżanki i zaczęła coś mamrotać z oburzeniem, jeszcze zanim odeszły w kierunku schodów.

Przez pierwszych parę godzin nie zerknął do papierów. Zadał sobie natomiast trud, by policzyć teczki, a to przecież też rodzaj pracy. Było ich co najmniej czterdzieści, ale nie otworzył żadnej. Mam dość czasu, przynajmniej dwadzieścia lat do emerytury – pomyślał i ułożył kilka pasjansów pajaków. Jeśli kolejny wyjdzie, spojrzysz na stos po prawej stronie biurka.

Ponad dwadzieścia pasjansów później zadzwoniła komórka. Spojrzał na wyświetlacz, ale nie rozpoznał numeru. 3545 coś tam, coś tam. To był numer kopenhaski.

– Tak? – powiedział, spodziewając się, że usłyszy egzaltowany głos Viggii. Zawsze znalazła jakąś litościwą duszę, która użyczyła jej telefonu. „Mamo, spraw sobie wreszcie komórkę!”, powtarzał w kółko Jesper. „To jest megawkurzające, jak trzeba dzwonić do sąsiada, żeby z tobą porozmawiać”.

– Dzień dobry – rozległo się w słuchawce; nie była to z pewnością Vigga. – Tu Birte Martinsen, jestem psychologiem w Klinice Urazów Rdzenia Kręgowego. Hardy Henningsen próbował dziś rano wciągnąć szklankę wody podaną przez pielęgniarkę prosto do płuc. Nic mu się nie stało, ale jest w kiepskim stanie psychicznym i pytał o pana. Czy mógłby pan tutaj przyjechać? Myślę, że by mu to pomogło.

Pozwolili mu zostać z Hardym sam na sam, choć psycholog wyraźnie chciała być przy rozmowie.

– Masz dość tego wszystkiego, chłopie? – powiedział, ujmując dłoń Hardy’ego. Było w niej trochę życia. Zwrócił na to uwagę już wcześniej. W tej chwili koniuszki środkowego i wskazującego palca poruszały się, jakby próbowały przyciągnąć Carla do siebie.

– Tak, Hardy? – rzekł i przysunął ku niemu głowę.

– Zabij mnie, Carl – wyszeptał.

Carl wyprostował się i spojrział mu prosto w oczy. Ten wysoki człowiek miał najbardziej niebieskie oczy na całym świecie. Teraz były wypełnione smutkiem, zwątpieniem i żarliwą prośbą.

– Do cholery, Hardy – szepnął. – Przecież nie mogę. Staniesz na nogi. Staniesz i będziesz chodził. Masz syna, który chciałby mieć ojca z powrotem w domu, prawda, Hardy?

– Ma dwadzieścia lat, poradzi sobie – odpowiedział mu szeptem Hardy.

Był sobą. Myślał zupełnie trzeźwo. Mówił poważnie.

- Nie mogę, Hardy, musisz wytrzymać. Wyzdrowiejesz.
- Jestem sparaliżowany i tak już zostanie. Dziś wydali werdykt. Żadnych szans na wyzdrowienie, niech to diabli.
- Sądzę, że Hardy Henningsen prosił pana o pomoc w odebraniu sobie życia

– powiedziała psycholog, zachęcając do zwierzeń.

Jej profesjonalne spojrzenie nie wymagało odpowiedzi. Była pewna swego, doświadczyła już tego wcześniej.

- Nie! Ależ skąd!
- Ach tak. Tak wywnioskowałam.
- Hardy?! Nie, chodziło o coś innego.
- Byłabym wdzięczna, gdyby mi pan opowiedział, co panu mówił.
- W zasadzie mógłbym. – Zasznurował wargi i wyjrzał na ulicę. Ani żywej duszy. Cholernie dziwne.
- Ale nie chce pan?
- Zarumieniła się pani, gdyby to usłyszała. Nie mogę powtórzyć czegoś podobnego kobiecie.
- Proszę spróbować.
- Wolałbym nie.

2002

Merete wielokrotnie słyszała o tej małej restauracji z dziwnymi wypchanymi zwierzętami na Nansensgade, ale aż do tego wieczoru nie była tam nigdy.

Pośród szumu Café Bankeråt powitało ją ciepłe spojrzenie i lampka schłodzonego białego wina. Wieczór zapowiadał się obiecująco.

Zdążyła właśnie opowiedzieć, że w następny weekend wybiera się z bratem do Berlina. Że na taką wycieczkę wyjeżdżali razem raz w roku i że zatrzymają się niedaleko ogrodu zoologicznego.

Wtedy zadzwonił telefon. Opiekunka powiedziała, że Uffe źle się czuje.

Przez chwilę musiała posiedzieć z zamkniętymi oczami, by przełknąć tę gorzką pigułkę. Niezbyt często pozwalała sobie na chwilę wolności, by pójść na randkę. Dlaczego musiał to popsuć?

Choć drogi były śliskie, dotarła do domu w niecałą godzinę.

Uffe miał dreszcze i płakał przez większość wieczoru. Czasami tak się zdarzało, gdy Merete nie wracała tak jak zwykle. Uffe nie komunikował się za pomocą słów, można więc było mieć problemy, aby go zrozumieć. Czasami wręcz miało się wrażenie, że nie ma go w środku. Ale to nieprawda. Uffe był obecny w najwyższym stopniu.

Niestety opiekunka była zdenerwowana, i to wyraźnie. Merete nie będzie mogła na nią liczyć następnym razem.

Dopiero gdy zabrała go ze sobą na górę i włożyła mu na głowę jego ukochaną bejsbolówkę, Uffe przestał płakać, ale niepokój pozostał. Jego oczy wyrażały niepewność. Próbowwała przywrócić mu spokój, opisując licznych gości restauracji i dziwaczne wypchane zwierzęta. Streściła swoje przeżycia i myśli, widząc, jak jej słowa go uspokajają. Postępowała tak w podobnych sytuacjach, odkąd skończył dziesięć, jedenaście lat. Gdy Uffe płakał, płacz pochodził z jego podświadomości. W takich chwilach dla Uffego teraźniejszość i przeszłość zlewały się w jedno. Jak gdyby pamiętał, co działo się w jego życiu przed wypadkiem. Gdy był jeszcze zupełnie normalnym chłopcem. Nie, to nie tak. Nie normalnym. Gdy był zupełnie nadzwyczajnym chłopcem z jasną głową, pełną pomysłów i nadziei na przyszłość. Był fantastycznym chłopcem, gdy zdarzył się wypadek.

W kolejnych dniach Merete była strasznie zajęta. I chociaż jej myśli przez większość czasu podążały własnymi ścieżkami, to przecież nikt nie wykonywał za nią pracy. Od szóstej rano w gabinecie, a po ciężkim dniu – szybko na autostradę, by zdążyć do domu przed osiemnastą. Niezbyt dużo czasu, żeby sobie wszystko poukładać.

Jej koncentracji nie poprawił też bynajmniej wielki bukiet kwiatów, który pojawił się któregoś dnia na biurku.

Sekretarka była wyraźnie poirytowana. Przyszła do niej z Duńskiego Stowarzyszenia Prawników i Ekonomistów DJØF, gdzie granica między życiem prywatnym i zawodowym była zapewne wyraźniejsza. Na jej miejscu Marianne mdlałaby z zachwytu i rozpływała się nad kwiatami, jakby były klejnotami koronnymi.

Nie, nowa sekretarka nie mogła wesprzeć jej w sprawach prywatnych, ale może właśnie tak powinno być.

Trzy dni później otrzymała telegram walentynkowy przez TelegramsOnline. Pierwszy raz w życiu dostała walentynkę i niezbyt dobrze się z tym czuła, zwłaszcza że od 14 lutego minęły prawie dwa tygodnie. Na pierwszej stronie widniał rysunek ust i tekst „Love & Kisses for Merete”. Jej sekretarka nie kryła oburzenia, dostarczając kartkę.

W telegramie było napisane: „Muszę z tobą porozmawiać!”.

Siedziała przez chwilę, kręcąc głową na widok ust na kartce.

Potem jej myśli powędrowały do wieczoru w Café Bankeråt. Chociaż było to przyjemne wspomnienie, wprowadzało jednak pewien chaos. Trzeba położyć temu kres, zanim coś się z tego rozwinie.

Kilkakrotnie przećwiczyła sama przed sobą, co ma powiedzieć, po czym wystukała numer w komórce i poczekała na włączenie się automatycznej sekretarki.

– Cześć, tu Merete – powiedziała miękko. – Myślałam dużo o tym wszystkim, ale nic z tego nie będzie. Mój brat i praca zbyt mocno mnie absorbują. To się pewnie nigdy nie zmieni. Bardzo mi przykro. Przepraszam!

Następnie wzięła z biurka swój terminarz i wykreśliła numer telefonu ze spisu.

W tej chwili weszła sekretarka i stanęła nagle przy jej biurku.

Gdy podniosła głowę, sekretarka uśmiechała się w sposób, jakiego Merete wcześniej nie widziała.

Stał na zewnątrz na schodach do Rigsdagsgården, bez wierzchniego okrycia, i czekał. Było wściekle zimno, więc kolor jego twarzy nie wyglądał za dobrze. Wbrew efektowi cieplarnianemu luty nie rozpieszczał dobrą pogodą. Spojrzał na nią prosząco, nie zwracając uwagi na fotografa, który właśnie wszedł przez bramę na plac Zamkowy.

Próbowała wciągnąć go do środka przez drzwi wejściowe, ale był wyższy i stawiał opór.

– Merete – powiedział cicho, kładąc jej dłonie na ramionach. – Nie pozwól, by to się stało. Nie pogodzę się z tym.

– Przykro mi – odparła, kręcąc głową. Dostrzegła, że coś się zmieniło w jego

spojrzeniu. Znowu pojawiło się w nim coś, co wprawiło ją w niepokój.

Za nim fotograf prasowy przyłożył aparat do policzka, cholera jasna. Jeszcze tego brakowało, żeby paparazzi z jakiegoś szmatławca właśnie teraz zrobił im zdjęcie.

– Niestety, nie mogę ci pomóc! – krzyknęła i pobiegła do samochodu. – Nic z tego nie będzie.

Uffe popatrzył na nią ze zdumieniem, gdy rozplakała się przy jedzeniu, ale nie zrobiło to na nim wrażenia. Podnosił łyżkę do ust tak powoli jak zawsze, uśmiechał się za każdym razem, gdy przełykał jej zawartość, wpatrywał się w usta Merete i był nieobecny.

– Cholera jasna – zaszlochała, uderzając zaciśniętą pięścią w stół i patrząc na Uffego z rozżaleniem i frustracją, płynącymi z głębi serca. Nachodziło ją to niestety coraz częściej.

Obudziła się ze snu przeplecionego z jawą. Przerażająco realnego i poruszającego.

Tamtego dnia poranek był cudowny. Trochę mrozu i śniegu, w sam raz, by dopełnić atmosfery świąt. Wszyscy byli radośnie podekscytowani. Merete miała szesnaście lat, Uffe trzynaście. Jej mama i tata spędzili razem noc, która sprawiła, że uśmiechali się do siebie z rozmarzeniem od chwili, gdy załadowali samochód paczkami, aż do momentu, gdy wszystko się skończyło. Poranek wigilijny – jakie cudowne i radosne zestawienie słów. Tak pełne nadziei. Uffe mówił, że chciałby dostać odtwarzacz płyt kompaktowych. Był to ostatni raz w jego życiu, kiedy wyraził jakieś życzenie.

Pojechali. Byli zadowoleni, Uffe i ona się śmiali. Czekano na nich tam, dokąd zmierzali.

Uffe dał jej kuksańca na tylnym siedzeniu. Dwadzieścia kilo lżejszy niż ona, ale ruchliwy jak zwariowany szczeniak, który rozpycha się przy karmieniu. Merete oddała mu, zdjęła swoją peruwiańską czapkę i zdzieliła go w głowę. Bójka rozkręciła się na dobre.

Gdy byli na leśnym zakręcie, Uffe uderzył znowu, więc Merete przycisnęła go do fotela. Kopał, krzyczał i kwiczał ze śmiechu, a Merete spychała go coraz niżej. W chwili gdy ich tata, śmiejąc się, machnął ręką w tył, Merete i Uffe oprzytomnieli. To było w trakcie wyprzedzania. Jadący po skosie czerwony ford sierra miał boczne drzwi szare od soli. Z przodu siedziała para po czterdziestce, patrząc sztywno przed siebie, a za nimi chłopak i dziewczyna, zupełnie tacy jak Uffe i Merete, więc uśmiechnęli się do nich. Chłopak był pewnie parę lat młodszy od Merete i miał krótkie włosy. Pochwycił jej figlarne spojrzenie, gdy uderzyła ojca w ramię. Uśmiechnęła się do niego ponownie. Poczwała, że ojciec stracił panowanie nad kierownicą dopiero wtedy, gdy wyraz twarzy chłopaka nagle się zmienił w migającym między drzewami świetle. Na sekundę utkwiał w niej

przerazone niebieskie oczy, które po chwili zniknęły.

Dźwięk metalu trącego o metal rozległ się dokładnie w chwili, gdy rozprysnęły się boczne okna forda. Dzieci na tylnym siedzeniu tamtego samochodu przewróciły się na bok, w tej samej chwili Uffe z impetem wpadł na nią. Tylne szyby się roztrzaskała, a na przednią poleciało wszystko, co było w środku samochodu. Nie zarejestrowała, czy to ich samochód, czy ten drugi staranował drzewa na skraju drogi. Ciało Uffego było w tym momencie wykręcone przez pasy bezpieczeństwa, które niemal go udusiły. Ogłuszający huk dobiegł najpierw z tamtego samochodu, potem z ich własnego. Krew na tapicerce i przedniej szybie zmieszała się z ziemią i śniegiem z lasu, a wystająca gałąź przebiła łydkę Merete. Roztrzaskany pień drzewa uderzył w podwozie i wyrzucił na chwilę samochód do góry. Huk, z jakim spadł maską na drogę, zmieszał się z przeraźliwym dźwiękiem, jaki wydał ford sierra, kosząc drzewo. Ich samochód przewrócił się i sunął dalej na boku, na którym znajdował się Uffe, w zarośla po drugiej stronie. Ramię Uffego sterczało w górę, nogi miał wciśnięte pod fotel mamy, teraz wyrwany z podłogi. Ani przez chwilę nie widziała mamy czy taty. Widziała tylko Uffego.

Obudziła się z sercem walącym w piersi tak mocno, że sprawiało jej ból. Była lodowato zimna i lepka od potu.

– Przestań, Merete – powiedziała głośno do siebie i wciągnęła powietrze najgłębiej, jak potrafiła. Przycisnęła rękę do piersi, próbując wymazać ten obraz. Tylko podczas snu widziała szczegóły tak porażająco wyraźnie. Gdy to się stało, nie zarejestrowała ich – tylko całość. Światło, krzyk, krew, mrok i znowu światło.

Wciągnęła jeszcze raz głęboko powietrze i skierowała wzrok niżej. W łóżku obok niej leżał Uffe i oddychał, pogwizdując. Miał spokojną twarz. Na zewnątrz deszcz szemrał w rynnach. Pogłaskała go ostrożnie po włosach i wygięła usta w podkówkę, czując, że łzy napływają jej do oczu.

Na szczęście od ostatniego razu, kiedy miała ten sen, minął rok i jeden dzień.

2007

– Dzień dobry, nazywam się Assad – powiedział, podając Carlowi włochatą łapę, która próbowała już niejednego.

Do Carla nie od razu dotarło, gdzie się znajduje i kto z nim rozmawia. To nie był emocjonujący poranek. Właściwie to usadowił się wygodnie z nogami na brzegu biurka, z zeszytem sudoku na brzuchu i brodą opartą o pierś. Ostre zazwyczaj kanty spodni przypominały teraz zapis EKG. Ściągnął zdrętwiałe nogi ze stołu i przyjrzał się stojącemu przed nim niskiemu, śniademu facetowi. Był z pewnością starszy od Carla. I z pewnością nie wywodził się z tego samego rolniczego kraju co on.

– Assad, okej – odpowiedział Carl powoli. Co go to obchodzi?

– Carl Mørck, jak wynika z napisu na drzwiach. Powiedzieli mi, że mam panu chętnie pomagać. Zgadza się?

Carl zmrużył oczy i zastanowił się nad istotą tej wypowiedzi. Pomagać mu?

– Tak, mam nadzieję – odpowiedział Carl.

Sam się o to prosił, a teraz stał się ofiarą swoich nieprzemyślanych żądań. Dotarło do niego, że obecność tego niedużego stworzenia w gabinecie naprzeciwno jest niestety konieczna. Z jednej strony facetowi trzeba znaleźć zajęcie, a z drugiej – należałoby też w rozsądnym wymiarze znaleźć zajęcie dla siebie. Nie, to nie było przemyślane. Carl nie może się obijać całymi dniami, jak to miał w zwyczaju, jeśli ten facet będzie siedział i gapił się na niego. Carl sądził, że z pomocnikiem pójdzie mu wyjątkowo łatwo. Że facet będzie miał co robić, podczas gdy on sam zajmie się odliczaniem godzin po wewnętrznej stronie powiek. Trzeba przecież myć podłogę, parzyć kawę, odkładać rzeczy na miejsce i wkładać do teczek. Zadań będzie pod dostatkiem – myślał jeszcze niedawno. Ale teraz, kilka godzin później, siedział tam facet z wielkimi oczami i zerkał na niego, a wszystko było już zrobione. Nawet regał za plecami Carla wypełniony został literaturą fachową, ułożoną w porządku alfabetycznym. Wszystkie te czki miały na grzbietach numery i były gotowe do użycia. Facet wykonał całą tę robotę w dwie i pół godziny – i po sprawie.

Zdaniem Carla mógł już właściwie iść do domu.

– Masz prawo jazdy? – spytał z nadzieją, że Marcus Jacobsen zapomniał wziąć to pod uwagę i będzie można przedyskutować zatrudnienie nowego pracownika.

– Mam prawo jazdy na taksówki, samochody osobowe, ciężarówki, czołgi T-55 i T-62, wozy opancerzone i motocykle z przyczepą lub bez.

Wtedy Carl zaproponował mu, by przez kilka najbliższych godzin posiedział

spokojnie na krześle i poczytał książki stojące za nim. Chwycił pierwszą lepszą książkę. Podręcznik technik kryminalistycznych inspektora policji A. Haslunda, czemu nie?

– Zwróć uwagę na budowę zdań, jak będziesz czytał, Assad. Można się sporo nauczyć. Dużo czytałeś po duńsku?

– Czytałem wszystkie gazety, konstytucje i wszystko inne.

– Wszystko inne? – powiedział Carl. Nie zapowiadało się łatwo.– Może lubisz rozwiązywać sudoku? – spytał i podał mu swój zeszyt.

Tego popołudnia od siedzenia w wyprostowanej pozycji zaczął go boleć kręgosłup. Kawa Assada była wstrząsająco mocnym doświadczeniem, a potrzeba snu została poskromiona kofeiną i drażniącym wzburzeniem krwi w żyłach. Właśnie dlatego zaczął wertować zawartość teczek.

Kilka spraw znał już na pamięć, ale znaczna większość pochodziła z innych okręgów policyjnych, a niektóre nawet sprzed czasów jego kariery w policji kryminalnej. Łączyło je to, że wymagały znaczących zasobów kadrowych, wzbudziły duże zainteresowanie mediów, dotyczyły osób znanych publicznie i zatrzymały się na etapie, w którym wszystkie tropy utknęły w martwym punkcie.

Z grubsza mógłby podzielić je na trzy kategorie.

Pierwszą i najbardziej liczną stanowiły pospolite morderstwa różnych rodzajów, w wypadku których można było wskazać wiarygodne motywy, ale nie sprawców.

Kolejną kategorię również stanowiły morderstwa, ale o bardziej skomplikowanym charakterze. Motyw był czasami trudny do rozszyfrowania. Mogło być więcej ofiar. Zdarzały się wyroki na współników, choć nie na głównych sprawców. Z samym morderstwem wiązała się też pewna przypadkowość, a czasami motywu należało się doszukiwać w działaniu w afekcie. Wyjaśnienie często zależało od pomyślnego splotu okoliczności. Świadców, którzy przypadkiem przechodzili obok, pojazdów, których użyto przy popełnieniu innych przestępstw, donosów złożonych z innych powodów i tak dalej. Sprawy, które nie nastroczałyby trudności śledczym, gdyby towarzyszyła im odrobina szczęścia.

Wreszcie trzecia kategoria, stanowiąca połączenie spraw o zabójstwo z podejrzeniem o zabójstwo w związku z porwaniem, gwałtem, podpaleniem, pobiciem ze skutkiem śmiertelnym, elementami przestępczości gospodarczej oraz na tle politycznym. Były to dochodzenia, w których policja zawiodła, a nawet mocno oberwał sam wymiar sprawiedliwości. Dziecko, które zniknęło z wózka, pensjonariusz domu opieki z Miasta Starców, którego uduszono we własnym mieszkaniu. Właściciel fabryki, którego zwłoki znaleziono na cmentarzu w Karup czy przypadek żony dyplomaty w ogrodzie zoologicznym. Choć niechętnie, Carl musiał przyznać, że wyborcza nadgorliwość Piv Vestergård miała jakiś sens. Każda z tych spraw prawdziwego policjanta musiała poruszyć.

Wziął sobie jeszcze jedną fajkę i spojrzał na Assada, siedzącego po skosie naprzeciwko niego. Spokojny człowiek – pomyślał. – Jeśli będzie pilnował własnego nosa, to może jednak będzie całkiem, całkiem.

Położył trzy stosy na biurku przed sobą i spojrzał na zegarek. Dokładnie pół godziny z założonymi rękami i zamkniętymi oczami. I będą mogli iść do domu.

– Co to za sprawy ci tu leżą?

Carl spojrzał na ciemne brwi Assada przez dwie szparki, które nie chciały zrobić się większe. Krępy mężczyzna stał pochylony nad biurkiem z podręcznikiem technik kryminalistycznych w ręce. Palec wetknięty między kartki wskazywał, że przeczytał już sporo. Może tylko oglądał obrazki, wielu tak robi.

– Słuchaj, Assad, przerwałeś mi tok myślenia – stłumił ziewnięcie. – No tak, ale skoro już to zrobiłeś, są to właśnie te sprawy, nad którymi mamy pracować. Stare sprawy, które inni zarzucili, rozumiesz?

Assad uniósł brwi.

– To bardzo interesujące – odparł, podnosząc leżącą na wierzchu teczkę. – Nikt nie wie nic o tym, co kto popełnił, tak?

Carl rozprostował kark i spojrzał na zegarek. Nie minęła nawet trzecia. Wziął więc teczkę i spojrzał na nią.

– Nie znam tej sprawy. To ma coś wspólnego z wykopami na wyspie Sprogø, kiedy budowali most nad Wielkim Bełtem. Znaleźli ciało i dalej się nie posunęli. Zajmowała się tym policja ze Slagelse. Ślamazary.

– Ślamazary? – Assad skinął głową. – I ta będzie dla ciebie pierwsza?

Carl spojrzał na niego pytająco.

– Chodzi ci o to, czy to pierwsza sprawa, nad którą będziemy pracować?

– Tak, czy tak jest?

Carl zmarszczył brwi. Za dużo pytań naraz.

– Muszę najpierw je wszystkie gruntownie przejrzeć, później zdecyduję.

– Czy to jest takie bardzo tajne? – Assad z pietyzmem odłożył teczkę na stos.

– Te akta? Owszem, mogą być w nich informacje, które nie są przeznaczone dla postronnych.

Śniady mężczyzna zamarł jak dziecko, któremu odmówiono lodów, ale które dobrze wiedziało, że jeśli dłużej tak postoi, to może mu się poszczęści. Mierzyli się wzrokiem, aż Carl poczuł się nieswojo.

– Słucham? – zapytał. – Życzysz sobie czegoś?

– Jak przysięgnę, że będę milczał jak zaklęty i nigdy nie powiem nikomu o tym, co tutaj widziałem, czy będę mógł zajrzeć do teczek?

– Ale to nie jest twoja praca, Assad.

– Nie, ale co jest teraz moją pracą? Doszedłem właśnie do strony czterdziestej piątej w książce i teraz moja głowa chce czegoś innego.

– Ach tak. – Rozejrzał się wokół, by znaleźć jakieś wyzwanie, może nie tyle

dla głowy Assada, co dla jego dobrze wyrzeźbionych ramion. Doskonale wiedział, że nie ma dla niego roboty.

– Posłuchaj, jeśli przysięgniesz na wszystkie świętości, że pod żadnym pozorem nie będziesz rozmawiał o tym, co przeczytasz, z nikim oprócz mnie, to proszę.

Przesunął leżący najdalej od siebie stosik parę milimetrów w kierunku Assada.

– Tu są trzy stosy. Nie wolno ci zrobić w nich bałaganu. Wymyśliłem bardzo precyzyjny system segregacji i zajęło mi to dużo czasu. I pamiętaj, żeby nie rozmawiać o tych sprawach z nikim innym oprócz mnie, Assad.

Odwrócił się do swojego komputera.

– I jeszcze jedno, Assad. To są moje sprawy, sam widzisz, jak ich jest dużo, więc jestem bardzo zajęty. Nie licz na to, że będę z tobą o nich dyskutował. Zostałeś zatrudniony, żeby robić kawę, sprzątać i wozić mnie samochodem. Jeśli nie będziesz miał co robić, to nie mam nic przeciwko, żebyś czytał. Ale to nie ma nic wspólnego z twoją pracą. Rozumiemy się?

– Rozumiemy się, tak. – Postać chwilę, spoglądając na środkowy stos. – To są jakieś wyjątkowe sprawy, które leżą osobno, jeśli dobrze rozumiem. Wezmę trzy z góry. Nie będę ich otwierał naraz. Będę trzymać każdą w swojej teczce u mnie w pokoju. Jeśli będziesz ich potrzebował, po prostu krzyknij, to wtedy je przyniosę.

Carl odprowadził go wzrokiem. Trzy teczki pod pachą i podręcznik technik kryminalistycznych w pogotowiu. Wysoce niepokojące.

Nie minęła nawet godzina, a Assad znowu był u niego. W tym czasie Carl myślał o Hardym. Biedny Hardy – chciał, żeby Carl go zabił. Jak mógł? To nie były myśli, które wносиły cokolwiek konstruktywnego.

Assad położył przed nim jedną z teczek.

– To jest jedyna sprawa, którą sam pamiętam. To się zdarzyło dokładnie wtedy, jak chodziłem na kurs duńskiego i czytaliśmy o tym w gazetach. Wtedy myślałem, że to bardzo ciekawe. Teraz też.

Podał akta Carlowi, który rzucił na nie okiem.

– To znaczy, że przyjechałeś do Danii w 2002 roku?

– Nie, w 1998. Ale poszedłem na kurs duńskiego w 2002. Pracowałem wtedy nad tą sprawą?

– Nie, to była sprawa dla lotnej brygady przed restrukturyzacją.

– I zajmowała się tym lotna brygada, bo to zdarzyło się poza lądem?

– Nie, to był... – Carl zlustrował zaciekawioną twarz Assada i jego ruchliwe brwi. – Tak, właśnie tak było – poprawił się. Po co obciążać zupełnie nieświadomego Assada tajnikami policyjnych procedur?

– Myślę, że była ładną dziewczyną, ta Merete Lynggaard. – Assad uśmiechnął się krzywo.

– Ładną? – pomyślał o tej pięknej i pełnej energii kobiecie. – Tak, z pewnością była.

2002

W kolejnych dniach liścików przybywało. Sekretarka Merete usiłowała ukryć irytację i udawała przyjaźnie nastawioną. Kilka razy siedziała zapatrzona w Merete, gdy myślała, że nikt tego nie widzi. Zaproponowała wspólną grę w squasha w weekend, ale Merete jej odmówiła. Nie zamierzała spoufalać się ze swoimi pracownikami.

Wtedy sekretarka wróciła do dawnego nadąsanego i wyniosłego sposobu bycia.

W piątek Merete zabrała ze sobą ostatnie listy pozostawione na biurku i przeczytawszy je wielokrotnie, wrzuciła do worka na śmieci. Następnie zawiązała worek i wyniosła go na dwór do śmietnika. Trzeba to było ostatecznie załatwić.

Czuła się jak godna pożałowania prostaczka.

Opiekunka zostawiła na stole zapiekankę. Była jeszcze letnia, gdy Merete i Uffe skończyli gonitwę po domu. Obok żaroodpornego naczynia leżała koperta z karteczką na wierzchu.

O nie, pewnie rezygnuje z pracy – pomyślała Merete i przeczytała liścik.

„Był tu człowiek z kopertą. To pewnie coś z ministerstwa”.

Merete wzięła kopertę i rozerwała ją.

„Milej podróży do Berlina” – głosił prosty tekst.

Obok niej nad pustym talerzem siedział Uffe i uśmiechał się wyczekująco, a jego nozdrza drżały, wyczuwając smakowity zapach. Zacisnęła usta i nałożyła mu jedzenie, próbując powstrzymać płacz.

Wschodni wiatr przybrał na sile, wzmagając fale rozbryzgujące się po obu stronach statku. Uffe uwielbiał stać na pokładzie słonecznym i obserwować tworzący się kilwater i mewy szybujące ponad nimi. Merete zaś uwielbiała, gdy Uffe był zadowolony. Cieszyła się teraz. Dobrze, że jednak wyjechali. Berlin był przecież takim cudownym miastem.

Na dalej położonej części pokładu stała para starszych ludzi i przyglądała się im, a za nimi, przy stole niedaleko komina, siedziała rodzina z termosami i przyniesionymi ze sobą kanapkami. Dzieci już zjadły i Merete uśmiechnęła się do nich. Ojciec rodziny spojrział na zegarek i powiedział coś do żony. Zaczęli się pakować.

Pamiętała podobne wycieczki z rodzicami. To było bardzo dawno temu. Obróciła się. Ludzie schodzili już na pokład samochodowy. Niedługo przybiją do Puttgarden, jeszcze dziesięć minut. Ale nie wszyscy byli zajęci. Na dole przy panoramicznych oknach nad dziobem stało dwóch facetów z brodami owiniętymi

szalikiem i wpatrywało się spokojnie w morze. Jeden z nich sprawiał wrażenie chudego i słabowitego. Merete oceniła, że odległość między nimi wynosiła parę metrów, więc pewnie nie byli razem.

Nagły impuls kazał jej wyciągnąć list z kieszeni i spojrzeć jeszcze raz na cztery napisane w nim słowa. Włożyła go z powrotem do koperty, podniosła rękę i pozwoliła, by przez chwilę trzepotał na wietrze, zanim go puściła. Wzbił się w górę, po czym niespodziewanie wpadł w otwór pod pokładem słonecznym. Przez chwilę myślała, że będą musieli zejść na dół i go podnieść, ale nagle poderwał się i wzleciał ponad fale, zatoczył kilka kółek i wpadł w białą pianę. Uffe się roześmiał. Sledził kopertę wzrokiem przez cały czas. Zaraz potem zapiszczał, zdjął z głowy bejsbolówkę i cisnął ją w ślad za kopertą.

– Przestań! – Tylko to zdążyła krzyknąć Merete, zanim czapka wpadła do morza.

To był jego ukochany prezent gwiazdkowy. W tej samej chwili, gdy czapka zniknęła, już tego żałował. Widać było, że zastanawia się, czy nie skoczyć za nią i spróbować ją odzyskać.

– Nie, Uffe! – krzyknęła. – Nic z tego, już po niej!

Ale Uffe postawił już jedną nogę na metalowej barierce i zawodził, wychylony za drewnianą balustradę, a punkt ciężkości jego ciała znajdował się o wiele za wysoko.

– Daj spokój, Uffe, nic z tego! – krzyknęła znowu, ale Uffe był silny, znacznie silniejszy od niej, i był daleko stąd. Jego świadomość znajdowała się na dole, w falach, tam, gdzie czapka, którą dostał na Gwiazdkę. Relikwia w jego nieskomplikowanym świecie bez Boga.

Wtedy uderzyła go mocno w twarz. Nigdy tego wcześniej nie zrobiła i natychmiast przestraszona cofnęła rękę. Uffe niczego nie zrozumiał. Zapomniał o czapce i złapał się za policzek. Był w szoku. Przez wiele lat nie czuł takiego bólu. Nie rozumiał go. Spojrzał na nią i oddał jej cios. Uderzył ją jak nigdy dotąd.

2007

Również tej nocy szef Wydziału Zabójstw nie spał zbyt dobrze.

Świadek ze sprawy o zabójstwo rowerzysty w parku Valby próbowała przedawkować środki nasenne. Nie rozumiał, co, do jasnej cholery, ją do tego skłoniło. Przecież miała dzieci i kochającą matkę. Kto mógł zastraszyć tę kobietę do tego stopnia? Zaproponowali jej ochronę i wszystko, co trzeba. Była pilnowana dzień i noc. Skąd w ogóle wzięła te tabletki?

– Powinieneś pójść do domu i trochę się przespać – powiedział jego zastępca, gdy Marcus wrócił ze zwyczajowego porannego spotkania z nadinspektorem, odbywającego się co piątek w sali odpraw komendanta policji.

Przytaknął.

– Tak, chociaż parę godzin. A ty możesz wybrać się z Bakiem do Szpitala Królewskiego i sprawdzić, czy uda się coś wyciągnąć z tej kobiety. I dopilnuj, żeby przyprawiono jej matkę i dzieci. Musimy spróbować przywrócić ją z powrotem do rzeczywistości.

– Tak, albo od niej oderwać – powiedział Lars Bjørn.

Nie chciał z nikim rozmawiać, ale telefon i tak zadzwonił.

Przykazał sekretarce, żeby łączyła tylko z królową i księciem Henrykiem. Czyli pewnie dzwoniła jego żona.

– Tak? – powiedział i poczuł się znacznie bardziej zmęczony, gdy usłyszał głos w słuchawce.

– To komendant – poinformował Lars Bjørn szeptem, zakrywając ręką mikrofon telefonu.

Podał Marcusowi słuchawkę i wymknął się z biura.

– Tak, Marcus – zabrzmiał charakterystyczny głos komendanta. – Dzwonię, żeby powiedzieć, że minister sprawiedliwości i komisje się sprawili. Dodatkowe dofinansowanie już przeszło.

– Doskonała wiadomość – odpowiedział Marcus, próbując sobie zaplanować, jak podzielić budżet.

– Znasz procedurę. Dzisiaj Piv Vestergård i komisja ustawodawcza Partii Danii byli na spotkaniu w ministerstwie sprawiedliwości, więc cała machina już ruszyła. Szef Wydziału Policji kazał zapytać, czy radzicie sobie z tym nowym wydziałem.

– Oczywiście, że tak! – odparł, marszcząc brwi na myśl o zmęczonej twarzy Carla.

– To dobrze, przekażę to. A za jaką sprawę zabraliście się na początek?

Nie było to bynajmniej zachęcające pytanie.

*

Carl był już przygotowany do wyjścia. Zegar na ścianie wskazywał szesnastą trzydzieści sześć, ale według jego wewnętrznego zegara było kilka godzin później. Toteż jego rozczarowanie nie miało granic, gdy zadzwonił do niego Marcus Jacobsen i oznajmił, że zamierza złożyć mu wizytę na dole.

– Będę musiał zgłosić, nad czym pracujesz.

Carl spojrział z rezygnacją na pustą tablicę korkową i rząd brudnych kubków po kawie, stojących na jego stoliku konferencyjnym.

– Potrzebuję dwudziestu minut, Marcus. Jesteśmy w tej chwili strasznie zajęci.

Odłożył słuchawkę i nabrał powietrza w usta. Następnie wypuścił je powoli, podniósł się i przeszedł przez korytarz. Assad urządził się już w swoim pokoju.

Na małym biurku stały w ramach dwa zdjęcia z niezliczoną ilością osób. Na ścianie nad biurkiem wisiał plakat z arabskimi literami i ładnym obrazem przedstawiającym jakiś egzotyczny budynek, którego Carl nie umiał rozpoznać, a na haczyku wbitym w drzwi wisiał brązowy kitel z rodzaju tych, które zniknęły ze sklepów wraz z getrami. Cały swój ekwipunek ustawił w schludnym rzędzie pod ścianą: wiadro, mop, odkurzacz oraz mnóstwo butelek ze żrącymi środkami czystości. Na półkach znajdowały się gumowe rękawiczki, małe radio tranzystorowe z magnetofonem kasetowym, z którego sączyły się dźwięki przywodzące na myśl bazar w Suezie, a zaraz obok notes, papier, ołówek, Koran oraz niewielki plik gazet zadrukowanych arabskim pismem. Przed regałem leżał dywan modlitewny w krzykliwych kolorach, który zapewne ledwie mieścił jego ciało w klęczącej pozycji. Wszystko to było dość malownicze.

– Assad – powiedział. – Mamy trochę roboty. Szef Wydziału Zabójstw przyjdzie tu za dwadzieścia minut i musimy do tej pory zrobić parę rzeczy. Gdy przyjdzie, byłbym wdzięczny, gdybyś poszedł umyć podłogę w drugim końcu korytarza. To będzie nadprogramowa robota, ale mam nadzieję, że dasz radę.

– Trzeba przyznać, Carl – powiedział Marcus Jacobsen i wskazał zmęczonym wzrokiem tablicę korkową – że faktycznie się tutaj urządziłeś. Wypływasz już powoli na powierzchnię?

– Na powierzchnię? Tak, robię, co mogę. Ale musisz wziąć pod uwagę, że jeszcze minie trochę czasu, nim wrócę do pełni sił.

– Zgłoś koniecznie, jeśli znów będziesz chciał porozmawiać z psychologiem. Nie wolno lekceważyć traum, które mogły zostawić po sobie twoje przeżycia.

– Nie sądzę, że to konieczne.

– To dobrze, Carl, ale pamiętaj, jak by co... – Odwrócił się do ściany. – Widzę, że powiesiłeś telewizor – stwierdził, wpatrując się w czterdziestocalowy

ekran, włączony na stację TV2 News.

– Owszem, trzeba być na bieżąco. – Posłał Assadowi pełną wdzięczności myśl. Facet zamontował to gównem w ciągu pięciu minut. Najwyraźniej to też potrafił.

– Właśnie powiedzieli, że świadek w sprawie zabójstwa rowerzysty próbował popełnić samobójstwo – ciągnął Carl.

– Co?! Do jasnej cholery, już się dowiedzieli? – wybuchnął szef, sprawiając wrażenie jeszcze bardziej dobitego.

Carl wzruszył ramionami. Po dziesięciu latach na tym stanowisku facet powinien się w końcu przyzwyczaić.

– Podzieliłem sprawy na trzy kategorie – powiedział, wskazując sterty. – To są duże i trudne sprawy. Zajęło mi wiele dni, by się w nie wgryźć. To mi zabierze mnóstwo czasu, Marcus.

Szef oderwał wzrok od ekranu telewizora.

– Niech zabierze tyle, ile musi, Carl. Żebyśmy tylko od czasu do czasu mieli jakieś wyniki. W razie potrzeby zawsze możesz nas poprosić o pomoc. – Zdobył się na uśmiech. – Którą sprawą postanowiłeś zająć się jako pierwszą?

– Tak, zajmuję się kilkoma naraz tak ogólnie. Ale sprawa Merete Lynggaard będzie z pewnością pierwsza.

Szef Wydziału Zabójstw się ożywił.

– Tak, to szczególna sprawa. Zniknąć tak po prostu na promie między Rødby a Puttgarden w ciągu pięciu minut... I to bez świadków.

– W tej sprawie jest dużo niejasnych okoliczności – odparł Carl, usiłując przypomnieć sobie choć jedną.

– Jej brat był oskarżony o zepchnięcie jej za burtę, o ile pamiętam, ale później się z tego wycofano. Czy to ten trop chcesz podjąć?

– Być może. Nie wiem, gdzie on się teraz znajduje i muszę go jakoś namierzyć. Ale są też inne wątki, które rzucają się w oczy.

– W aktach jest napisane, że został umieszczony w jakimś zakładzie na północy Zelandii – powiedział szef.

– Tak, oczywiście. Ale może już go tam nie ma. – Carl starał się sprawić wrażenie zamyślnego. Wracaj już do swojego gabinetu, panie szefie – myślał. Tyle pytań, a on ledwo zdążył zerknąć w raport.

– On jest w czymś, co się nazywa Egely. W mieście Frederikssund. – Głos dochodził od drzwi, w których stał Assad, oparty o miotłę. Wyglądał na przybysza z innej planety, z uśmiechem koloru kości słoniowej, w gumowych zielonych rękawiczkach i kitlu sięgającym do kostek.

Szef Wydziału Zabójstw spojrzał zmieszany na tę egzotyczną istotę.

– Hafez al-Assad – powiedział tamten, wyciągając gumową rękawiczkę.

– Marcus Jacobsen – odrzekł szef i uściśnął jego rękę, po czym spojrzał

pytając na Carla.

– To nasz nowy pomocnik w wydziale. Assad słyszał, jak rozmawiałem o tej sprawie – powiedział Carl i posłał Assadowi spojrzenie, które nie zrobiło na nim najmniejszego wrażenia.

– Ach tak – odparł szef.

– Tak, mój podkomisarz policji Mørck naprawdę ciężko pracował. Pomagałem trochę tu, trochę tam, wszędzie, gdzie mogłem – uśmiechnął się szeroko. – Nie rozumiem, dlaczego Merete Lynggaard nigdy nie znaleziono w wodzie. W Syrii, skąd pochodzę, jest w wodzie mnóstwo rekinów, które jedzą zwłoki. Ale jeśli w morzach wokół Danii nie ma tak dużo rekinów, to powinno się je w jakimś momencie znaleźć. Te zwłoki robią się przecież jak balony od tej zgnilizny, co się rozwija w środku.

Szef Wydziału Zabójstw próbował się uśmiechnąć.

– To prawda. Ale morza wokół Danii są rozległe i głębokie. Niezbyt często się zdarza, żebyśmy znaleźli ludzi, którzy utonęli. Kilka razy ktoś wypadł za burtę statku pasażerskiego na farwaterze i nigdy go nie znaleziono.

– Assad. – Carl spojrzał na zegarek. – Możesz już iść do domu. Do zobaczenia jutro!

Assad skinął pospiesznie głową i podniósł wiadro. Po drugiej stronie korytarza rozległy się odgłosy szurania i po chwili pojawił się znów w drzwiach, żeby się pożegnać.

– Niezły typ z tego Hafeza al-Assada – powiedział szef Wydziału Zabójstw, gdy przycichł już odgłos oddalających się kroków.

2007

Po weekendzie Carl znalazł na swoim komputerze karteczkę od zastępcy szefa:

„Poinformowałem Baka, że zabrałeś się za sprawę Merete Lynggaard. Bak wraz z »lotną brygadą« zajmował się tą sprawą w końcowej fazie dochodzenia, więc coś tam wie. W tej chwili ślęczy nad sprawą zabójstwa rowerzysty, ale jest nastawiony na rozmowę z tobą najszybciej, jak się da”.

Podpisano: Lars Bjørn.

Carl parsknął. „Najszybciej jak się da”. Co sobie ten Bak myślał? Święty Fryderyk. Zadufany, zadowolony z siebie, zarozumiały. Biurokrata i świętoszek w jednym. Jego żona pewnie musiała składać podania w trzech egzemplarzach, zanim wolno jej było domagać się ekstrawaganckich pieszczot poniżej pasa.

A jednak Bak prowadził też dochodzenie w sprawie, która nie została rozwiązana. Świetnie. Człowiek czuł się niemal zmotywowany, by samemu rozplątać te supły.

Wziął teczkę ze stołu i poprosił Assada, by zrobił mu filiżankę kawy.

– Nie taką mocną jak wczoraj, Assad – poprosił i pomyślał o odległości do toalety.

Sprawa Lynggaard była z pewnością najbardziej skomplikowaną i dogłębnie potraktowaną sprawą, z jaką Carl miał kiedykolwiek do czynienia. Były tam kopie wszystkiego. Od raportów o stanie brata, Uffego, po zapisy z przesłuchań, wycinki z prasy cotygodniowej, szpalt plotkarskich, kasety wideo z wywiadami z Merete Lynggaard oraz drobiazgowo zeznania świadków – kolegów oraz pasażerów promu, którzy widzieli rodzeństwo na pokładzie słonecznym. Były zdjęcia tego pokładu, relingu i odległości do wody. Były odciski palców zebrane w miejscu, gdzie zniknęła. Były adresy niezliczonych pasażerów, którzy robili zdjęcia na pokładzie promu linii Scandlines, a nawet kopia dziennika pokładowego, z którego wynikało, jak kapitan odniósł się do sprawy. Nie było tylko niczego, co mogłoby pomóc Carlowi ruszyć.

Muszę obejrzyć te kasety – pomyślał, przeczytawszy wszystko pobieżnie, i spojrzął bezradnie na odtwarzacz DVD.

– Mam dla ciebie zadanie, Assad – powiedział, gdy ten wrócił z dymiącą kawą. – Idź na drugie piętro do Wydziału Zabójstw, przez zielone drzwi i wzdłuż czerwonych ścian, aż dojdiesz do rozwidlenia, gdzie...

Assad podał mu kubek kawy, który już z daleka zalatywał poważnymi problemami żołądkowymi.

– Rozwidlenia? – powtórzył, marszcząc brwi.

– Tak, no wiesz, gdzie ten czerwony korytarz się rozchodzi. Masz wtedy podejść do jasnowłosej kobiety. Ma na imię Lis. Jest w porządku. Powiedz jej, że masz zanieść Carlowi Mørckowi odtwarzacz wideo. Jestem z nią blisko zaprzyjaźniony. – Mrugnął do Assada, który odwzajemnił mu się tym samym.

– Ale jeśli będzie tylko taka z ciemnymi włosami, to po prostu wracaj.

Assad pokiwał głową.

– I pamiętaj, żeby wziąć eurozłączkę! – krzyknął za Assadem, który poczłapał już oświetlonym jarzeniówkami korytarzem.

– Była tylko ta z ciemnymi włosami – powiedział po powrocie. – Dała mi dwa odtwarzacze wideo i powiedziała, że nie muszę ich zwracać. – Uśmiechnął się szeroko. – Też była ładna.

Carl pokręcił głową. Widocznie musiała nastąpić jakaś zmiana personelu.

Pierwsza kaseta wideo pochodziła z dziennika telewizyjnego z 20 grudnia 2001 roku. Merete Lynggaard komentowała jakąś konferencję na temat zdrowia i klimatu w Londynie, w której brała udział. Wywiad dotyczył przede wszystkim jej debaty z senatorem Bruce'em Jansenem na temat stosunku Amerykanów do działań WHO oraz Protokołu z Kioto, co według niej napawało optymizmem na przyszłość. Ciekawe, czy łatwo było ją wykiwać – pomyślał. Jednak nie licząc związanej z wiekiem naiwności, Merete Lynggaard sprawiała wrażenie osoby twardo stąpającej po ziemi, rzeczowej i konkretnej, która do tego stopnia przyćmiewała stojących obok niej ministrów spraw wewnętrznych i zdrowia, że przywodzili na myśl karykatury nauczycieli licealnych z lat sześćdziesiątych.

– Naprawdę ładna i elegancka kobieta – skomentował Assad w drzwiach.

W drugim nagraniu, pochodzącym z 21 lutego 2002 roku, Merete Lynggaard w imieniu eksperta do spraw środowiska ze swojej partii komentowała oświadczenie ekosceptyka Bjarkego Ørnfeldta dla Komitetów do spraw Nierzetelności Naukowej.

Co za nazwa dla komitetu! – pomyślał Carl. Że też cokolwiek w Danii może brzmieć jak żywcem wzięte z Kafki.

Tym razem na ekranie pojawiła się zupełnie inna Merete Lynggaard. Bardziej człowiek niż polityk.

– Tutaj jest naprawdę piękna – powiedział Assad.

Carl spojrział na niego. Wygląd kobiety był najwyraźniej wyjątkowo ważnym parametrem w życiu tego niewysokiego człowieka. Ale Carl przyznał Assadowi rację. Podczas tego wywiadu otaczała ją jakaś szczególna aura. Mnóstwo nadzwyczajnego seksapilu, który prawie wszystkie kobiety potrafią rozsiewać wokół siebie, kiedy czują się świetnie we własnej skórze. Bardzo wymowne, ale i zagadkowe.

– Była wtedy w ciąży? – spytał Assad. Z liczby członków rodziny na

zdjęciach można było wnosić, że był to stan, z którym miał sporo do czynienia.

Carl wyciągnął papierosa i przekartkował jeszcze raz zawartość teczki. Istniały powody, dla których raport z sekcji zwłok nie mógł mu pomóc w odpowiedzi na to pytanie – zwłok nigdy nie odnaleziono. Przeglądając artykuły ze szpalt plotkarskich, znalazł dobitne sugestie, że nie leciała na facetów, choć to oczywiście nie mogło wykluczać ciąży. Właściwie, jak by się temu przyjrzeć, nigdy nie widziano jej z nikim w bliskiej relacji, nawet z kobietą.

– Pewnie po prostu była właśnie zakochana – zawyrokował Assad, opędzając się od dymu papierosowego. Był teraz tak blisko telewizora, że prawie wchodził na ekran. – Ta czerwona plama na policzku. Sam zobacz!

Carl pokręcił głową.

– Sądzę, że w tym dniu były ze dwa stopnie Celsjusza. Wywiady przeprowadzane na dworze mają to do siebie, że politycy wyglądają na nich zdrowiej, Assad. W jakim innym celu mieliby się na nie zgadzać?

Ale Assad miał rację. Różnica między poprzednim wywiadem a tym rzucała się w oczy. Pomiędzy nimi musiało się coś wydarzyć. Zetknięcie z Bjarkem Ørnfeltem, prostym lobbystą, zawodowo rozmieniającym klęski żywiołowe na drobne, nie mogło, do cholery, wywołać u niej tej subtelnej jasności.

Przez chwilę patrzył tępo przed siebie. W śledztwie zawsze pojawiał się moment, w którym żarliwie pragnęło się poznać ofiarę jeszcze za jej życia. Tym razem ten moment nadszedł wcześniej niż zwykle.

– Assad, zadzwoń do tego zakładu, Egely, gdzie umieszczono brata Merete Lynggaard, i ustal termin wizyty dla podkomisarza kryminalnego Carla Mørcka.

– Podkomisarza kryminalnego Carla Mørcka? A kto to jest?

Carl postukał się w skroń. Głupi czy co?

– A jak myślisz?

Assad pokręcił głową.

– Myślałem, że jesteś podkomisarzem policji. Czy nie tak się to nazywa po tej nowej reformie?

Carl wciągnął głęboko powietrze. Debilna reforma policji. Miał to wszystko w dupie.

Dyrektor Egely oddzwonił za dziesięć minut i nawet nie próbował ukryć zaciekawienia, o co w ogóle chodzi. Pewnie Assad trochę poimprovizował, wykonując swoje zadanie, ale czego, do diabła, można się było spodziewać po asystencie w gumowych rękawicach i z plastikowym wiadrem? Przecież wszyscy raczkują, zanim nauczą się chodzić.

Spojrzał na swojego pomocnika i skinął do niego zachęcająco, gdy ten podniósł głowę znad zeszytu z sudoku.

W ciągu pół minuty Carl wprowadził dyrektora w sprawę, a jego odpowiedź była krótka i jasna. Uffe Lynggaard w ogóle nie mówił, dlatego podkomisarz nie

miał o czym z nim rozmawiać. Poza tym sprawa przedstawiała się tak, że choć Uffe Lynggaard był niemy i trudny w kontakcie, to nie był wcale ubezwłasnowolniony. I jeśli Uffe Lynggaard nie wyraził zgody, by pracownicy zakładu wypowiadali się w jego imieniu, to oni też nie mogą niczego powiedzieć. To było zupełnie jak pogoń za własnym ogonem.

– Znam procedury. Nie mam, rzecz jasna, zamiaru dybać na niczyją tajemnicę zawodową. Ale prowadzę dochodzenie w sprawie zaginięcia jego siostry, więc myślę, że Uffego może bardzo ucieszyć rozmowa ze mną.

– On nie mówi, zdaje się, że już o tym wspomniałem.

– W zasadzie to wielu, których przesłuchujemy, też nie mówi, ale jakoś sobie radzimy. Tu, w Departamencie Q, jesteśmy dobrzy w odczytywaniu sygnałów pozawerbalnych.

– W Departamencie Q?

– Tak, jesteśmy wydziałem śledczym przy Komendzie Głównej. Kiedy mógłbym przyjechać?

Ze słuchawki dobiegło westchnienie. Facet nie był głupi. Potrafił się zorientować, że ma do czynienia z buldogiem.

– Zobaczę, co da się zrobić. Poinformuję pana – powiedział.

– Co właściwie powiedziałeś temu człowiekowi, gdy do niego zadzwoniłeś, Assad?! – krzyknął, odłożywszy słuchawkę.

– Temu człowiekowi? Powiedziałem, że będę rozmawiać tylko z szefem, a nie z żadnym przełożonym.

– Przełożony jest właśnie szefem, Assad.

Carl westchnął, podniósł się, podszedł do niego i spojrzał mu głęboko w oczy.

– Nie znasz słowa „przełożony”? To coś jak dyrektor.

Pokiwali do siebie głowami. Wszystko jasne.

– Assad, jutro odbierasz mnie z Allerød, gdzie mieszkam. Pojedziemy gdzieś, rozumiesz?

Wzruszył ramionami.

– A nie będzie problemu z tamtym, jak pojedziemy razem, tak? – Wskazał na dywan modlitewny. – Można go zwinąć.

– Ach tak. A skąd będziesz wiedział, że zwracasz się w stronę Mekki?

Assad wskazał na swoją głowę, jakby miał tam wszczepiony nadajnik GPS.

– A jeśli się jednak nie wie gdzie, zostaje jeszcze to.

Podniósł z regału jedną z gazet i oczom Carla ukazał się kompas.

– Okej – Carl podniósł wzrok na płataninę metalowych rur, ciągnących się wzdłuż sufitu. – Tego kompasu tutaj nie użyjesz.

Assad ponownie wskazał na swoją głowę.

– Czyli robisz to na wycucie. Nie musisz być dokładny?

– Allah jest wielki. Ma takie szerokie ramiona.

Carl wydał usta. Oczywiście, że tak. Jak mógłby w to wątpić?

Cztery pary oczu w fioletowych obwódkach spojrzały na Carla w gabinecie kierownika zespołu, Baka. Nikt nie miałby wątpliwości, że ekipa jest pod silną presją. Na ścianie wisiała mapa parku w Valby z oznaczeniami najważniejszych elementów bieżącej sprawy: miejsca morderstwa, miejsca znalezienia broni, którą była staromodna brzytwa, miejsca, gdzie świadek widział razem ofiarę i domniemanego sprawcę, wreszcie trasę świadka przez cały park. Wszystko zostało wymierzone i przeanalizowane, tyle że nic do siebie nie pasowało.

– Nasza rozmowa musi poczekać, Carl – powiedział Bak i obciągnął rękaw swojego czarnego skórzanego płaszcza, który odziedziczył po poprzednim szefie Wydziału Zabójstw. Płaszcz był jego klejnotem, dowodem na to, że jest wspaniały, i rzadko się z nim rozstawał. Kaloryfery w pokoju hajcowały na co najmniej czterdzieści stopni, ale co tam. Pewnie miał zaraz wyjść.

Carl spojrzał na zdjęcia przypięte do tablicy za jego plecami. Nie był to zachęcający widok. Ciało zostało najwyraźniej okaleczone po śmierci. Głębokie rany w piersi, odcięte pół ucha. Na białej koszuli ofiary widniał krzyż, narysowany krwią. Carl wywnioskował, że za pióro posłużyła połowa ucha. Zamarznęta trawa wokół roweru była zupełnie zdeptana, a rower zgnieciony tak, że ze szprych w przednim kole nic nie zostało. Obok leżała otwarta torba, a na trawie wałały się książki uniwersytetu ekonomicznego.

– Mówisz, że rozmowa musi poczekać na później? Dobrze. Ale czy nie mógłbyś przedtem, mimo martwicy mózgu, powiedzieć mi, co twój świadek koronny mówi o osobie, która rozmawiała z ofiarą tuż przed morderstwem?

Czterech mężczyzn popatrzyło na niego tak, jakby naruszył spokój miejsca pochówku.

Oczy Baka spojrzały na niego martwo.

– To nie twoja sprawa, Carl. Porozmawiamy później. Możesz mi wierzyć lub nie, ale jesteśmy tu na górze bardzo zajęci.

Przytaknął.

– No tak, to aż bije z waszych nalanych facjat. Oczywiście, że jesteście zajęci. Jestem też pewien, że zleciliście przeszukanie miejsca zamieszkania świadka po tym, jak została umieszczona w szpitalu.

Popatrzyli po sobie. Z irytacją, ale i pytająco.

Czyli nie zrobili tego. Bardzo dobrze.

Marcus Jacobsen dopiero co zasiadł w swoim gabinecie, kiedy wszedł Carl. Jak zwykle wyglądał dobrze. Przedziałek we włosach miał równiutki, a spojrzenie bystre.

– Marcus, czy przeszukaliście miejsce zamieszkania świadka po próbie samobójczej? – spytał Carl i wskazał na teczkę z aktami leżącą na biurku szefa.

- O co ci chodzi?
- Nie znaleźliście połówki ucha ofiary, co?
- Nie, jeszcze nie. A ty sugerujesz, że może znajdować się w mieszkaniu świadka.
- Poszukałbym go tam na twoim miejscu, szefie.
- Jeśli je dostała, to jestem pewny, że się go pozbyła.
- To poszukajcie w śmietnikach na podwórku. I sprawdźcie w toalecie.
- Przecież splukałaby to, Carl.
- Znasz tę historię o gównie, które lubi pojawiać się na powierzchni, bez względu na to, ile razy spuszcza się wodę?
- Tak, tak, Carl. Sprawdzimy to.
- Chłuba wydziału, pan świętoszek Bak, nie chce ze mną rozmawiać.
- Musisz poczekać, Carl. Twoje sprawy i tak nie posuwają się przecież do przodu.
- Mówię, żebyś był poinformowany. To mnie hamuje w prowadzeniu śledztwa.
- W takim razie proponuję, żebyś w międzyczasie spojrział na inne sprawy. – Wziął długopis i wystukał kilka taktów na brzegu biurka. – A co z tym gościem z dołu? Chyba go nie wprowadzasz w tajniki śledztwa?
- Wiesz, w tak dużym wydziale jak mój nie ma wielu możliwości, żeby mógł się rozeznąć, co się dzieje.
- Szef cisnął długopis na jedną ze stert.
- Carl, obowiązuje cię tajemnica służbowa, a on nie jest policjantem. Lepiej o tym pamiętaj.
- Carl pokiwał głową. Sam będzie decydował, co i komu ma mówić.
- Gdzie w ogóle znaleźliście Assada? Przez pośrednictwo pracy?
- Nie mam pojęcia. Spytaj Larsa Bjørna. Albo jego samego.
- Carl uniósł palec wskazujący.
- Poza tym chciałbym dostać plan piwnicy, z wymiarami i stronami świata.
- Marcus Jacobsen znowu wyglądał na trochę bardziej zmęczonego. Niewiele miało czelność wyznaczać mu tak dziwaczne zadania.
- Możesz sobie wydrukować plan piwnicy z intranetu, Carl. Nic prostszego!
- Tu – powiedział Carl, stukając palcem w plan, który leżał przed Assadem.
- Tu jest ta ściana, a tam leży twój dywan modlitewny. Ta strzałka wskazuje północ. Możesz go ułożyć w tym kierunku.
- Zwróciły się ku niemu oczy pełne szacunku. Na pewno stworzą zgrany team.
- Dwie osoby dzwoniły do ciebie telefonem. Powiedziałem im obu, że kiedyś bardzo chętnie do nich oddzwonisz.
- Tak?
- Tamten dyrektor z Frederikssund i pani, która mówiła jak piła do metalu.

Westchnął głęboko.

– Vigga, to moja żona. – Czyli miała jego nowy numer wewnętrzny. Koniec ze spokojem.

– Żona? Masz żonę?

– Ech, Assad, ciężko to wyjaśnić. Najpierw się trochę lepiej poznajmy.

Assad zacisnął usta i skinął głową. Cień współczucia przemknął po jego zastygłej w powadze twarzy.

– Assad, jak właściwie dostałeś tu pracę?

– Poznałem Larsa Bjørna.

– Znasz go?

Uśmiechnął się.

– Tak, no wiesz. Chodziłem do jego gabinetu codziennie przez cały miesiąc, żeby dostać pracę.

– Nękałeś Larsa Bjørna o pracę?

– Tak. Kocham policję.

Zadzwoił do Viggi dopiero z salonu w Rønneholtparken, w wąchując się w cudęńko, które spreparował Morten z prawdziwej szynki parmeńskiej podczas płomiennych operowych arii.

Vigga była w porządku, jeśli samemu się ją dawkowało. Przez całe lata było z tym trudno, ale teraz, kiedy go rzuciła, obowiązywały pewne zasady.

– Vigga, do diabła – powiedział. – Nie jestem zadowolony, że dzwonisz do mnie do pracy. Wiesz, jak dużo mam zajęć.

– Carl, kochanie. Czy Morten ci nie mówił, że marznę?

– Wyobrażam sobie! Przecież to jest altana, Vigga. Sklecona z gównianych materiałów, starych desek i skrzynek, które były zbędne i do niczego już w 1945 roku. Możesz się przecież wyprowadzić.

– Nie wprowadzę się do ciebie, Carl.

Wciągnął głęboko powietrze.

– Mam taką nadzieję. Trudno byłoby wcisnąć do sauny u Mortena ciebie i twój zestaw chłopców przed konfirmacją. Są jeszcze inne domy i mieszkania z ogrzewaniem.

– Mam na to świetne rozwiązanie.

Cokolwiek to było, zabrzmiało drogo.

– Świetne rozwiązanie nazywa się rozwód, Vigga.

Któręś dnia musiał przecież nastąpić. Zażąda wtedy połowy wartości domu, a przecież w ostatnich latach nastąpił szalony wzrost cen, które mimo kłopotów ciągle windował rynek nieruchomości. Powinien zażądać rozwodu, gdy domy były o połowę tańsze. Ale teraz było za późno, a wyprowadzać się nie miał, cholera, ochoty.

Skierował wzrok ku wibracjom dochodzących z sufitu pod pokojem Jespera.

Nawet jeśli będę musiał wziąć pożyczkę na rozwód, to nie może mnie to przecież kosztować więcej niż teraz – pomyślał, wnioskuje, że w takim wypadku będzie musiała podjąć się opieki nad synem. Na pewno nikt w okolicy nie płacił więcej za prąd. Jesper był elitarnym klientem firmy energetycznej.

– Rozwód? Nie, ja nie chcę się rozwodzić, Carl. Już tego próbowałam i nie wyszło, sam zresztą wiesz.

Carl pokręcił głową. Jak zatem nazywa tę sytuację, w której znajdują się już od paru lat?

– Chcę mieć galerię, Carl. Własną galerię.

Aha, o to chodziło. Wyobraził sobie metrowe plamy różu, złamane złocistym brązem na malunkach Viggi. Galeria? Dobry pomysł, jeśli chce mieć więcej miejsca w altance.

– Galeria, mówisz? Wyobrażam sobie, że będzie tam ogromny piec. Będziesz mogła siedzieć tam całymi dniami i wygrzewać się w towarzystwie milionów, które się pojawiają.

Doskonale wiedział, o co chodzi.

– Tak, zawsze byłeś sarkastyczny. – Roześmiała się. To był śmiech, przy którym zawsze spuszczał z tonu. Cholernie piękny śmiech. – Ale to jest fantastyczny pomysł, Carl. Własna galeria daje ogromne możliwości. Nie widzisz tego? A Jesper może będzie miał sławną mamę, czy to nie byłoby zabawne?

Oślawioną, Vigga, tak to się nazywa – pomyślał. Odpowiedział natomiast:

– I znalazłaś już lokal, jak sądzę.

– Carl, jest przeuroczy! Hugin już rozmawiał z właścicielem.

– Hugin?

– Tak, Hugin. Jest bardzo utalentowanym malarzem.

– Wnioskuje, że ta znajomość opiera się bardziej na prześcieradle niż na płótnie.

– Och, Carl! – Zaśmiała się znowu. – Teraz nie jesteś już miły.

2002

Merete stała na pokładzie restauracyjnym i czekała. Powiedziała Uffemu, że ma się pospieszyć, nim trzasnęły za nim drzwi do toalety. W kawiarni na drugim końcu zostali tylko kelnerzy, wszyscy pasażerowie zeszli już do samochodów. Lepiej, żeby Uffe zaraz wrócił, chociaż audi stoi na samym końcu rzędu – pomyślała.

Była to ostatnia rzecz, o jakiej zdążyła pomyśleć w swoim dotychczasowym życiu.

Atak nadszedł z tyłu i tak ją zaskoczył, że nie zdążyła nawet krzyknąć. Poczowała tylko szmatę przyciskaną z całej siły do jej ust i nosa i zarejestrowała czyjeś uderzenie w czarny przycisk otwierający drzwi na schody do pokładu samochodowego. W końcu kilka odległych dźwięków i widok metalowych ścian w korytarzu, które wirowały, zanim wszystko stało się czarne.

Betonowa podłoga, na której się ocknęła, była zimna, bardzo zimna. Uniosła głowę i poczuła w niej głucho dudnienie. Nogi miała jak z ołowiu, a ramiona z trudem oderwała od podłoża. Usiadła i próbowała rozeznać się w huczącym mroku. Rozważała, czy zacząć krzyczeć, ale nie ośmieliła się i zamiast tego bezgłośnie westchnęła. Potem ostrożnie wyciągnęła przed siebie ręce, by sprawdzić, czy coś znajduje się w pobliżu. Ale niczego nie było.

Długo siedziała, zanim odważyła się wstać, powoli i czujnie. Na każdy najmniejszy dźwięk, który mógłby się pojawić, była gotowa zaatakować. Uderzyłaby z całej siły. Biłaby i kopała. Czowała, że jest sama, ale mogła się mylić.

Po jakimś czasie odzyskała jasność umysłu i wtedy pojawił się strach jak sączący się jad. Skóra stała się ciepła, serce zaczęło bić mocniej i szybciej. Jej niewidzące spojrzenie błędziło w mroku. Przecież czyta się i ogląda tyle okropności.

O kobietach, które znikają.

Wykonała chwiejny krok z rękami wyciągniętymi przed siebie. W podłodze mogła być dziura, przepaść czekająca tylko, by ją pochłonąć. Mogły leżeć ostre narzędzia lub szkło. Lecz stopy natrafiały na posadzkę i nadal niczego przed nią nie było. Zatrzymała się nagle i zastygła w bezruchu.

Uffe – pomyślała i poczuła, jak drży jej podbródek. – Był na statku, kiedy to się stało.

Mogło minąć kilka godzin, zanim naszkicowała w wyobraźni plan pomieszczenia. Musiało być prostokątne. Może z siedem, osiem metrów długości i przynajmniej pięć szerokości. Obmacała chłodne ściany. Na jednej z nich na

wysokości głowy znalazła kilka szyb, które sprawiały wrażenie ogromnych bulajów. Walila w nie mocno butem, odsuwając się po każdym uderzeniu. Ale szkło się nie poddało. Wyczuła też kanty czegoś, co przypominało łukowate drzwi osadzone w ścianie, ale nie mogło nimi być, bo brakowało klamki. Przesunęła się więc wzdłuż ścian pomieszczenia w nadziei, że znajdzie gdzieś klamkę albo jakiś kontakt. Lecz ściana była chłodna i gładka.

Następnie przeczesła systematycznie całe pomieszczenie. Drobnymi kroczkami przeszła w linii prostej z jednego końca do drugiego, obróciła się, przesunęła w bok i ruszyła z powrotem, po czym powtórzyła tę operację. Po jej zakończeniu stwierdziła, że w pomieszczeniu znajduje się prawdopodobnie tylko ona i suche powietrze.

Muszę zacząć się przy tym czymś, co przypomina drzwi – pomyślała. Usiądzie przy progu tak, żeby nie było jej widać przez szyby. Gdy ktoś wejdzie, chwyci go za nogi i pociągnie. Spróbuje kopnąć mocno w głowę, wiele razy.

Jej mięśnie napięły się, skóra zwilgotniała. Może dostanie tę jedną jedyną szansę.

Siedziała tak długo, aż jej ciało ścierpło, a zmysły się przytępiły. Wstała i ostrożnie przeszła do przeciwległego kąta, gdzie kucnęła i się wysikała. Musi zapamiętać, że użyła właśnie tego kąta. Jeden kąt jako toaleta. Jeden, w którym będzie czatowała przy drzwiach, i jeden, w którym będzie spała. Ostry zapach moczu rozniósł się w suchej klatce, ale przecież nie piła niczego od czasu, kiedy siedziała w kawiarni, a to mogło być równie dobrze wiele, wiele godzin temu. Oczywiście mogła być nieprzytomna jedynie przez kilka godzin, ale równie dobrze przez dobę albo i dłużej. Nie miała pojęcia. Wiedziała tylko, że nie czuje głodu, tylko pragnienie.

Wstała, podciągnęła spodnie i spróbowała zebrać myśli.

Uffe i ona byli ostatnimi osobami na górze przy toaletach. Byli też pewnie ostatni na pokładzie słonecznym. Nie widziała już w każdym razie mężczyzn siedzących przy panoramicznym oknie, kiedy tamtędy przechodzili. Skinęli głowami do kelnerki, która wyszła z kawiarni, widziała kilkoro dzieci pędzących w stronę drzwi, zanim zniknęły na dole. Nic więcej. Nie zauważyła, żeby ktoś podszedł do niej tak blisko. Myślała tylko o tym, żeby Uffe się pospieszył w toalecie.

O Boże, Uffe! Co się z nim stało? Był taki nieszczęśliwy po tym, jak ją uderzył. I zasmucony, że nie ma już swojej bejsbolówki. Na jego policzkach nadal widniały czerwone plamy, gdy szedł do toalety. Co się z nim stało?

Tuż nad nią rozległo się pstryknięcie. Skuliła się. Po omacku poczołgała się szybko do kąta obok łukowatych drzwi. Musiała być przygotowana, jeśli ktoś miał wejść. Usłyszała kolejne kliknięcie i serce zaczęło jej walić jak młotem. Dopiero kiedy uruchomił się wiatrak nad jej głową, zrozumiała, że może odetchnąć. Odgłos

pochoził od jakiegoś przekaźnika.

Wyciągnęła się ku ciepłemu, życiodajnemu powietrzu. Co innego jej pozostało?

Stała tak, aż wiatrak się zatrzymał, pozostawiając w niej poczucie, że ten powiew mógł być jej ostatnim kontaktem ze światem zewnętrznym. Zaciśnięła oczy i usiłowała myślami powstrzymać płacz.

Ta wizja ją przerażała. Ale może właśnie tak było. Może zostawiono ją tu na zawsze. Ukryto, żeby umarła. I nikt nie wiedział, gdzie jest, sama tego przecież nie wiedziała. Mogła być gdziekolwiek. Wiele godzin jazdy od promu. W Danii albo w Niemczech, gdziekolwiek. Może nawet dalej.

I z myślą o śmierci jako o rysującym się powoli zakończeniu tej sytuacji wyobraziła sobie broń, którą wymierzą w nią głód i pragnienie. Powolna śmierć, podczas której w ciele dochodzi do serii zwarć, a wszystkie przekaźniki instynktu samozachowawczego zostają odłączone jeden po drugim. Apatyczny, ostateczny sen, który w końcu ją wybawi.

Niewielu będzie za mną tęsknić – pomyślała. Uffe, tak. Jemu będzie na pewno jej brakowało. Biedny, biedny Uffe. Ale też nigdy nie pozwoliła nikomu oprócz niego tak bardzo zbliżyć się do siebie. Odcięła się od innych i zamknęła w sobie jak w klatce.

Próbowała z całych sił powstrzymać łzy, ale bezskutecznie. Czy naprawdę życie to dla niej przygotowało? Miało się teraz skończyć? Bez dzieci, bez szczęścia, bez spełnienia tego wszystkiego, o czym marzyła przez te lata, gdy była sama z Uffem? Nie sprostawszy zobowiązaniu, które spoczywało na niej od czasu śmierci rodziców?

Przepełniało ją poczucie goryczy, smutku i bezbrzeżnej samotności. Usłyszała swój cichy szloch.

Przez długi czas siedziała tak, myśląc, że obraz Uffego samiutkiego na świecie jest czymś najgorszym, co mogło jej się przytrafić. Przez długi czas to uczucie przepełniało ją całkowicie. Miała umrzeć sama, jak zwierzę. W sposób nieodnotowany i bezgłośny, a Uffe i wszyscy inni mieli żyć dalej, nic nie wiedząc. I kiedy już nie miała siły dalej nad tym płakać, uświadomiła sobie, że może to nie koniec. Że może być znacznie gorzej. Że śmierć może być bolesna. Że może jej przeznaczenie jest tak okrutne, że śmierć będzie jak wybawienie. Że najpierw może doświadczyć nieopisanych cierpień i bestialstwa. Słyszało się o tym. Gwałt i tortury. Może wpatrywały się w nią teraz jakieś oczy. Kamery z czujnikami ruchu na podczerwień obserwujące ją zza szyby. Oczy, które źle jej życzyły. Uszy, które nasłuchiwały.

Spojrzała ku szybom, usiłując zachować spokój.

– Proszę, miej nade mną litość – szepnęła cicho w ciemność.

2007

Peugeot 607 to względnie cichy samochód, ale nie wtedy, gdy Assad raptownie zaparkował nim tuż pod oknem sypialni Carla.

– Ostro – warknął Jesper, wyglądając przez okno. Carl nie pamiętał, kiedy jego przyszywany syn wypowiedział ostatnio tak długie słowo o tak wczesnej porze. Ale uwaga była cholernie trafna.

– Zostawiłem ci kartkę od Viggi – brzmiały ostatnie słowa, które Morten Holland wypowiedział przed wyjściem Carla. Nie będzie czytał żadnych kartek od Viggi. Perspektywa zaproszenia na oględziny galerii w towarzystwie pacykarza z wąskimi biodrami o imieniu Hugin nie była obecnie największym marzeniem Carla.

– Halo! – przywitał się Assad, opierając się o przednie drzwi. Na głowie miał czapkę z wielbłądziej wełny niewiadomego pochodzenia i na pewno nie przypominał prywatnego kierowcy z policji kryminalnej, o ile taki tytuł w ogóle istnieje. Carl spojrział w niebo. Było bezchmurne i błękitne, a temperatura jak najbardziej znośna.

– Wiem bardzo dokładnie, gdzie leży Egely – oznajmił Assad i wskazał na GPS, gdy Carl usiadł na miejscu pasażera. Carl spojrział ze znużeniem na ekran. Krzyżyk widniał na drodze przebiegającej na tyle daleko od fiordu Roskilde, że pensjonariusze nie mogli do niego niechcący wpaść, za to dyrektor oglądał wspaniałości północnej Zelandii za każdym razem, gdy podnosił wzrok. Tak położone były zakłady dla pacjentów z zaburzeniami psychicznymi. Ciekawe, dla czyjego dobra.

Assad odpalił samochód, wrzucił wsteczny bieg i wycofał z Magnolievangen. Zatrzymał się dopiero, gdy tył wozu znalazł się na trawniku po przeciwnej stronie Rønneholt Parkvej. Zanim Carl zdobył się na jakąś reakcję, Assad, wrzucając kolejne biegi, pruł już dziewięćdziesiąt kilometrów na godzinę, choć wolno było pięćdziesiąt.

– Stój, do cholery! – krzyknął Carl, zanim wjechali na wysepkę na środku ronda. Ale Assad spojrział tylko na niego z przebiegłością taksówkarza z Bejrutu, po czym skręcił ostro w prawo i już byli na drodze prowadzącej do autostrady.

– Szybki wóz! – krzyknął Assad, dociskając pedał gazu przed wjazdem na autostradę.

Może jego zapał by ostygł, gdyby Carl naciągnął mu czapkę na tę rozradowaną gębę.

Egely było pomalowanym na biało budynkiem, który doskonale pasował do

swojego przeznaczenia. Tutaj nikt nie wchodził dobrowolnie i nie wychodził na życzenie. Widać, że nie było tu miejsca na malowanie palcami ani granie na gitarze. Ludzie z pieniędzmi i poczuciem godności umieszczali w tym miejscu swoich słabowitych krewnych.

Opieka prywatna, zgodna z duchem rządu.

Biuro dyrektora współgrało z poprzednimi wrażeniami, a sam dyrektor – pochmurny, kościsty człowiek o ziemistej cerze – był jakby zaprojektowany do tego wnętrza.

– Pobyt Uffego Lynggaarda finansowany jest ze środków Funduszu Lynggaard – odpowiedział dyrektor na pytanie Carla.

Carl spojrzął na jego regał. Było tam dość dużo teczek, na których widniały napisy ze słowem „fundusz”.

– Rozumiem, a jak powstał ten fundusz?

– Spadek po rodzicach. Oboje zginęli w wypadku samochodowym, w którym Uffe Lynggaard został poszkodowany. I spadek po jego siostrze, naturalnie.

– Była parlamentarzystką, więc pewnie nie są to jakieś ogromne środki?

– Nie, ale sprzedaż domu przyniosła dwa miliony, gdy nie tak dawno wydano orzeczenie o domniemaniu śmierci. Obecnie na funduszu znajdują się dwadzieścia dwa miliony koron duńskich, ale to pewnie pan wie?

Zagwizdał cicho. Nie wiedział o tym.

– Dwadzieścia dwa miliony, pięć procent odsetek. To z pewnością pokrywało koszty pobytu Uffego.

– Tak, po odjęciu podatku mniej więcej wystarcza.

Carl spojrzął na niego krzywo.

– A Uffe nic nie powiedział na temat zniknięcia siostry, odkąd tu jest?

– Nie, w ogóle nic nie powiedział od czasu wypadku samochodowego, o ile się orientuję.

– Czy podjęto jakieś starania, żeby mu pomóc?

W tym momencie dyrektor zdjął okulary i spojrzął na niego spod krzaczastych brwi. Powaga została niniejszym okazana.

– Lynggaard został bardzo gruntownie przebadany. Na mózgu, w ośrodku mowy ma blizny od krwotoków, co już samo w sobie tłumaczy jego niemotę. Do tego dochodzą głębokie urazy powypadkowe. Śmierć rodziców, podduszenie. Był strasznie pokiereszowany, wie pan o tym?

– Owszem, czytałem raport. – Nie było to zgodne z prawdą, ale Assad czytał, a jego usta nie milkły podczas rajdu po północnozełandzkich bezdrożach. – Przez pięć miesięcy leżał w szpitalu z rozległymi krwotokami wewnętrznymi w obrębie wątroby, śledziony i tkanki płucnej. Miał też zaburzenia widzenia.

Dyrektor pokiwał lekko głową.

– Zgadza się. W dokumentacji medycznej jest napisane, że Uffe Lynggaard nie widział przez wiele tygodni. Miał rozległe wylewy na siatkówce oka.

– A teraz? Funkcjonuje jak trzeba, pod względem fizjologicznym?

– Wszystko na to wskazuje. Jest silnym młodym mężczyzną.

– Ma trzydzieści cztery lata. Znajduje się więc w tym stanie od dwudziestu jeden lat.

Dyrektor pokiwał znowu głową.

– Dlatego rozumie pan z pewnością, że tą drogą dalej już pan nie zajdzie.

– I nie mogę z nim porozmawiać?

– Nie widzę ku temu powodu.

– Jest ostatnią osobą, która widziała Merete Lynggaard żywą. Chciałbym go zobaczyć.

Dyrektor się wyprostował. Spojrzał przez okno na fiord, tak jak przewidział Carl.

– Nie sądzę, by pan musiał.

Tacy jak on zasługiwali na to, by oberwać.

– Nie uwierzy pan, do czego potrafię się posunąć. A powinien pan.

– Ale o co chodzi?

– Wie pan, jak działa policja?

Odwrócił do Carla poszarzałą twarz i zmarszczone czoło. Lata za biurkiem pozbawiły go energii, ale z głową miał wszystko w porządku. Nie wiedział, o co Carlowi chodzi, ale zrozumiał, że milczenie nie działa na jego korzyść.

– Do czego pan zmierza?

– My, policjanci, jesteśmy dociekliwi. Czasami jakieś pytanie kołaczy się nam w głowie i aż się prosi o odpowiedź. Tym razem wręcz ciśnie się na usta.

– To znaczy?

– Co wasi pacjenci otrzymują w ramach swoich opłat? Pięć procent z dwudziestu dwóch milionów, minus podatek oczywiście, to jednak jest coś. Czy pacjenci dostają pełen serwis, czy cena jest za wysoka, jeśli doliczy się dofinansowanie od państwa? I czy opłata jest identyczna dla wszystkich?

Pokiwał głową sam do siebie, chłonąc światło znad fiordu.

– Nowe pytania pojawiają się zawsze, gdy nie można uzyskać odpowiedzi na te, których się szuka. Tacy są policjanci. Po prostu nie możemy się powstrzymać. Może to choroba, ale niby kto miałby ją wyleczyć?

Na twarzy dyrektora zawitała wreszcie odrobina koloru.

– Raczej nie zostaniemy przyjaciółmi.

– Niech mi więc pan pozwoli zobaczyć się z Uffem Lynggaardem. Zupełnie szczerze – co się może stać? Przecież, do kurwy nędzy, nie trzyma go pan w klatce?

Zdjęcia w teczce sprawy Merete Lynggaard nie schlebiały w pełni Uffemu.

Policyjne fotografie, rysunki z przesłuchania przedprocesowego i kilka zdjęć prasowych przedstawiały zgarbionego, bladego młodzieńca, który faktycznie wyglądał na opóźnionego emocjonalnie, biernego i ciężko kojarzącego. Jednak rzeczywistość okazała się inna.

Siedział w przytulnym pokoju z obrazkami na ścianach i widokiem przynajmniej tak ładnym jak ten u dyrektora. Łóżko było świeżo pościelone, buty wypucowane, a ubranie nie kojarzyło się w najmniejszym stopniu z zakładem. Miał muskularne ręce i szerokie barki pokryte jasnym, obfitym owłosieniem. Był prawdopodobnie dość wysoki. Wielu powiedziałoby, że jest przystojny. Uffe Lynggaard ani się nie ślinił, ani nie miał w sobie nic żalosego.

Dyrektor i pielęgniarka, stojąc w drzwiach, obserwowali, jak Carl chodzi po pokoju, jednak nikt nie mógł nic zarzucić jego zachowaniu. Niedługo tu wróci, choć w ogóle nie miał na to ochoty. Lepiej przygotowany – i wtedy porozmawia z Uffem. Ale to musi jeszcze trochę poczekać. Tymczasem skoncentruje się na innych rzeczach znajdujących się w pokoju. Na zdjęciu uśmiechniętej siostry. Rodziców, którzy objęci śmieją się do fotografa. Przyjrzy się rysunkom na ścianie wcale nieprzypominającym dziecięcych bazgrołów, jakie zwykle widuje się na ścianach w takich miejscach. To radosne rysunki. Nie takie, które mogłyby powiedzieć coś o tych okropnościach, które zabrały mu zdolność mówienia.

– Czy jest więcej rysunków? Są jakieś w szufladzie? – spytał, wskazując na szafę i komodę.

– Nie – odparła pielęgniarka. – Nie, Uffe nie namalował niczego, odkąd został tu umieszczony. Te rysunki pochodzą z jego domu.

– Co robi Uffe w ciągu dnia?

Uśmiechnęła się.

– Wiele rzeczy. Chodzi na spacer z personelem, biega po parku, ogląda telewizję. Uwielbia to. – Sprawiała wrażenie łagodnej. To nią posłuży się następnym razem.

– Co zatem ogląda?

– To, co akurat leci.

– Reaguje na to?

– Czasami. Śmieje się. – Potrząsnęła z zadowoleniem głową, a jej uśmiech stał się szerszy.

– Śmieje się?

– Tak, tak jak niemowlęta. Bezmyślnie.

Carl spojrział na dyrektora, który stał jak góra lodowa, a potem na Uffego. Oczy brata Merete spoczęły na Carlu w chwili, gdy wszedł. Takie rzeczy się wyczuwa. Obserwował, ale gdyby przyjrzeć się dokładniej, to jego spojrzenie sprawiałoby wrażenie bezmyślnego. Nie było martwe, ale to, co widział Uffe, nie sięgało prawdopodobnie zbyt głęboko. Carl miałby ochotę go przestraszyć, żeby

sprawdzić, co się stanie, ale to też mogło poczekać.

Ustawił się przy oknie, próbując przykuć nieco rozbiegane spojrzenie Uffego. To były oczy, które rejestrowały, ale najprawdopodobniej nie rozumiały, od razu to zauważył. To już było coś, ale wciąż niewiele.

– Przesiądź się, Assad – powiedział do swojego pomocnika, który siedział za kierownicą.

– Mam się przesiąść? Nie chcesz, żebym prowadził? – zapytał.

– Chciałbym zachować samochód jeszcze na jakiś czas, Assad. Ma ABS i wspomaganie i chciałbym, żeby tak zostało.

– A co znaczy to, co mówisz?

– Że masz teraz siedzieć i przyglądać się, jak według mnie powinieneś prowadzić. Jeśli w ogóle kiedykolwiek pozwolę ci to jeszcze raz zrobić.

Wpisał kolejny cel podróży w GPS, nie przejmując się potokiem arabskich słów, który popłynął z ust Assada, gdy ten gramolił się na drugą stronę samochodu.

– Czy kiedykolwiek prowadziłeś samochód tu, w Danii? – spytał, gdy już byli w drodze na południe do Stevns.

Milczenie było wystarczającą odpowiedzią.

Znaleźli dom w Magleby przy bocznej drodze, w pobliżu pól. Nie była to żadna chałupa czy odrestaurowane gospodarstwo, jak większość, ale autentyczny dom z cegły pochodzący z czasów, kiedy fasada wyrażała duszę domu. Cisy były gęsto posadzone, ale budynek nad nimi górował. Jeśli ten dom został sprzedany za dwa miliony, to ktoś zrobił niezły interes. A ktoś inny został oszukany.

Na mosiężnej tabliczce widniał napis „Sprzedawcy antyków Peter & Erling Møller-Hansen”, ale ten z właścicieli, który otworzył im drzwi, wyglądał raczej na arystokratę. Delikatna cera, głębokie niebieskie oczy i ciało obficie nasmarowane pachnącymi kremami. Był uczynny i chętnie odpowiadał na pytania. Wziął grzecznie czapkę od Assada i zaprosił ich obu do przedsiönka pełnego mebli w stylu empire i rozmaitych bibelotów.

Nie, nie znali Merete Lynggaard i jej brata. To znaczy osobiście, bo większość ich rzeczy została sprzedana wraz z domem, ale nie była nic warta.

Podał im zieloną herbatę w cienkich jak papier porcelanowych filiżankach i usiadł na brzegu sofy ze złączonymi kolanami i nogami ułożonymi na skos, gotowy służyć swemu społeczeństwu najlepiej, jak tylko umiał.

– To straszne, że utonęła. Uważam, że to przerażająca śmierć. Mój mąż kiedyś niemal utopił się pod wodospadem w Jugosławii i to było okropne doświadczenie, mogę panom powiedzieć.

Carl pochwyił zmieszany wyraz twarzy Assada, gdy mężczyzna powiedział „mój mąż”, ale jedno spojrzenie Carla wystarczyło, aby przywołać go do porządku. Assad najwyraźniej musiał się jeszcze dużo nauczyć o różnorodności duńskich form współżycia.

– Policja zebrała papiery rodzeństwa Lynggaard – powiedział Carl. – Ale może znaleźli panowie jakieś pamiętniki, listy albo faksy, albo chociaż wiadomości telefoniczne, które mogłyby ukazać sprawę z innej strony? Jak pan sądzi?

Pokręcił głową.

– Niczego nie było. – Powiódł ręką wokół salonu. – Tylko meble, nic szczególnego. W szufladach też było niewiele, nie licząc artykułów biurowych i paru pamiętek. Albumy z naklejkami, trochę fotografii, takie rzeczy. Wydaje mi się, że byli zupełnie zwykłymi ludźmi.

– A co z sąsiadami, znali Lynggaardów?

– Och, nie utrzymujemy bliskich kontaktów z sąsiadami, ale też nie mieszkają tu tak długo. Zdaje się, że ktoś z nich wrócił z zagranicy. Ale nie, nie wydaje mi się, by Lynggaardowie spotykali się z ludźmi z miasteczka. Wielu nawet nie wiedziało, że ona ma brata.

– A więc nie napotkał pan nikogo w okolicy, kto by ich znał?

– Ależ tak. Helle Andersen. Opiekowała się bratem.

– To opiekunka – powiedział Assad. – Policja ją przesłuchała, a ona nic nie wiedziała. Ale przyszedł list. To znaczy do Merete Lynggaard. Na dzień przed jej utonięciem. Opiekunka go odebrała.

Carl uniósł brwi. Musi wreszcie sam przeczytać porządnie te przeklęte akta sprawy.

– Czy policja znalazła list, Assad?

Pokręcił głową.

Carl zwrócił się do gospodarza domu:

– Czy ta Helle Andersen mieszka tu w miasteczku?

– Nie, w Holtug po drugiej stronie Gjorslev. Ale będzie tu za dziesięć minut.

– Tutaj?

– Tak, mój mąż jest chory. – Spojrzał w podłogę. – Bardzo chory. Ona przychodzi, by nam pomagać.

Głupi ma zawsze szczęście – pomyślał Carl i poprosił o oprowadzenie po domu.

Dom był odyseją po świecie wymyślnych mebli i obrazów oprawionych w masywne złote ramy. Zbieranina charakterystyczna dla domów aukcyjnych. Poza tym kuchnia była nowa, wszystkie ściany pomalowane, podłoga wycyklinowana. Jeśli pozostało coś z czasów Merete Lynggaard, to tylko rybiki, które czmychały w popłochu z ciemnej posadzki łazienki.

– Ach tak, Uffe, był taki sympatyczny. – Kwadratowa twarz z podkrążonymi oczami i czerwonymi pucułowatymi policzkami była cechą charakterystyczną Helle Andersen. Resztę jej ciała okrywał jasnoniebieski fartuch w rozmiarze, jakiego próżno szukać w lokalnym sklepie odzieżowym. – Uwierzyć, że mógł coś zrobić siostrze, to była zupełna głupota, powiedziałam to też policji. Że się

całkowicie mylili.

– Ale świadkowie widzieli, że uderzył siostrę – odparł Carl.

– Bywał trochę gwałtowny, ale niegroźny.

– Jest przecież duży i silny, mogło więc się zdarzyć, że niechący zepchnął ją do wody.

Helle Andersen przewróciła oczami.

– Absolutnie nie. Uffe był wcieleniem dobroci. Bywał przygnębiony, tak że człowiek sam się zaczynał tak czuć, ale to nie zdarzało się zbyt często.

– Przygotowywała pani dla niego jedzenie?

– Robiłam wszystko, co możliwe. Tak żeby było gotowe, gdy Merete wróci do domu.

– Ale jej nie widywała pani tak często?

– Zdarzało się.

– Ale nie w dniach poprzedzających jej śmierć?

– Owszem, jednego dnia pilnowałam Uffego. Był przygnębiony, jak już mówiłam wcześniej, więc zadzwoniłam do Merete, żeby wróciła do domu, no i przyjechała. Tego dnia było faktycznie niezbyt dobrze.

– Czy tego wieczora zdarzyło się coś niezwykłego?

– Tylko tyle, że Merete nie wróciła do domu o osiemnastej, jak to miała w zwyczaju. To się Uffemu nie spodobało. Nie rozumiał, że tak się umówiliśmy.

– Była parlamentarzystką! To się chyba zdarzało często?

– Skąd! Tylko od czasu do czasu, jeśli musiała wyjechać. I tylko na jedną, dwie noce.

– Czyli tego wieczora była na wyjeździe?

Assad potrząsnął głową. To wkurzające, ile on wiedział.

– Nie, wtedy była na kolacji.

– Aha, a z kim, wie pani może?

– Nie, tego nie wiadomo.

– Może to jest w raporcie, Assad?

Assad pokiwał głową.

– Søs Norup, nowa sekretarka, widziała, jak Merete zapisuje nazwę restauracji w swoim kalendarzu. A ktoś z restauracji pamiętał, że tam była, tylko nie wiadomo z kim.

Jak widać, w raporcie było wiele spraw, które Carl musiał przyswoić.

– Assad, jak nazywała się ta restauracja?

– Wydaje mi się, że Café Bankeråt. To możliwe?

Carl zwrócił się do opiekunki:

– Nie wie pani, czy to była randka? Czy miała jakiegoś faceta?

W jednym z jej policzków pojawił się głęboki na cal dołeczek.

– Może i miała kogoś, tyle że nic o tym nie mówiła.

– I nic nie powiedziała, jak przyszła do domu? Po tym, jak pani do niej zadzwoniła, ma się rozumieć.

– Nie, poszłam sobie. Uffe był przecież taki przygnębiony.

Rozległ się brzęk szkła i obecny właściciel domu wszedł do pokoju z takim patosem, jakby taca z herbatą, którą trzymał w wyprostowanych palcach, zawierała w sobie wszystkie tajniki gotowania.

– Domowe – powiedział, wykładając budyniowe babeczki na stojące przed nimi srebrne tacki.

Obudziło to w Carlu wspomnienia dzieciństwa. Nie za dobre, ale jednak wspomnienia.

Gospodarz rozdzielił ciastka, a Assad nie omieszkał wyrazić swojego uznania dla poczęstunku.

– W raporcie jest napisane, że odebrała pani list na dzień przed zniknięciem Merete Lynggaard. Czy może to pani opisać dokładniej? Z pewnością było o tym w raporcie z przesłuchania, ale niech pani opowie jeszcze raz.

– To była żółta koperta, taka jakby pergaminowa.

– Jak duża?

Pokazała rozmiar rękami. Czyli A5.

– Czy coś na niej było? Jakaś pieczętka, nazwisko?

– Nie, nic nie było.

– A kto ją przyniósł? Znała pani tę osobę?

– Nie, wcale. Rozległ się dzwonek do drzwi i na dworze stał mężczyzna, który mi to dał.

– Trochę dziwne, prawda? Zwykle listy przychodzą przecież pocztą.

Trąciła go poufale.

– Owszem, przychodzi tu listonosz. Ale to było za późno. Gdzieś tak w środku wiadomości radiowych.

– O dwunastej?

Pokiwała głową.

– Dał mi to tylko i sobie poszedł.

– Nic nie powiedział?

– Powiedział, że to dla Merete Lynggaard, nic więcej.

– Dlaczego nie włożył listu do skrzynki?

– Myślę, że to było coś pilnego. Może bał się, że go nie zauważy od razu po powrocie do domu?

– No tak, Merete Lynggaard wiedziała pewnie, kto przyniósł list. Co o tym powiedziała?

– Nie wiem. Przecież wyszłam, gdy tylko wróciła.

Assad znów pokiwał głową. To pewnie też było w raporcie.

Carl posłał mu służbowe spojrzenie, które oznaczało: Procedura

wielokrotnego pytania o takie sprawy. Potem to przemyśli.

– Nie wiedziałem, że Uffe zostawał sam w domu – wtrącił.

– Jasne, że tak – odpowiedziała z zadowoleniem. – Tyle że nie późnym wieczorem.

W tym momencie Carl zamarzył, by znaleźć się przy swoim biurku w piwnicy. Przez całe lata musiał wszystko wyciągać z ludzi i teraz był już tym zmęczony. Kilka pytań więcej i będą musieli ruszać dalej. Sprawa Lynggaard była, rzecz jasna, przegrana od samego początku. Wypadła za burtę. To się przecież zdarza.

– No i mogło być za późno, gdybym jej tego nie zostawiła – powiedziała kobieta.

Zauważył, jak jej spojrzenie powędrowało w bok. Nie na babeczki, ale w bok.

– Co ma pani na myśli?

– No, przecież umarła dzień później, nie?

– Ale to nie o tym pani teraz pomyślała, prawda?

– O tym!

Siedzący obok Assad odłożył swoje ciasteczko na stół. Niewiarygodne, ale on też zauważył jej unik.

– Miała pani na myśli coś innego, widać to po pani. O co chodziło z tym, że mogło być za późno?

– Tylko o to, co już powiedziałam, że umarła dzień później.

Spojrzał na dumnego z ciasteczek gospodarza.

– Czy możemy porozmawiać z panią Andersen na osobności?

Mężczyzna nie wyglądał na zadowolonego, Helle Andersen też nie. Wyglądziła swój fartuch, ale to nie mogło już naprawić sytuacji.

– Proszę mi powiedzieć – pochylił się ku niej, gdy handlarz antyków opuścił pokój, powłócząc nogami – jeśli wie pani cokolwiek, co zachowywała pani dla siebie, to nadszedł czas, by to opowiedzieć, rozumie pani?

– Nie mam nic więcej do powiedzenia.

– Ma pani dzieci?

Wydeła pogardliwie wargi. Cóż to miało wspólnego ze sprawą?

– Okej, otworzyła pani list, tak?

Przestraszona odrzuciła głowę w tył.

– Nie zrobiłam tego!

– To się nazywa krzywoprzysięstwo, pani Andersen. Dzieci będą musiały sobie bez pani poradzić przez jakiś czas.

Jak na ocieźzałą wieśniaczkę zareagowała niezwykle szybko. Ręce uniosła do ust, nogi wsadziła pod sofę, wciągnęła brzuch, by powiększyć dystans dzielący ją od groźnego policyjnego zwierzęcia.

– Nie otworzyłam go – wyrzuciła z siebie. – Trzymałam go tylko pod światło.

– Co w nim było napisane?

Jej brwi niemal się skrzyżowały.

– Było tylko napisane „Miłej podróży do Berlina”.

– Wie pani, po co jechała do Berlina?

– Po prostu na wycieczkę z Uffem. Robili już tak parę razy wcześniej.

– Dlaczego to było takie ważne, by życzyć jej miłej podróży?

– Nie wiem.

– Kto mógł wiedzieć coś o tej podróży, Helle? O ile dobrze rozumiem, Merete z Uffem prowadzili dość zamknięte życie.

Wzruszyła ramionami.

– Nie wiem, może ktoś z Christiansborga?

– Nie lepiej było po prostu napisać e-maila?

– Naprawdę nie wiem. – Czuła się wyraźnie pod presją. Może kłamała, a może po prostu łatwo było wytrącić ją z równowagi. – To mógł być ktoś z gminy – spróbowała. Czyli ten trop został wyczerpany.

– Było tam napisane „Miłej podróży do Berlina”. I co jeszcze?

– Nic więcej. Tylko to, naprawdę.

– Żadnego podpisu?

– Nie, tylko to.

– A jak wyglądał ten goniec?

Ukryła twarz w dłoniach.

– Był w eleganckim płaszczu – rozległa się stłumiona odpowiedź.

– Nie zauważyła pani nic więcej? Niemożliwe.

– To znaczy tak. Był wyższy ode mnie, chociaż stał niżej, na schodku. Miał zielony szalik, którym zakrył usta, wystawał mu tylko podbródek. Padał deszcz, to pewnie dlatego. Był też trochę przeziębiony, w każdym razie tak to brzmiało.

– Kichał?

– Nie, po prostu mówił tak, jakby był przeziębiony. Znaczą przez nos.

– Oczy? Niebieskie czy brązowe?

– Raczej niebieskie. Tak mi się wydaje. Może szare. Rozpoznałabym je, gdybym je zobaczyła.

– Ile miał lat?

– Wydaje mi się, że tyle co ja.

Jakby to mogło w czymś pomóc.

– Ile ma pani lat?

Spojrzała na niego z lekkim oburzeniem.

– Prawie trzydzieści pięć – odpowiedziała, patrząc w podłogę.

– A jakim przyjechał samochodem?

- Żadnym, o ile wiem. W każdym razie nie było żadnego na podwórku.
- Przecież nie mógł przyjść na piechotę.
- Nie, też tak pomyślałam.
- Ale nie rozglądała się pani?
- Nie, to znaczy Uffe musiał przecież coś zjeść. Zawsze coś dostawał, gdy słuchałam wiadomości.

Rozmawiali o liściku jeszcze podczas jazdy. Assad nie wiedział o nim nic więcej. Śledztwo też utknęło w tym punkcie.

– Dlaczego, do kurwy nędzy, dostarczenie tak błahej wiadomości było aż takie ważne? O co tu chodzi? Zrozumiałbym, gdyby to był perfumowany liścik od przyjaciółki w małej kopercie w kwiatki. Ale w anonimowej kopercie i bez podpisu?

– Nie wydaje mi się, by ta Helle wiedziała za dużo – kontynuował Assad, gdy wjechali w Bjælkerupvej, na której znajdował się Wydział Zdrowia gminy Stevns.

Carl spojrzął na budynki. Dobrze byłoby mieć w kieszeni nakaz sądowy na tę wizytę.

– Zostań tu – rzucił do Assada, którego twarz bynajmniej nie rozjaśniła się z zadowolenia.

Po kilku pytaniach odnalazł gabinet kierowniczy.

– Owszem, Uffe Lynggaard ma zapewnioną opiekę domową – powiedziała, gdy Carl wtykał odznakę z powrotem do kieszeni. – Ale w obecnej chwili mamy trochę zaległości z archiwizacją starych spraw. Reforma gminna, wie pan.

Kobieta siedząca przed nim nie była zatem na bieżąco. Czyli trzeba znaleźć kogoś innego. Ktoś przecież musiał, do diabła, wiedzieć coś o Uffem Lynggaardzie i jego siostrze. Nawet najdrobniejsza informacja była na wagę złota. Może znajdzie się ktoś, kto był u nich z wizytą domową i widział coś, co mogłoby popchnąć sprawę.

– Czy mógłbym porozmawiać z osobą, która była odpowiedzialna za opiekę domową w tym czasie?

– Niestety, przeszła na emeryturę.

– Mogę prosić o jej nazwisko?

– Nie, niestety. Tylko nam tutaj, w ratuszu, wolno wypowiadać się na temat dawnych spraw.

– Ale żaden z pracowników nie wie nic o Uffem Lynggaardzie, tak?

– Ktoś na pewno wie. Ale nie wolno nam udzielać informacji.

– Wiem oczywiście o istnieniu tajemnicy służbowej. Wiem też, że Uffe Lynggaard nie jest ubezwłasnowolniony, ale nie po to przyjechałem aż tutaj, żeby wrócić z niczym. Czy mogę zająrzeć do jego dokumentacji medycznej?

– Wie pan dobrze, że nie. Jeśli chce pan porozmawiać z naszym prawnikiem,

to bardzo proszę. Poza tym teczki nie są dostępne tak od ręki. Uffe Lynggaard nie mieszka już w naszej gminie.

– Czyli dokumenty wysłano do Frederikssund?

– Nie mogę udzielić tej informacji.

Protekcjonalny babsztyl.

Wyszedł z gabinetu i postąpił przez chwilę w korytarzu, rozglądając się.

– Przepraszam panią. – Zaczepił kobietę, która szła w jego stronę i wyglądała na wystarczająco zmęczoną, by nie stawiać oporu. Wyciągnął odznakę policyjną i się przedstawił. – Czy nie mogłaby pani przypadkiem pomóc mi w ustaleniu nazwiska osoby, która zajmowała się sprawami w Magleby dziesięć lat temu?

– Proszę spytać tam – odpowiedziała, wskazując gabinet, z którego właśnie wyszedł.

Czyli nakaz sądowy, papiery, rozmowy telefoniczne, oczekiwanie i kolejne rozmowy telefoniczne. Nie miał na to wszystko siły.

– Zapamiętam tę odpowiedź, na wypadek gdyby mnie pani kiedyś potrzebowała – powiedział, kłaniając się lekko.

Ostatnim przystankiem na trasie była Klinika Urazów Rdzenia Kręgowego w Hornbæk.

– Wezmę samochód, Assad. Czy możesz pojechać do domu pociągiem? Wysadzę cię w Køge. Pociąg jedzie prosto na Dworzec Centralny w Kopenhadze, bez przesiadki.

Assad przytaknął bez entuzjazmu w oczach. Carl nie wiedział też, gdzie on mieszka. Musi go o to kiedyś zapytać.

Spojrzał na swojego dziwnego towarzysza.

– Jutro zaczynamy nową sprawę, Assad. Ta jest przegrana.

To również nie wywołało fajerwerków zachwyty na twarzy Assada.

W klinice Hardy został przeniesiony do innej sali i nie wyglądał zbyt dobrze. To znaczy z zewnątrz wyglądał dobrze, ale w głębi niebieskich oczu czaił się mrok.

Carl położył rękę na ramieniu Hardy'ego.

– Przemyślałem to, o czym ostatnio mówiłeś, Hardy. Ale nie dam rady, strasznie mi przykro. Po prostu nie mogę, rozumiesz?

Hardy nic nie powiedział. Oczywiście, że rozumiał, a zarazem nie.

– Co ty na to, żeby mi pomagać w moich śledztwach, Hardy? Wdrożę cię, a ty je gruntownie przemyślisz. Potrzebuję dodatkowej energii, Hardy, rozumiesz? Obchodzi mnie to tyle, co zeszłoroczny śnieg, ale jeśli w to wejdiesz, to będziemy mieć z czego wspólnie się pośmiać.

– Chcesz mnie rozśmieszyć, Carl? – odrzekł, odwracając głowę.

To był naprawdę gówniany dzień.

2002

W mroku zanikło poczucie czasu, a wraz z nim wewnętrzny rytm. Dzień i noc zlały się w jedno jak bliźnięta syjamskie. W dobie Merete istniał tylko jeden stały punkt zaczepienia, a mianowicie pstryknięcie dochodzące od strony łukowatych, wpuszczonych w ścianę drzwi.

Gdy po raz pierwszy usłyszała w głośniku zniekształcony głos, szok był tak ogromny, że kładąc się spać, jeszcze drżała.

Ale wiedziała, że gdyby głos się nie pojawił, umarłaby z pragnienia i głodu. Pozostawało pytanie, czy to nie byłoby lepsze.

Czuła, że pragnienie i suchość w ustach mijają. Czuła, że zmęczenie tłumi głód. Że strach ustępuje smutkowi, a smutek wręcz bezpiecznemu poczuciu, że śmierć jest bliska. Dlatego leżała spokojnie, czekając, aż ciało się podda, gdy nagle chropowaty głos uświadomił jej, że nie jest sama i że w końcu musi poddać się woli innych ludzi.

– Merete – powiedział bez ostrzeżenia kobiecy głos. – Wysyłamy ci plastikowy pojemnik. Za chwilę usłyszysz pstryknięcie, potem otworzy się śluza w narożniku. Widzieliśmy, że już ją znalazłaś.

Może wyobrażała sobie, że zapali się światło, bo zacisnęła mocno oczy, próbując zapanować nad falą szoku, która ogarnęła jej zakończenia nerwowe.

– Słyszysz mnie?! – krzyknął głos.

Kiwnęła głową i wypuściła głośno powietrze. Czuła już, jak bardzo zmarzła. Jak brak pożywienia wyczerpał zapasy tłuszczu, jak była krucha.

– Odpowiedz!

– Tak, tak, słyszę. Kim jesteś? – Spojrzała w ciemność.

– Kiedy usłyszysz pstryknięcie, idź od razu do śluzu. Nie próbuj się do niej wczłogiwać, nie uda ci się. Kiedy odbierzesz pierwszy pojemnik, pojawi się kolejny. Jeden to wiadro na odchody, do niego będziesz załatwiać swoje potrzeby, drugi to pojemnik na wodę i jedzenie. Codziennie otworzymy śluzę, by wymienić stare pojemniki na nowe, zrozumiałaś?

– O co w tym wszystkim chodzi? – usłyszała echo własnych słów. – Czy zostałam porwana? Chcecie pieniędzy?

– Teraz pojawi się pierwszy.

Z narożnika dobiegł ją szmer i lekki gwizd. Skierowała się więc w tamtą stronę i wyczuła, jak otwiera się dolna część zapadniętych łukowatych drzwi i wysuwa się z niej twardy pojemnik wielkości kosza na papiery. Gdy go wyciągnęła i postawiła na podłodze, śluza zamknęła się ponownie na dziesięć

sekund, po czym znów się otworzyła, tym razem by dostarczyć wyższe wiadro, które prawdopodobnie miało pełnić funkcję toalety.

Jej serce waliło. Jeśli wiadra były wymieniane tak szybko, to ktoś musiał stać po drugiej stronie śluzy. Inny człowiek, tak blisko.

– Czy możecie powiedzieć, gdzie jestem? – Podpełzła na kolanach do miejsca, nad którym, wedle jej rachuby, znajdował się głośnik. – Jak długo tutaj siedzę? – Podniosła trochę głos. – Czego chcecie?

– W pojemniku jest papier toaletowy. Będziesz dostawać rolkę na tydzień. Kiedy będziesz chciała się umyć, użyj wody z pojemnika, który stoi w wiadrze na odchody. Pamiętaj, by go najpierw wyciągnąć. W pomieszczeniu nie ma odpływu, więc myj się nad wiadrem.

Ściągną na jej szyi się napięty. Gniew walczył z płaczem, a usta drżały. Pocięło jej z nosa.

– Mam tu siedzieć w ciemności... przez cały czas? – załkała. – Nie możecie zapalić światła? Tylko na chwilę, proszę!

Znów rozległo się kliknięcie i cichy świst, po czym śluza się zamknęła.

Nastało wiele, wiele dni i nocy, kiedy nie słyszała niczego poza szumem cotygodniowej wymiany powietrza i codziennego szurania i gwizdu śluzy w drzwiach. Czasami odstępy między nimi ciągnęły się w nieskończoność, czasami było tak, jakby dopiero co położyła się po posiłku, gdy pojawiały się kolejne wiadra. Jedzenie stanowiło dla niej jedyny jasny punkt, choć było monotonne i prawie nie miało smaku. Porcja ziemniaków i rozgotowanych warzyw, odrobina mięsa. Codziennie to samo. Jakby bezdenny gar z tą mieszaniną bulgotał bezustannie na zewnątrz, w świetle, w świetle po drugiej stronie nieprzeniknionej ściany.

Myślała, że po jakimś czasie przyzwyczai się do mroku do tego stopnia, że będzie w stanie wyodrębnić szczegóły pomieszczenia. Tak się jednak nie stało. Ciemność była nieprzenikniona, zupełnie jak gdyby oślepla. Jedyne myśli mogły wprowadzić trochę światła do jej życia, ale i to nie było łatwe.

Przez dłuższy czas bała się, że naprawdę zwariuje. Bała się dnia, w którym straci nad sobą kontrolę. Przywoływała w pamięci obrazy ze świata i życia na zewnątrz. Przeszukiwała zakamarki umysłu, zabałaganione wspomnieniami trywialnego i pracowitego życia. Pojawiały się powoli, jeśli w ogóle. Chwile, gdy obejmowały ją czyjeś ramiona. Słowa czułości i pociechy. Ale były tam też obrazy samotności, tęsknoty i niez mordowanego wysiłku.

Wpadła w rytm, w którym doba składała się z długich okresów snu, jedzenia, medytacji i biegania w miejscu. Potrafiła biegać tak długo, aż od plaśnięcia o podłogę bolały ją uszy albo aż padała z wyczerpania.

Co piąty dzień otrzymywała nową bieliznę, a brudną wrzucała do wiadra na odchody. Myśl, że obcy mogliby jej dotykać, nappełniała ją obrzydzeniem. Ale

pozostałych ubrań, które miała na sobie, nie wymieniali. Dlatego bardzo na nie uważała. Uważała, siadając na wiadrze. Kładła się ostrożnie na podłodze, idąc spać. Wygładzała je ostrożnie przy zmianie bielizny, a te partie, które według niej się zabrudziły, płukała w czystej wodzie. Cieszyła się, że w dniu, w którym ją zabrali, miała na sobie dużo ubrań. Puchowa kurtka, szalik, bluzka, podkoszulek, spodnie i grube skarpety. Jednak z biegiem dni spodnie zaczęły coraz bardziej na niej wisieć, a podeszwy butów wydawały się cieńsze. Muszę biegać bosą – pomyślała i krzyknęła w ciemność:

– Nie możecie zwiększyć ogrzewania, proszę?

Ale wentylator w suficie nie wydawał dźwięku już od jakiegoś czasu.

Światło w pomieszczeniu zapaliło się, gdy wiadra wymieniono sto dziewiętnaście razy. Uderzyła ją eksplozja białych słońc, sprawiając, że zachwiała się z zaciśniętymi, łzawiącymi oczami. Światło dosłownie zbombardowało jej siatkówki, wysyłając falę bólu do mózgu. Mogła tylko kucnąć i zakryć oczy rękami.

W ciągu kolejnych godzin odsłoniła powoli twarz i otworzyła odrobinę oczy. Światło było nadal zbyt intensywne. Powstrzymywał ją strach, że utraciła już wzrok albo że może go utracić. Siedziała więc tak, aż kobiecy głos wydobywający się z głośnika ponownie wywołał w niej falę szoku. Zareagowała na ten dźwięk jak przestrojony przyrząd pomiarowy. Przeszywało ją każde słowo. A same słowa były straszne.

– Wszystkiego najlepszego z okazji urodzin, Merete Lynggaard. Najlepsze życzenia z okazji ukończenia trzydziestu dwóch lat. Owszem, dziś jest 6 lipca. Siedzisz tutaj sto dwadzieścia sześć dni, a nasz prezent jest taki, że przez najbliższy rok nie będziemy gasić światła.

– Boże, nie możecie mi tego robić – zajęczała. – Dlaczego mi to robicie? – Podniosła się z rękami uniesionymi do oczu. – Jeśli chcecie mnie zamęczyć na śmierć, to zróbcie to teraz! – krzyknęła.

Kobiecy głos był zimny jak lód, nieco niższy niż poprzednio.

– Spokojnie, Merete, nie chcemy cię zamęczyć. Damy ci za to szansę uniknięcia czegoś gorszego. Wystarczy, że sama odpowiesz na bardzo istotne pytanie: dlaczego musisz przez to wszystko przechodzić? Dlaczego trzymamy cię w klatce jak zwierzę? Sama sobie na to odpowiedz, Merete.

Odchyliła głowę. To było przerażające. Może powinna po prostu milczeć, usiąść w kącie i pozwolić im mówić, co chcą.

– Odpowiedz, Merete, albo będzie z tobą gorzej.

– Nie wiem, co mam odpowiedzieć! Czy to ma związek z polityką? A może próbujecie wyciągnąć od kogoś pieniądze? Nie mam pojęcia, powiedzcie!

Głos dochodzący przez cichy szmer stał się zimniejszy.

– Nie udało ci się, Merete. Musisz więc ponieść karę. Nie będzie ciężka,

łatwo ją zniesiesz.

– O Boże, to nie może być prawda! – zaszlochała Merete, osuwając się na kolana.

Usłyszała, jak znajomy świst dochodzący od strony śluzy przechodzi w gwizdanie. Poczwała natychmiast, jak owiewa ją letnie powietrze z zewnątrz. Pachniało zbożem, polami uprawnymi i zieloną trawą. Czy to ma być kara?

– Wpompujemy do pomieszczenia powietrze o ciśnieniu dwóch atmosfer. Zobaczymy, czy odpowiesz na pytanie w następnym roku. Nie wiemy, jak wysokie ciśnienie ludzki organizm jest w stanie znieść, ale z czasem na pewno się przekonamy.

– Dobry Boże – wyszeptała Merete, czując ucisk w uszach. – Nie pozwól na to, nie pozwól na to.

2007

Rozradowane głosy i brzęk butelek były dobrze słyszalne już na parkingu. Ostrzegły Carla, że u niego w domu trwa impreza.

Towarzystwo grillowe składało się z okolicznych maniaków, którzy uwielbiali trzymać wołowinę na ruszcie tak długo, aż całkiem straci smak. Spotykali się przez okrągły rok, gdy tylko nadarzała się okazja, najchętniej na tarasie Carla. Lubił ich. Byli nawet zabawni i zawsze sprzatali po sobie puste butelki.

Został uściskany przez stałego bywalca, Kenna, przyjął od niego puszkę lodowatego piwa, położył sobie na talerzu brykiet spalonego mięsa i poszedł do salonu, czując na karku ich życzliwe spojrzenia. Nigdy o nic nie pytali, jeśli milczał. Między innymi za to ich lubił. Wiedzieli, że jeśli coś zaprzęta mu umysł, to łatwiej nawiązać kontakt z rozchwytywanym samorządowcem, niż dotrzeć do Carla. Tyle że tym razem jego myśli krążyły wyłącznie wokół Hardy'ego.

Bo Carl poważnie się zastanawiał.

Być może powinien rozważyć sytuację jeszcze raz. Mógłby oczywiście znaleźć sposób, by zabić Hardy'ego tak, aby nikt później się o to nie pluł. Bąbel powietrza w kropłówce, dłoń na ustach. Poszłoby szybko, bo Hardy nie stawiałby oporu.

Ale czy mógł? Czy chciał? Piekielny dylemat. Pomóc czy nie pomagać? I co było prawdziwą pomocą? Być może gdyby ruszył dupę, poszedł do Marcusa i zażądał zwrotu swojej dawnej sprawy. Było mu w końcu całkowicie obojętne, kogo mu wyznaczą do współpracy. Zwisало mu również, co raczą na to powiedzieć. Jeśli Hardy'emu miałyby pomóc to, że przygwożdżą gnojów, którzy do nich strzelali na Amager, był na to gotowy. Jego osobiście ta sprawa napawała obrzydzeniem. Gdyby znalazł tych gnojów, po prostu by ich zastrzelił, ale komu by się to przysłużyło? Na pewno nie jemu samemu.

– Carl, nie masz może zbędnej stówki? – Przybrany syn, Jesper, przerwał potok jego myśli. Stał już jedną nogą za drzwiami. Chłopaki z Lynge wiedzieli, że jeśli zaproszą Jespera, to są spore szanse, że w pakiecie dostaną jeszcze kilka browarków. Jesper miał w dzielnicy przyjaciół, którzy sprzedawali całe skrzynki piwa małodatom poniżej szesnastki. Kosztowało to parę koron więcej, ale cóż to szkodziło, jeśli rachunek płacił przyszywany tatuś?

– Czy to nie trzeci raz w tym tygodniu, Jesper? – spytał, wyciągając banknot z portfela. – Jutro idziesz do szkoły, bez względu na wszystko, dobra?

– Dobra – odpowiedział.

– A lekcje odrobiłeś?

– Tak, tak.

To znaczy, że nie odrobił. Carl zmarszczył brwi.

– Spoko, Carl. Nie mam zamiaru iść do dziesiątej klasy w Engholm. Przenieś się do liceum w Allerød.

Marna pociecha. Będzie musiał dodatkowo pilnować, czy chłopak nie ma zaległości w nauce.

– Baw się dobrze – wymamrotał Jesper, idąc do stojaka na rowery.

Łatwo powiedzieć.

– Czy to sprawa Lynggaard tak cię gryzie, Carl? – Morten pozbiierał ostatnie butelki. Nigdy nie schodził do siebie, dopóki kuchnia nie lśniła. Znał swoje słabości. Jutro rano jego głowa będzie wielka i tkliwa jak ego premiera. Jeśli trzeba było cokolwiek uporządkować, to należało zrobić to teraz.

– Myślę głównie o Hardym, mniej o sprawie Lynggaard. Tropy się urywają i nikt się nią nie interesuje. Ze mną włącznie.

– No tak, ale przecież sprawa Lynggaard została właściwie wyjaśniona, nie?

– spytał Morten przez nos. – Utopiła się, co jeszcze można o tym powiedzieć?

– Hmm, tak myślisz? Ale zadaję sobie pytanie, dlaczego się utopiła. Nie było sztormu, fali, prawdopodobnie była zdrowa. Nie miała problemów finansowych, dobrze wyglądała, robiła dużą karierę. Może była trochę samotna, ale prędzej czy później z tym też by sobie poradziła.

Pokręcił głową. Kogo próbował oszukać? Jasne, że sprawa go interesowała. Tak było ze wszystkimi sprawami, w których pytania nawarstwiały się w ten sposób.

Zapalił papierosa i chwycił otwartą puszkę pozostawioną przez kogoś z gości. Piwo było letnie i zwietrzałe.

– Najbardziej mnie wkurza to, że ona była taka inteligentna. Zawsze jest trudno z ofiarami, które są tak inteligentne jak ona. Z mojego punktu widzenia nie miała przecież żadnego powodu, by popełnić samobójstwo. Żadnych jawnych wrogów, jej brat ją kochał. Dlaczego więc zniknęła? Skoczyłbyś w fale w takiej sytuacji, Morten?

Popatrzył na Carla nabiegłymi krwią oczami.

– Carl, to był wypadek. Czy nigdy nie zrobiło ci się słabo, jak przechylałeś się przez reling i patrzyłeś na fale? A jeśli to jednak było morderstwo, to albo zrobił to jej brat, albo polityka, jeśli chcesz znać moje zdanie. Myślisz, że przyszła przywódczyni Demokratów, która wyglądała tak zabójczo, nie miała wrogów? – Pokiwał ciężko głową, z trudem ją unosząc. – Wszyscy jej nienawidzili, nie zauważyłeś? Ci, których wyprzedziła w swojej partii. Partie koalicyjne. Myślisz, że premier i jego kolesie skakali z radości, widząc, jak taka ponętna laska lansuje się w telewizji? Sam przecież mówiłeś, że była cholernie bystra. – Wyżał ściereczkę

do naczyń i owinął ją wokół kranu.

– Wszyscy wiedzieli, że to ona będzie zawiązywać koalicję w kolejnych wyborach. Przecież zdobywała mnóstwo głosów, do diabła. – Splunął do zlewu. – Następnym razem nie piję wina od Sysser. Skąd ona bierze ten sikacz? Cholernie wysusza gardło.

Na okrągłym dziedzińcu Carl wpadł na kolegów zbierających się do domu. Pod tylną ścianą, za kolumnadą stał Bak, dyskutując zawzięcie z któryś ze swoich ludzi. Wszyscy patrzyli na Carla, jakby ich opluł i znieważył.

– Banda pajaców – rzucił pod ich adresem, aż echo rozniosło się w kolumnadzie, i odwrócił się do nich plecami.

Wyjaśnienia udzieliła mu Bente Hansen, kobieta z jego dawnego zespołu, którą spotkał w holu.

– Carl, miałeś rację. Znaleźli połówkę ucha w syfonie toalety w mieszkaniu świadka. Szacunek, stary!

Dobrze. Więc w sprawie zabójstwa rowerzysty coś się działo.

– Bak i jego ludzie właśnie byli w Szpitalu Królewskim, żeby świadek wszystko wyśpiewała – ciągnęła. – Ale nic nie wskórali. Kobieta jest sparaliżowana ze strachu.

– Czyli to nie z nią powinni rozmawiać.

– Pewnie, że nie. Tylko z kim?

– W jakiej sytuacji byłabyś bardziej skłonna popełnić samobójstwo? Gdybyś była pod niemiłosierną presją czy gdyby to było jedyne wyjście, żeby uratować twoje dzieci? Uważam, że to w jakiś sposób wiąże się z dziećmi.

– Dzieci nic nie wiedzą.

– Jasne, że nie. Ale matka tej kobiety może coś wiedzieć.

Spojrzał w górę na lampy z brązu. Może powinien poprosić o zamianę spraw z Bakiem. Z pewnością coś by drgnęło w tym kolosalnym budynku.

– Cały czas chodzę i wymyślam myśli, Carl. Sądzę, że powinniśmy pociągnąć tę sprawę. – Assad postawił przed nim parującą filiżankę. Na papierze śniadaniowym obok akt leżało kilka ciasteczek. Gołym okiem było widać, że Assad przystąpił do lizusowskiej ofensywy. W każdym razie zdążył posprzątać w gabinecie Carla i ułożyć na biurku akta sprawy tak, jakby należało je przeczytać w określonej kolejności. Musiał tu być od szóstej.

– Co mi tu położyłeś? – Wskazał na papiery.

– Ach tak. To jest wyciąg z banku, z którego wynika, ile Merete Lynggaard podejmowała w ciągu ostatnich tygodni. Ale nie ma absolutnie niczego o jedzeniu w jakiejś restauracji.

– Ktoś za nią zapłacił, Assad. To normalne, że pięknym kobietom takie rzeczy uchodzą na sucho.

– Tak, właśnie, Carl. Sprytne. Czyli ktoś za nią zapłacił. Myślę, że jakiś

polityk albo facet.

– Jasne, ale nie będzie łatwo dowiedzieć się kto.

– Tak, Carl, wiem. To było pięć lat temu. – Postukał palcem w następną kartkę. – Tutaj jest wykaz przedmiotów, które policja zabrała z jej domu. Nie widzę kalendarza, o którym opowiadała ta jej nowa sekretarka. Ale może kalendarz leży w Christiansborgu i można sprawdzić, z kim miała wtedy zjeść kolację.

– Assad, na pewno miała ten kalendarz w torebce. A torebka przepadła wraz z nią, prawda?

Pokiwał głową, trochę poirytowany.

– No tak, Carl. Możemy w takim razie spytać jej sekretarkę. Mamy przecież przepis jej zeznań. Wtedy nic nie mówiła o tym, z kim Merete jadła. Dlatego myślę, że powinniśmy spytać ją jeszcze raz.

– To się nazywa zapis! Ale to było pięć lat temu, Assad. Jeśli nie pamiętała niczego ważnego, gdy ją przesłuchiowano, to teraz na pewno też nie będzie.

– Okej! Ale tu jest napisane, że pamiętała, jak Merete Lynggaard dostała kartkę walentynkową, tyle że jakiś czas później. Czegoś takiego można przecież poszukać, prawda?

– Telegramu już nie ma, a my nie mamy dokładnej daty. Będzie ciężko, jeśli nie znamy nawet firmy, która go dostarczyła.

– To było TelegramsOnline.

Carl spojrział na niego. Czy ten facet jest na wagę złota? Trudno było się zorientować, widząc go w zielonych gumowych rękawiczkach.

– Skąd to wiesz, Assad?

– Popatrz. – Wskazał na zapis zeznań. – Sekretarka pamiętała, że na telegramie było napisane „Love & Kisses for Merete” i że były tam usta. Dwie czerwone wargi.

– No i?

– To znaczy, że to jest telegram z TelegramsOnline. Oni drukują imię na telegramie. I u nich są te dwie czerwone wargi.

– Pokaż mi to.

Assad nacisnął enter na komputerze Carla i strona internetowa TelegramsOnline pokazała się na ekranie. Tak, ten telegram był zupełnie taki sam, jak mówił Assad.

– Dobrze. Jesteś pewien, że tylko ta firma robi takie telegramy?

– Całkiem pewien, tak.

– Ale wciąż nie masz daty, Assad. Czy to było przed walentynkami, czy po? I kto go wysłał?

– Możemy przecież spytać firmę, czy zarejestrowali, kiedy wysyłano telegramy na zamek Christiansborg.

– Tego typu rzeczy robi się w pierwszej fazie dochodzenia, prawda?

– Nic o tym nie ma. Ale może czytałeś coś innego? – Facet uśmiechnął się cierpko zza jednodniowego zarostu. Dość arogancko.

– Okej, Assad, niech ci będzie. Możesz sprawdzić tę firmę. To zadanie w sam raz dla ciebie. Teraz jestem trochę zajęty, więc może zadzwonisz ze swojego gabinetu?

Poklepał go po ramieniu i odprowadził na korytarz. Potem zamknął drzwi, zapalił papierosa, wziął teczkę Lynggaard i usadowił się w fotelu z nogami na stole.

Musiał się za nią wziąć.

Ta sprawa była fatalna. Zbyt niespójna. Poszukiwania na prawo i lewo bez jasnych wytycznych. Krótko mówiąc, żadnych wiarygodnych hipotez. Kwestia motywu pozostawała otwarta. Jeśli popełniła samobójstwo, to dlaczego? Jediną pewną rzeczą było to, że jej wóz stał na samym końcu pokładu samochodowego, a Merete Lynggaard zniknęła.

Wtedy do śledczych dotarło, że nie była tam sama. Z kilku zeznań świadków wynikało, że na pokładzie słonecznym posprzeczała się z jakimś młodym mężczyzną. Dokumentowało to zdjęcie zrobione przypadkiem przez starsze małżeństwo płynące na zakupy do Heiligenhafen. Po upublicznieniu zdjęcia odebrano telefon z ratusza miasteczka Store Heddinge z informacją, że to brat Merete Lynggaard.

Carl nawet nieźle to pamiętał. Udzielono wtedy reprimendy policjantom, którzy przeoczyli istnienie brata.

Nasuwało się kolejne pytanie: jeśli zrobił to brat, to dlaczego? I gdzie on w ogóle był?

Najpierw sądzono, że Uffe też wypadł za burtę, ale znaleziono go parę dni później, wyczerpanego i zagubionego, na równinach Femern, dobrze na południu. Zidentyfikowała go czujna niemiecka policja z Oldenburga. Nigdy nie wykryto, jak udało mu się dotrzeć tak daleko. On sam nie miał nic do dodania.

Jeśli coś wiedział, trzymał to dla siebie.

Późniejsze nieostrożne postępowanie z Uffem Lynggaardem ujawniło, w jakim głównie ugrzęźli poprzednicy Carla.

Carl włączył kilka kaset z przesłuchania i stwierdził, że Uffe milczał jak grób. Próbowali grać dobrego i złego glinę, ale na próżno. Wezwano dwoje psychiatrów, następnie psychologa z Farum specjalizującego się w takich sprawach. Nawet Karen Mortensen, pracowniczka socjalna z gminy Stevns, pojawiła się, by rozpracować Uffego.

Kiepska sprawa.

Zarówno niemieckie, jak i duńskie władze przeszukiwały swoje wody. Skorzystano nawet z pomocy płetwonurków. Wyrzuconego przez morze topielca umieszczono w chłodni i przeprowadzono sekcję. Rybakom nakazano zwracać

szczególną uwagę na unoszące się w wodzie przedmioty. Ubrania, torebki, cokolwiek. Ale nie znaleziono niczego, co prowadziło do Merete Lynggaard, a media wpadły w amok. Merete Lynggaard była na pierwszych stronach gazet przez prawie miesiąc. Stare zdjęcia z liceum, na których pozowała w skąpym kostiumie kąpielowym, nagle ujrzały światło dzienne. Jej najwyższe oceny na uniwersytecie zostały opublikowane i stały się przedmiotem analiz tak zwanych ekspertów od stylu życia. Nowe plotki na temat jej seksualności sprawiły, że zwykle rzetelni dziennikarze zaczęli udzielać się w brukowcach. Głównym tematem rozważań pismaków stało się istnienie Uffego.

Wielu jej najbliższych kolegów plotło, że faktycznie coś podobnego sobie wyobrażali. Że coś ukrywała w swoim życiu prywatnym. Nie było oczywiście wiadomo, że chodzi o jej niepełnosprawnego brata, ale coś w tym rodzaju.

Zdjęcia z wypadku samochodowego, w którym zginęli jej rodzice, a Uffe został okaleczony, pojawiły się na pierwszych stronach porannych gazet, gdy sprawa już powoli zaczynała przycichać. Trzeba było zamieścić wszystko. Była cholernie dobrym materiałem, za życia, jak i po śmierci. Prowadzący program telewizji śniadaniowej z trudnością ukrywali swoje podniecenie. Echa wojny w Bośni, rozgniewany królewski małżonek, nadmierne spożycie czerwonego wina przez burmistrza jednej z podmiejskich gmin, utopiona parlamentarzystka. Jeden pies! Byle tylko były dobre zdjęcia.

Wywleczono duże zdjęcia podwójnego łóżka Merete. Trudno było stwierdzić, skąd się wzięły, ale nagłówki były bezpardonowe. Czy rodzeństwo żyło w związku? Czy to było powodem jej śmierci? Dlaczego w dużym domu było tylko jedno łóżko? Wszyscy w kraju mieli uznać, że to dziwaczne.

Kiedy na tej historii nie została już sucha nitka, wszyscy przerzucili się na spekulacje o zwolnieniu Uffego. Czy policja użyła brutalnych metod? Czy to była pomyłka sądowa? Czy facetowi się upiekło? Czy chodziło raczej o naiwność wymiaru sprawiedliwości i błędy proceduralne?

Potem nastąpił jeszcze zgiełk medialny wokół umieszczenia Uffego w Egely i sprawa w końcu ucichła. Sezon ogórkowy latem 2002 upłynął pod hasłem deszczu, upału, narodzin księcia i mistrzostw świata w piłce nożnej.

Duńska prasa dobrze знаła zainteresowania przeciętnego czytelnika. Sprawa Merete Lynggaard była już starociem.

A sześć miesięcy później śledztwo zostało oficjalnie wstrzymane. Było mnóstwo innych zadań.

Carl wziął dwie kartki i napisał na jednej z nich:

PODEJRZANI:

1) *Uffe*

2) *Nieznany doręczyciel. List o Berlinie*

3) *Mężczyzna/kobieta z restauracji Café Bankeråt*

4) „Koledzy” z Christiansborga

5) Morderstwo na tle rabunkowym. Ile pieniędzy w torbie?

6) Napaść na tle seksualnym

Na drugiej kartce napisał:

SPRAWDZIĆ:

Pracowniczka socjalna ze Stevns

Telegram

Sekretarki z Christiansborga

Świadkowie z promu Szlezwik-Holsztyn

Popatrzył przez chwilę na kartki i napisał na dole arkusza numer dwa:

Rodzina zastępcza po wypadku/dawni koledzy z uniwersytetu. Czy miała depresyjną naturę? Była w ciąży? Była zakochana?

Gdy zamknął teczkę, zadzwonili z góry z wiadomością od Marcusa Jacobsena, że ma się stawić w sali konferencyjnej.

Pomachał do Assada, przechodząc koło jego pokoiku. Facet siedział przyklejony do telefonu, skoncentrowany i poważny. Wyglądał inaczej niż zwykle, gdy stał w drzwiach w swoich zielonych gumowych rękawiczkach. Teraz wydawał się niemal innym człowiekiem.

Byli tam wszyscy, którzy mieli coś wspólnego ze sprawą morderstwa rowerzysty. Marcus Jacobsen wskazał Carlowi krzesło przy stole konferencyjnym, a Bak rozpoczął spotkanie.

– Nasz świadek, Annelise Kvist, poprosiła wreszcie o ochronę. Jak już wiemy, kierowano pod jej adresem groźby, że jej dzieci zostaną żywcem obdarte ze skóry, jeśli nie zachowa dla siebie tego, co widziała. Przez cały czas ukrywała przed nami informacje, ale na swój sposób wykazywała chęć współpracy. W międzyczasie dawała nam wskazówki, żebyśmy sami mogli rozeznaczyć się w sprawie, ale kluczowych informacji nam nie podawała. Odkąd pojawiły się te groźby, zamknęła się w sobie na dobre.

Podsumujmy: podejrzenie gardła ofiary ma miejsce w parku Valby około godziny dwudziestej drugiej. Park jest ciemny, zimny i wyludniony. Jednak tak się składa, że Annelise Kvist widzi, jak sprawca rozmawia z ofiarą zaledwie kilka minut przed zabójstwem. Dlatego uważamy, że to musiało być morderstwo w afekcie. Gdyby morderca miał plan, to pojawienie się Annelise Kvist prawdopodobnie by go powstrzymało.

– Dlaczego Annelise Kvist szła przez park? Skąd szła? Czy nie jechała na rowerze? – Pytania zadał jeden z nowych. Nie wiedział, że kiedy Bak jest u steru, pytania zadaje się na końcu.

Bak obdarzył go wrogim spojrzeniem.

– Była u przyjaciółki, a rower miał przebitą oponę. Dlatego prowadziła go przez park. Wiemy, że widziała sprawcę, gdyż wokół miejsca przestępstwa były

tylko dwa rodzaje odcisków podeszwy. Włożyliśmy sporo pracy w zbadanie życiorysu Annelise Kvist, próbując znaleźć punkty zaczepienia. Coś, co mogłoby wyjaśnić jej zachowanie, gdy zaczęliśmy ją przesłuchiwać. Wiemy już, że była kiedyś związana ze środowiskiem rockersów, ale mamy też pewność, że to nie w tym środowisku należy szukać sprawcy.

Ofiarą był brat jednego z najbardziej aktywnych rockersów z terenu Valby, Carlo Brandta. Cieszył się dobrą opinią, choć trochę handlował narkotykami na własną rękę. Wiemy od tego Carlo Brandta, że należał do znajomych Annelise Kvist, w pewnej chwili również na płaszczyźnie intymnej. To też badamy. W każdym razie wszystko wskazuje na to, że znała zarówno ofiarę, jak i mordercę.

Jeśli chodzi o strach świadka, to jej matka zeznała nam, że Annelise była już wcześniej narażona na przemoc, oczywiście mniejszego kalibru – bicie, groźby i tym podobne, i mocno to na nią wpłynęło. Matka uważa, że córka sama się o to prosiła, przebywając często w środowisku knajpianym i wracając z byle kim do domu, ale według naszego rozeznania seksualne i społeczne nawyki Annelise Kvist nie odbiegają zbytnio od nawyków innych młodych kobiet.

Znalezienie ucha w toalecie Annelise podpowiada nam, że morderca wie, kim ona jest, i że zna jej miejsce zamieszkania, ale, jak wiadomo, nie udało nam się jeszcze wyciągnąć z niej jego tożsamości.

Dzieci zostały zabrane do jakiejś rodziny na południe od Kopenhagi i to trochę zmiękczyło Annelise. Nie ulega już wątpliwości, że była pod wpływem narkotyków w chwili, gdy, jak sądzimy, próbowała popełnić samobójstwo. Analizy potwierdzają, że w jej żołądku znajdowała się cała gama środków odurzających w formie pigułek.

Przez większą część seansu Carl miał zamknięte oczy. Gotowało się w nim na sam widok Baka, referującego sprawy w zawity i rozwlekły sposób – zwyczajnie nie miał ochoty na to patrzeć. I dlaczego niby miał to robić? Te sprawy go nie dotyczyły. Jego krzesło było na dole, w piwnicy, o tym musiał pamiętać. Szef Wydziału Zabójstw zaprosił go na górę, by poklepać go po ramieniu, bo popchnął sprawę trochę dalej. Nie ma nic więcej do powiedzenia. Oszczędzi im dodatkowych refleksji.

– Nie znaleźliśmy fiołki po pigułkach, zatem wiele wskazuje na to, że są to pigułki, które ktoś przyniósł luzem, prawdopodobnie ten sam sprawca, i zmusił ją, by je zażyła – powiedział Bak.

Nieźle to sobie wykombinował.

– Zatem wszystko wskazuje na to, że możemy mówić o próbie morderstwa, która się nie powiodła. Groźba zabicia dzieci skłoniła ją do milczenia – ciągnął Bak.

W tym miejscu wtrącił się Marcus Jacobsen. Widząc, jak nowi palą się do zadawania pytań, przyszedł im w sukurs.

– Annelise Kvist, jej matka i dzieci dostaną ochronę, jako że sprawa tego wymaga – powiedział. – Najpierw przeniesiemy ich w inne miejsce, a wtedy na pewno skłonimy ją do mówienia. Póki co, musimy współpracować z wydziałem narkotykowym. Rozumiem, że w jej organizmie wykryto sporą dawkę syntetycznego THC, prawdopodobnie Marinolu, który jest najbardziej rozpowszechnioną formą haszyszu w tabletkach. Nie jest zbyt popularny w kręgach dilerskich, musimy więc się dowiedzieć, skąd się go bierze w tej okolicy. Znalezione także ślady amfetaminy i metylofenidatu. Wyjątkowo nietypowy koktajl.

Carl pokręcił głową. Tak, absolutnie wszechstronny sprawca. Podrzyna gardło jednej ofierze w parku i delikatnie wysypuje tabletki w gardło innej. Dlaczego jego koledzy nie mogli po prostu poczekać, aż baba sama to z siebie wydusi? Uniósł powieki i spojrzał prosto w oczy szefa Wydziału Zabójstw.

– Carl, kręcisz głową. Masz lepszy pomysł? Czy jest w tobie więcej kreatywności, która może nas popchnąć dalej? – Uśmiechnął się. Jedyne w tym pomieszczeniu.

– Wiem tylko, że jeśli ktoś zeżre THC, to się zrzyga, jak mu się nawciska innych prochów. Czyli gość, który zmusił ją do połknięcia pigułek, musiał być niezły w swoim fachu, prawda? Czemu nie poczekać po prostu, aż Annelise Kvist opowie wam sama, co widziała? Parę dni wte czy wewte nie robi chyba różnicy. Musimy przecież zająć się też innymi sprawami. – Powiódł wzrokiem po kolegach. – W każdym razie ja muszę.

U sekretarek jak zawsze był ruch. Lis siedziała przy swoim komputerze ze słuchawkami na uszach i stukwała w klawiaturę jak perkusista w zespole rockowym. Rozejrzał się za nową ciemnowłosą sekretarką, ale żadna nie pasowała do opisu Assada. Tylko kolor włosów koleżanki Lis, osławionej sobowtórki Wilczycy Ilsy, zwanej przez kolegów panią Sørensen, mógł od biedy uchodzić za ciemny. Carl zacisnął oczy. Może Assad zobaczył w jej skwaszonej gębie coś, czego inni nie potrafili dostrzec.

– Potrzebujemy na dole porządnej kserokopiarki, Lis – powiedział, gdy ona z szerokim uśmiechem przestała bębnić w klawiaturę. – Czy mogłabyś załatwić to dziś po południu? Wiem, że jest jedna zbędna u tych z Centralnego Biura. Jeszcze jej nie rozpakowali.

– Zobaczę, co da się zrobić, Carl – powiedziała. Czyli załatwione.

– Jestem umówiona z Marcusem Jacobsenem – rozległ się delikatny głos tuż obok niego. Obrócił się i stanął twarzą w twarz z nieznaną mu kobietą. Miała brązowe oczy. Najpiękniejsze brązowe oczy, jakie kiedykolwiek widział. Carl poczuł ucisk w żołądku. Po chwili kobieta odwróciła się do sekretarek.

– Pani Mona Ibsen? – zapytała pani Sørensen.

– Tak.

– Czeka na panią.

Obie kobiety uśmiechnęły się do siebie, po czym Mona Ibsen odsunęła się nieco, a pani Sørensen uniosła się, by pokazać jej drogę. Carl zacisnął usta, patrząc, jak odchodzi korytarzem. Miała na sobie futro, dość krótkie – akurat na tyle, by odsłonić dolną część jej pupy. Obiecująca, ale wnioskując po sylwetce, niemłoda kobieta. Dlaczego, do cholery, nie dostrzegł w jej twarzy niczego poza oczami?

– Mona Ibsen? Kto to? – zwrócił się do Lis od niechcienia. – Ma coś wspólnego z morderstwem rowerzysty?

– Nie, jest naszym nowym psychologiem. Docelowo ma stale współpracować z wszystkimi wydziałami tutaj, w Komendzie Głównej.

– Naprawdę? – Sam słyszał, jak żałośnie to brzmi.

Opanował ucisk w żołądku i skierował się do gabinetu Jacobsena. Otworzył drzwi bez pukania. Jeśli ma dostać opieprz, to niech przynajmniej będzie ku temu dobry powód.

– Przepraszam, Marcus – odezwał się. – Nie wiedziałem, że masz gościa.

Siedziała bokiem, na delikatnej skórze wokół jej ust rysowały się zmarszczki raczej od częstego śmiechu niż przygnębienia.

– Mogę przyjść później, przepraszam, że przeszkodziłem.

Zwróciła ku niemu twarz na dźwięk tej przesadnej uniżoności. Miała wyraziste, pełne usta i na pewno więcej niż pięćdziesiąt lat. Uśmiechnęła się lekko do niego. Niech go diabli, jeśli jego kolana nie zamieniły się w galaretę.

– Czego chciałeś? – spytał Marcus.

– Chciałem tylko powiedzieć, że moim zdaniem powinniście spytać Annelise Kvist, czy była związana z mordercą.

– Spytaliśmy już, nie była.

– Ach, nie? W takim razie trzeba ją spytać, czym zajmuje się morderca. Nie kim jest, ale czym się zajmuje.

– Już to oczywiście zrobiliśmy, ale ona nic nie mówi. Chodzi ci o to, że mogły ich łączyć stosunki służbowe?

– Może tak, może nie. W każdym razie może jest w jakiś sposób zależna od tego człowieka z powodu jego zawodu.

Jacobsen pokiwał głową. Będzie to możliwe dopiero po umieszczeniu świadka i jej rodziny w bezpiecznym miejscu. Ale Carlowi udało się zobaczyć Monę Ibsen.

Cholernie atrakcyjna jak na psychologa.

– To wszystko – powiedział i uśmiechnął się tak szeroko, swobodnie i męsko, jak nigdy przedtem, ale bez echa.

Odczuł nagły ból w okolicach mostka i przycisnął rękę do klatki piersiowej. Piekielnie nieprzyjemne. Zupełnie jakby nałykał się powietrza.

– Dobrze się czujesz, Carl? – zapytał go szef.

– Eee, to nic takiego, bóle spowodowane wypadkiem, sam wiesz. Czuję się dobrze. – Ale to nie była do końca prawda. Ucisk w klatce piersiowej był daleki od dobrego.

– O, przepraszam, Mona. Chcę ci przedstawić Carla Mørcka. Kilka miesięcy temu brał udział w potwornej strzelaninie, w której straciliśmy kolegę.

Skinęła do niego głową, a on cały się spiął. Zacisnął oczy. Zainteresowanie zawodowe, naturalnie, ale lepsze to niż nic.

– To Mona Ibsen, Carl. Jest naszym psychologiem. Być może się poznacie. Przecież chcemy, aby jeden z naszych najlepszych ludzi wrócił do pełni sił.

Zrobił krok i uścisnął jej dłoń. Poznają się. Może się o to założyć.

Ciągle był pod silnym wrażeniem nowej psycholog, gdy wpadł na Assada w drodze do piwnicy.

– Carl, dodzwoniłem się – oświadczył.

Carl próbował pozbyć się sprzed oczu obrazu Mony Ibsen. Nie było to łatwe.

– Gdzie? – spytał.

– Dzwoniłem do TelegramsOnline przynajmniej dziesięć razy i dodzwoniłem się dopiero kwadrans temu – opowiadał Assad, podczas gdy Carl próbował dojść do siebie. – Może będą w stanie powiedzieć nam, kto wysłał telegram do Merete Lynggaard. W każdym razie pracują nad tym.

2002

Merete przyzwyczaiła się do ciśnienia stosunkowo szybko. Lekki szum w uszach przez kilka dni i po wszystkim. Nie, to nie ciśnienie było najgorsze.

Raczej migające nad nią światło.

Wieczna jasność była po stokroć gorsza niż wieczna ciemność. Światło obnażyło nędzę jej egzystencji. Lodowato białe pomieszczenie. Szarawe ściany, ostre kąty. Szare wiadra, bezbarwne jedzenie. Światło dało jej brzydotę i chłód. Światło dało jej świadomość, że nie jest w stanie przebić się przez pancierz tego pomieszczenia. Że resztką nadziei w postaci wpuszczonych w ścianę drzwi stanowiła niemożliwą drogę ucieczki. Że to betonowe piekło było jej trumną i grobowcem. Nie mogła tak po prostu zamknąć oczu i odpłynąć, kiedy miała na to ochotę. Światło przebijało się nawet przez zamknięte powieki. Tylko gdy ogarniało ją totalne zmęczenie, była w stanie zapaść w sen.

Czas stał się nieskończony.

Codziennie, gdy kończyła jeść i siedząc, oblizywała palce do czysta, wpatrywała się w przestrzeń i przypominała sobie, jaki jest dzień. Dziś jest 27 lipca 2002. Mam trzydzieści trzy lata i dwadzieścia jeden dni. Jestem tu od stu czterdziestu siedmiu dni. Nazywam się Merete Lynggaard i czuję się dobrze. Mój brat ma na imię Uffe, urodził się 10 maja 1973 roku – rozpoczynała. Czasami wymieniała też swoich rodziców i różne inne osoby. Każdego dnia wspominała ludzi i rzeczy. Przywoływała myśli o czystym powietrzu, cudzym zapachu, szczekaniu psa. Myśli, które przywodziły inne myśli, pozwalały jej wyslizgnąć się z zimnego pomieszczenia.

Wiedziała, że któregoś dnia oszaleje. To będzie droga ucieczki od kłębiących się ciężkich myśli. Walczyła z tym ze wszystkich sił. W żadnym razie nie była na to gotowa.

To dlatego omijała dwa wysokie na metr iluminatory, które wymacała w mroku na samym początku. Umieszczone były na wysokości jej głowy, a ich szyby odbijały wszystko jak lustro. Gdy jej oczy po kilku dniach przywykły do światła, podniosła się bardzo ostrożnie, w obawie, że jej własne odbicie ją porazi. I wreszcie, powoli kierując wzrok w górę, stanęła twarzą w twarz z samą sobą i na ten widok odczuła głęboki ból w duszy. Wstrząsnęły nią zimne dreszcze. Musiała na chwilę zamknąć oczy, tak wielkie było to wrażenie. Nie chodziło o to, że wyglądała wyjątkowo źle, nie, to nie to. Włosy miała przetłuszczone i splątane, a skórę bladą, ale nie o to chodziło.

Chodziło o to, że naprzeciw niej stał człowiek, który był zgubiony. Człowiek

skazany na śmierć. Obcy – zupełnie sam na świecie.

– Jesteś Merete – powiedziała i wymawiając te słowa, patrzyła na siebie. – To ja tam jestem – powiedziała, życząc sobie, by to nie była prawda. Czuła się odcięta od swego ciała, a jednak to była ona. Doprowadzało ją to do obłądu.

Potem odsunęła się od iluminatorów i kucnęła. Próbowwała trochę pośpiewać, ale jej głos pochodził jakby od innej osoby. Zwinęła się więc w pozycję embrionalną i modliła do Boga. A kiedy skończyła, zaczęła od nowa. Modliła się, aż jej dusza uniosła się z tego szaleńczego transu i wpadła w kolejny. I odpoczywała w marzeniach i wspomnieniach, obiecując sobie, że już nigdy nie stanie przed tym lustrem, by spojrzeć na siebie.

Z upływem czasu nauczyła się rozumieć sygnały płynące z ciała. W jaki sposób żołądek mówił jej, że jedzenie się spóźnia. Kiedy odrobinę wahało się ciśnienie i kiedy spała najlepiej. Odstępy czasu między wymianą wiader były bardzo równe. Próbowwała liczyć sekundy od chwili, gdy głód dawał o sobie znać, do pojawienia się wiader. Poślizg w wydawaniu pokarmu wynosił góra pół godziny. Miała zatem jakąś orientację w czasie, pod warunkiem że dostawała jedzenie raz na dobę.

Ta wiedza była jednocześnie pociechą i przekleństwem. Pociechą, bo mogła dostosować się do przyzwyczajień i rytmu świata zewnętrznego. A przekleństwem właśnie dlatego, że to potrafiła. Na zewnątrz panowało lato, jesień, zima, a tutaj nie było niczego. Wyobrażała sobie, jak moknie w letnim deszczu, jak deszcz zmywa z niej niegodziwość i zapach. Patrzyła na blask ognisk rozpalanych w wieczór świętojański i na migotanie świątecznej choinki. Nie było dnia pozbawionego wzruszeń. Znała daty i wiedziała, co oznaczają. Tam, w świecie na zewnątrz.

Siedziała sama na nagiej podłodze, zmuszając się do myślenia o życiu na zewnątrz. Nie przychodziło to łatwo. Myśli często były bliskie wymknięcia się, ale trzymała się ich kurczowo. Każdy dzień miał swoje znaczenie.

W dniu, w którym Uffe skończył dwadzieścia dziewięć i pół roku, oparła się o chłodną ścianę, wyobrażając sobie, że głaszcze go po włosach i składa mu życzenia. W myślach upiekła mu ciasto i wysłała je do niego. Wszystkie składniki należało najpierw kupić. Włożyłaby płaszcz i wyszła na przekór jesiennej wichurze. Zrobiłaby zakupy, gdzie tylko by zechciała. W kulinarnej sekcji sklepu Magasin. Kupiłaby wszystko, na co tylko miałyby ochotę. W taki dzień nie ma towarów zbyt luksusowych dla Uffego.

I tak Merete odliczała dni, zastanawiając się równocześnie, co planowali jej porywacze i kim byli. Czasami zdarzało się, że jakby lekki cień przemknął za którąś z lustrzanych szyb i przyprawiało ją to o drżenie. Zakrywała ciało podczas mycia. Odwracała się plecami, gdy była zupełnie naga. Przesuwała wiadro służące jej za toaletę, żeby jej nie widzieli, gdy na nim siada.

Bo byli tam. To nie miałyby sensu, gdyby ich nie było. Przez jakiś czas

mówiła do nich, ale teraz już nie robiła tego za często. I tak nie odpowiadali.

Prosiła ich o podpaski, ale ich nie dostała. A gdy krwawienia były zbyt silne, nie wystarczało jej papieru toaletowego i musiała dać sobie spokój z higieną.

Prosiła też o szczoteczkę do zębów, ale jej też nie dostała i to ją martwiło. Masowała wobec tego dżiasta palcem wskazującym i próbowała czyścić przestrzenie między zębami, włączając w nie powietrze, ale bez skutku. Chuchała w przystawioną do ust dłoń i czuła, jak jej oddech staje się coraz bardziej cierpki.

Któregoś dnia wyciągnęła kawałek usztywnienia z kaptura swojej puchowej kurtki. To była nylonowa żyłka, z pewnością wystarczająco sztywna, ale zbyt gruba, by posłużyć się nią jako wykałaczką. Spróbowała więc odłamać kawałek, a gdy się udało, zaczęła spiłowywać ją przednimi zębami. Uważaj, by plastik nie utknał ci między zębami. Nigdy nie zdołasz go wyciągnąć – pouczała samą siebie, a czas upływał.

Gdy po raz pierwszy od roku udało jej się oczyścić wszystkie przestrzenie między zębami, zalała ją fala ulgi. Kawałek nylonu stał się nagle jej najdroższą własnością. Musiała pilnować tego kawałka i pozostałej części żyłki.

Głos odezwał się do niej nieco wcześniej, niż przewidywała. Obudziła się w swoje trzydzieste trzecie urodziny z poczuciem, że wciąż jest noc. Siedziała tak, wpatrując się w lustrzane szyby może i przez parę godzin, próbując odgadnąć, co się wydarzy. Rozmyślała nad pytaniem i odpowiedzią przez całą wieczność. Wałkowała nazwiska, czyny i powody i wciąż nie wiedziała więcej niż rok temu. To mogło mieć coś wspólnego z pieniędzmi. Może coś związanego z Internetem. Mógł to być eksperyment. Eksperyment jakiegoś szaleńca, który miał wykazać, ile są w stanie wytrzymać ludzki organizm i psychika.

Nie miała zamiaru poddać się temu eksperymentowi. Najmniejszego zamiaru.

Gdy odezwał się głos, nie była na to przygotowana. Żołądek jeszcze nie odzywał się z głodu. Przestraszyła się, ale tym razem bardziej z powodu powstałego napięcia niż szoku wynikającego z nagłego przerwania ciszy.

– Najlepsze życzenia, Merete – powiedział kobiecy głos. – Najlepsze życzenia w dniu trzydziestych trzecich urodzin. Widzimy, że masz się dobrze. Przez ten rok byłaś grzeczną dziewczynką. Słońce świeci.

Słońce! Boże, nie chciała tego wiedzieć.

– Przemyślałaś pytanie? Dlaczego trzymamy cię w klatce jak zwierzę? Dlaczego musisz przez to przechodzić? Czy doszłaś już do rozwiązania, Merete, czy mamy cię znów ukarać? Jak będzie? Prezent urodzinowy czy kara?

– Podajcie mi jakiś trop! – krzyknęła.

– W ogóle nie zrozumiałaś zabawy, Merete. Musisz to zrobić sama. Teraz podamy ci wiadra, więc masz chwilę, by pomyśleć, dlaczego tu jesteś. Zapakowaliśmy drobny podarek dla ciebie, mamy nadzieję, że ci się przyda. Nie

masz zbyt dużo czasu na odpowiedź.

Wtedy po raz pierwszy usłyszała w głosie prawdziwego człowieka. To nie była młoda kobieta, o nie. W głosie słyhać było artykulację, która świadczyła o starannym wykształceniu zdobytym dawno temu. Zbyt głęboko wymawiane samogłoski.

– To nie jest żadna zabawa – zaprotestowała. – Porwaliście mnie i uwięziliście. Czego chcecie? Chodzi wam o pieniądze? Nie wiem, jak mam wam pomóc wydobyć pieniądze z funduszu, skoro siedzę tutaj! Nie rozumiecie tego?

– Posłuchaj, moja droga – powiedziała kobieta. – Gdyby chodziło o pieniądze, to wszystko potoczyłoby się inaczej, nie sądzisz?

Rozległ się gwizd od strony śluzy i pojawiło się pierwsze wiadro. Chwyła je, głowiąc się przy tym niemiłosiernie, co można by jeszcze powiedzieć, by zyskać więcej czasu.

– Nie zrobiłam w życiu nic złego, nie zasługuję na to, rozumiecie?

Znow rozległ się gwizd i przez śluzę wjechało drugie wiadro.

– Zbliżasz się do sedna, głupia dziewucho. Owszem, stanowczo na to zasługujesz.

Chciała zaprotestować, ale kobieta ją powstrzymała.

– Nie mów nic więcej, Merete, nie pomogłaś sobie. Zajrzyj za to do wiadra. Czy nie cieszysz się z prezentu?

Merete wolno odsunęła pokrywę, jakby miał tam czyhać wąż kobra z napiętą skórą na karku, gotowy do ataku. Ale to, co zobaczyła, było gorsze.

To była latarka.

– Dobranoc, Merete. Śpij dobrze. Zwiększamy ci ciśnienie o jedną atmosferę. Ciekawe, czy wpłynie to jakoś na twoją pamięć.

Wpierw pojawił się gwizd od strony śluzy i zapach z zewnątrz. Perfumy i wspomnienie słońca.

Później wróciła ciemność.

2007

Kopiarka z CBD, Centralnego Biura Dochodzeniowego, jak nazywała się nowa grupa wyjazdowa Komendy Głównej Policji, była nowiutka i tylko wypożyczona. Najlepszy dowód na to, że nie znali Carla, bo nie oddawał niczego, co przetransportowano już do piwnicy.

– Assad, skopiujesz wszystkie akta sprawy – powiedział, wskazując na maszynę. – Jest mi wszystko jedno, ile to potrwa, może nawet cały dzień. A kiedy skończysz, pojedziesz do Kliniki Urazów Rdzenia Kręgowego i wdrożysz w sprawę mojego starego kumpla, Hardy’ego Henningsena. Pewnie będzie traktował cię jak powietrze, ale nie przejmuj się tym. Ma pamięć jak słoń i uszy jak nietoperz. Tylko się przyłóż.

Assad studiował wszystkie symbole i przyciski na kolosie stojącym w piwnicznym korytarzu.

– Co się z tym robi? – zapytał.

– Nigdy nie robiłeś kserokopii?

– Nigdy na takim jak to, z tymi rysunkami.

Coś podobnego! I to był ten sam człowiek, który podłączył telewizor plazmowy w dziesięć minut?

– Boże święty, Assad. Popatrz, tu kładziesz oryginał i naciskasz ten guzik.

Z tym pewnie miał już do czynienia.

Automatyczna sekretarka w telefonie Baka wygłosiła zgodną z przewidywaniami tyradę, że podkomisarz kryminalny Bak nie może odebrać z powodu śledztwa w sprawie morderstwa.

Śliczna sekretarka z krzywymi zębami dorzuciła wyjaśnienie, że Bak jest wraz z kolegą w Valby, gdzie dokonują aresztowania.

– Daj mi znać, jak ten idiota się pojawi, dobrze, Lis? – poprosił, a po półgodzinie pojawił się sygnał.

Bak i jego kompan byli już w trakcie przesłuchania, gdy do pokoju wparował Carl. Facet w kajdankach wyglądał zupełnie zwyczajnie. Młody, zmęczony i potwornie przeziębiony.

– Dajcie mu wydmuchać nos – powiedział, wskazując na pokaźną smużkę spływającą w stronę jego ust. Na jego miejscu za Chiny by ich teraz nie otworzył.

– Nie rozumiesz po ludzku, Carl? – Tym razem Bak był czerwony na twarzy. Czyli jednak udało się to osiągnąć. – Musisz poczekać. I następnym razem po prostu nie będziesz przeszkadzać koledze w przesłuchaniu, zrozumiano?

– Pięć minut i zostawiam cię w spokoju, obiecuję.

Wyjaśnianie Carlowi, że za późno zabrał się do sprawy Merete Lynggaard i że głównie wie, zajęło Bakowi pół godziny. Ale ten pajac sam się o to prosił. Po diabła te wszystkie ceregiele?

Carl przynajmniej otrzymał numer telefonu do Karen Mortensen, emerytowanej opiekunki sprawy Uffego z gminy Stevns. Tak, i jeszcze numer do generalnego inspektora policji Claesa Damsgaarda, który wtedy nadzorował śledztwo lotnej brygady. Teraz znajduje się w okręgu Zelandii Środkowej i Zachodniej, jak to ujął Bak. Czemu nie można powiedzieć po prostu, że facet pracuje w Roskilde?

Drugi z szefów brygady, który prowadził dochodzenie, już nie żył. Wytrzymał tylko dwa lata po przejściu na emeryturę. Takie były emerytalne realia wegetacji policjantów w Danii.

To się nadawało do Księgi rekordów Guinnessa.

Generalny inspektor policji Claes Damsgaard był ulepiony z zupełnie innej gliny niż Bak. Przyjacielski, otwarty, życzliwy. Tak, słyszał o Departamencie Q, i tak, wiedział doskonale, kim jest Carl Mørck. Czy to nie on rozwikłał zagadkę tej dziewczynki utopionej w dzielnicy Femøren i ten straszny przypadek staruszki wypchniętej przez okno w północno-zachodniej Kopenhadze? Owszem, znał Carla bardzo dobrze ze słyszenia. Nie da się przeoczyć zasług tak dobrych policjantów. Jest oczywiście mile widziany w Roskilde, jeśli chce otrzymać informacje. Sprawa Lynggaard była bardzo przykra, więc jeśli mógłby pomóc, to oczywiście może się zgłosić.

Fajny gość – zdążył pomyśleć Carl, zanim dowiedział się, że musi poczekać trzy tygodnie, bo właśnie wybiera się z żoną na Seszele w towarzystwie córki i zięcia. A trzeba się spieszyć, zanim woda z topniejących lodowców zaleje wyspy – dodał ze śmiechem.

– Jak leci? – spytał Carl Assada, próbując ogarnąć wzrokiem bezmiar kserówek leżących przy ścianie w schludnych kupkach ciągnących się aż do schodów. Czy w tej sprawie było naprawdę aż tyle akt?

– Przepraszam, że to zajmuje takie długie godziny, Carl, ale najgorsze są te tygodniki.

Spojrzał na stosy jeszcze raz.

– Kopiujesz całe gazety?

Assad przekrzywił głowę jak szczeniak, który zastanawia się, czy nie czmychnąć. Boże święty.

– Posłuchaj, Assad. Masz kopiować tylko te strony, które są związane ze sprawą. Odnoszę wrażenie, że Hardy'emu jest całkowicie obojętne, który książkę ustrzelił którego bażanta na polowaniu w Smørumbavelse, kopujesz?

– Kto ustrzelił kogo?

– Nieważne, Assad. Trzymaj się po prostu sprawy i wyrzuć te strony, które

się do niej nie odnoszą. Dobrze sobie radzisz.

Zostawił Assada z hałasującą maszyną, by zadzwonić do emerytowanej urzędniczki z gminy Stevns, która zajmowała się sprawą Uffego. Może zauważyła coś, co mogłoby im pomóc w dalszym śledztwie.

Karen Mortensen sprawiała wrażenie sympatycznej. Niemal ją widział, siedzącą w fotelu bujanym i robiącą na szydełku kapturki do imbryków. Dźwięk jej głosu pasowałby doskonale do tykania stojącego bornholmskiego zegara. Właściwie to czuł się, jakby dzwonił do rodziny z Brønderslev.

Jednak już przy kolejnym zdaniu zrozumiał swoją pomyłkę. W duchu była nadal urzędniczką państwową. Wilk w owczej skórze.

– Nie wolno mi wypowiadać się o sprawie Uffego Lynggaarda ani o innych sprawach. Musi się pan zwrócić do Wydziału Zdrowia gminy Store Heddinge.

– Już to zrobiłem. Proszę posłuchać, pani Mortensen, próbuję się jedynie dowiedzieć, co się stało z siostrą Uffego.

– Uffe został oczyszczony z wszystkich zarzutów – warknęła.

– Tak, tak, wiem, to było słuszne. Ale być może Uffe wie coś, co jeszcze nie zostało ujawnione.

– Jego siostra nie żyje, więc jaki z tego może być pożytek? Uffe nie wypowiedział ani słowa, więc nie może się przydać.

– Gdybym przyjechał, mógłbym zadać pani kilka pytań?

– Nie, jeśli będą dotyczyły Uffego.

– Zupełnie tego nie rozumiem. Gdy rozmawiałem z ludźmi, którzy znali Merete Lynggaard, zawsze mówili o pani z dużym uznaniem. Że ona i jej brat zginęliby bez pani troskliwej, fachowej opieki.

Chciała coś powiedzieć, ale nie dopuścił jej do głosu.

– Dlaczego zatem nie chce pani przynajmniej stanąć w obronie reputacji Merete, kiedy ona sama nie może tego zrobić? Wie pani przecież, jak powszechne jest przekonanie, że popełniła samobójstwo. A jeśli tak nie było?

Po drugiej stronie linii dał się słyszeć tylko stłumiony dźwięk radia. Nadal smakowała zwrot „mówili o pani z dużym uznaniem”. Było co trawić.

Zajęło jej to dziesięć sekund.

– O ile wiem, Merete Lynggaard nikomu nie wspominała o Uffem. Tylko my w opiece społecznej wiedzieliśmy o jego istnieniu – powiedziała, ale jej głos zdradzał obiecującą niepewność.

– Ma pani oczywiście rację, tak to miało z grubsza wyglądać. Ale w tle byli też inni członkowie rodziny. Zdaje się, że z Jutlandii, ale przecież byli. – Zrobił pauzę, by się zastanowić, jakich członków rodziny miałby teraz wymyślić, gdyby zaczęła drażnić. Ale Karen Mortensen połknęła już haczyk, czuł to. – Czy w tamtym czasie to pani osobiście sprawowała pieczę nad Uffem? – zapytał.

– Nie, nasz kurator. Ale zajmowałam się tą sprawą przez całe lata.

– Czy odniosła pani wrażenie, że stan Uffego pogarsza się z upływem czasu? Zawahała się. Była bliska wycofania się, więc musiał mocno ją trzymać.

– Pytam, bo wydaje mi się, że teraz istnieje możliwość porozumienia się z nim, ale mogę się mylić – ciągnął.

W jej głosie słychać było zdumienie.

– Czyli spotkał się pan z Uffem.

– Tak, oczywiście. Czarujący młody człowiek. Można dać się zwieść tym jego uśmiechem. Nie sposób się zorientować, że coś z nim jest nie tak.

– To prawda, wiele osób przed panem miało takie wrażenie. Ale tak to często wygląda u osób z uszkodzeniem mózgu. To zasługa Merete, że nie pogrzyżył się całkiem w swoim świecie.

– Sądzi pani, że było takie zagrożenie?

– Oczywiście, ale to prawda, że potrafił mieć bardzo żywą twarz. I nie, nie sądzę, by jego stan się z czasem pogorszył.

– Czy myśli pani, że w ogóle zrozumiał, co się stało z jego siostrą?

– Nie, nie wydaje mi się.

– Czy to nie dziwne? Chodzi mi o to, że potrafił przecież reagować, jeśli nie przychodziła na czas do domu. Mam na myśli to, że płakał.

– Jeśli chce pan znać moje zdanie, to nie sądzę, by widział, jak ona wpada do wody. Nie wydaje mi się. Wpadłby w histerię i, moim zdaniem, rzuciłby się za nią. A jeśli chodzi o jego osobistą reakcję, to włącząc się przez wiele dni po Femern, miał przecież czas na płacz, daremne poszukiwania i poczucie zagubienia. Gdy go znaleźli, zostały w nim już tylko podstawowe potrzeby. Chodzi mi o to, że stracił ze trzy, cztery kilo i prawdopodobnie nic nie jadł i nie pił od czasu, gdy zszedł z pokładu.

– Ale może stało się tak, że zepchnął siostrę do wody i dotarło do niego, że zrobił coś złego.

– Wie pan co, panie Mørck! Przewidywałam, że w tym kierunku pan zmierza! – Poczul, jak siedzący w niej wilk szczyrzy zęby. Należało uważać. – Ale zamiast rzucić słuchawką, na co mam olbrzymią ochotę, opowiem panu krótką historię. Niech pan ją sobie przemyśli.

Przycisnęła mocniej słuchawkę do ucha.

– Wie pan, że Uffe widział, jak zginęli jego rodzice? – spytała.

– Tak.

– Uważam, że Uffe od tego czasu trwał w zawieszaniu. Nic nie mogło zastąpić więzi, jaka łączyła go z rodzicami. Merete próbowała, ale nie była jego mamą ani tatą. Była starszą siostrą, z którą się kiedyś bawił, i tak już pozostało. Kiedy płakał, że jej nie ma, to nie z powodu utraty poczucia bezpieczeństwa, ale rozczarowania, że zawiodła go towarzyszka zabaw. W duszy był ciągle chłopcem, który czeka na pojawienie się rodziców. Jeśli chodzi o Merete, to wszystkie dzieci

po pewnym czasie godzą się z utratą towarzysza zabaw. A teraz czas na historię.

– Słucham.

– Któregoś dnia byłam u nich. Przyszłam bez zapowiedzi, co się zwykle nie zdarzało, ale byłam w okolicy i postanowiłam zajrzeć na chwilę. Weszłam więc na posesję od strony ogrodu i zauważyłam, że nie ma samochodu Merete. Wróciła dosłownie parę minut później, wyszła tylko do sklepu przy skrzyżowaniu. Wówczas jeszcze ten sklep tam był.

– Sklep w Magleby?

– Tak. I gdy tak stałam na dróżce w ogrodzie, usłyszałam jakby ciche gaworzenie dobiegające z pokoju wychodzącego na ogród. Brzmiało jak głos dziecka, ale nim nie było. Zdałam sobie sprawę, że to Uffe, dopiero gdy przed nim stanęłam. Siedział przy kupce żwiru na tarasie i mówił do siebie. Nie rozróżniałam słów, o ile to w ogóle były słowa. Ale rozumiałam, co robi.

– Zobaczył panią?

– Tak, natychmiast, ale nie zdążył zasłonić tego, co zbudował.

– To znaczy?

– To była bruzda, którą zrobił w żwirze na posadzce tarasu. Po obu stronach tej bruzdy położył gałązki, a w środku do góry nogami mały drewniany klocek.

– Tak?

– Nie rozumie pan, co on robił?

– Staram się.

– Żwir i kamienie przedstawiały drogę i drzewa. Klocek to samochód jego rodziców. Uffe rekonstruował wypadek.

A niech to!

– Okej... I nie chciał, żeby pani go zobaczyła?

– Zniszczył to wszystko jednym ruchem ręki. Właśnie to mnie przekonało.

– O czym?

– Że Uffe pamięta.

Na chwilę zapadła między nimi cisza. Radio w tle ryknęło nagle, jakby ktoś maksymalnie podkręcił w nim głośność.

– Opowiedziała pani o tym Merete Lynggaard, gdy wróciła? – zapytał.

– Tak, ale uważała, że to nadinterpretacja. Że często siadał i bawił się sam przedmiotami, które przez przypadek trafiły mu w ręce. Że go przestraszyłam i dlatego zareagował tak, jak zareagował.

– Powiedziała jej pani o swoim wrażeniu, że on poczuł się przyłapany?

– Tak, ale uważała, że po prostu się przestraszył.

– Ale pani tak nie uważała?

– Owszem, przestraszył się, ale to nie wszystko.

– Czyli Uffe rozumie więcej, niż sądzimy?

– Nie wiem. Wiem tylko, że pamięta wypadek. Może to jedyna rzecz, którą

faktycznie pamięta. Nie jest wcale pewne, czy w ogóle pamięta swoją siostrę.

– Nie sprawdzano tego w związku ze zniknięciem Merete?

– Z Uffem było trudno. Próbowałam pomóc policji, by trochę go otworzyć, gdy siedział w areszcie. Chciałam, by sobie przypomniął, co zdarzyło się na promie. Powiesiliśmy zdjęcia pokładu statku na ścianie i umieściliśmy malutkie postaci ludzi oraz miniaturowy model promu na stole obok balii wypełnionej wodą, żeby mógł się tym bawić. Siedziałam, obserwując go z ukrycia wraz z jednym z psychologów, ale nie bawił się modelem statku.

– Nie pamiętał tego, mimo że minęło zaledwie parę dni?

– Nie mam pojęcia.

– Bardzo bym chciał znaleźć tunel do pamięci Uffego. Choćby do jakiegoś drobiazgu, który pomógłby zrozumieć, co wydarzyło się na promie, tak żebym miał jakiś dalszy trop.

– Rozumiem.

– Opowiedziała pani policji o epizodzie z drewnianym klokiem?

– Tak, opowiedziałam to komuś z lotnej brygady. Jakiemuś Børgemu Bakowi.

Czy Bak miał naprawdę na imię Børge? To by wiele wyjaśniało².

– Świetnie go znam. Ale zdaje mi się, że nie widziałem nic na ten temat w jego sprawozdaniu. Czy może mi to pani wyjaśnić?

– Nie wiem, ale później nie wdawaliśmy się już w szczegóły. Może jest coś o tym w raporcie sporządzonym przez psychologów i psychiatrów, ale nigdy go nie czytałam.

– Zgaduję, że pewnie znajduje się w Egely, gdzie umieszczono Uffego.

– Pewnie tak, ale nie wydaje mi się, żeby wniósł coś do wizerunku Uffego. Większość uważała, tak jak zresztą i ja, że epizod z drewnianym klokiem został spowodowany przypadkowo i że w gruncie rzeczy Uffe nic nie pamięta, więc w sprawie Merete Lynggaard nie osiągnie się nic więcej poprzez naciskanie na niego.

– I wtedy zwolniono go z aresztu.

– Właśnie.

2007

– Nie wiem, do cholery, co mamy teraz robić, Marcus. – Zastępca posłał mu spojrzenie, jakby właśnie usłyszał, że spłonął jego dom.

– I jesteś pewien, że dziennikarze nie wolą rozmawiać ze mną albo z rzecznikiem? – zapytał szef Wydziału Zabójstw.

– Prosimi wyraźnie o możliwość przeprowadzenia wywiadu z Carlem. Gadali z Piv Vestergård, a ona odesłała ich do niego.

– Dlaczego nie powiedziałeś, że jest chory albo że wyjechał służbowo, albo że nie chce? Cokolwiek! Nie możemy go przecież wpędzić w pułapkę. Dziennikarze z telewizji dobiorą mu się do skóry.

– Wiem o tym.

– Lars, musimy go nakłonić, żeby odmówił.

– Z tym zadaniem na pewno poradzisz sobie lepiej niż ja.

Nie minęło dziesięć minut, a Carl Mørck stał w jego drzwiach, zręcząc.

– Jak tam, Carl – zagaił szef. – Robisz postępy?

Wzruszył ramionami.

– Musisz wiedzieć, że Bak nie ma zielonego pojęcia o sprawie Lynggaard.

– Coś takiego. Dziwne. Ale ty masz?

Carl wsunął się do pokoju i opadł na krzesło.

– Nie spodziewaj się cudów.

– Czyli nie masz dużo do powiedzenia o tej sprawie.

– Jeszcze nie.

– Czyli mogę powiedzieć ludziom z dziennika telewizyjnego, że jest za wcześnie, by robić z tobą wywiad?

– Nie mam, do diabła, zamiaru dawać im wywiadu.

W tym momencie Marcus poczuł, jak wyczekiwana ulga znajduje ujście w być może zbyt szerokim uśmiechu.

– Rozumiem, Carl. Gdy człowiek jest w trakcie dochodzenia, to chce mieć spokój. My, zajmujący się bieżącymi sprawami, musimy to robić ze względu na obowiązek wobec społeczeństwa, ale stare sprawy, takie jak twoja, powinno się prowadzić w spokoju. Przekażę to, Carl. W porządku.

– Czy mógłbyś dopilnować, żeby przesłano mi na dół kopie papierów związanych z zatrudnieniem Assada?

Ma być do tego sekretarką swoich podwładnych?

– Oczywiście, Carl – powiedział. – Poproszę o to Larsa. Jesteś zadowolony z tego człowieka?

- Okaże się. Ale na razie tak.
- I nie angażujesz go w dochodzenie? Wybacz, że pytam.
- Wybaczam. – W tej chwili pojawił się jeden z rzadkich uśmiechów Carla.
- Czyli uczestniczy w dochodzeniu?
- Och, no wiesz, w tej chwili Assad jest u Hardy’ego w Hornbæk i wtajemnicza go w niektóre dokumenty, które skopiował. Chyba nie masz nic przeciwko? Wiesz przecież, że czasami potrafi nas wszystkich zakasować. No i będzie miał się czym zająć.
- Jasne, nie możemy mieć nic przeciwko temu. – Taką przynajmniej miał nadzieję. – A co na to sam Hardy?
- Carl wzruszył ramionami.
- Czyli tak, jak Marcus się spodziewał. Smutne.
- Skinęli do siebie głowami. Seans skończony.
- Aha – powiedział Carl, stojąc w drzwiach. – Jak będą robić z tobą wywiad dla dziennika zamiast ze mną, nie wspominaj, że jest nas w wydziale tylko półtora człowieka. Assadowi byłoby przykro, gdyby to zobaczył. No i tym, którzy przeznaczyci na to pieniądze.
- Miał rację. Że też musieli się wkopać w ten cholerny układ.
- No i jeszcze jedna rzecz, Marcus.
- Przyjrzał się lisiej minie Carla, unosząc brwi. Co jeszcze?
- Następnym razem, jak zobaczysz panią psycholog, powiedz jej, że Carl Mørck potrzebuje pomocy.
- Marcus spojrział na swojego cierpiącego podwładnego. Nie sprawiał wrażenia, jakby był bliski załamania. Uśmiech na jego twarzy niezbyt współgrał z powagą tematu.
- Prześladowają mnie myśli związane ze śmiercią Ankera. Może dlatego, że tak często widuję się z Hardym. Psycholog musi mi powiedzieć, co mam robić.

2007

Następnego dnia wszyscy nadawali Carlowi o telewizyjnym wystąpieniu Marcusa Jacobsena. Ci, z którymi jeździł kolejką podmiejską, ludzie z Wydziału Interwencyjnego i wszyscy z drugiego piętra, którzy w ogóle raczyli z nim rozmawiać. Wszyscy to oglądali. Jediną osobą, która nie widziała wystąpienia, był Carl.

– Gratuluję! – krzyknęła za nim przez ulicę jedna z sekretarek, podczas gdy inni mijali go bez słowa. To było bardzo dziwne.

Gdy wsadził głowę do biura Assada o wielkości pudełka na buty, powitał go tam z miejsca nokautujący uśmiech. Czyli Assad też był dobrze zorientowany.

– Czy jesteś teraz zadowolony? – zapytał Assad i od razu pokiwał za Carla głową.

– Z czego?

– Oj! Marcus Jacobsen mówił tak dobrze o naszym wydziale i o tobie. Musisz wiedzieć, że same piękne słowa od początku do końca. Moja żona też mówi, że możemy być dumni, my obaj. – Mrugnął do niego. Paskudny nawyk. – No i zostaniesz komisarzem policji.

– Co?!

– Spytaj sam panią Sørensen. Miałem pamiętać, by ci powiedzieć, że ma dla ciebie papiery.

Mógł sobie równie dobrze oszczędzić wysiłku, bo ciężkie kroki furii dały się już słyszeć w korytarzu.

– Gratuluję – wydusiła z siebie, uśmiechając się słodko do Assada. – To są papiery do wypełnienia. Kurs zaczyna się w poniedziałek.

– Piękna kobieta – oświadczył Assad, gdy oddaliła się, zabierając swoje stanowcze ciało. – O jakim kursie mówiła, Carl?

Westchnął.

– Nie zostaje się komisarzem, jeśli nie posiedzi się w szkolnej ławie, Assad.

Wysunął dolną wargę.

– Nie będzie cię tutaj?

Carl pokręcił głową.

– Nie mam zamiaru się stąd ruszać.

– Nie rozumiem tego.

– Zrozumiesz. Lepiej mi opowiedz, co się wydarzyło, gdy byłeś wczoraj u Hardy’ego.

Oczy Assada zrobiły się zaskakująco okrągłe.

– Nie podobało mi się to. Wielki człowiek pod kołdrą, leżący w milczeniu. Tylko twarz była odkryta, żeby ją było widać.

– Rozmawiałeś z nim?

Kiwnął głową.

– Nie było tak łatwo, bo powiedział, że mam sobie iść. I wtedy przyszła pielęgniarka, która chciała mnie wyrzucić za drzwi. Ale było w porządku. Na swój sposób była naprawdę miła. – Uśmiechnął się. – Wydaje mi się, że zwróciła na mnie uwagę, bo przyszła drugi raz.

Carl spojrział na niego tępo. Czasami myśl o ucieczce do Timbaktu brała nad nim górę.

– Hardy! Pytałem o Hardy’ego, Assad! Co mówił? Czytałeś mu na głos jakieś ksera?

– Tak, przez dwie i pół godziny, ale zasnął.

– I?

– No i spał.

Carl wysłał wiadomość z mózgu do rąk, że uduszenie tego osobnika wciąż jest nielegalne.

Assad się uśmiechnął.

– Ale jeszcze tam pójde. Pielęgniarka bardzo ładnie mnie pożegnała, gdy wychodziłem.

Carl ponownie przełknął ślinę.

– Ponieważ tak dobrze radzisz sobie z tymi wszystkimi babskami, idź, proszę, na górę i jeszcze raz im się podliż.

Assad wyraźnie się ożywił. To lepsze niż łożenie w gumowych rękawiczkach – zdawał się mówić.

Carl posiedział przez chwilę, gapiąc się w próżnię. Po głowie tłukła mu się przez cały czas rozmowa telefoniczna z Karen Mortensen, opiekunką społeczną ze Stevens. Czy do świadomości Uffego prowadził jakiś tunel? Czy można go otworzyć? Czy na jego końcu jest wyjaśnienie zagadki zniknięcia Merete Lynggaard? Czy wystarczyło tylko nacisnąć na odpowiedni guzik? I czy można posłużyć się wypadkiem samochodowym, by ten guzik odnaleźć? Zdobyć tej wiedzy stawało się wręcz koniecznością.

Zatrzymał swojego asystenta w drzwiach.

– Assad, jeszcze jedno. Potrzebuję wszystkich informacji na temat wypadku samochodowego, w którym zginęli rodzice Merete i Uffego. Wszystko, co znajdziesz. Cały majdan. Zdjęcia, raport patrolu, który przyjechał do wypadku, wycinki z gazet. Niech ci pomogą sekretarki. Na jednej nodze.

– Nodze?

– To znaczy szybko, Assad. Jest taki facet o imieniu Uffe, z którym bardzo bym chciał porozmawiać o tym wypadku.

– Porozmawiać? – wymamrotał Assad, sprawiając wrażenie zadumanego.

Był umówiony w przerwie na lunch, choć chętnie by to sobie odpuścił. Vigga nękała go cały wczorajszy wieczór, żeby wybrał się obejrzeć jej cudowną galerię. Mieściła się na Nansensgade, w nie najgorszym miejscu na ziemi, za to kosztowała okrągłą sumkę. Nic nie było w stanie zmusić Carla, by wykrzesał z siebie entuzjazm na myśl o opróżnieniu wszystkich kieszeni, aby pacykarz o imieniu Hugin wystawiał swoje bohomyzy obok malowideł jaskiniowych Viggi.

W holu spostrzegł Marcusa Jacobsena. Szedł w jego stronę szybkim krokiem, ze wzrokiem utkwionym w posadzce upstrzonej wzorami przypominającymi swastyki. Wiedział doskonale, że Carl z niego kpił. Nikt w Komendzie Głównej Policji nie dorównywał Marcusowi Jacobsenowi spostrzegawczością. Nie było po nim tego widać, ale taka była prawda. Nie przypadkiem został ich szefem.

– Słyszałem, że mnie chwaliłeś, Marcus. Powiedziałaś dziennikarzowi, że ile już spraw przerobiliśmy w Departamencie Q? I jeszcze to, że w jednej z nich jesteśmy bliscy przełomu? Nie masz pojęcia, jak się ucieszyłem na te słowa. To naprawdę dobre wieści!

Szef Wydziału Zabójstw popatrzył mu prosto w oczy. Ten rodzaj spojrzenia miał wzbudzać respekt. Jasne, wiedział, że przesadził. Wiedział też dlaczego. Hierarchia przede wszystkim. Pieniądze były środkiem. Cel miał zdefiniować szef Wydziału Zabójstw.

– No – powiedział Carl. – Muszę lecieć, jeśli mam zdążyć z rozwiązaniem paru spraw jeszcze przed lunchem.

Doszedłszy do drzwi prowadzących na zewnątrz, odwrócił się.

– Marcus, o ile awansowałem? – krzyknął, gdy szef Wydziału Zabójstw zniknął za krzesłami stojącymi wzdłuż ściany. – A przy okazji, Marcus. Rozmawiałaś już z tą psycholog?

Wyszedł prosto w światło i stał przez chwilę, mrużąc oczy w słońcu. Nikt nie będzie decydować, ile belek mu wrzucą na pagony munduru galowego. Na ile Carl znał Vigę, wiedziała, że kroi mu się awans, więc podwyżka została już pochłonięta. Komu, do cholery, chciałoby się iść w takiej sytuacji na kurs?

Lokal, który wypatrzyła, mieścił niegdyś sklep z bielizną, wydawnictwo, zakład graficzny, firmę zajmującą się importem dzieł sztuki, a ostatnio sklep z płytami CD. Obecnie z pierwotnego wystroju pozostał tylko opalizujący szklany sufit. Lokal miał najwyżej trzydzieści pięć metrów kwadratowych, ale zdaniem Carla także pewien urok. Duże okna od strony jezior Søerne, widok na pizzerię, zieleń w podwórzu i bliskie sąsiedztwo restauracji Bankeråt, gdzie wstąpiła Merete Lynggaard na kilka dni przed śmiercią. Nansensgade nie była pierwszą lepszą ulicą, z tymi wszystkimi kafejkami i przytulnymi zakątkami. Prawdziwie paryska idylla.

Odwrócił się i natychmiast spostrzegł, że Vigga ze swoim facetem właśnie mija wystawę piekarni. Zawładnęła ulicą tak pewnie i zamaszyście jak matador areną. Jej artystyczny ubiór krzychał wszystkimi kolorami malarskiej palety. Vigga zawsze była zjawiskowa, czego nie można było powiedzieć o cherlawym indywiduum płci męskiej, które w obcisłym, czarnym ubraniu, z kredowobiałą skórą i cieniami pod oczami pasowało najwyżej do ołowianej trumny z filmu o Drakuli.

– Kochanie! – wykrzyknęła, przechodząc przez Ahlefeldtsgade.

Tanio nie będzie.

Zanim chuderlawe stworzenie dokonało wszystkich pomiarów, Vigga zdążyła ugłaskać Carla. Miałby płacić jedynie dwie trzecie czynszu, resztę skombinuje sama.

Zamachała rękami.

– Pieniądze będą płynąć do nas strumieniem, Carl!

Tak, albo raczej odpływać – pomyślał, wyliczając, że w jego przypadku mowa o 2600 koronach miesięcznie. Może jednak będzie musiał pójść na ten główniany kurs dla komisarzy policji.

Usiedli w Café Bankeråt, aby przejrzeć umowę. Carl rozejrzał się wokół. Była tu Merete Lynggaard. A niecałe czternaście dni później zniknęła z powierzchni ziemi.

– Kto jest obecnie właścicielem lokalu? – zapytał jedną z dziewczyn za barem.

– Jean-Yves, siedzi tam. – Wskazała na mocno zbudowanego faceta. Żadnego tam podnoszenia małego paluszka przy picu kawy czy francuskich manier.

Carl wstał i wyciągnął policyjną odznakę.

– Czy mogę spytać, jak długo jest pan właścicielem tej eleganckiej restauracji? – zapytał, okazując odznakę. Wnioskując z przyjaznego uśmiechu faceta, nie było to konieczne, ale dziadostwo trzeba było co jakiś czas przewietrzyć.

– Przejąłem interes w 2002 roku.

– Pamięta pan, kiedy dokładnie?

– A o co chodzi?

– O parlamentarzystkę Merete Lynggaard. Może pan pamięta, że zginęła?

Kiwnął głową.

– Odwiedziła tę restaurację niedługo przed śmiercią. Był pan tu wtedy?

Pokręcił głową.

– Przejąłem restaurację od przyjaciela 1 marca 2002 roku. Wypytywano go, czy ktoś z pracowników może pamiętać, z kim tu była. Tyle że nikt sobie nie przypominał. – Uśmiechnął się. – Ja bym pewnie zapamiętał, gdybym tu był.

Carl odwzajemnił uśmiech. Tak, być może. Sprawiał wrażenie bystrego.

– Zjawił się pan po prostu miesiąc za późno. Czasami tak się zdarza – odparł Carl, podając mu rękę.

W tym czasie Vigga zdążyła złożyć podpis pod wszystkimi papierami, które miała przed sobą. Zawsze była szczodra w rozdawaniu podpisów.

– Pozwól, że to przejrzę – powiedział, zabierając papiery z rąk Hugina.

Demonstracyjnie położył na stole przed sobą standardową umowę z mnóstwem zdań napisanych drobnym drukiem, ale nie mógł skupić na niej wzroku. Wszyscy ci ludzie chodzą po świecie, nie wiedząc, co im się może przydarzyć – pomyślał. Tu, w tym lokalu, siedziała Merete Lynggaard i dobrze się bawiła, wyglądając przez okno zimnego lutowego dnia w 2002 roku.

Czy oczekiwała od życia czegoś innego? Czy też już wtedy przeczuwała, że kilka dni później wpadnie w lodowate wody Bałtyku?

Gdy wrócił, Assad nadal urzędował na górze z sekretarkami, co Carlowi bardzo pasowało. Emocje wywołane spotkaniem z Viggą i błakającym się za nią upiorem wysały z niego wszystkie siły. By dojść do siebie, potrzebował usiąść z nogami na stole i zatopić się w marzeniach.

Siedział tak przez dziesięć minut, ale jego medytację zakłóciło uczucie znane doskonale wszystkim policjantom, które kobiety nazywają intuicją. Zrodzony z doświadczenia niepokój zaczął kiełkować w jego podświadomości. Przeczucie, że ciąg konkretnych zdarzeń niechybnie prowadzi do określonego rozwiązania.

Otworzył oczy i spojrzał na kartki, które przypiął magnesem do białej tablicy. Następnie podniósł się z krzesła i skreślił wpis „pracowniczka socjalna ze Stevns” z jednej z nich, więc pod „Sprawdzić” znajdowało się teraz: „Telegram – Sekretarki z Christiansborga – Świadkowie z promu Szleszwik-Holsztyn”.

W jakiś sposób telegram do Merete Lynggaard mógł mieć jednak związek z jej sekretarką. Kto w ogóle odebrał ten telegram walentynkowy w Christiansborgu? Dlaczego z taką pewnością przyjął, że zrobiła to sama Merete Lynggaard? W tamtym czasie nie było chyba parlamentarzysty, który miał tyle pracy co ona. Czyli z logicznego punktu widzenia telegram w którymś momencie musiał przejść przez ręce sekretarki. Nie żeby podejrzewał asystentkę zastępcy klubu parlamentarnego o wściubianie nosa w prywatne sprawy szefowej, ale może jednak?

Właśnie to „jednak” nie dawało mu spokoju.

– Mamy odpowiedź od TelegramsOnline, Carl – powiedział Assad od drzwi. Carl uniósł głowę.

– Nie potrafili powiedzieć, co w nim było napisane, ale zarejestrowali, od kogo był. Takie dosyć śmieszne nazwisko. – Spojrzał na kartkę. – Nazywał się Tage Baggesen. Zdoylem numer telefonu, z którego zamawiał telegram. Powiedzieli, że to gdzieś w Folketingu. Tylko tyle miałem do powiedzenia. –

Wręczył Carlowi kartkę i już szedł z powrotem. – Teraz badamy sprawę wypadku samochodowego. Czekają na mnie na górze.

Carl skinął głową. Następnie wziął kartkę i wystukał numer do Folketingu.

Głos, który usłyszał, należał do sekretarki w biurze ugrupowania Radykalne Centrum.

Była miła, ale musiała z przykrością oznajmić, że Tage Baggesen pojechał na weekend na Wyspy Owcze. Czy chciałby zostawić wiadomość?

– Nie, w porządku – powiedział Carl. – Skontaktuję się z nim osobiście w poniedziałek.

– Poinformuję zatem pana, że w poniedziałek pan Baggesen jest wyjątkowo zajęty. Muszę pana uprzedzić.

Wtedy poprosił o przełączenie go do sekretariatu Demokratów.

Tym razem telefon odebrała zupełnie inna, znużona sekretarka, która nie potrafiła odpowiedzieć na jego pytanie. Ale czy to nie Søs Norup była sekretarką Merete Lynggaard przez ostatni czas?

To akurat udało jej się potwierdzić.

Nie pamiętano jej najlepiej. Pracowała tam krótko, ale jedna z sekretarek w pokoju wtrąciła właśnie, że Søs Norup przysłała z DJØF i czmychnęła tam z powrotem, gdy przydzielono ją do biura następcy Merete Lynggaard.

– To była jędra – rozległ się nagle w tle komentarz, który najwidoczniej obudził w większości wspomnienia.

Jasne – pomyślał Carl z zadowoleniem. Najlepiej zapamiętuje się takich pocziwych, stabilnych dupków jak my.

Następnie zadzwonił do DJØF i – tak, wszyscy w sekretariacie pamiętali Søs Norup, i – nie, nie wróciła do nich. Przepadła nie wiadomo gdzie.

Odłożył słuchawkę i pokręcił głową. Nagle znalazł się w miejscu, gdzie wszystkie możliwe kierunki wskazywały „brak tropu”. Jakoś nie skakał z radości na myśl, że ma węszyć w poszukiwaniu sekretarki, która może coś pamiętać na temat telegramu i może jest w stanie wskazać konkretną osobę, która może siedziała z Merete i może wiedziała coś o stanie psychicznym, w jakim się mogła znajdować pięć lat temu. Już lepiej pójść na górę i wy badać, ile Assad oraz ich własne sekretarki zdążyli się dowiedzieć o tym pieprzonym wypadku.

Znalazł ich na górze, w jednym z bocznych gabinetów, z faksami, kserówkami i wszelkimi możliwymi papierami rozłożonymi na stole. Wyglądało to tak, jakby Assad zorganizował sztab wyborczy w kampanii prezydenckiej. Trzy sekretarki siedziały obok siebie i gawędziły, a między nimi krążył Assad, dolewając herbaty i pilnie potakując za każdym razem, gdy rozmowa posunęła się o krok. Imponujący wysiłek.

Carl zapukał ostrożnie we framugę.

– O, wygląda na to, że znaleźliście dla nas piękną dokumentację. – Wskazał

na papiery i poczuł się jak niewidzialny. Jedynie pani Sørensen zaszczyliła go spojrzeniem, ale akurat bez tego mógłby się obyć.

Cofnął się do korytarza i pierwszy raz od swoich szkolnych lat poczuł ukłucie zazdrości.

– Carl Mørck? – rozległ się za nim głos, który wyrwał go z objęć porażki i przywrócił na kurs ku chwale. – Marcus Jacobsen mówi, że chce pan ze mną porozmawiać. Czy możemy ustalić termin wizyty?

Odwrócił się i spojrzał w oczy Mony Ibsen. Termin wizyty?

Jasne, że tak, do cholery.

===Y1trX2tZYFF+T3pKfEhxRn9Nf1AXdhRmD2oGZ0cVbA5vHX4EfRY=

2003–2005

Gdy w jej trzydzieste trzecie urodziny zgasili światło i zwiększyli ciśnienie, Merete przespała całą dobę. Świadomość, że wszystko jest poza jej kontrolą i że prawdopodobnie znajduje się na prostej drodze do zagłady, zwała ją z nóg. Dopiero dzień później, gdy kolejne wiadro z głośnym świstem wytoczyło się ze śluzy, otworzyła oczy, próbując rozeznaczyć się w sytuacji.

Spojrzała w stronę iluminatorów, z których sączył się niemal niedostrzegalny blask. Czyli światło w pomieszczeniu zewnętrznym jest zapalone. Dawało tyle jasności co zapałka, ale zawsze to coś. Uniosła się na kolana, próbując zlokalizować źródło światła, ale widok za szybami był zamazany. Następnie odwróciła się i powiodła wzrokiem po pomieszczeniu. Nie ulegało wątpliwości, że obecnie jest tu wystarczająco dużo światła, by w ciągu kilku dni zdołała się do niego przyzwyczaić i zaczęła odróżniać detale pomieszczenia.

Przez chwilę cieszyła się z tego, ale zaraz powściągnęła to uczucie. Jakkolwiek słabe, to światło też można było zgasić.

To nie ona kontrolowała przełącznik.

Gdy spróbowała się podnieść, zawadziła ręką o niewielką metalową rurkę, leżącą obok niej na podłodze. To była latarka, którą jej dali. Chwyciła ją mocno, próbując ułożyć sobie wszystko w głowie. Latarka oznaczała, że w którymś momencie zgaszą to nikłe światło wpadające do pomieszczenia. Po co w przeciwnym razie dawać jej latarkę?

Przez chwilę zastanawiała się, czyby jej nie włączyć, choćby dlatego, że było to możliwe. Możliwość decydowania o czymkolwiek pozostawała poza jej zasięgiem już od jakiegoś czasu, toteż pokusa była silna. Nie zrobiła tego jednak.

– Masz oczy, Merete, niech pracują – ostrzegła sama siebie i położyła latarkę obok wiadra na nieczystości, pod iluminatorami. Gdyby zapaliła latarkę, to po jej zgaszeniu znalazłaby się w trwającej długi czas ciemności.

To by było jak picie słonej wody, by ugasić pragnienie.

Wbrew jej przewidywaniom słabe światło pozostało. Potrafiła odróżnić zarysy pomieszczenia i powolne ruchy swoich kończyn w czymś, co mogło przypominać zimowy zmierzch. Tak minęło prawie piętnaście miesięcy, aż nastąpiła radykalna zmiana.

Tego dnia po raz pierwszy zauważyła cienie za lustrzanymi szybami.

Leżała, rozmyślając o książkach. Robiła to często, nie chcąc wpędzać się w myśli o życiu, które mogłaby wieść, gdyby tylko dokonała innych wyborów. Myślenie o książkach zabierało ją do zupełnie innego świata. Już samo

wspomnienie suchego i nieregularnie szorstkiego papieru potrafiło rozpalić w niej ogień tęsknoty. Zapach odparowanej celulozy i farby drukarskiej. Tysiąc razy słała myśl do swej wymyślonej biblioteki i wybierała jedyną na świecie książkę, którą potrafiła z całą pewnością sobie przypomnieć bez konieczności dopowiadania sobie treści. Nie tę, którą chciała zapamiętać, nie tę, która wywarła na niej największe wrażenie, lecz jedyną książkę, która dzięki miłym wspomnieniom o oswojadzających wybuchach śmiechu ostała się bez szwanku w jej zmaltretowanej pamięci.

Czytała ją na głos mama, Merete czytała ją Uffemu, a teraz siedziała w mroku, usiłując przeczytać ją sobie samej. Mały filozofujący niedźwiadek o imieniu Kubuś był jej ostatnią deską ratunku, jej ochroną przed szaleństwem. On i wszystkie zwierzęta ze Stumilowego Lasu. Znajdowała się daleko, w krainie miodu, gdy nagle ciemna plama przysłoniła nieokreślone światło wpadające przez lustrzane szyby.

Otworzyła szeroko oczy i wciągnęła powietrze głęboko do płuc. Ten ruch nie był przywidzeniem. Po raz pierwszy od długiego czasu poczuła, jak jej skóra robi się lepka. Na szkolnym boisku, w ciemnych i cichych zaułkach dalekich miast, w pierwszych dniach spędzonych w Folketingu. Tę lepkość odczuwała zawsze w obecności osoby mogącej ją skrzywdzić. Osoby, która stała i obserwowała ją z ukrycia.

Ten cień źle mi życzy – pomyślała i objęła się ramionami, wpatrując się w plamę, która powoli powiększała się na jednej z szyb i w końcu się zatrzymała. Cień rysował się w obrębie szyby, jakby należał do kogoś siedzącego na wysokim krześle.

Widzą mnie? – zastanawiała się, zerkając na krótszą ścianę za sobą. Owszem, biała powierzchnia ściany była wyraźnie widoczna, tak wyraźnie, że dało się ją zobaczyć także z zewnątrz.

Czyli ją też widzieli.

Zaledwie kilka godzin wcześniej dostała wiadro z jedzeniem. Znała rytm dzięki swemu ciału. Wszystko przebiegało całkiem regularnie, dzień po dniu. Minie wiele, wiele godzin, nim pojawi się kolejne wiadro. Dlaczego tam byli? Czego chcieli?

Podniosła się powolutku i ruszyła w kierunku lustrzanej szyby, ale cień nie drgnął nawet o milimetr.

Następnie położyła dłoń na szybie, na cieniu, i czekała, obserwując swoje zamazane odbicie. Stała tak, aż ogarnęło ją przeświadczenie, że jej zdolność oceny może być zaburzona. Cienie albo i nie. To mogło być cokolwiek. Dlaczego ktoś miałby stać za szybą, przecież nigdy przedtem tego nie robił?

– Niech was diabli! – krzyknęła, aż poczuła, jak przez jej ciało przechodzi prąd wzbudzony silnym echem.

Wtedy to się stało. Cień za szybą wyraźnie się poruszył. Troszkę w bok, a potem w tył. Im dalej był od szyby, tym stawał się mniejszy i mniej wyraźny.

– Wiem, że tam jesteście! – krzyknęła i poczuła, jak jej wilgotna skóra błyskawicznie robi się chłodna. Jej usta i skóra na twarzy drżały. – Trzymajcie się z daleka! – syknęła w kierunku szyb.

Ale cień pozostał na swoim miejscu.

Usiadła więc na podłodze i ukryła twarz w ramionach. Jej ubranie mocno śmierdziało stęchlizną. Miała na sobie tę samą bluzkę od trzech lat.

Szare światło paliło się przez cały czas, dzień i noc. Było to lepsze niż całkowita ciemność czy bezustanna jasność. W tej szarej nicości zawierała się możliwość wyboru. Można było odwrócić wzrok od światła albo od mroku. Już nie musiała zamykać oczu, żeby się skoncentrować, lecz pozwalała, by mózg sam zdecydował, w jaki sposób chce odpocząć.

Poza tym w szarym świetle kryły się niuanse. Prawie jak w świecie na zewnątrz, w którym mogło panować zimowe światło, lutowy zmrok, październikowa szaruga, mglistość deszczowego dnia, bezchmurne niebo i tysiąc innych barw. Tutaj jej paleta składała się wyłącznie z czerni i bieli, więc mieszała je wedle uznania. Dopóki to światło było jej płótnem, nie była zdana na ich łaskę.

Uffe, Kubuś Puchatek, Don Kiszot, Dama Kameliowa i Smilla w labiryntach śniegu przemykali w jej głowie, pozwalając zapomnieć o życiu i cieniach za szybą. O wiele łatwiej było tak czekać na dalsze posunięcie ze strony jej strażników. I tak się pojawiają, bez względu na wszystko.

Pojawianie się cienia za lustrzanymi szybami stało się codziennością. Jakiś czas po jedzeniu za jedną z szyb rysowała się plama. Nigdy nie zawodziła. Przez pierwszych parę tygodni mała i niewyraźna, z czasem ostrzejsza i większa. Zbliżała się.

Merete wiedziała, że ci z zewnątrz widzą ją zupełnie wyraźnie. Któregoś dnia skierują na nią reflektor i zażądają, by się przygotowała. Można było się domyślać, co te potwory za szybą będą z tego miały, ale nie interesowało jej to.

Gdy zbliżały się jej trzydzieste piąte urodziny, nagle za szybą poruszył się kolejny cień. Był trochę większy, nie tak ostry i sięgał nieco wyżej niż ten pierwszy.

Za tym pierwszym człowiekiem stoi drugi – pomyślała, czując nowy rodzaj strachu. Spowodowany był świadomością, że znalazła się w mniejszości, a przewaga na zewnątrz została zmanifestowana.

Przyzwyczajenie się do tej nowej sytuacji zajęło jej kilka dni, a z upływem czasu postanowiła rzucić wyzwanie swoim strażnikom.

Położyła się pod oknami, by poczekać na cienie. W tym miejscu jej nie widzieli. Przyszli ją obserwować, ale ona odmawiała spełnienia ich woli. Nie wiedziała, jak długo będą czekać, aż wyjdzie z kryjówki. Właśnie na tym polegało

jej posunięcie.

Gdy drugi raz tego dnia odczuła potrzebę oddania moczu, podniosła się i spojrzała prosto w lustrzaną szybę. Jak zwykle przytłumione światło lekko migotało, ale cieni nie było.

Ten seans powtarzała przez trzy dni z rzędu. Jeśli chcą mnie zobaczyć, mogą to powiedzieć wprost – pomyślała.

Czwartego dnia się przygotowała. Położyła się pod szybami, cierpliwie przywołując w pamięci swoje książki i kurczowo ściskając w dłoni latarkę. Wypróbowała to już poprzedniej nocy – światło rozlało się po pomieszczeniu, przyprawiając ją o zawrót głowy. Ból pojawił się natychmiast. Siła światła była przytłaczająca.

Gdy nadszedł czas, w którym cienie zwykle się pojawiały, wychyliła na chwilę głowę, by spojrzeć w górę na szyby. Stali tam, w jednym z iluminatorów, jak grzyby atomowe, tym razem znacznie bliżej niż kiedykolwiek. Natychmiast ją zobaczyli, bo cofnęli się trochę, a po minucie, dwóch podeszli z powrotem.

W tym momencie wyskoczyła, zapaliła latarkę i przystawiła ją do szyby.

Refleksy odbiły się rykoszetem daleko na przeciwległą ścianę, ale odrobina światła przeniknęła przez lustrzaną szybę i zdradziecko, jak blask księżyca, rozlała się na sylwetki za szkłem, aż patrzące wprost na nią źrenice zwężyły się i znów rozszerzyły. Była przygotowana na szok, jaki w niej wywołało to przedsięwzięcie, ale nie wyobrażała sobie, z jak wielką siłą widok dwóch zamazanych twarzy wypali się w jej świadomości.

2007

Umówił się na dwa spotkania w Christiansborgu, gdzie przyjęła go chuderława kobieta, najwyraźniej już od najmłodszych lat przemierzająca te lśniące korytarze. Potrafiła poprowadzić go przez labirynt do biura wiceprzewodniczącego Demokratów ze swobodą, jakiej mógłby jej pozazdrościć ślimak w swoim domku.

Birger Larsen był doświadczonym politykiem, który zastąpił Merete Lynggaard trzy dni po jej zaginięciu. Z biegiem czasu przypadła mu rola spoiwa mającego utrzymać dostatecznie blisko dwa rywalizujące skrzydła partii. Pod tym względem zniknięcie Merete Lynggaard pozostawiło wyrwę w ugrupowaniu. Dawny przewodniczący na ślepo wyznaczył na swojego następcę szeroko uśmiechniętą kobietę o przerośniętych ambicjach, która na początek została ekspertem do spraw politycznych. Nikt nie był z tego zadowolony, nie licząc jej samej. Nie minęły dwie sekundy, a Carl już wiedział, że Birger Larsen wolałby robić karierę nawet w najmniejszym prowincjonalnym przedsiębiorstwie, niż w przyszłości podlegać tej zarozumiałej pretendentce do fotela premiera.

Z pewnością nadejdzie czas, gdy sam nie będzie mógł podejmować decyzji.

– Do dziś nie mieści mi się w głowie, żeby Merete mogła popełnić samobójstwo – powiedział, nalewając Carlowi kawy tak letniej, że można było w niej moczyć palce.

– Nie wydaje mi się, żebym spotkał tu kogoś równie żywiołowego i zadowolonego z życia jak ona. – Wzruszył ramionami. – Ale jak przyjdzie co do czego, cóż wiemy o naszych bliźnich? Czy nie wszyscy zetknęliśmy się z ludzką tragedią, której nie zdążyliśmy na czas dostrzec?

Carl kiwnął głową.

– Czy miała wrogów tu, w Christiansborgu?

Birger Larsen próbował odsłonić w uśmiechu rząd wyjątkowo nieregularnie ułożonych zębów.

– A kto, do diabła, ich nie ma? Merete była kobietą, która zagrażała przyszłości rządu, wpływom Piv Vestergård, widokom Radykalnego Centrum na fotel premiera, ba, każdemu, kto się w nim widział. Merete z pewnością by się w nim znalazła, gdyby tylko odczekała parę lat.

– Sądzi pan, że otrzymywała tutaj pogrożki?

– Och, panie Mørck, my, parlamentarzyści, jesteśmy na to za sprytni.

– Może tkwiła w jakichś osobistych układach nacechowanych zazdrością albo nienawiścią? Słyszał pan coś o tym?

– O ile wiem, Merete nie interesowała się osobistymi układami. Była

tytanem pracy. Nawet ja, który znałem ją od studiów na naukach politycznych, nie mogłem się posunąć dalej, niż ona sama sobie życzyła.

– A nie życzyła sobie?

Zęby znów pojawiły się na wierzchu.

– Chodzi panu o to, czy była oblegana? Owszem, przychodzi mi do głowy przynajmniej pięciu, dziesięciu delikwentów, którzy z chęcią poświęciliby swoje żony dla dziesięciu minut sam na sam z Merete Lynggaard.

– Może włączywszy pana? – Carl pozwolił sobie na uśmiech.

– Tak, kto by nie chciał? – W tym momencie zęby zniknęły. – Ale Merete i ja byliśmy przyjaciółmi. Znałem granice.

– Ale może inni nie znali?

– Może pan o to spytać Marianne Koch.

– Jej dawną sekretarkę? – Kiwnęli do siebie głowami. – Wie pan, dlaczego się jej pozbyła?

– Nie, w zasadzie nie wiem dlaczego. Pracowały razem przez kilka lat, ale Marianne była może zbyt kumpelsko nastawiona jak na gust Merete.

– Gdzie dziś znajdzie tę Marianne Koch?

Spojrzał ciepło.

– Tam, gdzie pana przywitała przed dziesięcioma minutami, jak sędzę.

– Jest teraz pana sekretarką? – Carl odstawił filiżankę i wskazał na drzwi. –

To ta, która tam siedzi?

Marianne Koch zupełnie nie przypominała kobiety, która go tu przyprowadziła. Niewysoka, o gęstych, kręconych czarnych włosach, roztaczała urok po drugiej stronie biurka.

– Dlaczego nie pracowała pani jako sekretarka Merete Lynggaard w okresie poprzedzającym jej zniknięcie? – zapytał po kilku słowach wstępu.

Nad jej uwodzicielskimi brwiami pojawiły się zmarszczki świadczące o namyśle.

– Ja też tego nie rozumiałam. W każdym razie nie wtedy. Byłam na nią zła, prawdę mówiąc. Ale później wyszło na jaw, że miała opóźnionego w rozwoju brata, którym się zajmowała.

– I?

– Myślałam, że ma chłopaka, bo zawsze była taka tajemnicza i tak się codziennie spieszyła do domu.

Uśmiechnął się.

– I powiedziała jej to pani?

– Tak, to było głupie, teraz to wiem. Ale sądziłam, że jesteśmy ze sobą bliżej, niż faktycznie byliśmy. W ten sposób można się wiele nauczyć. – Uśmiechnęła się gorzko, a na jej policzku pojawił się rząd dołeczków. Gdyby Assad ją spotkał, nie doszedłby już w życiu do niczego.

– Czy ktoś z Christiansborga się do niej przystawiał?
– O tak. Raz na jakiś czas wręczano jej liściki, ale tylko jeden człowiek dał się poznać na poważnie.

– Czy uchyliłaby pani rąbka tajemnicy, kto to był?

Uśmiechnęła się. Uchyliłaby niejednego rąbka, gdyby miała ochotę.

– Tak, to był Tage Baggesen.

– Okej, to nazwisko obilo mi się o uszy.

– To by go szczerze ucieszyło. Jest na stanowisku eksperta w Radykalnym Centrum od przynajmniej tysiąca lat, jak mi się zdaje.

– Mówiła pani już o tym komuś?

– Tak, policji, ale nie zainteresowało ich to.

– A panią?

Wzruszyła ramionami.

– Byli inni?

– Wielu innych, ale nic poważnego. Brała, co jej było potrzebne po drodze.

– Chodzi pani o to, że była łatwa?

– O Boże, można to tak odczytać? – Obróciła się bokiem, usiłując stłumić śmiech. – Nie, na pewno nie była. Ale trudno ją też nazwać zakonnica. Nie wiem tylko, z kim była w klasztorze, o tym mi nigdy nie opowiadała.

– Pociągali ją mężczyźni?

– W każdym razie śmiała się, gdy tabloidy sugerowały coś innego.

– Czy można założyć, że Merete Lynggaard miała powody, by zostawić za sobą przeszłość i rozpocząć nowe życie?

– Chodzi panu o to, że w tej chwili siedzi gdzieś w Bombaju i wygrzewa się w słońcu? – Wyglądała na oburzoną.

– W jakimś miejscu, gdzie życie może być mniej problematyczne, owszem. Można coś takiego założyć?

– To absurd. Ona była wyjątkowo sumienna. Wiem, że są tacy, co składają się jak domek z kart i któregoś pięknego dnia znikają, ale nie Merete. – Zamilkła i się zadumała. – Ale to miła myśl. – Uśmiechnęła się. – Że Merete mogłaby wciąż żyć.

Kiwnął głową. Po zniknięciu Merete Lynggaard sporządzono mnóstwo jej profili psychologicznych i wszystkie prowadziły do tego samego wniosku. Merete Lynggaard nie uciekła tak po prostu od swojego dotychczasowego życia. Nawet gazety plotkarskie odrzuciły tę możliwość.

– Czy słyszała pani coś o telegramie, który Merete otrzymała ostatniego dnia pobytu w Christiansborgu? – zapytał. – O walentynkowym telegramie?

Pytanie wyraźnie ją zirytowało. Najwidoczniej bardzo denerwowało ją, że nie była częścią życia Merete Lynggaard w ostatnim okresie.

– Nie. Policja już mnie o to pytała i tak jak wtedy muszę odesłać pana do Søs

Norup, która zajęła moje miejsce.

Spojrzał na nią, unosząc brwi.

– Jest pani rozgoryczona z tego powodu?

– Jasne, że jestem, a pan by nie był? Pracowałyśmy razem przez dwa lata bez żadnych problemów.

– I nie wie pani przypadkiem, gdzie dziś przebywa Søs Norup?

Wzruszyła ramionami. Nic jej to nie obchodziło.

– A ten Tage Baggesen? Gdzie go znajdę?

Naszpicowała drogę do jego gabinetu. Wyglądała na skomplikowaną.

Dotarcie do włości Tagego Baggesena z Radykalnego Centrum zajęło Carlowi aż pół godziny i nie była to przyjemna wędrówka. Nie mógł pojąć, jak, do jasnej cholery, można pracować w tak zakłamanym środowisku. Na Komendzie Głównej wiedział przynajmniej, czego może się spodziewać. Tam przyjaciele czy wrogowie nie ukrywali swoich zamiarów, no i jednak mieli wspólny cel. Tutaj było dokładnie odwrotnie. Wszyscy zachowywali się jak najlepsi przyjaciele, ale jak przyszło co do czego, każdy myślał tylko o sobie. Przede wszystkim chodziło o pieniądze i władzę, mniej o rezultaty. Tutaj wielki był człowiek, który sprawiał, że inni stawali się mali. Może nie zawsze tak było, ale do tego doszło.

Tage Baggesen nie stanowił bynajmniej wyjątku. Wyznaczono go, by bronił interesów swego odległego okręgu i polityki dotyczącej ruchu drogowego, ale jego wygląd mówił sam za siebie. Zapewnił już sobie dostatnią emeryturę, a to, co teraz wpadało do jego portfela, szło na drogie ubrania i lukratywne inwestycje. Carl spojrzał na ściany, na których wisiały rzędy dyplomów z turniejów golfowych i zdjęcia z lotu ptaka przedstawiające z dużą ostrością jego liczne działki rekreacyjne rozsiane po całym kraju.

Rozważał zadanie pytania, czy aby dobrze zrozumiał jego przynależność partyjną, ale Tage Baggesen rozbroił go przyjacielskim poklepywaniem po plecach i zapraszającymi gestami.

– Proponuję, by zamknął pan drzwi – powiedział Carl i wskazał na korytarz.

Ta uwaga sprawiła, że Tage Baggesen jowialnie zmrużył oczy. Niewinny trik pewnie doskonale się sprawdzał przy negocjacjach dotyczących autostrady w Holstebro, ale nie działał na podkomisarza kryminalnego, który zęby zjadł na akcjach typu pieprzenie w bambus.

– Nie muszę, nie mam nic do ukrycia przed moimi kolegami z partii – powiedział, rezygnując z miny.

– Słyszeliśmy, że wykazywał pan spore zainteresowanie Merete Lynggaard. Przesłał jej pan między innymi telegram. Gwoli ścisłości – telegram walentynkowy.

Jego skóra pobladła trochę, ale uśmiech świadczący o pewności siebie pozostał.

– Telegram walentynkowy? – zapytał. – Nie przypominam sobie.

Carl kiwnął głową. Kłamstwo widać było gołym okiem. Oczywiście, że pamiętał. Rysowała się więc możliwość, by się do tego dobrać.

– Kiedy prosiłem pana o zamknięcie drzwi, chodziło mi o to, żebym mógł zapytać pana wprost, czy to pan zamordował Merete Lynggaard. Był pan przecież w niej zakochany. Odrzuciła pana, a wtedy stracił pan panowanie nad sobą. Było tak?

W ciągu jednej sekundy każda komórka w mózgu Tagego Baggesena musiała rozważyć, czy ma on wstać i zatrzaskać drzwi, czy może poddać się atakowi apopleksji. Jego skóra przybrała czerwoną barwę, bliską odcieniowi jego rudych włosów. Szok i bezradność biły ze wszystkich porów. Carl przyzwyczaił się do silnych reakcji, ta jednak była specyficzna. Jeśli ten człowiek był sprawcą, to powinien od razu podpisać oświadczenie o przyznaniu się do winy. A jeśli nie, to ma coś innego na sumieniu. Carl musi być teraz ostrożny, bo facet zupełnie się zatnie. W całym swoim wyszlifowanym do perfekcji życiu Tage Baggesen nie słyszał czegoś podobnego, to jasne.

Carl spróbował się do niego uśmiechnąć. W pewien sposób ta gwałtowna reakcja miała działanie łagodzące. Wewnątrz tego wymuskanego ciała nadal znajdował się zwyczajny człowiek.

– Proszę posłuchać, panie Baggesen. Zostawiał pan Merete liściki. Wiele liścików. Mogę panu powiedzieć, że jej wcześniejsza sekretarka, Marianne Koch, z zainteresowaniem śledziła pana poczynania.

– Tutaj wszyscy piszą do wszystkich liściki. – Baggesen usiłował nonszalancko odchylić się w tył, ale odległość do oparcia krzesła była za duża.

– Czyli mówi pan, że liściki nie miały prywatnego charakteru?

W tym momencie parlamentarzysta podniósł się i cicho zamknął drzwi.

– To prawda, żywiłem gorące uczucia do Merete Lynggaard – powiedział. Wyglądał na tak autentycznie zasmuconego, że Carlowi niemal zrobiło się go żal. – Było mi bardzo ciężko pogodzić się z jej śmiercią.

– Rozumiem, postaram się streszczać.

W odpowiedzi otrzymał pełen wdzięczności uśmiech. Znowu stąpał twardo po ziemi.

– Ustaliliśmy, że posłał pan Merete Lynggaard telegram walentynkowy w lutym 2002 roku. Otrzymaliśmy tę informację dziś rano z biura nadawania telegramów.

Sprawił wrażenie zagubionego. Przeszłość dopadła go boleśnie.

Westchnął.

– Wiedziałem dobrze, że ona nie jest mną zainteresowana w tej kwestii, niestety. Wiedziałem to już od dłuższego czasu.

– Ale jednak pan próbował?

Milcząco pokiwał głową.

– Co było napisane w telegramie? Niech się pan tym razem trzyma prawdy.

Przekrzywił głowę.

– Tylko to, co zwykle. Że chciałbym ją zobaczyć. Naprawdę nie pamiętam dokładnie.

– I wtedy zabił ją pan, bo pana nie chciała?

Jego oczy zrobiły się wąskie jak szparki, zacisnął usta. Na chwilę zanim łązy zaczęły się zbierać w kącikach jego oczu, Carl był skłonny go aresztować. Wtedy Baggesen podniósł głowę i skierował na niego wzrok, nie jak na kata, który założył mu pętlę na szyję, ale jak na spowiednika, przed którym wreszcie mógł ulżyć swemu sercu.

– Kto mógłby zabić osobę, która nadaje sens jego życiu? – zapytał.

Siedzieli przez chwilę i patrzyli na siebie. Po chwili Carl opuścił wzrok.

– Wie pan, czy Merete Lynggaard miała tutaj wrogów? Nie politycznych przeciwników. Chodzi mi o prawdziwych wrogów.

Tage Baggesen otarł oczy.

– Jak wszyscy, miała wrogów, ale nie takich, jakich pan nazywa prawdziwymi.

– Nikogo, kto mógłby nastawać na jej życie?

Tage Baggesen pokręcił swą wypielęgnowaną głową.

– Bardzo by mnie to zdziwiło. Była lubiana, nawet przez swoich politycznych przeciwników.

– Mam inne zdanie. Mówi pan zatem, że nie zajmowała się kluczowymi sprawami, które mogły być dla kogoś na tyle problematyczne, by chciał ją powstrzymać za wszelką cenę? Organizacje pozarządowe, które czuły się zagrożone?

Tage Baggesen spojrział na Carla z pobłażaniem.

– Niech pan o to zapyta ludzi z jej własnej partii. Nie byliśmy w aż tak poufałych stosunkach. Wręcz przeciwnie. Ma pan jakieś konkretne informacje?

– Politycy na całym świecie są rozliczani ze swoich przekonań, prawda? Przeciwnicy aborcji, fanatyczni obrońcy praw zwierząt, antyislamiści albo odwrotnie – wszyscy oni stanowią potencjalne zagrożenie. Wystarczy spojrzeć na Szwecję, Holandię czy USA. – Wykonał ruch, jakby chciał się podnieść i spostrzegł, jak ulga rozchodzi się po ciele siedzącego naprzeciw niego parlamentarzysty. Nie wiadomo jednak, czy należało przykładać do tego dużą wagę. Kto by nie chciał zakończyć takiej rozmowy?

– Panie Baggesen – kontynuował Carl. – Może skontaktuje się pan ze mną, jeśli natknie się pan na coś, co powinienem wiedzieć? – Wręczył mu swoją wizytówkę. – Jeśli nie ze względu na mnie, to na siebie. Wydaje mi się, że niewielu tutaj czuło do Merete Lynggaard to samo co pan.

Faceta trafiło. Pewnie znowu popłyną łzy, jeszcze zanim Carl zamknie za sobą drzwi.

Według rejestru numerów ewidencyjnych ostatnie miejsce zamieszkania Søs Norup było identyczne z miejscem zamieszkania jej rodziców, w samym środku Frederiksberga, w kwartale, gdzie ulice nosiły nazwy ptaków. Na mosiężnej tabliczce widniał napis: „Vilhelm Norup, handlowiec i Kaja Brandt Norup, aktorka”.

Wcisnął przycisk dzwonka. Zza masywnych dębowych drzwi dobiegło go bicie zegara, do którego po chwili dołączyły słowa: „Idę już, idę”.

Człowiek, który otworzył drzwi, mógł być równie dobrze na emeryturze od ćwierćwiecza. Wnioskując z kamizelki i jedwabnej chusty zawiązanej pod szyją, jego majątek nie został jeszcze roztrwoniony. Spojrzał na Carla z niechęcią umęczonymi chorobą oczami, jakby to sama kostucha stanęła w progu.

– Kim pan jest? – zapytał bez ogródek, szykując się do zatrzęsnięcia drzwi.

Carl się przedstawił, po raz drugi w tym tygodniu wyciągnął odznakę policyjną z kieszeni i poprosił o wpuszczenie do środka.

– Czy coś się stało Søs? – zapytał inkwizytorskim tonem.

– Nie wiem. Dlaczego miałoby coś się stać? Bywa w domu?

– Nie mieszka tu już, jeśli to jej pan szuka.

– Vilhelm, kto przyszedł? – odezwał się słaby głos zza dwuskrzydłowych drzwi do salonu.

– To tylko ktoś do Søs, kochanie.

– To niech idzie gdzie indziej – dobiegło z salonu.

Handlowiec chwycił Carla za rękaw.

– Ona mieszka w Valby. Niech jej pan powie, że chcielibyśmy, by przyszła po swoje rzeczy, jeśli ma zamiar nadal żyć w taki sposób.

– W jaki sposób?

Nie odpowiedział. Dał mu tylko adres na Valhøjvej i zatrzęsł drzwi.

Na domofonie niewielkiego bloku spółdzielczego widniały tylko trzy nazwiska. Kiedyś mieszkało tu pewnie sześć rodzin, każda z czwórka, piątką dzieci. To, co w przeszłości było slumsem, teraz stało się modne. Tu, na poddaszu, Søs Norup odnalazła miłość, kobietę po czterdziestce, której sceptycyzm na widok odznaki policyjnej Carla odzwierciedlił się na mocno zaciśniętych, białych ustach.

Usta Søs Norup nie wyglądały wcale lepiej. Już przy pierwszym spojrzeniu zrozumiał, dlaczego nikt zarówno z DJØF-u, jak i z sekretariatu Christiansborga nie załamał się na wieść o jej zniknięciu. Równie negatywnej energii ze świecą by szukać.

– Merete Lynggaard była niepoważną szefową – brzmiał jej komentarz.

– Nie przykładała się do pracy? Słyszałem zupełnie inne opinie.

– Wszystko zostawiała mnie.

– To chyba powinno stanowić plus? – Spojrzał na nią. Wyglądała na kobietę, którą trzymano zawsze na krótkiej smyczy i która tego nienawidziła. Hurtownik Norup i jego pewnie słynna niegdyś żona musieli ją nauczyć, co znaczy mores i dyscyplina. Ciężki los dla jedynaczki wpatrzonych w rodziców jak w święty obrazek. Doszło z pewnością do tego, że nienawidziła ich, a zarazem kochała. Pewnie właśnie dlatego przez całe dorosłe życie wyprowadzała się z rodzinnego domu i wprowadzała z powrotem.

Spojrzał na jej przyjaciółkę, która siedziała w luźnych ciuchach z zapalonym papierosem w kąciu ust i pilnowała, żeby ten policjant nikogo nie zdenerwował. Miała dawać Søs Norup oparcie w życiu teraz i w przyszłości. To było oczywiste.

– Słyszałem, że Merete Lynggaard była z pani zadowolona.

– Aha.

– Chciałbym panią spytać o życie prywatne Merete Lynggaard. Czy istnieją jakieś przesłanki, by przypuszczać, że była w ciąży, gdy zniknęła?

Søs Norup zmarszczyła nos i odchyliła głowę do tyłu.

– W ciąży? – powiedziała to tak, jakby ten zwrot należał do tej samej kategorii co niezbyt, trąd czy dżuma.

– Nie, na pewno nie była. – Spojrzała na swą partnerkę i przewróciła oczami.

– A skąd ta pewność?

– No skąd, jak pan myśli? Jeśli była aż taka zorganizowana, jak wszyscy myślą, to nie musiałyby pożyczać ode mnie podpasek za każdym razem, gdy miała okres.

– Mówi pani, że miała okres tuż przed swoim zniknięciem?

– Tak, tydzień wcześniej. Miałyśmy okres jednocześnie przez cały czas, gdy tam pracowałam.

Skinął głową. Wiedziała, co mówi.

– A czy wie pani, czy miała kogoś?

– Pytano mnie już o to setki razy.

– Proszę mi przypomnieć.

Søs Norup wyciągnęła papierosa z paczki i stuknęła nim mocno o ławę.

– Wszyscy faceci gapili się na nią, jakby chcieli od razu rzucić ją na stół. Skąd mam wiedzieć, czy któryś z nich z nią nie kręcił?

– W raporcie jest napisane, że otrzymała telegram walentynkowy. Wiedziała pani, że jest od Tagego Baggesena?

Zapaliła papierosa i zniknęła za zasłoną błękitnego dymu.

– Nie miałam pojęcia.

– I nie wie pani, czy mieli się ku sobie?

– Czy mieli się ku sobie? To było pięć lat temu, jak pan pewnie pamięta.

Wypuściła kłęb dymu prosto w jego stronę, co zostało skwitowane przez jej partnerkę krzywym uśmiechem.

Odsunął się nieco.

– Proszę posłuchać. Za pięć minut mnie tu nie będzie. Ale przez ten czas udawajmy chociaż, że chcemy sobie pomóc nawzajem, dobra? – Spojrzał prosto na Søs Norup, która cały czas starała się ukryć niechęć do samej siebie za wrogimi spojrzeniami. – Będę mówił ci po imieniu, dobrze? Zwykle jestem na „ty” z ludźmi, z którymi dzielę fajki.

Położyła dłoń z papierosem na kolanach.

– Zadam więc pytanie, Søs. Co wiesz o wydarzeniach bezpośrednio sprzed zniknięcia Merete Lynggaard, które powinniśmy bliżej zbadać? Wymienię ich kilka, możesz mi przerwać. – Skinął do niej głową, ale bez odpowiedzi. – Rozmowy telefoniczne o charakterze prywatnym? Małe żółte karteczki pozostawiane na jej biurku? Ludzie, którzy mieli z nią do czynienia poza pracą? Pudełka czekoladek, kwiaty, nowe pierścionki na jej dłoniach? Rumieniła się, gdy się zamyślała? Czy coś się działo z jej koncentracją w trakcie ostatnich dni? – Spojrzał na siedzące naprzeciw zombie. Jej bezbarwne usta nie poruszyły się nawet o milimetr. Kolejna ślepa uliczka. – Czy jej zachowanie się zmieniło, wychodziła wcześniej do domu, wychodziła z sali obrad Folketingu, żeby porozmawiać przez komórkę na korytarzu? Przychodziła później do pracy?

Znów na nią spojrzął i z naciskiem kiwnął głową, tak jakby miało ją to przywrócić do życia.

Zaciągnęła się ostatni raz i zgmiotła papierosa w popielniczkę.

– Skończył pan? – spytała.

Westchnął. Został spławiony! Czego się zresztą spodziewał po tej krowie?

– Tak, skończyłem.

– Dobrze. – Podniosła głowę. Przez chwilę sprawiała wrażenie kobiety z pewną klasą. – Opowiedziałam policji o telegramie i o tym, że miała się z kimś spotkać w Café Bankeråt. Widziałam, jak zapisuje to w kalendarzu. Nie wiem, z kim miała się spotkać, ale w każdym razie miała zarumienione policzki.

– Kto to mógł być?

Wzruszyła ramionami.

– Tage Baggesen? – zapytał.

– Ktokolwiek. W Christiansborgu spotykała ich wielu. Był też mężczyzna w jednej z delegacji, który wyglądał na zainteresowanego. Było ich wielu.

– W jednej z delegacji?

– Niedługo zanim zniknęła.

– Pamięta pani, jak się nazywał?

– Po pięciu latach? Jasne, że nie.

– Co to była za delegacja?

Spojrzała na niego ze złością.

– Coś związanego z badaniami nad układem odpornościowym. Ale przerwał

mi pan – powiedziała. – Owszem, Merete Lynggaard dostawała też kwiaty. Nie ulegało wątpliwości, że miała z kimś dość osobisty kontakt. Nie wiem, co z czym można by tu powiązać, ale wszystko mówiłam już policji.

Carl podrapał się po karku. Gdzie to zostało zapisane?

– Komu to pani powiedziała, jeśli mogę spytać?

– Nie pamiętam.

– Czy nie był to może niejaki Børge Bak z lotnej brygady?

Skierowała ku niemu palec wskazujący. Bingo!

Pieprzony Bak. Zawsze tak niedbale sortował informacje, gdy pisał raport?

Popatrzył na koleżankę z celi Søs Norup. Nie rozdawała uśmiechów na prawo i lewo. Teraz czekała już tylko na to, aż on pójdzie.

Carl kiwnął głową do Søs Norup i się podniósł. Między wykuszami wisiały malutkie kolorowe zdjęcia portretowe oraz kilka dużych czarno-białych fotek jej rodziców z lepszych czasów. Kiedyś z pewnością byli piękni, ale trudno to było dostrzec, bo wszystkie twarze ktoś pokreślił i porysował. Zbliżył twarz do małych ramek i po ubraniach i figurze rozpoznał jedno z wielu prasowych zdjęć Merete Lynggaard. Również i jej oblicze zniknęło pod siatką rys. Søs Norup zbierała najwidoczniej wizerunki znienawidzonych ludzi. Może i on zasłużył sobie na miejsce wśród nich, jeśli tylko zada sobie trochę trudu.

Børge Bak choć raz przebywał sam w gabinecie. Jego skórzany płaszcz był zupełnie pognieciony. Niezaprzeczalny dowód, że pracował ciężko dzień i noc.

– Nie mówiłem, żebyś nie wchodził z takim rabanem, Carl? – Uderzył notatnikiem o stół i spojrzał na niego wściekle.

– Namieszałeś, Børge.

Czy to ze względu na imię, czy oskarżenie, reakcja w każdym razie nastąpiła. Na czole Baka pojawiły się liczne pionowe zmarszczki, sięgające aż do pożyczki z włosów.

– Merete Lynggaard dostała kwiaty na kilka dni przed śmiercią, a słyszałem, że to się wcześniej nie zdarzało.

– I co z tego? – Oczy Baka nie mogłyby spoglądać bardziej protekcjonalnie.

– Szukamy osoby, która dopuściła się zabójstwa, a ty nie zwróciłeś uwagi na taki fakt? Kochanek stanowiłby może sensowny trop.

– To już zostało zbadane.

– Ale nie jest ujęte w raporcie!

Z wysiłkiem wzruszył ramionami.

– Daj spokój, Carl. Musisz koniecznie wypowiadać się o pracy innych? Zasuwały tu jak wściekły, a ty siedzisz i się opieprzasz. Myślisz, że tego nie wiem? Piszę w raportach o tym, co jest ważne, i już! – powiedział, ciskając notes na biurko.

– Nie zanotowałeś, że opiekunka społeczna o nazwisku Karin Mortensen

obserwowała Uffego podczas zabawy sugerującej, że pamięta on wypadek samochodowy. Może pamiętać też coś z dnia, w którym zniknęła Merete Lynggaard, ale wygląda na to, że nie posunęliście się z tym zbyt daleko.

– Karen Mortensen. Miała na imię Karen, Carl. Sam siebie posłuchaj. I ty masz czelność przychodzić do mnie i dawać mi lekcję rzetelności?

– Czyli również jesteś świadomy, co ta informacja od Karen Mortensen mogła oznaczać?

– Oj, stul pysk. Sprawdziliśmy to, tak? Uffe nie pamiętał niczego na żaden temat. Ma poprzestawiane we łbie.

– Merete Lynggaard spotkała się z jakimś facetem kilka dni przed śmiercią. Przyszedł z delegacją, która robiła badania nad systemem immunologicznym. O tym też nic nie napisałeś.

– Nie, ale to zostało zbadane.

– Czyli wiesz, że poznała faceta i że była między nimi wyraźna chemia. Tak przynajmniej opowiedziała ci sekretarka, Søs Norup.

– Tak, kurwa. Jasne, że to wiem.

– Dlaczego nie ma o tym nic w raporcie?

– Sam nie wiem. Może dlatego, że okazało się, że facet nie żyje.

– Nie żyje?

– Tak, spłonął w wypadku samochodowym dzień po zaginięciu Merete. Nazywał się Daniel Hale – wypowiedział to z naciskiem, by Carl zwrócił uwagę na jego dobrą pamięć.

– Daniel Hale? – Søs Norup musiała zapomnieć to nazwisko.

– Tak, facet, który brał udział w badaniach nad łożyskiem. Delegacja przyszła, żeby pozyskać na to środki. Miał laboratorium w Slangerup – oznajmił Bak z dużą pewnością siebie. To znaczy, że miał kontrolę nad tą częścią sprawy.

– Jeśli zginął dzień później, to mógł przecież mieć coś wspólnego z jej zniknięciem.

– Nie wydaje mi się. Wrócił z Londynu tego popołudnia, kiedy utonęła.

– Był w niej zakochany? Søs Norup sugerowała, że tak.

– W takim razie jego strata, Merete na niego nie poleciała.

– Jesteś pewien, Børge? – Dźwięk własnego imienia sprawiał facetowi ewidentną przykrość. Czyli już wiadomo – będzie musiał je słyszeć bez przerwy. – Może to z tym Danielem Hale'em jadła kolację w Café Bankeråt?

– Posłuchaj, Carl. Przesłuchaliśmy pewną kobietę w sprawie zabójstwa rowerzysty i teraz robimy obławę. Jestem cholernie zajęty. Czy to nie może poczekać do następnego razu? Daniel Hale nie żyje, koniec kropka. Nie było go w kraju, gdy zginęła Merete Lynggaard. Utonęła, a on nie miał z tym nic wspólnego, tak?

– Sprawdziliście, czy to Hale był z nią w Bankeråt kilka dni wcześniej? Nie

ma o tym ani słowa w raporcie.

– Posłuchaj! Śledztwo toczyło się pod koniec w tym kierunku, że to był wypadek. Poza tym do tego zadania wyznaczono nas dwudziestu. Spytaj kogoś innego! Idź już stąd!

2007

Gdyby kierować się wyłącznie zmysłami węchu i słuchu, to trudno było tego poniedziałkowego ranka, kiedy Carl przyszedł do pracy, odróżnić piwnicę Komendy Głównej Policji od tętniących życiem ulic Kairu. Nigdy wcześniej ten dostojny budynek nie zaznał w takim natężeniu smrodu smażenia i egzotycznych przypraw, a mury nigdy nie słyszały równie fałszywych tonów.

Kobieta z administracji, wracająca z mieszczących się w piwnicy archiwów, rzuciła Carlowi wściekłe spojrzenie, mijając go ze stosem akt w objęciach. Jej oczy mówiły, że za dziesięć minut cały budynek będzie wiedział, że na dole wszystko wymyka się spod kontroli.

Wyjaśnienie czekało w miniaturowym gabinecie Assada. Na jego biurku stały talerze, na których piętrzyły się stosy małych zapiekaneł, żółtego ryżu i foliowych paczuszek z czosnkiem i zieleniną. Wystarczyło, żeby unieść brwi ze zdziwienia.

– Co tu się dzieje, Assad?! – krzyknął i wyłączył dźwięki płynące z magnetofonu, ale Assad tylko się uśmiechnął. Najwidoczniej nie zdawał sobie za bardzo sprawy z przepaści kulturowej, która właśnie wyrosła u solidnych fundamentów Komendy Głównej.

Carl usiadł ciężko na krześle naprzeciwko swojego pomocnika.

– Pachnie wyśmienicie, Assad, ale to jest Komenda Główna Policji, a nie jakiś libański grill w Vanløse.

– Proszę, Carl, i wszystkiego najlepszego, panie komisarzu, trzeba by może powiedzieć – rzekł, podając mu trójkącik czegoś przypominającego ciasto francuskie. – To od mojej żony. Wycinanki zrobiły moje córki.

Carl spojrział w ślad za ruchem ręki Assada i wtedy dostrzegł kolorową bibułę zdobiącą regały i lampy na suficie.

Niełatwa sprawa.

– Wziąłem też wczoraj trochę dla Hardy’ego. Przeczytałem mu już większość sprawy, Carl.

– Tak? – Wyobraził sobie minę pielęgniarek, gdy karmił Hardy’ego egipskimi rulonami. – Pojechałeś go odwiedzić w dzień wolny od pracy?

– Myśli nad sprawą, Carl. Fajny facet z niego.

Carl pokiwał głową i odgryzł kawałek. Jutro też się tam wybierze.

– Papiery na temat wypadku samochodowego położyłem wszystkie razem na twoim biurku, Carl. Jeśli tego chcesz, to mogę trochę poopowiadać, co przeczytałem.

Carl ponownie kiwnął głową. Niedługo facet zacznie pisać raporty, jeszcze zanim zakończą sprawę.

W wigilię Bożego Narodzenia roku 1986 temperatura w kraju dochodziła do plus sześciu stopni, jednak mieszkańcy Zelandii nie mieli tyle szczęścia – dlatego dziesięcioro ludzi zginęło tam w wypadkach samochodowych. Pięcioro z nich na zalesionym odcinku małej wiejskiej drogi w Tibirke. Dwoje z nich to rodzice Merete i Uffego Lynggaardów.

Wyprzedzali forda sierrę na odcinku drogi, na który wiatr naniósł drobne kryształki lodu, i stało się nieszczęście. Nikogo nie obciążono winą, nie było roszczeń o odszkodowanie. To był zwykły wypadek, z tym że jego wynik wcale nie był zwykły.

Samochód, który wyprzedzali, wylądował na drzewie i płonął w ciszy, gdy przyjechała straż pożarna, natomiast samochód rodziców Merete leżał podwoziem do góry pięćdziesiąt metrów dalej. Matka Merete została wyrzucona przez okno i leżała w zaroślach ze skręconym karkiem. Jej ojciec nie miał tyle szczęścia. Umierał przez dziesięć minut, z połową silnika w jamie brzusznej i klatką piersiową przebitą przez złamaną gałąź świerku. Uważano, że Uffe zachował świadomość przez cały czas, bo gdy wyciągnięto ich z wraku, wodził po miejscu wypadku wielkimi, przerażonymi oczami. Nie puścił dłoni siostry, nawet gdy wyciągnęli ją na jezdnię, by udzielić jej pierwszej pomocy. Ani na chwilę.

Raport policji był prosty i zwięzły, w przeciwieństwie do pisaniny w gazetach. Materiał był na to zbyt sensacyjny.

W drugim samochodzie zginęli na miejscu mała dziewczynka i jej ojciec. Okoliczności były tragiczne, bo tylko starszy chłopiec wyszedł z wypadku niemal bez szwanku. Matka była w zaawansowanej ciąży i jechali właśnie do szpitala. Gdy strażacy próbowali zapanować nad pożarem szalejącym pod maską samochodu, kobieta urodziła bliźnięta z głową na martwym ciele męża i nogami zaklinowanymi pod fotelem. Pomimo usilnych starań, aby uwolnić ich wszystkich na czas, jedno dziecko zmarło, a gazety miały zapewniony materiał na pierwsze strony drugiego dnia świąt.

Assad pokazał mu zarówno lokalne szmatławce, jak i gazety o zasięgu krajowym. Wszystkie wykorzystały potencjał tej wiadomości. Zdjęcia były przerażające. Samochód wbity w drzewo i zorana droga hamowania, świeżo upieczona mama w drodze do karetki z płaczącym chłopcem u boku, Merete Lynggaard na noszach na środku jezdni z aparatem tlenowym na twarzy, i Uffe siedzący na cienkiej pokrywie śnieżnej z przerażeniem w oczach trzymający kurczowo dłoń swej nieprzytomnej siostry.

– Tutaj – powiedział Assad i wyciągnął dwie strony gazety plotkarskiej „Gossip” z teczki, którą położył na biurku Carla. – Lis odkryła, że wiele z tych zdjęć zostało też wykorzystanych przez gazety, gdy Merete Lynggaard dostała się

do Folketingu – ciągnął.

Koniec końców fotograf, który tego dnia znalazł się w okolicy, musiał zarobić krocie. Sfotografował też pogrzeb rodziców Merete, tym razem w kolorze. Ostre, dobrze skomponowane fotki prasowe nastoletniej Merete Lynggaard trzymającej rękę swojego nieruchomego brata podczas składania urn na cmentarzu Vestre Kirkegård. Drugi pogrzeb odbył się bez zdjęć. Przebiegł w najgłębszej ciszy.

– Co tu się, do cholery, wyprawia? – zagrział jakiś głos. – Czy to wasza sprawka, że u nas na gorze capi jak na Gwiazdkę?

Głos należał do Sigurda Harma, jednego z policjantów z pierwszego piętra. W osłupieniu utkwiał wzrok w orgii kolorów wiszącej na lampach.

– Proszę, Sigurdzie czuły nosie – powiedział Carl, podając mu najbardziej pikantne rulony z ciasta francuskiego. – Ciesz się już na Wielkanoc! Wtedy zapalimy kaczki.

Z góry nadeszła wiadomość, że szef Wydziału Zabójstw chce widzieć Carla w swoim gabinecie jeszcze przed lunchem. Sprawiał wrażenie ponurego i skupionego na lekturze leżących przed nim akt, gdy poprosił Carla o zajęcie miejsca.

Carl zaczął przeproszać w imieniu Assada. Że smażenie na głębokim tłuszczu w piwnicy już dobiegło kresu, że panuje nad sytuacją. Ale nie zdążył się rozpędzić, gdyż kilku nowych detektywów weszło do gabinetu i usiadło pod ścianą.

Posłał im krzywy uśmiech. Raczej nie przyszli go aresztować z powodu kilku samosów, czy jak tam się nazywały te ruloniki z ciasta francuskiego.

Gdy do pokoju weszli Lars Bjørn i podkomisarz kryminalny Terje Ploug, który przejął sprawę pistoletu na gwoździe, szef Wydziału Zabójstw zamknął teczkę i zwrócił się bezpośrednio do Carla.

– Powinieneś wiedzieć, że cię tu wezwałem, bo dziś rano odkryto kolejne morderstwa. Dwóch młodych facetów zostało zamordowanych w warsztacie samochodowym pod Sorø.

Sorø – pomyślał Carl. Kogo to obchodzi?

– Znalaziono ich obu z pięćdziesięciomilimetrowymi gwoździemi w czaszkach, pochodzącymi z pistoletu na gwoździe typu Paslode. Pewnie ci to coś przypomina?

Carl odwrócił głowę do okna i utkwiał wzrok w kluczu ptaków przelatujących nad budynkami znajdującymi się naprzeciwko. W tej chwili jego przełożony intensywnie mu się przyglądał, czuł to, ale nic mu to nie da. To, co wczoraj wydarzyło się w Sorø, mogło nie mieć nic wspólnego ze sprawą z Amager. Obecnie nawet w serialach telewizyjnych używa się gwoździarek jako narzędzi zbrodni.

– Możesz kontynuować, Terje? – usłyszał z oddali głos Marcusa Jacobsena.

– Tak. Jesteśmy niemal pewni, że to ci sami sprawcy, którzy zamordowali Georga Madsena w baraku na Amager.

Carl obrócił ku niemu głowę.

– Niby dlaczego?

– Georg Madsen był wujem jednego z zamordowanych w Sorø.

Carl spojrział znów na migrujące ptaki.

– Mamy opis jednej z osób, która, wszystko na to wskazuje, znajdowała się na miejscu w chwili morderstwa. Dlatego zamierzam zwrócić się do inspektora kryminalnego Stoltza i ludzi z Sorø, żebyś dziś tam pojechał, aby można było porównać tamten opis z twoim.

– Nic wtedy nie widziałem. Byłem nieprzytomny.

Terje Ploug posłał Carlowi spojrzenie, które mu się nie spodobało. On jeden musiał przeczytać raport wzdłuż i wszerz, po co więc zadawać mu te wszystkie głupie pytania? Czy Carl nie utrzymywał, że był nieprzytomny od chwili, gdy drasnęła go kula, aż do momentu, gdy go podłączyli do kroplówki w szpitalu? Nie wierzyli mu? Jakie mieli ku temu przesłanki?

– W raporcie jest napisane, że widziałeś czerwoną koszulę w kratę, zanim padły strzały.

Koszula? Tylko o to chodziło?

– To znaczy, że mam zidentyfikować koszulę? – odparł. – Bo jeśli tak, to niech mi lepiej prześlą mailem jej zdjęcie.

– Mają swoje plany, Carl – wtrącił Marcus. – W interesie wszystkich jest, żebyś tam pojechał. Nie tylko w twoim.

– Nie mam na to zbytnej ochoty. – Spojrział na zegarek. – Poza tym jest już późno.

– Nie masz ochoty. Powiedz mi, Carl, kiedy masz umówioną wizytę z psychologiem?

Carl ściągnął usta. Naprawdę musiał powiadamiać o tym cały wydział?

– Jutro.

– W takim razie myślę, że powinieneś pojechać do Sorø dzisiaj i pójść jutro na spotkanie z Moną Ibsen z nowymi wrażeniami. – Uśmiechnął się powierzchownie i wziął teczkę leżącą na samej górze jednego ze stosów piętrzących się na stole. – A tak przy okazji, tu masz kopię papierów, które dostaliśmy z Urzędu do spraw Cudzoziemców na temat Hafeza al-Assada. Bardzo proszę.

Assad prowadził. Wziął ze sobą na drogę trochę ostrych ruloników i trójkątów i teraz sunął autostradą E20. Tu, za kółkiem, był zadowolonym i szczęśliwym człowiekiem, na co wyraźnie wskazywała jego szeroko uśmiechnięta twarz, która poruszała się na boki w takt tego, co płynęło z radia.

– Assad, dostałem twoje papiery z Urzędu do spraw Cudzoziemców, ale

jeszcze ich nie czytałem – powiedział. – Możesz mi powiedzieć, co w nich jest?

Przez chwilę jego kierowca patrzył na niego uważnie, gdy mijali korowód ciężarówek.

– Dzień urodzenia, skąd pochodzę, co tam robiłem. O to ci chodzi, Carl?

– Dlaczego dostałeś bezterminowe pozwolenie na pobyt, Assad? Jest coś o tym?

Kiwnął głową.

– Carl, zostanę zabity, jeśli wrócę, tak już jest. Rząd w Syrii nie był mną zachwycony, rozumiesz?

– Dlaczego?

– Nie myśleliśmy tak samo, to wystarczy.

– Wystarczy do czego?

– Syria jest dużym krajem. Ludzie po prostu znikają.

– Okej, jesteś pewny, że cię zabiją, jak wrócisz?

– Tak już jest, Carl.

– Pracowałeś dla Amerykanów?

Raptownie obrócił głowę.

– Dlaczego tak mówisz?

Carl odwrócił się w drugą stronę.

– Nie mam pojęcia, Assad. Tylko pytam.

Kiedy ostatnio odwiedzał komisariat policji w Sorø na Storgade, podlegał on okręgowi policyjnemu numer 16 w Ringsted. Teraz podpadał pod okręg Zelandia Południowa i Lolandia-Falster, ale cegły wciąż były czerwone, gęby za biurkiem te same, a zadań nie ubyło. Co dało przenoszenie ludzi z jednej kasy do drugiej – to pytanie nadawało się do *Milionerów*.

Przypuszczał, że kryminalni z komisariatu będą chcieli kolejnego opisu koszuli w dużą kratę. Ale nie, nie byli aż tak prymitywni. Czteroosobowa grupa mężczyzn czekała na niego w gabinecie wielkości biura Assada z takim wyrazem twarzy, jakby każdy z nich ostatniej nocy stracił członka rodziny w brutalnym napadzie.

– Jørgensen – oznajmił jeden z nich i wyciągnął rękę. Była lodowata. Z pewnością ten sam Jørgensen stał i wpatrywał się w oczy facetów, którzy wyzionęli ducha za sprawą gwoźdźcia wystrzelonego z pistoletu gazowego. Jeśli tak było, pewnie nie zmrużył tej nocy oka nawet na sekundę.

– Chcesz zobaczyć miejsce zdarzenia?

– Czy to konieczne?

– Nie przypomina tego na Amager. Zamordowano ich w warsztacie samochodowym, jednego w hali, a drugiego w biurze. Gwoździe wystrzelono z bardzo bliskiej odległości, bo weszły aż po nasadę. Trzeba się było ich dobrze naszukać.

Jeden z pozostałych podał mu kilka zdjęć formatu A4. To prawda. Widać było tylko główkę gwoździa tkwiącą w czaszce, nie było nawet za dużo krwi.

– Widzisz, obaj byli w trakcie pracy. Brudne ręce i kombinezony.

– Czy coś zginęło?

– Nic a nic!

– Gdzieżby!

Minęły lata, odkąd Carl ostatnio słyszał to słowo.

– Nad czym pracowali? Czy to nie było późnym wieczorem? Robili na lewo czy jak?

Policjanci śledczy spojrzeli na siebie. Najwyraźniej był to problem, z którym nadal się borykali.

– Znaleźliśmy ślady setek butów. Wydaje mi się, że nigdy tam nie sprząkali – wtrącił Jørgensen. Naprawdę nie było mu lekko.

– Carl, musisz się temu uważnie przyjrzeć – ciągnął, chwytając róg obrusa leżącego na stole. – I nie mów nic, dopóki nie będziesz całkiem pewny.

Po czym ściągnął obrus, odkrywając cztery flanelowe koszule w dużą czerwoną kratę leżące obok siebie niczym drwale, którzy ucieli sobie popołudniową drzemkę na leśnym poszyciu.

– Czy któraś z nich przypomina tę, którą widziałeś na miejscu zbrodni na Amager?

To było najdziwniejsze okazanie, w jakim kiedykolwiek uczestniczył. Która z koszul to zrobiła? – brzmiało pytanie. Prawie jak żart. Koszule nigdy nie były jego specjalnością. Nie rozpoznawał nawet własnych.

– Wiem, że to trudne po tak długim czasie, Carl – powiedział Jørgensen ze znużeniem. – Ale bardzo byś nam pomógł, gdybyś się postarał.

– Czemu, do cholery, myślicie, że sprawcy parę miesięcy później chodzą w tych samych ubraniach? Przecież nawet na tym zadupiu od czasu do czasu zmieniacie ciuchy.

Zignorowali to.

– Próbuje wszystko.

– A jak możecie być pewni, że świadek, który widział potencjalnych sprawców z pewnej odległości i w dodatku w nocy, pamięta czerwoną koszulę w kratkę tak dokładnie, że możecie tego użyć jako punktu wyjścia? Przecież te koszule wyglądają, do diabła, jak cztery krople wody! Owszem, różne od siebie, ale istnieje z pewnością tysiąc innych podobnych koszul.

– Facet, który je widział, pracuje w sklepie odzieżowym. Wierzmy mu. Był bardzo precyzyjny, rysując koszulę.

– Narysował też, kto był w nią ubrany? Może byłoby prościej?

– Owszem, narysował. Nie najgorzej, ale też nie jakoś nadzwyczajnie. To jednak co innego narysować człowieka i koszulę, nie?

Carl spojrzął na portret, który położyli na koszulach. Całkiem zwyczajny gość. Gdyby nie wiedział, kim on jest, mógłby go wziąć za sprzedawcę kserokopiarek. Okrągłe okulary, gładko ogolony, ufne oczy, chłopiące rysy.

– Nie rozpoznaję go. Jakiego był wzrostu według świadka?

– Co najmniej metr osiemdziesiąt pięć, może więcej.

Następnie zabrali rysunek i wskazali na koszule. Przyjrzał się gruntownie każdej z nich. Na pierwszy rzut oka wyglądały cholernie jednakowo.

Zamknął oczy, próbując przypomnieć sobie koszulę.

– I co się przydarzyło? – spytał Assad w drodze powrotnej do Kopenhagi.

– Nic. Według mnie wszystkie wyglądały tak samo. Nie pamiętam już tej przeklętej koszuli tak dokładnie.

– A dostałeś może ich zdjęcie?

Carl nie odpowiedział. Myślami był daleko. Właśnie przypominał sobie Ankera, jak leży martwy obok niego na podłodze, i Hardy'ego gorączkowo łapiącego powietrze. Cholera jasna, że też nie zaczął od razu strzelać. Gdyby tylko się odwrócił, słysząc wchodzących do baraku mężczyzn, to wszystko by się nie zdarzyło. To Anker siedziałby koło niego i prowadził samochód zamiast tej dziwacznej istoty zwanej Assadem. No i Hardy! Hardy nie byłby przykuty do łóżka na resztę życia, kurwa mać!

– Nie mogli po prostu przysłać ci od razu tych zdjęć, Carl?

Spojrzął na swojego kierowcę. Czasami pod jego grubymi na dwa centymetry brwiami pojawiał się jakiś czarcio niewinny wyraz.

– Jasne, Assad. Oczywiście, że mogli.

Spojrzął na tablice nad autostradą. Tylko jeden kilometr do Tåstrup.

– Zjedź tutaj – powiedział.

– Dlaczego? – zapytał Assad, a samochód zjechał dwoma kołami na linię ciągłą.

– Bo chcę zobaczyć miejsce, w którym zginął Daniel Hale.

– Kto?

– Ten facet, który interesował się Merete Lynggaard.

– A skąd coś o tym wiesz, Carl?

– Bak mi powiedział. Hale zginął w wypadku samochodowym. Mam tu raport drogówki.

Assad gwizdnął cicho, jak gdyby wypadki samochodowe stanowiły przyczynę śmierci tylko wyjątkowych pechowców.

Carl zwrócił uwagę na prędkościomierz. Może Assad powinien oszczędzać nieco pedału gazu, żeby sami nie trafili do statystyk.

Chociaż Daniel Hale stracił życie na drodze Kappellev Landevej już pięć lat temu, nietrudno było zauważyć ślady po wypadku. Budynek, o który samochód się roztrzaskał, został najwidoczniej zreperowany tylko prowizorycznie, a większość

śladów spalenizny się zmyła, jednak według rozeznania Carla znaczna część pieniędzy z ubezpieczenia musiała zostać spożytkowana na inny cel.

Spojrzał na drogę. Dość długi, prosty odcinek. Co za przekłety wypadek, że człowiek musiał wyrznąć wprost w ten brzydki dom. Tylko dziesięć metrów w przód czy w tył, a jego wóz wjechałby na pola.

– Dość pechowo. Co ty na to, Carl?

– Cholernie pechowo.

Assad kopnął w pień drzewa, który wciąż stał przed zarysowanym murem.

– Wjechał w drzewo, drzewo złamało się jak zapalka i wtedy uderzył w mur, a samochód stanął w płomieniach?

Carl kiwnął głową i się rozejrzał. Wiedział, że dalej znajduje się boczna droga. O ile dobrze pamiętał raport drogówki, to pewnie z tej drogi wyjechał ten drugi samochód.

Wskazał na północ.

– Daniel Hale jechał swoim citroenem od strony Tåstrup i według drugiego kierowcy oraz pomiarów zderzyli się dokładnie tam. – Wskazał na jedną z linii na drodze. – Może Hale zasnął. W każdym razie zjechał na przeciwny pas ruchu i wjechał w tamtego kierowcę, po czym samochód Hale’a odrzuciło do tyłu, prosto w drzewo i dom. To wszystko zdarzyło się w ułamku sekundy.

– Co się stało z tym drugim, co w niego wjechał?

– Wylądował tam – powiedział Carl, wskazując na płaski fragment pola, od lat nieuprawianego, zgodnie z wymogami Unii Europejskiej.

Zagwizdał cicho.

– A jemu nic się nie stało?

– Nie. Jechał jakąś cholernie wielką terenówką z napędem na cztery koła. Jesteśmy na wsi, Assad.

Jego towarzysz sprawiał wrażenie, jakby ze wszystkim był na bieżąco.

– W Syrii też jest dużo terenówek z napędem na cztery koła – padła odpowiedź.

Carl kiwnął głową, ale nie słuchał za bardzo.

– To dziwne, prawda, Assad? – powiedział.

– Co? Że wjechał w dom?

– Że zginął dzień po zniknięciu Merete Lynggaard. Facet, z którym spotkała się Merete i który być może był w niej zakochany. Bardzo dziwne.

– Myślisz może, że to było samobójstwo? Że był tak załamany, że przepadła w morzu? – Twarz Assada zmieniła się trochę, gdy na niego spoglądał. – Może się zabił, bo zamordował Merete Lynggaard. Słyszało się już wcześniej o takich przypadkach, Carl.

– Samobójstwo? Nie, wtedy wjechałby w ten dom z własnej woli. Nie, to na pewno nie było samobójstwo. Poza tym nie mógł jej zabić. Był na pokładzie

samolotu, gdy ona zniknęła.

– Rozumiem. – Assad jeszcze raz dotknął rys na murze. – Może to też nie on przyszedł z listem, w którym było napisane „Miłej podróży do Berlina”?

Carl skinął głową i spojrzał na słońce zmierzające ku horyzontowi na zachodzie.

– Tak, może tak być.

– I co tu teraz robimy, Carl?

– Co robimy? – Powiódł wzrokiem po polach zaatakowanych już przez pierwsze wiosenne chwasty. – Powiem ci, Assad. Prowadzimy dochodzenie. To właśnie robimy.

2007

– Dziękuję bardzo za zorganizowanie tego spotkania i za to, że tak szybko chciał się pan ze mną zobaczyć. – Podał Birgerowi Larsenowi szeroką dłoń. – To nie zajmie dużo czasu. – Spojrzał na ciąg znanych twarzy zebranych w gabinecie wiceprzewodniczącego Demokratów.

– Panie Mørck, zebrały się tutaj wszystkie osoby, które współpracowały z Merete Lynggaard tuż przed jej zniknięciem. Kilka twarzy już pan może zna.

Kiwnął do nich głową. Owszem, znał kilka osób. Siedziało tu kilkoro polityków, którzy być może w następnych wyborach zepchną z grędy obecny rząd. Ekspert do spraw politycznych w spódnicze do kolan, kilkoro czołowych parlamentarzystów i kilka osób z sekretariatu, włączywszy sekretarkę Marianne Koch. Obdarzyła go pełnym ekscytacji spojrzeniem, co przypomniało mu, że do krzyżowego ognia pytań u Mony Ibsen zostały zaledwie trzy godziny.

– Jak pewnie mówił państwu Birger Larsen, prowadzimy dodatkowe dochodzenie w sprawie zaginięcia Merete Lynggaard przed ostatecznym zamknięciem sprawy. W związku z tym muszę się dowiedzieć wszystkiego, na czym mógłbym oprzeć swoje domysły dotyczące zachowania Merete Lynggaard w ostatnich dniach i stanu ducha, w jakim się znajdowała. Mam wrażenie, że poprzednio policja na dość wczesnym etapie śledztwa doszła do wniosku, zapewne nie bez racji, że Merete Lynggaard wypadła za burtę w wyniku wypadku. Jeśli tak faktycznie było, to nigdy nie dowiemy się tego z całą pewnością. Po pięciu latach w wodzie ciało już dawno poszło na dno.

Zgodnie kiwnęli głowami. Poważni i na pewien sposób zasmuceni. Siedzieli tu ludzie, których Merete Lynggaard mogła zaliczyć do swoich pobratymców. Może wyłączając nową następczynię tronu.

– W naszym dochodzeniu istnieje wiele przesłanek, które przemawiają za wypadkiem, więc trzeba być po trosze durniem, żeby wierzyć w coś innego. Jednakże w Departamencie Q są sami sceptycy i pewnie dlatego wybrano nas do tego zadania. – Uśmiechnął się lekko. Przynajmniej będą słuchali. – Dlatego chcę zadać państwu kilka pytań. Proszę się nie wahać, jeśli mają państwo do dodania choćby najmniejszy drobiazg.

Wszyscy ponownie skinęli głowami.

– Czy ktoś z państwa pamięta – ciągnął – czy Merete Lynggaard na krótko przed zniknięciem odbyła spotkanie z grupą, która agitowała na rzecz badań nad łożyskiem?

– Tak, ja pamiętam – powiedział ktoś z sekretariatu. – To była grupa

stworzona na tę okazję przez Billego Antvorskova z BasicGen.

– Billego Antvorskova? Chodzi o tego Billego Antvorskova? Tego z miliardami na koncie?

– Tak, o niego. Stworzył tę grupę i umówił się na spotkanie z Merete Lynggaard. Kolędowali.

– Kolędowali? Dla Merete Lynggaard?

– Nie – uśmiechnęła się. – Tak to nazywamy, gdy organizacja pozarządowa idzie po kolei do wszystkich partii. Ta grupa usiłowała przecież zebrać poparcie większości parlamentu.

– Czy z tego spotkania nie zachował się jakiś raport?

– Tak, z pewnością się zachował. Nie wiem, czy został wydrukowany, ale musimy sprawdzić w starym komputerze jej sekretarki.

– On jeszcze istnieje? – Niemal nie wierzył własnym uszom.

Kobieta z sekretariatu się uśmiechnęła.

– Przy zmianie systemu operacyjnego zawsze zachowujemy stare twarde dyski. Kiedy przechodziliśmy na Windows XP, wymieniono co najmniej dziesięć dysków.

– Nie macie tu sieci wewnętrznej?

– Owszem, mamy, ale wtedy komputer sekretarki Merete i kilkorga innych nie był do niej podłączony.

– Czyżby paranoja? – Uśmiechnął się do niej.

– Może.

– Spróbujecie pani znaleźć dla mnie ten referat? – Ponownie skinęła głową.

Zwrócił się do reszty grupy:

– Jeden z uczestników spotkania nazywał się Daniel Hale. Podobno on i Merete byli sobą zainteresowani. Czy ktoś z państwa mógłby to potwierdzić albo powiedzieć o tym coś więcej?

Wielu słuchaczy spojrzało po sobie. Czyli trafił. Pytanie tylko, kto ma odpowiedzieć.

– Nie wiem, jak on się nazywał, ale widziałam, jak Merete rozmawia z jakimś obcym mężczyzną w Sznepstingu. – Głos zabrała ekspert do spraw politycznych. Irytująca, ale twarda młoda kobieta, która korzystnie wypadła w telewizji i na którą we właściwym czasie prawdopodobnie czekały ważne stanowiska ministerialne. – Wyglądała na bardzo zadowoloną, że go tam widzi, i sprawiała wrażenie trochę zdekoncentrowanej, gdy rozmawiała z ekspertami do spraw zdrowia z partii Socjaliści i Radykalne Centrum. – Uśmiechnęła się. – Myślę, że wiele osób zwróciło na to uwagę.

– Bo Merete normalnie tak się nie zachowywała?

– To był, jak sądzę, pierwszy raz, kiedy ktoś z nas zobaczył błysk w oczach Merete. Owszem, to było niezwykle.

– Czy to mógł być wspomniany przeze mnie Daniel Hale?

– Nie wiem.

– Czy ktoś inny coś o tym wie?

Pokręcili głowami.

– Jak by pani opisała tego mężczyznę? – zapytał panią ekspert do spraw politycznych.

– Siedział trochę schowany za kolumną, ale zauważyłam, że był szczupły, dobrze ubrany i opalony, o ile dobrze pamiętam.

– W jakim wieku?

Wzruszyła ramionami.

– Sądzę, że był starszy od Merete.

Szczupły, dobrze ubrany i trochę starszy od Merete. Gdyby nie opalenizna, opis pasowałby do wszystkich obecnych tu mężczyzn, łącznie z nim, o ile nie liczyć tych pięciu czy dziesięciu lat w niewłaściwą stronę.

– Wyobrażam sobie, że z czasów Merete Lynggaard musiało zostać sporo papierów, których nie można było tak po prostu przekazać jej następcy. – Skinął w stronę Birgera Larsena. – Mam na myśli kalendarze, notatniki, odręczne zapiski i tym podobne. Zostały wyrzucone? Nie było przecież wiadomo, czy Merete Lynggaard wróci, prawda?

Kobieta z sekretariatu zareagowała ponownie.

– Część zabrała policja, część wyrzucono. Nie wydaje mi się, żeby wiele zostało.

– A co z jej kalendarzem?

Wzruszyła ramionami.

– Tu go w każdym razie nie było.

W tym miejscu wtrąciła się Marianne Koch:

– Merete zabierała zawsze kalendarz ze sobą. – Jej wygięte brwi nie znosiły sprzeciwu. – Zawsze – podkreśliła.

– Jak wyglądał?

– To był zupełnie zwykły kalendarz typu TimeSystem. W zniszczonej czerwono-brązowej skórzanej okładce. Z terminarzem, notesem i spisem telefonów.

– Wiem, że się nie znalazł. Możemy więc założyć, że zniknął wraz z nią w morzu.

– Nie wydaje mi się – odparła momentalnie sekretarka.

– Dlaczego nie?

– Bo Merete chodziła zawsze z małą torebką, więc kalendarz po prostu by się w niej nie zmieścił. Wkładała go prawie zawsze do swojej dyplomatki, a jej z pewnością nie wzięła ze sobą na prom. Miała przecież wolne, po co by ją brała? Nie było jej też w samochodzie, prawda?

Pokręcił głową. O ile dobrze pamiętał, to nie.

Carl długo czekał na panią psycholog o zgrabnej pupie i wraz z upływem czasu zaczynał czuć się niezręcznie. Gdyby przyszła punktualnie, pozwoliłby, aby zadziałał jego naturalny urok, ale teraz, kiedy od dwudziestu minut powtarzał sobie cięte repliki i ćwiczył uśmiechy, uszło już z niego powietrze.

Kiedy wreszcie się pojawiła na drugim piętrze, nie wyglądała na skruszoną, ale przeprosiła. Był to ten rodzaj pewności siebie, który elektryzował Carla. To na niego poleciał swego czasu, gdy poznał Vigge. Na to i na ten jej zaraźliwy śmiech.

Mona Ibsen usiadła naprzeciwko niego. Światło z ulicy Ottona Mønsteda padało na jej kark, tworząc aureolę wokół głowy, miękko zarysowując zmarszczki i zmysłowe, ciemnoczerwone wargi. Wszystko w niej świadczyło o klasie. Utkwił spojrzenie w jej oczach, żeby nie kontemplować jej obfitych piersi. Za nic w świecie nie chciał wyrywać się z tego stanu.

Wypytywała o sprawę na Amager. Chciała znać godziny, wydarzenia i konsekwencje. Pytała o wszystko, co nie miało znaczenia, a Carl w to wszedł. Trochę więcej krwi niż w rzeczywistości. Trochę mocniejsze strzały, głębsze westchnienia. A ona przypatrywała mu się intensywnie i notowała ważniejsze punkty wyводу. Gdy doszedł do momentu, w którym zaczął opowiadać, jakie wrażenie wywarł na nim widok martwego i rannego przyjaciela i jak źle od tej pory sypiał, odsunęła od stołu swoje krzesło, położyła przed nim wizytówkę i zaczęła się pakować.

– Co się dzieje? – zapytał, gdy jej notatnik zniknął w skórzanej teczce.

– Myślę, że powinien pan zadać to pytanie sobie. Kiedy będzie pan gotów, aby powiedzieć mi prawdę, niech mnie pan poprosi o kolejne spotkanie.

Spojrzał na nią ze zmarszczonymi brwiami.

– Co to znaczy? Wszystko, co pani teraz opowiedziałem, wydarzyło się naprawdę.

Przycisnęła teczkę do krągłego brzucha pod obcisłą spódnicą.

– Po pierwsze, widzę po panu, że sypia pan całkiem dobrze. Po drugie, podkoloryzował pan całą historię. Może pan myślał, że nie czytałam raportu przed spotkaniem? – Miał zamiar zaprotestować, ale uniosła rękę. – Po trzecie, widzę to w pana oczach, kiedy wspomina pan o Hardym Henningsenie i Ankerze Høyerze. Nie wiem dlaczego, ale ma pan jakiś problem z tym zdarzeniem, a kiedy mówi pan o swoich kolegach, którzy nie mieli tyle szczęścia, żeby wyjść z tego cało i zdrowo, niemal się pan rozkleja. Kiedy będzie pan gotów, żeby powiedzieć mi prawdę, chętnie znów się pojawię. Do tego czasu nie mogę panu pomóc.

Okrzyk, który miał wyrażać protest, zamarł na jego ustach. Spojrzał na nią z takim rodzajem pożądania, który potrafią żywić tylko mężczyźni, a którego istnienie kobiety mogą jedynie przeczuwać.

– Chwileczkę – wydusił z siebie, zanim zatrzasnęła za sobą drzwi. – Ma pani

z pewnością rację, nie byłem tego świadomy.

Gorączkowo rozważał, co mógłby jej teraz powiedzieć, gdy odwróciła się do wyjścia.

– Może moglibyśmy porozmawiać o tym przy kolacji? – wyrwało się mu.

Spostrzegł, jak niezdolnie chybiony był to strzał. To było tak głupie, że nie miała nawet siły z niego zakpić, za to posłała mu spojrzenie, które wyrażało głównie troskę.

Bille Antvorskov właśnie przekroczył pięćdziesiątkę i był stałym bywalcem telewizji śniadaniowej w stacji TV2 oraz podobnych programów. Miał tak zwane kompetencje, w ramach których robił za eksperta od wszystkiego. Ale tak to już jest. Kiedy Duńczycy traktują kogoś poważnie, to są wobec niego bezkrytyczni. A on prezentował się dobrze na ekranie. Dojrzały i władczy, brązowe oczy jak migdały, wydatny podbródek i czar ulicznego zawadiaki zmieszany z dyskretnym urokiem burżuazji. To wszystko oraz fakt, że w rekordowym czasie dorobił się fortuny, którą wkrótce będzie można uznać za największą w kraju, w dodatku dzięki ryzykownym, ale służącym ogółowi projektom farmaceutycznym, sprawiało, że duński widz leżał przed nim plackiem w podziwieniu i uznaniu.

Carl osobiście za nim nie przepadał.

Już w recepcji zwrócił uwagę, że czas nagli i że Bille Antvorskov jest człowiekiem zajęтым. Pod ścianą siedziało czterech panów i każdy z nich sprawiał wrażenie, że nie chce mieć nic do czynienia z pozostałymi. Trzymali teczki między nogami i laptopy na kolanach. Wszyscy byli diabelnie zajęci i wszyscy bali się, co czeka ich za drzwiami.

Sekretarka uśmiechnęła się do Carla, ale nieszczerze. Bezceremonialnie wdarł się w jej terminarz spotkań i miała nadzieję, że następnego razu nie będzie.

Jej szef powitał go jednym ze swoich charakterystycznych krzywych uśmieszków i zapytał uprzejmie, czy Carl był już wcześniej w części biznesowej kopenhaskiego portu. Rozłożył ramiona wzdłuż ciągnącej się od ściany do ściany szklanej tafli ukazującej mozaikę różnorodności tego świata: statki, port, wodę i niebo, które w pełnej okazałości zdawały się walczyć ze sobą o przychyłność oka.

Widok z gabinetu Carla nie był tak ciekawy.

– Chciał pan ze mną porozmawiać o spotkaniu w Christiansborgu 20 lutego 2002 roku. Mam to tutaj – powiedział i zastukał w klawiaturę komputera. – Nie, niemożliwe, przecież to palindrom, jak zabawnie.

– Jaki?

– 20. 02. 2002. Data! Taka sama od przodu i tyłu. Widzę, że 20 lutego byłem u mojej byłej żony. Uczciliśmy to lampką szampana. *Once in a lifetime!* – Z uśmiechem zakończył wątek rozrywkowy. – Chciał pan wiedzieć, czego dotyczyło spotkanie z Merete Lynggaard? – ciągnął.

– Bardzo chętnie, ale najpierw chciałbym się dowiedzieć czegoś o Danielu

Hale'u. Jaka była jego rola w spotkaniu?

– To dość zabawne, że pan o to pyta. On w zasadzie nie odegrał w nim żadnej roli. Daniel Hale był jednym z naszych najważniejszych innowatorów w zakresie technik laboratoryjnych i bez jego laboratorium i fachowych pracowników pozostawalibyśmy w tyle z wieloma naszymi projektami.

– Czyli nie uczestniczył w wymyślaniu projektów?

– W sensie politycznym i finansowym – nie. Tylko w aspekcie technicznym.

– Dlaczego zatem wziął udział w spotkaniu?

Przygryzł z namysłem wargę.

– O ile dobrze pamiętam, zadzwonił i poprosił o to. Nie pamiętam już teraz uzasadnienia, ale chyba chodziło o to, że w przyszłości miał zamiar wyłożyć sporo pieniędzy na nowy sprzęt, więc chciał być na bieżąco z działaniami na froncie politycznym. Był bardzo pracowitym człowiekiem, pewnie dlatego tak dobrze się nam współpracowało.

Carl wychwycił jego przechwałkę. Cnotą niektórych ludzi biznesu jest skromność, ale Bille Antvorskov nie należał do tego gatunku.

– Jakim człowiekiem był według pana Hale?

– Jakim był człowiekiem? – Pokręcił głową. – Nie mam pojęcia. Rzetelny i obowiązkowy jako podwykonawca, ale jako człowiek? Nie mam zielonego pojęcia.

– To znaczy, że nie miał pan z nim do czynienia prywatnie?

W tym momencie usłyszał charakterystyczne pomruki Billego Antvorskova pełniące zapewne funkcję śmiechu.

– Prywatnie? Przed spotkaniem w Christiansborgu nigdy go wcześniej nie widziałem. Ani on, ani ja nie mieliśmy na to czasu. Poza tym Daniel Hale prawie nigdy nie bywał w domu. Bez przerwy był w ruchu. Jednego dnia w Connecticut, drugiego w Aalborgu. Cały czas tam i z powrotem. Sam nabierałem na lotniskach sporo punktów w programach lojalnościowych, ale Daniel Hale musiał zostawić ich po sobie taką liczbę, że cała wycieczka szkolna mogłaby oblecieć świat z tuzin razy.

– Nie widział się pan z nim przed spotkaniem?

– Nie, nigdy.

– Musiały się chyba odbywać spotkania, dyskusje, ustalanie cen i tym podobne?

– Wie pan, od takich rzeczy mam ludzi. Znałem reputację Daniela Hale'a, przeprowadziliśmy kilka rozmów telefonicznych i rozpoczęliśmy działalność. Dalsza współpraca przebiegała między ludźmi Hale'a i moimi.

– Rozumiem. Chciałbym porozmawiać z kimś z firmy, kto współpracował z Hale'em, czy to możliwe?

Bille Antvorskov wciągnął powietrze tak głęboko, że aż zatrzeszczał pod

nim pikowany skórzany fotel.

– Nie wiem, kto jeszcze tu został, to było pięć lat temu. W naszej branży jest duża rotacja. Wszyscy szukają nowych wyzwań.

– Ach tak! – Czy naprawdę był idiotą i przyznawał, że nie umie zatrzymać u siebie ludzi? Raczej nie. – A nie mógłby mi pan podać adresu jego przedsiębiorstwa?

Wydał wargi. Od tego też miał ludzi.

Chociaż budynki miały sześć lat, wyglądały, jakby wzniesiono je przed tygodniem. „Interlab SA” – głosił napis na wysokiej na metr tablicy, znajdującej się pośrodku placu z fontanną przed parkingiem. Czyli firma radziła sobie bez sternika.

W recepcji spojrzeli na odznakę policyjną Carla, jakby kupił ją w sklepie ze śmiesznymi rzeczami, ale po dziesięciu minutach zeszła jednak do niego sekretarka. Powiedział, że ma pytanie o charakterze prywatnym, i natychmiast wprowadziła go z holu do pokoju ze skórzanymi meblami i stołami z drewna brzoźowego, a także kilkoma oszklonymi szafami mieszczącymi napoje. Zapewne tutaj zagraniczni goście mieli okazję zapoznać się z efektywnością Interlabu. Wszędzie pyszniły się dowody wielkości laboratorium. Nagrody i dyplomy z całego świata zdobiły jedną ścianę, a zdjęcia projektów oraz schematy korytarzy w laboratorium – dwie pozostałe. Jedyne ściana wychodząca na inspirowany japońszczyzną wjazd do koncernu posiadała okna, przez które wlewało się słońce.

Założycielem firmy był najwyraźniej ojciec Daniela Hale’a, ale wnioskując ze zdjęć na ścianach, wiele się od tego czasu wydarzyło. Daniel dobrze poradził sobie ze schedą w tym krótkim czasie, w którym był szefem, i prawdopodobnie zrobił to z ochotą. Nie ulegało też wątpliwości, że był kochany przez rodziców i od dziecka kształtowany we właściwym kierunku. Na jednym ze zdjęć widnieli ojciec i syn przytuleni do siebie i uśmiechnięci. Ojciec w kamizelce i marynarce jak symbol dawnych czasów odchodzących do przeszłości. Syn jeszcze nie władczy, o gładkiej skórze i szerokim uśmiechu. Gotowy do działania.

Za plecami Carla rozległy się kroki.

– Czegóż chciałby się pan dowiedzieć? – zapytała przysadzista kobieta na płaskim obcasie.

Przedstawiła się jako dyrektor od public relations, a na plakietce identyfikacyjnej przyczepionej do klapy jej marynarki widniało „Aino Huurinainen”. Fińskie nazwiska są takie zabawne.

– Chciałbym porozmawiać z kimś, kto w ostatnim czasie blisko współpracował z Danielem Hale’em. Kimś, kto znał go naprawdę dobrze prywatnie. Kimś, kto wiedział, o czym on myśli i marzy.

Spojrzała na niego, jakby ją zgwałcił.

– Czy może mnie pani skontaktować z taką osobą?

– Nie ma nikogo, kto znałby go lepiej niż dyrektor do spraw sprzedaży Niels Bach Nielsen, jak sądzę. Ale obawiam się, że nie życzy sobie rozmawiać z panem o życiu prywatnym Daniela Hale’a.

– A dlaczego miałyby sobie nie życzyć? Czyżby miał coś do ukrycia?

Spojrzała na niego ponownie, tym razem tak, jakby ją wyjątkowo sprowokował.

– Zarówno Niels, jak i Daniel nie mieli nic do ukrycia. Ale Niels nigdy nie pogodził się ze śmiercią Daniela.

Wychwycił podtekst.

– Chodzi pani o to, że byli parą?

– Tak, Niels i Daniel byli ze sobą na dobre i na złe, zarówno prywatnie, jak i w pracy.

Przez chwilę wpatrywał się w jej matowoniebieskie oczy. Nie zdziwiłby się, gdyby nagle zanosła się śmiechem. Ale tak się nie stało. To, co mówiła, nie było żartem.

– Nie wiedziałem – powiedział w końcu.

– Aha – odpowiedziała.

– Nie ma pani przypadkiem jakiegoś zbędnego zdjęcia Daniela Hale’a?

Wyciągnęła rękę dziesięć centymetrów w prawo i chwyciła broszurę leżącą na szklanym blacie obok butelek wody mineralnej.

– Proszę – powiedziała. – Tutaj ma pan ich z dziesięć.

Dodzwonił się do Billego Antvorskova dopiero po wymianie zdań z jego zręczliwą sekretarką.

– Mam zdjęcie, które chciałbym wysłać do pana mailem. Czy moglibyśmy poświęcić temu dwie minuty? – powiedział po uprzednim przedstawieniu się.

Antvorskov zgodził się i podał swój adres mailowy, a Carl kliknął myszką i patrząc na ekran, wysłał plik.

Zeskanował z broszury otrzymanej od dyrektorki do spraw public relations zupełnie przyzwoite zdjęcie Daniela Hale’a. Szczupły, jasnowłosy facet, pewnie dość wysoki, opalony i dobrze ubrany, jak zauważono w Sznepstingu. Nie wyglądał na geja, ale najwyraźniej żył z drugim mężczyzną. Właśnie miał się ujawnić jako hetero – pomyślał i wyobraził go sobie zmiążdżonego i spalonego na Kappelev Landevej.

– Tak, mail już przyszedł – powiedział Bille Antvorskov po drugiej stronie. – Właśnie otworzyłem załączony plik. – Nastąpiła nieznośnie długa, sekundowa pauza. – I co mam z tym zrobić?

– Czy może pan potwierdzić, że to zdjęcie Daniela Hale’a? Czy to on wziął udział w spotkaniu w Christiansborgu?

– Ten tutaj? Nigdy wcześniej go nie widziałem.

2005

Gdy skończyła trzydzieści pięć lat, morze światła płynącego z jarzeniówek na suficie wróciło, a wraz z nim zniknęły twarze za lustrzanymi szybami.

Nie wszystkie jarzeniówki w kasetonach z pancernego szkła zapaliły się tym razem. Któregoś dnia będą musieli tu wejść i je wymienić, w przeciwnym razie wszystko pograży się w egipskich ciemnościach – pomyślała. Ciągłe stoją i mnie podglądają, nie będą umieli się bez tego obejść. Któregoś dnia przyjdą i wymienią świetlówki. Powoli zmniejszą ciśnienie, a ja będę na nich czekać.

Na ostatnie urodziny Merete znów zwiększyli ciśnienie w pomieszczeniu, ale to już jej nie martwiło. Jeśli umiała znieść cztery atmosfery, to da sobie radę i z pięcioma. Nie знаła granicy ludzkich możliwości, ale jeszcze jej nie osiągnęła. Podobnie jak w poprzednim roku przez kilka dni miała halucynacje. Wyglądało to tak, jakby drugi plan pomieszczenia kręcił się w kółko, podczas gdy reszta stała w miejscu, a ona śpiewała i czuła się lekko na sercu. Realia straciły znaczenie. Dopiero po kilku dniach rzeczywistość powróciła, a w uszach zaczęła słyszeć świst. Na początku dźwięk był dość cichy, więc ziewała, próbując wyrównać ciśnienie, ale po czternastu dniach stał się permanentny. Całkiem wyraźny ton jak na próbnym obrazie telewizora. Wyższy, czystszy, ale sto razy bardziej wycieńczający. To zniknie, Merete, musisz się tylko przyzwyczaić do ciśnienia. Poczekaj tylko, nie będzie go któregoś ranka, gdy się obudzisz. Na pewno zniknie, na pewno zniknie – obiecywała sobie. Ale obietnice oparte na niewiedzy zawsze zawodzą, więc gdy piszczący dźwięk utrzymywał się przez trzy miesiące, a ona była bliska obłądzenia z braku snu i ciągłej świadomości, że żyje w komorze śmierci na łasce kata, zaczęła się zastanawiać, w jaki sposób odebrać sobie życie.

Wiedziała, że i tak skończy się to jej śmiercią. Twarz tej kobiety nie dawała nadziei. Przeszywające oczy wysłały sygnał. Nie pozwolą jej uciec. Nigdy. Czyli lepiej będzie zginąć z własnej ręki. Zdecydować samej, jak to ma się stać.

Jeśli nie liczyć wiadra na odchody i wiadra na jedzenie, latarki i dwóch nylonowych włókienek z puchowej kurtki, z których jedno służyło za wykałaczkę, kilku rolek po papierze toaletowym i ubrań, które miała na sobie, pomieszczenie było zupełnie puste. Ściany były gładkie. Nic, wokół czego można by owinąć rękawy kurtki, żadnego miejsca, gdzie jej ciało mogłoby zawisnąć, zanim się uwolni. Pozostawało jej tylko zagłodzić się na śmierć. Odmówić spożywania tego neurozmaicznego jedzenia, odmówić wypicia tych kilku łyków wody, które jej wydzielali. Może właśnie na to czekali. Może stanowiła przedmiot chorego zakładu. Ludzie zawsze potrafili traktować cierpienia swoich bliźnich jak

rozrywkę. Każdy etap w historii ludzkości tworzył nieskończenie grubą warstwę braku współczucia. A osady tworzące kolejną warstwę cały czas się odkładały, odczuwała to teraz na własnym ciele. Dlatego nie chciała już dłużej żyć.

Odsunęła na bok wiadro na jedzenie, stanęła przed jednym z bulajów i oświadczyła, że nie będzie już więcej jadła. Że ma już dosyć. Potem położyła się na ziemi i otuliła swoją podartą odzieżą oraz marzeniami. Wyliczyła, że dziś musi być 6 października, i założyła, że wytrzyma jeszcze tydzień. Do tego czasu będzie miała trzydzieści pięć lat, trzy miesiące i tydzień. Doliczyła się dokładnie 12 312 dni niepewności. Nie będzie miała żadnego nagrobka. Nigdzie nie będzie można odczytać dat jej urodzin i śmierci. Ani jedna rzecz nie będzie jej łączyła po śmierci z tym czasem w klatce, w której żyła przez ten ostatni, długi okres. Oprócz jej morderców tylko ona sama będzie знаła dzień swojej śmierci. I tylko ona będzie znała go z góry i w miarę dokładnie. Umrze około 13 października 2005 roku.

Drugiego dnia jej postu krzyknęli do niej, że ma wymienić wiadra, ale nie posłuchała ich. Co zrobią, jeśli odmówi wykonania polecenia? Mogli jedynie wybrać między zostawieniem wiadra w służbie i zabranieniem go z powrotem. Ciekawiło ją to.

Zostawili wiadro w służbie i powtórzyli rytuał przez kolejnych kilka dni. Zabierali stare wiadro i wstawiali nowe, które zostawało. Poganiali ją. Grozili, że podniosą ciśnienie, a potem spuszczą całe powietrze. Ale jak mogli grozić jej śmiercią, skoro to właśnie śmierci pragnęła? Może tu wejdą, może nie – było jej wszystko jedno. Pozwoliła, by w jej głowie krążyły myśli, obrazy i wspomnienia, które pomogłyby odsunąć od niej to wycie, a piątego dnia wszystko zlało się w jedno. Marzenia o szczęściu, praca w polityce, Uffe stojący samotnie na statku, miłość odsunięta na bok, dzieci, których nigdy nie urodziła, Jaś Fasola i spokojne dni przed telewizorem. I czuła, jak ciało powoli odpuszcza sobie niezaspokojone potrzeby. W końcu leżała po prostu na ziemi, cudowny stan przejął nad nią kontrolę, czas mijał, a zawartość stojącego koło niej wiadra z jedzeniem zaczęła gnić.

Wszystko szło zgodnie z planem, gdy nagle poczuła pulsowanie w szczęce.

W swoim sennym stanie początkowo odczuwała to jako płynące z zewnątrz wibracje. Wystarczyło, by rozchyliła odrobinę powieki, ale nic więcej. Idą po mnie? Co się dzieje? – pomyślała i ponownie zapadła w spokojną drzemkę, aż parę godzin później obudził ją ból, rozdzierający i ostry, jakby nóż wwiercał się w jej twarz.

Nie miała pojęcia, która jest godzina, nie miała pojęcia, czy ktoś stoi na zewnątrz, i krzyknęła jak nigdy dotąd w tym jałowym pomieszczeniu. Cała twarz zdawała jej się rozdarta na pół. Ból zęba sprawiał, że w jamie ustnej odczuwała uderzenia kilofa, które zwały ją z nóg. O Boże, czy to kara za to, że wzięła życie we własne ręce? Jedynie pięć dni, przez które o sobie nie dbała, i już taka kara?

Ostrożnie włożyła palec do ust i wyczuła, że nad ostatnim zębem trzonowym utworzył się ropień. Ten ząb zawsze był jej słabym punktem. Pewny zarobek dla dentysty – pełne brudu kieszenie przyzębne czyszczone tylko wykonaną domowym sposobem wykałaczką. Nacisnęła ostrożnie na opuchliznę i poczuła, jak eksplozja bólu przenika ją do szpiku kości. Opadła na podłogę i otwartymi szeroko ustami łapała z trudem powietrze. Jeszcze nie tak dawno jej ciało pogrążone było w letargu, a obudziło się w męczarniach. Jak zwierzę odgryzające własną łapę, by wyswobodzić się z sidła. Jeśli ból miał chronić przed śmiercią, to teraz żyła jak nigdy dotąd.

– Och – zapłakała, bo tak mocno bolało. Chwyliła swoją wykałaczkę i włożyła ją powoli do ust. Ostrożnie próbowała sprawdzić, czy pod dziąsłem nie utkwiło coś, co mogło spowodować zapalenie, ale w tej samej sekundzie, gdy poczuła, jak ostry koniec dotyka dziąsła, ząb znów eksplodował potwornym bólem.

– Musisz zrobić w nim otwór, Merete, no dalej. – Płakała, dźgając dziąsło, aż wzburzyła się treść jej żołądka. Trzeba było je przekłuć, ale nie potrafiła. Po prostu nie potrafiła.

Podczołgała się za to do śluzy, aby sprawdzić, co tego dnia przysłali jej w wiadrze do jedzenia. Może było tam coś, co przyniosłoby jej ulgę? Może malutka kropla wody dozowana bezpośrednio na ropień sprawi, że dziąsło przestanie tak strasznie pulsować?

Zajrzała do wiadra i ujrzała pokusy, o których nawet nigdy nie śmiała marzyć. Dwa banany, jabłko, kawałek czekolady. To było całkiem absurdalne. Chcieli wystawić na próbę jej głód. Zmusić, żeby jadła, a ona nie mogła. Nie mogła i nie chciała.

Odsłoniła zęby przy kolejnym ataku bólu, który niemal ją powalił. Następnie wyciągnęła z wiadra wszystkie owoce, położyła je na podłodze, wsadziła rękę do wiadra i chwyciła pojemnik z wodą. Umoczyła w niej palec i przyłożyła go do ropnia, ale lodowaty chłód nie przyniósł oczekiwanego rezultatu. Był ból i była woda, i nie miały one ze sobą nic wspólnego. Woda nie mogła nic zrobić nawet z pragnieniem.

Wtedy odsunęła się, położyła się w pozycji embrionalnej pod lustrzanymi szybami i pogrążyła w cichej modlitwie do Boga o wybaczenie. W pewnym momencie ciało się podda, wiedziała to. Będzie musiała przeżyć swoje ostatnie dni w cierpieniu.

Ono też się skończy.

Głosy dobiegły do niej jak w transie. Wołały do niej po imieniu. Apelowały, by im odpowiedziała. Otworzyła oczy i poczuła, że ropień się uspokoił, a jej bezwładne ciało nadal leży obok wiadra na odchody pod szybami z luster. Wpatrzyła się w sufit. Jedna ze świetlówek zaczęła lekko migotać w pancernym kasetonie znajdującym się wysoko nad nią. Usłyszała głosy czy jednak nie? Czy

naprawdę coś usłyszała?

– Zgadza się, zabrała owoce – zabrzmiał wyraźnie ten sam głos, który już wcześniej słyszała.

Jest prawdziwy – pomyślała, ale była zbyt słaba, by ją to poruszyło.

To był męski głos. Niemłody mężczyzna, ale i niestary.

Natychmiast podniosła głowę, ale nie na tyle, by było to widoczne z zewnątrz.

– Widzę stąd owoce – powiedział głos kobiety. – Leżą na podłodze. – To była ta, która do niej mówiła raz do roku. Nie pomyliłaby tego głosu z żadnym innym. Ci z zewnątrz widocznie ją wołali, a potem zapomnieli wyłączyć mikrofon.

– Wpełzła tam, między okna. Jestem tego pewna – kontynuowała kobieta.

– Myślisz, że nie żyje? Minał już przecież tydzień – zapytał męski głos. Wydawał się naturalny, ale sytuacja nie była naturalna. To o niej rozmawiali.

– To podobne do tej małej dziwki.

– Wyrównamy ciśnienie i wejdziemy tam, żeby sprawdzić?

– No i co z nią zrobimy? Wszystkie komórki w jej organizmie są przystosowane do ciśnienia pięciu atmosfer. Wyciszenie jej ciała zajmie kilka tygodni. Jeśli teraz otworzymy, to nie tyle przeżyje szok, ile natychmiast eksploduje. Widziałeś jej odchody, jakie są płynne. A mocz – jak syczy i się pieni. Od trzech lat żyje w komorze ciśnieniowej, pamiętaj.

– Nie możemy po prostu napompować powietrza z powrotem, jak już zobaczymy, że nadal żyje?

Kobieta z zewnątrz nie odpowiedziała. Ale było jasne, że nie ma o tym mowy.

Merete wciągała powietrze z coraz większym trudem. Głosy należały do potworów. Rozpłatywaliby ją i z powrotem zszywali przez całą wieczność, gdyby tylko mogli. Była w sercu piekła. Tam, gdzie cierpienie nigdy nie ustaje.

Wejdźcie tu po prostu, świnię – pomyślała i ostrożnie przysunęła do siebie latarkę, a piszczący dźwięk w jej uszach się wzmógł. Wsadzi ją prosto w oko pierwszego, kto się do niej zbliży. Oślepi tę wstrętną istotę, która ośmieli się wdrzeć do jej świętej komory. Na pewno zdąży to zrobić przed śmiercią.

– Nic nie zrobimy przed powrotem Lassego, rozumiesz? – powiedziała kobieta tonem nieznoszącym sprzeciwu.

– To jeszcze cała wieczność. Ona zdąży umrzeć do tego czasu – odparł mężczyzna. – Co, do diabła, zrobimy? Lasse się wścieknie.

Nastąpiła cisza, duszna i ciasna, jakby ściany miały się złączyć, zgniatając ją między sobą.

Ścisnęła jeszcze bardziej kurczowo latarkę i czekała. Wtedy powrócił ból jak uderzenie młotem. Otworzyła szeroko oczy i wciągnęła powietrze głęboko do płuc, by złagodzić go krótkim krzykiem, który jednak zdołała opanować. Poczula

duszność, a mdłości wywołały u niej odruch wymiotny, ale nie wydała z siebie ani dźwięku. Odchyliła tylko głowę i pozwoliła, żeby łyzy pociekły do jej wysuszonych ust.

– Słyszę ich, ale oni mnie nie słyszą – powtarzała bezgłośnie. Objęła się ramionami i gładząc w powietrzu spuchnięty policzek, kołysała się w przód i w tył. Bez przerwy zaciskała i otwierała wolną dłoń. Każde włókienko jej systemu nerwowego tkwiło w piekle cierpienia.

Wtedy pojawił się krzyk. Żył własnym życiem. Był potrzebny ciału. Głęboki, pusty krzyk, który trwał i trwał w nieskończoność.

– Jest tam, słyszysz ją? Wiedziałam! – Rozległo się pstryknięcie kontaktu. – Wyjdź, żebyśmy cię widzieli – odezwał się odrażający kobiecy głos z zewnątrz i dopiero wtedy zorientowali się, że coś jest nie tak.

– Słuchaj – powiedziała kobieta. – Guzik jest wciśnięty.

Po czym słychać było, jak wciska kontakt, ale bezskutecznie.

– Leżysz sobie i podsłuchujesz, o czym rozmawiamy, ty krowo? – zawyła jak zwierzę. Głos miała bezbarwny i zniszczony przez lata surowości i emocjonalnego chłodu.

– Lasse to naprawi, gdy przyjedzie – odezwał się mężczyzna. – Przecież to nie ma znaczenia.

W tej chwili poczuła się, jakby jej szczeka miała pęknąć. Merete nie chciała na to reagować, ale nie potrafiła inaczej. Musiała wstać. Zrobić wszystko, by pozbyć się pulsującego stanu gotowości bojowej, w którym znajdowało się jej ciało. Dźwignęła się na kolana, próbując opanować bezwład ciała, podparła się i kucnęła, czując ogień zalewający ponownie usta, postawiła stopę na ziemi i trochę się podniosła.

– Dobry Boże, dziewczyno, jak ty wyglądasz – zabrzmiał szorstki głos z zewnątrz i zaczął się śmiać. Ten śmiech ugodził ją jak grad skalpeli. – Boli cię ząb! – rechotał. – Bogowie, tę pieprzoną dziwkę boli ząb, tylko popatrz!

Obróciła się gwałtownie ku lustrzanym szybom. Samo rozchylenie ust zdawało się gorsze niż śmierć.

– Któregoś dnia się zemszczę – wyszeptwała, przykładając twarz do jednej z szyb. – Na pewno się zemszczę, poczekajcie.

– Jeśli nie będziesz nic jadła, to wkrótce spłoniesz w piekle bez tej przyjemności – wysyczała kobieta z zewnątrz, ale w jej głosie dostrzegła coś jeszcze. To było jak igranie kota z myszą, a kot nie skończył jeszcze zabawy. Chodziło o to, by ich zdobyć żyła. Żyła tak długo, jak będą chcieli, nie dłużej.

– Nie mogę jeść – wyjęczała.

– Czy to ropień? – zapytał męski głos.

Kiwnęła głową.

– Musisz sobie sama z tym poradzić – powiedział chłodno.

Spojrzała na swoje odbicie w jednym z bulajów, na godną pożałowania kobietę z zapadniętymi policzkami i oczami, które wyglądały, jakby miały za chwilę wyskoczyć z głowy. Górna połowa jej twarzy była wykrzywiona opuchlizną, a cienie pod oczami mówiły wyraźnie same za siebie. Wyglądała na śmiertelnie chorą i tak też było.

Przycisnęła plecy do szyby i powoli osunęła się na podłogę, na której usiadła ze łzami wściekłości w oczach i nowo odkrytą świadomością, że ciało potrafi i chce żyć. Weźmie wszystko, co leży w wiadrze, i wmusi to w siebie. Ból ją zabije albo nie – czas pokaże. W każdym razie nie podda się bez walki, bo właśnie złożyła obietnicę temu odrażającemu babsku z zewnątrz i zamierzała jej dotrzymać. Któregoś dnia odpłaci się tym ohydny ludzom tym samym.

Przez chwilę jej ciało było spokojne jak spustoszony krajobraz w oku cyklonu, po czym ból powrócił. Tym razem zanosła się niepohamowanym krzykiem. Poczula, jak ropa z zęba wypływa na język i jak pulsowanie rozchodzi się aż do skroni.

Wtedy rozległ się świst od strony śluzy i pojawiło się nowe wiadro.

– Proszę! Mamy dla ciebie małą pierwszą pomoc w wiadrze. Weź sobie! – zarechotał kobiecy głos na zewnątrz.

Szybko podeszła tam na czworakach, wyciągnęła wiadro z otworu i spojrzała do środka.

Na dole, na samym dnie, na kawałku materiału, jak narzędzie chirurgiczne leżały szczypce.

To były duże szczypce. Duże i zardzewiałe.

2007

Poranek Carla był przytłaczający. Złe sny, a później kwękanie Jespera przy śniadaniu skutecznie pozbawiły go energii, zanim jeszcze zdążył się wgramolić do służbowego wozu i odkryć, że kontrolka paliwa wskazuje zero. Trzy kwadransy spędzone na króciutkim odcinku autostrady między Nymøllevej a Værløse też nie sprzyjały rozwinięciu takich cech jak cierpliwość i szarmanckość.

Kiedy w końcu usiadł na swoim miejscu w piwnicy pod Komendą Główną i spojrzał w tryskającą energią, zadowoloną twarz Assada, zaczął rozważać pójście do biura Marcusa Jacobsena i roztrzaskanie tam kilku krzesel. Wtedy może wysłaliby go w miejsce, gdzie miałyby opiekę, a wszystkimi nieszczęściami świata zajmowałby się tylko w czasie dziennika.

Znużony kiwnął na swojego asystenta. Gdyby mógł go choćby na chwilę ściszyć, akumulator Carla zdążyłby się naładować. Wlepił wzrok w pusty dzbanek od ekspresu do kawy, po czym przyjął maleńką filiżankę, którą podał mu Assad.

– Carl, ja nie rozumiem tego do końca – stwierdził Assad. – Daniel Hale nie żyje, jak mówisz, ale to nie on był na tym spotkaniu w Christiansborgu. Kto to był w takim razie?

– Nie mam pojęcia, Assad. Ale Hale nie ma nic wspólnego z Merete Lynggaard. Natomiast facet, który podszył się pod Hale’a, ma. – Pociągnął łyk miętowej herbaty Assada. Jakies cztery, pięć łyżeczek cukru mniej i dałoby się ją wypić.

– Ale skąd ten facet mógł to wiedzieć, że ten miliarder, co był szefem na tym spotkaniu w Christiansborgu, nigdy wcześniej nie widział Daniela Hale’a własnymi oczami?

– No właśnie, skąd? Może ten facet i Hale się skądś znali. – Postawił filiżankę na biurku i spojrzał na tablicę korkową, do której przypiął broszurę „Interlab SA” z podobizną zadbanego Daniela Hale’a.

– Czyli to nie Hale dostarczył list, tak? I to nie z nim Merete Lynggaard jadła w Café Bankeråt?

– Według pracowników Hale’a nie było go wtedy w ogóle w kraju. – Odwrócił się do pomocnika. – Pamiętasz, co mówił raport policji na temat stanu pojazdu Daniela Hale’a po wypadku? Czy wszystko było w stu procentach sprawne? Czy znaleziono jakieś usterki, które mogły spowodować wypadek?

– Chodzi ci o to, czy tamte hamulce były w sam raz?

– Hamulce. Układ kierowniczy. Wszystko. Były jakieś oznaki sabotażu?

Wzruszył ramionami.

– Trudno było coś znaleźć, bo samochód spłonął, Carl. Ale to był pewnie całkiem zwyczajny wypadek, jak zrozumiałem z raportu.

Tak, on też tak to zapamiętał. Nic podejrzanego.

– I nie było przecież żadnych świadków, którzy mówią coś innego.

Spojrzeni po sobie.

– Wiem o tym, Assad, wiem.

– Tylko ten mężczyzna, który w niego wjechał.

– Tak, właśnie. – Bezmyślnie wziął łyk herbaty miętowej i w efekcie przeszła go gwałtowna fala chłodu. Od tego gówna z pewnością się nie uzależni.

Carl zastanawiał się, czy nie wziąć papierosa albo cukierka z szuflady, ale nawet na to zabrakło mu energii. Pieprzony postęp w sprawie. Już miał zakończyć to cholerstwo, a teraz nowe okoliczności wskazujące na jakieś niezbadane aspekty. Niekończący się natłok pracy pojawił mu się nagle przed oczami, a to była tylko ta jedna sprawa. Na biurku przed nim leżało z pięćdziesiąt innych.

– A co z tym świadkiem w tamtym samochodzie, Carl? Nie powinniśmy porozmawiać z tym człowiekiem, w którego wjechał Daniel Hale?

– Namówiłem Lis, by go namierzyła.

Przez chwilę wyglądał na zawiedzionego.

– Mam dla ciebie inne zadanie, Assad.

Osobliwa radosna zmiana nastroju uniosła kąciki jego ust.

– Pojedziesz do Holtug na półwyspie Stevns i porozmawiasz jeszcze raz z tą opiekunką, Helle Andersen. Zapytaj, czy poznaje Daniela Hale’a jako tego, który osobiście dostarczył list. Weźmiesz ze sobą jego zdjęcie. – Wskazał na tablicę korkową.

– No tak, ale to przecież nie on, tylko ten drugi, co...

Powstrzymał Assada ruchem ręki.

– Tak, wiemy to i ja, i ty. Ale jeśli ona odpowie „nie” zgodnie z naszymi przewidywaniami, masz ją zapytać, czy Daniel Hale w ogóle przypominał w jakimś stopniu faceta z listem. Musimy się przecież do niego dostać, nie? I jeszcze jedna rzecz: zapytaj ją, czy Uffe tam był i widział człowieka, który przyniósł list. No i zapytaj ją, czy pamięta, gdzie Merete Lynggaard zwykle kładła swoją dyplomatkę po powrocie do domu. Powiedz jej, że dyplomatka jest czarna i ma rozcięcie na jednej stronie. Należała do jej ojca, a on miał ją w samochodzie, gdy wydarzył się wypadek, więc na pewno była dla niej cenna. – Ponownie uniósł rękę, gdy Assad próbował się odezwać. – A potem pojedziesz prosto do handlarzy antyków, którzy kupili dom Merete w Magleby, i zapytasz ich, czy nie widzieli gdzieś takiej dyplomatki. Porozmawiamy o tym wszystkim jutro, dobrze? Możesz pojechać autem do domu. Dziś będę jeździł taksówkami, a do domu wrócę pociągiem.

W tej chwili Assad zamachał znacząco rękami.

– Tak, Assad?

– Chwilkę, dobrze? Muszę znaleźć notatnik. Czy nie mógłbyś powiedzieć mi tego wszystkiego jeszcze raz?

Hardy wyglądał gorzej. Wcześniej jego głowa sprawiała wrażenie wtopionej w poduszkę, ale teraz była tak spuchnięta, że widać było żyłki pulsujące na skroniach. Leżał z zamkniętymi oczami i wyglądał na spokojniejszego niż kiedykolwiek, więc Carl powstał chwilę i zaczął się zastanawiać, czy sobie pójść. Z sali usunięto część maszynarii, choć respirator oczywiście nadal tam był i pompował. Może to mimo wszystko dobrze wróżyło.

Odwrócił się ostrożnie na pięcie i zrobił krok w stronę drzwi, gdy zatrzymał go głos Hardy'ego.

– Dlaczego idziesz? Nie możesz znieść widoku leżącego człowieka?

Obrócił się i spostrzegł, że Hardy leży dokładnie tak jak wcześniej.

– Jeśli chcesz, żeby ludzie u ciebie zostawali, to zasygnalizuj, że nie śpisz. Na przykład otwierając oczy.

– Nie, nie dzisiaj. Dziś nie mam ochoty otwierać oczu.

Carl musiał to usłyszeć jeszcze raz.

– Jeśli moje dni mają się jakoś różnić, to muszę tak robić, okej?

– Okej.

– Jutro mam zamiar patrzeć tylko w prawo.

– Okej – powiedział, ale słysząc to, czuł dotkliwy ból. – Kilka razy rozmawiałeś z Assadem, Hardy. Czy masz coś przeciwko temu, że go tu przysyłam?

– Tak, mam, do cholery – powiedział, ledwie poruszając wargami.

– Aha, ale to już się stało. I zamierzam przysyłać go tutaj tak długo, jak będzie trzeba. Masz jakieś obiekcje?

– Nie, jeśli będzie przynosił ze sobą te grillowane rulony.

– Przekażę mu.

Coś na kształt śmiechu wydobyło się z ciała Hardy'ego.

– Srałem po nich jak nigdy dotąd. Pielęgniarki były w rozpacz.

Carl próbował sobie tego nie wyobrażać. Nie brzmiało to zbyt przyjemnie.

– Powiem Assadowi, Hardy. Następnym razem grillowane rulony będą mniej ostre.

– Coś nowego w sprawie Lynggaard? – zapytał Hardy. Po raz pierwszy, od kiedy został sparaliżowany, wykazał zainteresowanie czymkolwiek. Carl poczuł gorąco na policzkach. Wkrótce pewnie pojawi się też klucha w gardle.

– Tak, trochę się zdarzyło. – I opowiedział Hardy'emu o ostatnich odkryciach dotyczących Daniela Hale'a.

– Wiesz, co myślę, Carl? – zapytał później Hardy.

– Myślisz, że teraz sprawa się ruszy.

– Właśnie. To wszystko śmierdzi na kilometr. – Otworzył na krótką chwilę

oczy i spojrział w sufit, po czym znowu je zamknął. – Masz jakieś ewentualne tropy polityczne, którymi mógłbyś się kierować?

– Najmniejszego.

– Rozmawiałaś z prasą?

– O co ci chodzi?

– O jakiegoś komentatora politycznego z Christiansborga. Oni bardzo czujnie węszą. Albo jakiegoś z gazet plotkarskich. Na przykład taki Pelle Hyttsted z „Gossip”. Ten upierdliwiec miał niezły ubaw, przesiadując w kiblach Christiansborga, odkąd wywalili go z „Aktuelt”, więc teraz jest już całkiem zorientowany. Spytaj go, a dowiesz się więcej, niż wiesz teraz. – Na chwilę się uśmiechnął, po czym uśmiech znów zniknął.

Powiem mu teraz – pomyślał i powiedział to wystarczająco wolno, by od razu do niego dotarło.

– W Sorø zdarzyło się morderstwo, Hardy. Sądzę, że to ci sami ludzie, co na Amager.

Jego twarz nawet nie drgnęła.

– I? – spytał.

– Te same okoliczności, ta sama broń, prawdopodobnie te same czerwone koszule w kratę, ten sam krąg ludzi, ten sam...

– Powiedziałem: i?

– Tak, i dlatego ci odpowiadam.

– Powiedziałem „i”. „I” znaczy: co mnie to w ogóle obchodzi.

Redakcja gazety „Gossip” znajdowała się w tej jałowej fazie, gdy ostateczny termin oddania materiałów minął, a kolejny numer dopiero się tworzył. Kilku dziennikarzy zajmujących się plotkami spojrzęło bez zainteresowania na Carla kroczącego przez otwartą przestrzeń biura. Najwyraźniej go nie rozpoznali, dobre i to.

Zastał Pellego Hyttsteda, gdy ten głąskał swoją rudą, krótko przystrzyżoną, ale rzadką brodę, stojąc w kącie, w którym starsi stażem dziennikarze pogrzyżyli się w wiecznym odpoczynku. Carl dobrze znał Pellego Hyttsteda ze słyszenia. Drań i gnojek, którego mogły powstrzymać tylko pieniądze. Jego mętne i rozdmuchane bzdury uwielbiały czytać nieprzebrane masy Duńczyków, w przeciwieństwie do jego ofiar. Pozwy stały w kolejce przed drzwiami Hyttsteda, ale redaktor naczelny strzegł swego czarciego pomiotu. Dzięki Hyttstedowi sprzedawały się gazety, redaktor naczelny dostawał bonus – i tak wszystko się kręciło. Więc co z tego, że naczelny musiał po drodze zapłacić parę grzywien.

Facet przyglądał się przez chwilę odznace policyjnej Carla, po czym odwrócił się z powrotem do kolegów.

Carl położył mu rękę na ramieniu.

– Mówiłem, że mam kilka pytań.

Gdy się odwrócił, jego oczy przeszywały Carla na wskroś.

– Nie widzi pan, że jestem w pracy? Chyba że chce mnie pan zabrać na posterunek?

Właśnie wtedy Carl sięgnął po jedyny banknot o nominale tysiąca koron, jaki od miesiąca znajdował się w jego portfelu, i zamachał mu nim przed nosem.

– O co chodzi? – zapytał Hyttsted, próbując przyciągnąć do siebie banknot wzrokiem. Być może usiłował policzyć, na jak długo starczy mu w Barze u Andy’ego.

– Prowadzę dochodzenie w sprawie zaginięcia Merete Lynggaard. Mój kolega, Hardy Henningsen, sądzi, że pan może mi powiedzieć, czy Merete Lynggaard miała powody, żeby obawiać się kogoś spośród polityków.

– Obawiać się kogoś? Zabawne sformułowanie – orzekł, gładząc płynnym ruchem prawie niewidoczny zarost na twarzy. – A dlaczego pan o to pyta? – ciągnął. – Czyżby w tej sprawie pojawiło się coś nowego?

Przesłuchanie przebiegało w niewłaściwym kierunku.

– Coś nowego? Nie, skąd, tyle że sprawa doszła do takiego momentu, w którym pewne rzeczy należy wreszcie wyjaśnić.

Kiwnął głową nieprzekonany.

– Pięć lat po zaginięciu? Wie pan co, niech mnie pan nie robi w konia. Lepiej niech mi pan powie, co pan wie, a ja powiem panu, co ja wiem.

Carl potrząsnął tysiącem jeszcze raz, by Hyttsted skierował uwagę na to, co najważniejsze.

– Mam rozumieć, że nie zna pan nikogo, kto wtedy patrzył szczególnie krzywo na Merete Lynggaard?

– Przecież wszyscy nienawidzili tej suki. Gdyby nie te jej cholernie ładne cycki, dawno by ją wywalili.

Hyttsted raczej nie głosował na Demokratów, wywnioskował Carl bez zdziwienia.

– Okej, czyli nic pan nie wie. – Zwrócił się do innych. – Czy ktoś z was coś wie? To może być cokolwiek. Nie musi mieć nic wspólnego z Christiansborgiem. Jakieś luźne pogłoski. Ludzie, których zaobserwowano w jej pobliżu podczas polowania waszych paparazzich. Wrażenia. Dowiem się tu czegoś? – Spojrzał wkoło na kolegów Hyttsteda. U połowy z nich można było z pewnością zdiagnozować martwicę mózgu. Mieli puste spojrzenia i wszystko w dupie.

Rozejrzał się po pomieszczeniu. Może któryś z młodszych dziennikarzy miał jeszcze coś we łbie i potrafił coś powiedzieć. Jeśli nie w swoim imieniu, to w czyimś. Przyszedł w końcu do gazety plotkarskiej.

– Mówi pan, że Hardy Henningsen tu pana przysłał? – to pytanie zadał Hyttsted, podkradając się do banknotu. – Czy to nie pan wszystko spierdolił? Pamiętam wyraźnie, że coś było o jakimś Carlu Mørcku, czy nie tak się pan

nazywa? To przecież pan ukrył się pod jednym z kolegów! Ten, co leżał pod Hardym Henningsenen i zgrywał trupa, to nie pan?

Carl poczuł na plecach lód. W jaki sposób, do jasnej cholery, mógł wyciągnąć taki wniosek? Opinia publiczna nie miała dostępu do protokołów z wewnętrznych przesłuchań. Nikt nigdy nie zasugerował tego, co ten gnojek tu wykalkulował.

– Mówisz tak, bo chcesz, bym cię chwycił za kołnierz, zmiażdżył i wdeptał w dywan, żebyś miał o czym napisać w przyszłym tygodniu? – Podszedł na tyle blisko, że Hyttsted wolał ponownie spojrzeć na banknot. – Hardy Henningsen był najlepszym kolegą, jakiego można sobie wyobrazić. Poszedłbym za niego na śmierć, gdybym mógł. Kapujesz?

Hyttsted obejrzał się w tył i posłał kolegom tryumfalne spojrzenie. Kurwa mać. No to już mieli nagłówek do kolejnej gazety, a Carl był ofiarą. Brakowało tylko fotografa, żeby uwiecznić tę sytuację. Musi się ewakuować.

– Dostanę tysiaka, jeśli ci powiem, który fotograf specjalizował się w Merete Lynggaard?

– A w czym mi to pomoże?

– Nie wiem. Może pomoże. Nie jesteś przypadkiem policjantem? Możesz sobie pozwolić na zlekceważenie wskazówki?

– Kto to jest?

– Spróbuj pogadać z Jonasem.

– Jonasem i jak dalej? – W tej chwili łąpczywe palce Hyttsteda były już tylko parę centymetrów od banknotu.

– Jonasem Hessem.

– Jonas Hess, dobrze, a gdzie go znajdę? Jest teraz w redakcji?

– Nie zatrudniamy tu takich jak Jonas Hess. Sprawdź w książce telefonicznej.

Zapamiętał nazwisko i błyskawicznie włożył rękę z banknotem do kieszeni. Ten idiota napisze o nim w kolejnym numerze bez względu na wszystko. Poza tym nigdy w życiu nie płacił za informacje i trzeba by w każdym razie kogoś zupełnie innego kalibru niż Hyttsted, żeby to zmienić.

– Poszedłbyś za niego na śmierć?! – krzyknął Hyttsted za Carlem, gdy ten przeciskał się między rzędami biurk. – Czemu więc tego nie zrobiłeś, panie Mørck?

W recepcji na dole dostał adres Hessa, a taksówka wysadziła go na Vejlands Allé przy malutkim otynkowanym domku zagraconym przez lata przedmiotami świadczącymi o dobrobycie społeczeństwa: starymi rowerami, pękniętymi akwariami i gąsiorami do domowego wyrobu wina z dawnych czasów, zbutwiałymi plandekami, które nie nadawały się już do zakrycia zgniłych desek, morzem butelek i mnóstwem innych śmieci. Jego właściciel stanowiłby idealnego

kandydata do interwencji dla jednego z tych programów o urządzaniu domów nadawanych przez wszystkie stacje telewizyjne. Z tym poradziłby sobie nawet najsłabszy projektant.

Przewrócony rower przed drzwiami wejściowymi i cichy pomruk radia dobiegający zza uświnionych okien wskazywały, że była szansa na powodzenie, więc Carl natarł na dzwonek do drzwi z taką siłą, że aż zaczął mu pulsować palec.

– Daj już spokój z tym cholerstwem! – rozległo się wreszcie wewnątrz.

Drzwi otworzył czerwony na twarzy mężczyzna z widocznymi oznakami kaca i próbował w oślepiającym słońcu skupić wzrok na Carlu.

– Która, do kurwy, godzina? – zapytał, po czym zdjął rękę z klamki i wszedł do środka. Nakaz sądowy wcale nie był potrzebny, by iść za nim.

Salon przypominał te pokazywane w filmach katastroficznych, w których kometa uderzyła w Ziemię, rozbijając ją na dwie części. Mieszkaniec domu rzucił się z pełnym ulgi westchnieniem na zapadniętą pośrodku sofę i pociągnął z butelki solidny łyk whisky, próbując kątem oka zlokalizować Carla.

Nie jest to wymarzony świadek – podpowiadało Carlowi doświadczenie.

Przekazał pozdrowienia od Pellego Hytttesteda, mając nadzieję, że rozluźni to nieco atmosferę.

– Wisi mi kasę – brzmiała odpowiedź.

Carl zastanawiał się, czy pokazać mu odznakę policyjną, ale zostawił ją jednak na dnie kieszeni.

– Przychodzę ze specjalnego wydziału policji, który próbuje rozwikłać zagadki dotyczące biednych ludzi – powiedział. To przecież nikogo nie mogło przestraszyć.

Hess na chwilę opuścił butelkę. Może to jednak było za dużo słów, zważywszy na jego stan.

– Przychodzę w sprawie Merete Lynggaard – spróbował Carl. – Wiem, że byłeś swego rodzaju specjalistą od niej.

Usiłował się uśmiechnąć, ale przeszkodziła mu cierpka mina.

– Niewielu o tym wie – powiedział. – Co z nią?

– Masz jakieś jej zdjęcia, których nie opublikowałeś?

Zgiął się wpół w tłumionym rechocie.

– Daj spokój, co za głupie pytanie! Mam ich co najmniej dziesięć tysięcy.

– Dziesięć tysięcy! To chyba dużo.

– Posłuchaj. – Rozstawił szeroko palce. – Dwie, trzy rolki filmu co drugi dzień przez dwa, trzy lata, ile zdjęć ci wychodzi?

– Znacznie więcej niż dziesięć tysięcy, jak sędzę.

Minęła godzina, zanim Jonas Hess się obudził, dzięki wydatnej pomocy kalorii zawartych w nierozcieńczonej whisky. Wtedy był już w stanie bez zataczania się pokazać Carlowi drogę do swojej ciemni znajdującej się

w nieotynkowanym budyńeczku za domem.

Tutaj rzeczywistość jawiła się zupełnie inaczej. Carl był już w wielu ciemniach, ale nigdy nie widział tak sterylnej i uporządkowanej jak ta. Różnica między człowiekiem z domu i człowiekiem z ciemni była przerażająco niezrozumiała.

Wyciągnął metalową szufladę i zanurkował w niej.

– Proszę – powiedział, podając Carlowi teczkę z napisem „Merete Lynggaard: 13.11.2001 – 01.03.2002”. – To są negatywy z ostatniego czasu.

Carl otworzył teczkę z samego końca. Każda z plastikowych koszulek mieściła negatywy z całego filmu, ale w ostatniej koszulce było tylko pięć zdjęć. Datę wykaligrafowano wyraźnie. Napis głosił: „01.03.2002 ML”.

– Zrobiłeś jej zdjęcia na dzień przed zniknięciem?

– Tak. Nic szczególnego, tylko kilka fotek na dziedzińcu Christiansborga. Często stałem przy bramie i czekałem.

– Czekałeś na nią?

– Nie tylko na nią. Na wszystkich polityków Folketingu. Żebyś wiedział, ile zabawnych konstelacji widziałem na tych schodach. Człowiek tylko czeka, a one się któregoś dnia pojawiają.

– Ale nic zabawnego się tego dnia nie pojawiło, jak widzę. – Wyciągnął plastikową koszulkę z teczki i położył na podświetlany stół. Czyli zdjęcia zostały zrobione w piątek, kiedy Merete Lynggaard wybierała się do domu. Na dzień przed zniknięciem.

Przysunął twarz bliżej do negatywów.

Tak, było widać wyraźnie. Pod pachą trzymała dyplomatkę.

Carl pokręcił głową. Niebawale. Pierwsze z brzegu zdjęcie – i proszę! Oto dowód na negatywie – białe na czarnym. Merete zabrała aktówkę do domu. Starą, zniszczoną, porysowaną aktówkę.

– Czy mogę pożyczyć ten negatyw?

Fotograf wziął kolejny łyk i otarł usta.

– Nie pożyczam negatywów. Nawet ich nie sprzedaję. Ale możemy zrobić kopię, tylko to zeskanuję. Jakość pewnie nie musi być popisowa. – Wciągnął powietrze i odchrząknął, śmiejąc się.

– Nie, nie musi. Będę bardzo wdzięczny za kopię. Możesz przysłać rachunek do mojego wydziału. – Podał mu wizytówkę.

Facet spojrział na negatywy.

– Nie, no fakt. Tego dnia nic ciekawego się nie zdarzyło. Ale u Merete Lynggaard w ogóle rzadko coś się działo. Najwięcej latem, kiedy było zimno i widać było jej sutki pod bluzką. Za takie zdjęcia nieźle mi płacili.

Znów rozległ się charczący śmiech, gdy fotograf przeszukiwał małą, czerwoną lodówkę, stojącą chybotliwie na kilku puszkach z chemikaliami.

Wyciągnął butelkę piwa i chyba chciał go poczęstować, ale jej zawartość zniknęła, jeszcze zanim Carl zdążył zareagować.

– To by dopiero była sensacja, gdyby udało się strzelić jej foty z jakimś kochasiem, co? – powiedział, szukając czegoś, co mógłby w siebie wlać. – Wydaje mi się, że parę dni wcześniej kilka zrobiłem.

Zatrzasnął drzwi lodówki, wziął teczkę i przerzucił kilka stron w tył.

– A tak, jest tu też kilka zdjęć Merete w trakcie dyskusji pod salą posiedzeń Folketingu z kilkoma osobami z Demokratów. Zrobiłem nawet stykówki tych negatywów. – Zaśmiał się. – Tak, ale to wcale nie z powodu dyskusji zrobiłem te odbitki, ale z powodu tej tam, co stoi z tyłu. – Wskazał na osobę, która stała tuż za Merete. – Może i tego nie widać w tej wielkości, ale powinieneś to zobaczyć w powiększeniu. Ta jej nowa sekretarka była nią totalnie zauroczona.

Carl pochylił się nad negatywem. Owszem, to na pewno była Søs Norup. Biła z niej zupełnie inna energia niż ta, którą zaprezentowała w swojej gawrze w Valby.

– Nie mam pojęcia, czy coś między nimi było, czy to tylko sekretarka robiła sobie nadzieje. Ale czy to zdjęcie nie zarobiłoby na sobie któregoś dnia? – powiedział i przewrócił kolejną stronę z negatywami.

– Tutaj jest! – krzyknął, pakując zwilżony palec do plastikowej koszulki. – Wiedziałem, że to będzie 25 lutego, bo moja siostra ma wtedy urodziny. Pomyślałem, że będę mógł jej kupić fajny prezent, jeśli to zdjęcie okaże się żyłą złota. Oto ono.

Wyciągnął plastikową koszulkę i położył ją na podświetlanym blacie.

– Popatrz, o tych zdjęciach mówiłem. Rozmawia z jakimś facetem na schodach zamku. – Wskazał na fotografię powyżej. – Popatrz tutaj. Zdaje mi się, że wygląda na poruszoną. Coś w jej oczach mówi, że czuje się niezręcznie. – Wręczył Carlowi lupę.

Jak, do diabła, można było zobaczyć coś takiego na negatywie? Przecież jej oczy wyglądały jak dwie białe plamy.

– Zauważyła mnie, jak robiłem zdjęcia, więc się usunąłem. Myślę, że się nie dowiedziała, jak wyglądam. Później próbowałem sfotografować faceta, ale nie widziałem go od przodu, bo wyszedł z dziedzińca inną drogą, w stronę mostu. To był najwidoczniej jakiś przypadkowy gość, który ją po prostu zaczepił, gdy tamtędy przechodził. Zresztą wielu tak robiło, jeśli tylko udawało im się potem umknąć.

– Masz stykówki tej serii?

Powstrzymał się od kolejnych cierpkich komentarzy. Sprawiał wrażenie, jakby jego gardło palił ogień.

– Stykówki? Mogę je zrobić, jeśli w międzyczasie skoczysz po kilka browarków.

Carl skinął głową.

– Mam do ciebie tylko jedno pytanie. Jeśli byłeś taki napalony na robienie zdjęć Merete Lynggaard z kochankiem, to pewnie fotografowałeś ją też w pobliżu jej domu w Stevns, co?

Nie podniósł głowy, tylko przyglądał się uważnie poprzednim zdjęciom.

– Oczywiście, byłem tam wiele razy.

– W takim razie czegoś nie rozumiem. Musiałeś ją widzieć z niepełnosprawnym bratem, Uffem, prawda?

– No jasne, mnóstwo razy. – Postawił krzyżyk na jednej z koszulek z negatywami. – Tu jest naprawdę dobre zdjęcie jej i tego faceta. Dam ci kopię. Może wiesz, kto to jest. Opowiesz mi o tym potem, dobra?

Ponownie kiwnął głową.

– Ale dlaczego nie zrobiłeś jej żadnych zdjęć z Uffem, żeby świat się dowiedział, dlaczego zawsze tak się spieszyła z Christiansborga?

– Nie zrobiłem tego, bo sam mam niepełnosprawną osobę w rodzinie. Moja siostra jest ciężko upośledzona.

– Ale przecież żyjesz z robienia zdjęć.

Spojrzał na niego tępo. Jeśli Carl zaraz nie przyniesie tych browarków, to nie dostanie swoich kopii.

– Wiesz co – odrzekł fotograf, patrząc zdecydowanie w oczy Carla. – Nawet takie gówno ma trochę godności. Co ty na to?

Ze stacji Allerød poszedł deptakiem i stwierdził z irytacją, że ulica wyglądała coraz nędzniej. Betonowe klocki w przebraniu luksusowych rezydencji sięgały już do supermarketu Kvickly, a wkrótce znikną też niskie, przytulne domki po drugiej stronie ulicy. Widok, który kiedyś przyciągał wzrok, zamienił się w pstrokaty betonowy tunel. Jeszcze kilka lat temu by w to nie uwierzył, a teraz dotarło to do jego miasteczka. Burmistrz Erhard Jakobsen w Bagsværd, Urban Hansen w Kopenhadze i Bóg wie kto jeszcze w Charlottenlund. Przytulne, bezcenne miejskie obrazki uległy zniszczeniu. Burmistrzowie i radni pozbawieni dobrego smaku byli wszędzie. Takie niechlubne budynki stanowiły najlepszy tego dowód.

W domu w Rønneholtparken towarzystwo grillowe było znów w doskonałej formie, ale też pogoda sprzyjała. Była godzina osiemnasta dwadzieścia cztery, 22 marca 2007 roku, czyli czas, w którym wiosna na dobre się rozpoczęła.

Na tę okazję Morten Holland przywdział powłóczyste szaty, które przytargał z wycieczki do Maroka. W tym mundurku mógłby bez wysiłku utworzyć nową sektę w ciągu dziesięciu sekund.

– W samą porę, Carl – powiedział, wrzucając kilka żeberek na jego talerz.

Sąsiadka Sysser Petersen wyglądała już na lekko wstawioną, ale znosiła to z godnością.

– Niedługo będę miała tego dosyć – stwierdziła. – Sprzedam wszystko i się wyprowadzę. – Wzięła z kieliszka porządny łyk czerwonego wina. – W administracji spędzamy więcej czasu, wypełniając durne blankiety, niż pomagając obywatelom miasta, wiedziałeś o tym, Carl? Ci pełni samozadowolenia ludzie z rządu sami powinni to robić. Gdyby mieli wypełniać papiery, żeby dostać darmowy obiad i darmowych kierowców, i wynajem mieszkania gratis, i te diety, darmowe wycieczki i sekretarki, i to wszystko, to nie mieliby czasu ani na żarcie, ani na spanie, ani na jedzenie i jeżdżenie, i w ogóle na nic. Wyobrażasz sobie? Żeby premier musiał zakreślać, o czym będzie rozmawiał ze swoimi ministrami, zanim zacznie się spotkanie? W trzech kopiach wydrukowanych z komputera, który działa tylko co drugi dzień. I żeby najpierw musiał to wysłać do zatwierdzenia do jakiegoś urzędnika, nim będzie mu wolno przekazać to dalej? Można od tego zdechnąć. – W tym momencie odchyliła głowę, zanosząc się śmiechem.

Carl kiwnął głową. Niedługo dyskusja zejdzie na to, czy minister kultury ma prawo zamknąć pysk mediom albo czy w ogóle ktoś jeszcze pamięta argumenty za reformą administracji, albo szpitali czy fiskusa. Ta rozmowa się nie skończy, dopóki nie zniknie ostatni łyk i nie zostanie obgryzione ostatnie żeberko.

Uścisnął lekko Sysser, poklepał Kenna po ramieniu i zabrał talerz ze sobą do pokoju. Przecież tak naprawdę wszyscy się ze sobą zgadzali. Więcej niż połowa kraju życzyła sobie, żeby premier został wysłany do diabła, i będzie sobie tego życzyła jutro i pojutrze, aż do dnia, w którym wszystkie nieszczęścia, jakie ściągnął na kraj i ludzi, zostaną naprawione. To zajmie dziesiątki lat.

Carl miał akurat teraz coś innego na głowie.

2007

Ciemną nocą o godzinie trzeciej Carl otworzył oczy. Po głowie plątały mu się mgliste wspomnienia o czerwonych koszulach w kratę i pistoletach na gwoździe. Przeczuwał wyraźnie, że wzór na jednej z koszul w Sorø się zgadzał. Puls miał wysoki, ale nastrój na samym dnie – nie czuł się dobrze. Nie miał siły myśleć o tej sprawie, ale kto jest w stanie zapanować nad koszmarami i przepoconą pościelą?

I jeszcze ten, pozał się Boże, dziennikarz Pelle Hyttsted, czy on też się za to zabierze? Czy nagłówek w kolejnym numerze „Gossip” naprawdę będzie dotyczyć policjanta śledczego, który się w coś wplątał?

Tfu, do cholery. Już sama myśl sprawiła, że napięły mu się mięśnie brzucha i przez resztę nocy były twarde jak pancierz.

– Wyglądasz na zmęczonego – powiedział szef Wydziału Zabójstw.

Carl zbył tę uwagę machnięciem ręki.

– Powiedziałeś Bakowi, że ma przyjść?

– Przyjdzie za pięć minut – powiedział Marcus i pochylił się w przód. – Zauważyłem, że nie zapisałeś się na swój kurs. Wiesz, że termin wkrótce upływa.

– To może następnym razem, co?

– Wiesz, że mamy w tym swój cel, prawda, Carl? Kiedy twój wydział wykaże się wynikami, to będzie całkiem naturalne, że otrzymasz pomoc w postaci swoich dawnych kolegów. Ale na nic się to nie zda, jeśli nie będziesz miał zaplecza w postaci uprawnień, jakie daje ci tytuł komisarza policji, prawda? Tak naprawdę nie masz wyjścia, Carl. Musisz iść na ten kurs.

– Nie stanę się lepszym śledczym od siedzenia w szkolnej ławie i ostrzenia ołówków.

– Jesteś tu szefem nowego wydziału, a stopień jest w pakiecie. Albo idziesz na kurs, albo szukasz sobie innego miejsca do prowadzenia śledztwa.

Carl spojrział na Złotą Wieżę w Tivoli, którą kilku robotników przygotowywało na nadchodzący sezon. Cztery czy pięć razy w górę i w dół w tym diabelstwie, a Marcus Jacobsen błagałby go o litość.

– Przemyszę to, panie inspektorze kryminalny.

Atmosfera była trochę chłodna, gdy przyszedł Børge Bak w swoim czarnym płaszczu ładnie układającym się na ramionach.

Carl nie czekał na pierwszy ruch szefa Wydziału Zabójstw.

– Słuchaj, Bak! Niezłego syfu narobiliście swego czasu w sprawie Lynggaard. Brodziliście w morzu poszlak, które sugerowały, że nie wszystko jest

tak, jak być powinno. Cała ekipa zapadła w śpiączkę czy jak?

Oczy Baka wyglądały jak ze stali, kiedy ich spojrzenia mimowolnie się spotkały, ale niech go diabli, jeśli miałyby spuścić wzrok.

– Chciałbym się teraz dowiedzieć, czy może jest coś więcej w tej sprawie, czego nie miałeś okazji ujawnić? – ciągnął. – Czy jest ktoś lub coś, co przeszkodziło w waszym wyjątkowym dochodzeniu, Børge?

W tym momencie szef Wydziału Zabójstw miał wyraźny zamiar włożyć na nos swoje okulary do czytania, żeby się za nimi schować, ale pociemniała twarz Baka wymagała interwencji.

– Jeśli nie liczyć kilku ostatnich uwag, które tylko Carl potrafi zaserwować – tu uniósł brwi, patrząc na Carla – to można go zrozumieć, ponieważ dopiero co stwierdził, że zmarły Daniel Hale nie był osobą, z którą Merete Lynggaard spotkała się w Christiansborgu. To powinno zostać wykryte podczas ostatniego dochodzenia, trzeba przyznać.

Na skórzanym płaszczu Baka pojawiło się kilka fałd na wysokości ramion, ale było to właściwie jedyne miejsce, które zdradzało, jak spięła go ta informacja.

Carl rzucił mu się do gardła.

– To nie wszystko, Børge. Wiedzieliście na przykład, że Daniel Hale był gejem, a do tego, że był za granicą w czasie, gdy podejrzewano go o kontakty z Merete Lynggaard? Powinniście chyba zdobyć się na ten wysiłek, żeby pokazać zdjęcie Hale’a sekretarce Merete Lynggaard, Søs Norup, albo przewodniczącemu delegacji, Billemu Antvorskovowi. Wtedy od razu byście się zorientowali, że coś jest nie tak.

Bak powoli usiadł. Czulo się, że ma mętlik w głowie. Oczywiście, od tego czasu prowadził mnóstwo spraw, a w wydziale był zawsze cholerny natłok pracy, ale pieprzyć to, Bak będzie musiał się ugiąć.

– Nadal uważasz, że możemy całkowicie wykluczyć przestępstwo? – zwrócił się do swojego przełożonego. – Co sądzisz, Marcus?

– To może zacznijmy od tego, że zbadasz okoliczności śmierci Daniela Hale’a, Carl.

– Już nad tym intensywnie pracujemy – zwrócił się ponownie do Baka. – W Hornbæk, w Klinice Urazów Rdzenia Kręgowego leży mój bystry kolega, który potrafi myśleć. – Rzucił zdjęcia na stół naprzeciwko szefa. – Gdyby nie Hardy, nigdy nie nawiązałbym kontaktu z pewnym fotografem o nazwisku Jonas Hess, a tym samym nie wszedłbym w posiadanie kilku zdjęć, które dowodzą, po pierwsze, że Merete Lynggaard ostatniego dnia wzięła ze sobą z Christiansborga swoją teczkę, po drugie, że jej sekretarka lesbijka wykazywała duże zainteresowanie swoją szefową, i wreszcie że był facet, z którym Merete Lynggaard zamieniła parę słów na schodach Christiansborga na kilka dni przed swoim zniknięciem. To spotkanie w widoczny sposób robi na niej wrażenie. –

Wskazał na jej twarz i błyszczące oczy. – Faceta mamy, jak widać, tylko od tyłu, ale gdyby porównać włosy, posturę i wzrost, to faktycznie całkiem przypomina Daniela Hale’a, chociaż to nie on – położył jedną z fotografii Hale’a z broszury Interlabu obok pozostałych zdjęć.

– Teraz zapytam ciebie, Børge Baku. Nie uważasz, że to dość dziwne, żeby dyplomatka zdematerializowała się po drodze z Christiansborga do Stevns, bo przecież nigdy jej nie znaleźliście, prawda? I czy nie uważasz za dziwne, że Daniel Hale ginie dzień po zniknięciu Merete Lynggaard?

Bak wzruszył ramionami. Oczywiście, że tak uważał. Ten dureń nie chciał po prostu tego przyznać.

– Teczki się gubią – odparł. – Mogła jej zapomnieć po drodze, na stacji benzynowej, gdziekolwiek. Szukaliśmy u niej w domu i w aucie, które stało na promie. Zrobiliśmy, co mogliśmy.

– A, tu cię mam. Zapomniała na stacji, powiadasz, ale czy mogło faktycznie tak być? Jak wynika z wyciągu z jej konta, tego dnia nie zrobiła po drodze żadnych zakupów. Nie przyłożyliście się do pracy, co, Bak?

W tej chwili sprawiał wrażenie, jakby miał eksplodować.

– Mówię, że bardzo skrzętnie poszukiwano tej teczki.

– Myślę, że zarówno Bak, jak i ja jesteśmy świadomi, że przed nami jeszcze dużo pracy – powiedział szef pojednawczo.

Przed nami dużo pracy – tak powiedział. Teraz nagle wszyscy mają się rzucić na tę sprawę?

Carl oderwał wzrok od swojego przełożonego. Nie, oczywiście Marcus Jacobsen nie chciał przez to nic szczególnego powiedzieć. Bo z góry nie miała nadejść żadna pomoc. Carl był doskonale zorientowany, jak wyglądają procedury w tym całym biznesie.

– Zapytam cię jeszcze raz, Bak. Myślisz, że już wszystko uwzględniliśmy? Nie wpisałeś Daniela Hale’a do raportu, nie było też ani słowa o obserwacjach opiekunki społecznej Karen Mortensen dotyczących Uffego Lynggaarda. Czy jeszcze czegoś brakuje, Bak, możesz mi to powiedzieć? W tej chwili potrzebuję wsparcia, kapujesz?

Bak zagapił się w podłogę, pocierając nos. Za chwilę jego druga ręka powędruje do góry, by przygłodzić pożyczkę. Mógłby wyłazić ze skóry i się awanturować, byłoby to zrozumiałe wobec tych wszystkich aluzji i oskarżeń. Ale jak przyszło co do czego, zmieniał się w śledczego przez duże „S” i w tej chwili był zupełnie nieobecny duchem.

Ich przełożony posłał Carlowi spojrzenie mówiące „tylko spokojnie” i Carl się powstrzymał. Zgadzał się z szefem. Bak potrzebuje teraz chwili do namysłu.

Siedzieli tak przez minutę, nim Bak podniósł rękę do ulizanych włosów.

– Ślady hamowania – powiedział. – Mówię o śladach hamowania

w wypadku Daniela Hale'a.

– Tak, co z nimi?

Uniósł wzrok.

– Jak wynika z raportu, na drodze nie było żadnych śladów hamowania – ani jednego, ani drugiego samochodu. Nawet cienia śladu. Że niby Hale był nieuważny i po prostu zjechał na drugi pas ruchu. Bum! – Klasnął głośno w dłonie. – Hipoteza mówi, że nie zdążył zareagować, zanim doszło do zderzenia.

– Owszem, tak jest napisane w raporcie drogówki. Dlaczego o tym wspominasz?

– Bo przypadkowo przejeżdżałem obok miejsca wypadku kilka tygodni później i pamiętałem, co się tam wydarzyło, więc zatrzymałem samochód.

– Tak?

– Tak jak napisano, nie było śladów hamowania, ale absolutnie nie ulegało wątpliwości, gdzie to się zdarzyło. Nie usunięto jeszcze tego złamanego i do połowy spalonego drzewa ani nie załatano muru, a na polu nadal były widoczne ślady po tamtym samochodzie.

– Ale? Jest chyba jakieś ale?

Kiwnął głową.

– Ale jednak odkryłem jakieś ślady dwadzieścia pięć metrów dalej, na drodze w kierunku Tåstrup. Były już trochę zatarte, w każdym razie dość krótkie, gdzieś na metr. Wtedy pomyślałem: A co, jeśli te ślady pochodzą z tego samego wypadku?

Carl próbował za nim nadążyć. Zirykowało go, że jego przełożony go uprzedził.

– Hamował, by coś wyminąć? – zapytał.

– Mogło tak być, owszem – kiwnął głową Bak.

– Chodzi ci o to, że Hale był bliski zderzenia się z czymś, nie wiemy z czym, ale zahamował i to objechał? – ciągnął Marcus.

– Tak.

– A drugi pas ruchu nie był pusty? – Marcus Jacobsen kiwnął głową. To brzmiało wiarygodnie.

Carl uniósł palec.

– Raport mówi, że zderzenie nastąpiło na przeciwnym pasie ruchu. Czy mi się zdaje, czy sugerujesz, że to nie musiał być przypadek? Chodzi ci o to, że to się mogło wydarzyć na środku drogi i nie wiadomo, co tam właściwie robił samochód jadący z naprzeciwka, czy tak?

Bak wciągnął głęboko powietrze.

– Tak przez chwilę pomyślałem, ale dałem sobie spokój. Ale teraz, po czasie, widzę, że tak faktycznie mogło być. Że ktoś albo coś wkracza na jezdnię, Hale to wymija i samochód jadący z naprzeciwka z całym impetem uderza w niego na linii

rozdzielającej oba pasy ruchu. Może nawet celowo. Może gdyby pójść sto metrów dalej, to na pasie samochodu jadącego z naprzeciwka znalazłyby się ślady przyspieszenia. Być może kierowca jadący z naprzeciwka dodał gazu, żeby uderzyć w Hale'a dokładnie wtedy, gdy ten wjechał na środek, by nie wjechać w tego kogoś albo to coś.

– A jeśli to coś jest człowiekiem, który wchodzi na drogę, i ta osoba oraz ten, który wjeżdża w Hale'a, są w zмовie, to nie jest to już wypadek, lecz morderstwo. A jeśli tak istotnie było, to powstaje uzasadnione podejrzenie, że zniknięcie Merete Lynggaard stanowi element tego samego przestępstwa – zakończył Marcus Jacobsen i zanotował coś w swoim notesie.

– Tak, możliwe. – Kąciki ust Baka powędrowały w dół. Nie czuł się zbyt dobrze.

Wtedy Carl się podniósł.

– Przecież nie było żadnych świadków, a zatem więcej się nie dowiemy. Teraz szukamy tamtego kierowcy – zwrócił się do Baka, który niemal zapadł się w swoje czarne skórzane opakowanie.

– Miałem takie przeczucie wobec tego, o czym właśnie opowiedziałeś, Bak, dlatego wiedz, że to mimo wszystko duża pomoc. Będziesz pamiętać, żeby do mnie przyjść, jeśli przyjdzie ci do głowy coś jeszcze, prawda?

Bak skinął głową. Miał oczy pełne powagi. Nie chodziło tylko o osobistą reputację; chodziło o profesjonalne podejście do zadania, które należało porządnie rozwiązać. To trzeba mu oddać.

Miało się niemal ochotę lekko poklepać go po ramieniu.

– Carl, mam dobre i złe wiadomości po tej wycieczce do Stevens – oznajmił Assad.

Carl westchnął.

– Kolejność jest mi zupełnie obojętna, Assad. Wal!

Assad usiadł na brzegu jego biurka. Następnym razem pewnie usiądzie mu na kolanach.

– Okej, na początek te złe. – Jeśli dla niego okraszanie złych wiadomości takim uśmiechem było normalne, to jego twarz zupełnie się rozpołowi, kiedy dojdzie do tych dobrych. – Ten, który wjechał w Daniela Hale'a, też nie żyje – oznajmił, wyraźnie zainteresowany reakcją Carla. – Lis dzwoniła i powiedziała. Zapisałem to tutaj. – Wskazał na rząd arabskich znaczków, które równie dobrze mogły oznaczać, że pojutrze na Lofotach spadnie śnieg.

Nie miał siły zareagować. To wszystko było irytująco typowe. Oczywiście, że ten człowiek nie żyje, czego innego się spodziewał? Że będzie tryskał energią i natychmiast wyzna, że podawał się za Daniela Hale'a, zabił Lynggaard, po czym ukatrupił też Hale'a? Nonsens!

– Lis mówiła, że on był prymitywem z zapadłej dziury, Carl. Mówiła, że

siedział kilka razy w więzieniu za złe prowadzenie samochodu. Wiesz, o co jej chodzi z tym prymitywem i zapadłą dziurą?

Carl kiwnął ze zmęczeniem głową.

– Dobrze – powiedział i przeczytał coś ze swoich hieroglifów. Któregoś dnia Carl będzie musiał mu zaproponować, żeby pisał po duńsku.

– Mieszkał w Skævinge w północnej Zelandii – ciągnął. – Znalaziono go jako trupa w łóżku, z dużą ilością wymiocin w tchawicy i z alkoholem we krwi w ilości jakiegoś miliona promili. Do tego połknął też tabletki.

– Ach tak. Kiedy to się stało?

– Niezbyt długo po wypadku. W raporcie piszą, że to wszystko złe, co się z nim stało, było wynikiem tego wypadku.

– Że zapił się na śmierć z tego powodu, o to ci chodzi?

– Tak. Z powodu stresu postdramatycznego.

– Post-TRAU-matycznego, Assad, tak to się nazywa. – Carl zabębnił palcami po stole i zamknął oczy. Może na drodze znajdowały się trzy osoby, kiedy doszło do zderzenia, i wtedy byłoby to prawdopodobnie morderstwo. A jeśli to było morderstwo, to ten prymityw ze Skævinge rzeczywiście miał powody, żeby zapić się na śmierć. Ale gdzie była trzecia osoba, która wtargnęła przed samochód Daniela Hale'a, o ile w ogóle ktoś taki istniał? Czy ten ktoś też zachlał się na śmierć?

– Jak nazywał się ten facet?

– Dennis. Dennis Knudsen. Gdy umarł, miał dwadzieścia siedem lat.

– Masz adres, pod którym mieszkał Dennis Knudsen? Są jacyś krewni? Rodzina?

– Tak. Mieszkał u mamy i taty. – Assad się uśmiechnął. – Wielu dwudziestosiedmiolatek w Damaszku też tak robi.

Carl uniósł brwi. Na tym forum nie będzie nic więcej o bliskowschodnich doświadczeniach Assada.

– Mówiłeś, że masz też dobre wieści.

Zgodnie z przewidywaniami jego twarz niemal pękła na pół. Pewnie z dumy.

– Proszę – powiedział i podał Carlowi czarną plastikową torbę, którą wcześniej położył obok siebie na podłodze.

– No tak. A co w niej masz, Assad? Dwadzieścia kilo sezamu?

Carl podniósł się, włożył rękę do środka i od razu wyczuł rączkę. Przeczucia sprawiły, że przeszedł mu po plecach zimny dreszcz, nim za nią pociągnął.

Tak, to było to, o czym myślał – zniszczona dyplomątka. Jak na zdjęciu Jonasa Hessa, z dużą rysą nie tylko na klapie, ale też z tyłu.

– Do diabła, Assad! – powiedział, siadając powoli. – Jest w niej kalendarz? – Kiedy Assad skinął głową, ramię Carla zaczęło drżeć. Uczucie było takie, jakby trzymał Świętego Graala.

Popatrzył na aktówkę. „Tylko spokojnie, Carl” – powiedział do siebie w myślach, po czym odpiął zatrzaski i odchylił klapę. Było tam wszystko. Jej kalendarz typu TimeSystem w brązowej skórzanej oprawie. Jej przybory do pisania, jej telefon komórkowy Siemens wraz z płaską ładowarką, odręczne notatki na papierze w linie, kilka długopisów i paczka chusteczek higienicznych. To był Święty Graal.

– Jak...? – zapytał tylko. I zastanowił się, czy policyjni technicy nie powinni najpierw poddać teczki bliższym oględzinom.

Głos Assada dochodził z oddali.

– Najpierw byłem u Helle Andersen, a jej nie było w domu, ale jej mąż do niej zadzwonił. On leżał w łóżku z bolącymi plecami i wydawał dźwięki. A kiedy ona przyszła, pokazałem jej zdjęcie Daniela Hale’a, ale nie pamiętała, żeby go kiedykolwiek widziała.

Carl wlepił wzrok w torbę i jej zawartość. Cierpliwości – pomyślał. W którymś momencie dojdzie do teczki.

– Czy Uffe tam był, gdy przyszedł ten mężczyzna z listem? Pamiętałeś, żeby o to zapytać? – próbował pomóc Assadowi.

Assad kiwnął głową.

– Tak, ona mówi, że stał tuż przy niej przez cały czas. Był bardzo zainteresowany. Jak zawsze, gdy odzywał się dzwonek u drzwi.

– Czy jej zdaniem facet z listem był podobny do Hale’a?

Zmarszczył odrobinę nos. Dobrze pokazane.

– Nie za bardzo, ale trochę. Facet z listem mógł być trochę młodszy od niego, miał trochę ciemniejsze włosy i był trochę bardziej męski. Coś tam z podbródkiem i oczami, i takie tam, nic więcej nie miała o tym do powiedzenia.

– I zapytałeś o aktówkę, tak?

W tym momencie na twarz Assada powrócił uśmiech.

– Tak. Nie wiedziała, gdzie jest ta teczka. Pamiętała ją, ale nie wiedziała, czy Merete Lynggaard przyniosła ją ze sobą do domu ostatniego wieczora. Przecież jej tam nie było, prawda?

– Assad, do rzeczy. Gdzie ją znalazłeś?

– Przy piecu olejowym w ich pomieszczeniu gospodarczym.

– Byłeś w domu w Magleby u handlarza antyków?

Kiwnął głową.

– Helle Andersen powiedziała, że Merete Lynggaard robiła wszystko codziennie w ten sam sposób. Sama na to zwróciła uwagę z biegiem lat. Zawsze w ten sam sposób. Buty zdejmowała w pomieszczeniu gospodarczym, ale najpierw zawsze zaglądała przez okno. Znaczący do Uffego. Każdego dnia zdejmowała natychmiast ubranie i kładła je obok pralki. Nie dlatego że było takie brudne, tylko dlatego że tam właśnie miało leżeć. Zawsze wkładała szlafrok. I potem ona i jej

brat zawsze oglądali te same filmy na wideo.

– A co z aktówką?

– Tak, opiekunka społeczna nic o tym nie wiedziała, Carl. Nigdy nie widziała, gdzie Merete ją kładła, ale uważała, że albo w korytarzu, albo w pomieszczeniu gospodarczym.

– Jak, do kurwy nędzy, mogłeś ją znaleźć przy piecu w pomieszczeniu gospodarczym, skoro cała banda z lotnej brygady tego nie potrafiła? Nie było jej widać? Dlaczego tam nadal leżała? Jestem przekonany, że handlarze antyków przykładają się do sprzątanía. Czym się kierowałeś?

– Pozwolono mi obejść wszystko samemu u tego handlarza antyków, więc wszystko to odegrałem w głowie. – Postukał w nią kłykciami. – Kopnięciem zdjąłem buty i powiesiłem kurtkę na haczyku w pomieszczeniu gospodarczym. To znaczy tylko udawałem, bo haczyka już tam nie ma. Ale potem wyobraziłem sobie w głowie, że może miała coś w obu rękach. Papiery w jednej, a teczkę w drugiej. I wtedy pomyślałem, że nie mogła zdjąć płaszcza, zanim nie odłożyła tego, co trzymała w rękach.

– A piec był najbliżej?

– Tak, Carl, dokładnie tuż obok.

– Dlaczego później nie zabrała ze sobą teczki do salonu albo do gabinetu?

– Zaraz do tego dojdę, Carl, minutka. Spojrzałem na górę pieca, ale tam przecież teczki nie było. Zresztą wcale się tego nie spodziewałem. Ale wiesz, Carl, co wtedy zobaczyłem?

Carl tylko się w niego wpatrywał. Odpowiedź zaraz się pojawi.

– Zobaczyłem, że między piecem i sufitem jest jakiś metr odległości.

– Niesamowite – skwitował Carl sucho.

– I wtedy pomyślałem, że nie położyła torby na tym brudnym piecu, bo to była przecież torba jej taty, więc o nią dbała.

– Nie za bardzo nadążam.

– Nie położyła jej, Carl, tylko postawiła na piecu. Tak jak stawia się torbę na podłodze. Było przecież dość dużo miejsca.

– Czyli postawiła ją, a wtedy teczka wpadła za piec.

Uśmiech Assada był wystarczającą odpowiedzią.

– Rysa na drugiej stronie jest zupełnie świeża, popatrz sam.

Carl zamknął teczkę i odwrócił ją. Według niego rysa nie była znowu aż taka świeża.

– No tak, przetarłem trochę teczkę, bo była cała w brudzie, więc może rysa jest teraz trochę ciemniejsza. Ale wyglądała na całkiem świeżą, gdy ją znalazłem. Tak jest, Carl.

– Do diaska, Assad, chyba nie wytarłeś teczki zupełnie? W takim razie może też ruszałeś to, co leżało w środku?

Nadal kiwał głową, ale z mniejszym zapałem.

– Assad – Carl wciągnął głęboko powietrze, aby to, co miał do powiedzenia, nie zabrzmiało zbyt obcesowo – gdy następnym razem znajdziesz coś ważnego w sprawie, to trzymaj łapy przy sobie, okej?

– Łapy?

– Ręce, do cholery, Assad. Możesz zatrzeć ważne ślady, kapujesz?

Kiwnął głową, teraz już zupełnie bez zapału.

– Schowałem rękę do rękawa, Carl.

– Okej. Dobrze pomyślane, Assad. A więc uważasz, że tamta rysa powstała w ten sam sposób? – Jeszcze raz obrócił teczkę. Obie rysy były do siebie niezaprzeczalnie podobne. Czyli stara rysa nie powstała podczas wypadku samochodowego w 1986 roku.

– Tak. Myślę, że nie pierwszy raz teczka tam spadła. Utknęła między rurami za piecem. Musiałem ciągnąć i szarpać, żeby ją wydostać. Merete też tego próbowała, jestem tego wręcz pewien.

– A dlaczego nie przewróciła się częściej niż dwa razy?

– Pewnie się przewróciła, bo w pomieszczeniu gospodarczym jest dość duży przeciąg, kiedy otwiera się drzwi, ale nie spadała na sam dół.

– Powrócę do swojego pytania. Dlaczego Merete nie wzięła jej ze sobą do domu?

– Chciała mieć spokój, gdy była w domu. Nie miała ochoty słyszeć dzwonka komórki, Carl. – Podniósł brwi tak, że jego oczy zrobiły się okrągłe jak spodki. – Nie uważasz?

Carl zajrzał do aktówki. Merete Lynggaard zabrała ją ze sobą, to logiczne. Był tu jej kalendarz, może też notatki, które w pewnych sytuacjach mogły być użyteczne. Jednak z reguły zabierała do domu sporo papierów do przejrzania, więc pracy nigdy jej nie brakowało.

Miała telefon stacjonarny, ale tego numeru używało tylko niewielu wybranych. Komórka była dla szerszego kręgu – ten numer widniał na jej wizytówce.

– A nie wydaje ci się, że można było usłyszeć komórkę w salonie, jeśli leżała w teczce w pomieszczeniu gospodarczym?

– *No way.*

Carl nie miał pojęcia, że Assad zna angielski.

– O, tutaj się bawicie, panowie? – rozległ się za nimi wysoki głos.

Żaden z nich nie słyszał nadejścia Lis z Wydziału Zabójstw.

– Mam tu dla was kilka dodatkowych spraw. Przyszły z okręgu Jutlandia Południowo-Wschodnia. – Rozsiewała wokół siebie zapach, który przywodził na myśl kadzidełka Assada, ale działał w zupełnie inny sposób. – Przepraszają za opóźnienie, ale to z powodu choroby.

Podawała przesadnie usłużnemu Assadowi teczki, po czym posłała Carlowi spojrzenie, które bezbłędnie przemawiało do podbrzusza każdego mężczyzny.

Wpatrzył się w wilgotne wargi Lis, próbując sobie przypomnieć, kiedy ostatnio miał bliski kontakt z płcią przeciwną. Przypomniawszy sobie różowe dwupokojowe mieszkanie pewnej rozwódki. Pamiętał lawendę w naczyniu z wodą i świeczki, i krwistoczerwoną chustę na lampce nocnej, ale twarzy tej kobiety nie pamiętał.

– Co powiedziałaś Bakowi, Carl? – zapytała Lis.

Powrócił zza kurtyny swoich erotycznych wspomnień, by spojrzeć w jej jasnoniebieskie oczy teraz trochę pociemniałe.

– Bakowi? A co, łązi i kwęka tam na górze?

– Nie, poszedł do domu. Ale jego koledzy mówili, że był blady jak ściana po waszym spotkaniu z szefem.

Podłączył komórkę Merete Lynggaard do ładowarki z nadzieją, że baterie nie wyczerpały się doszczętnie. Ochoce palce Assada – przez rękawy czy nie – były w całej aktówce, więc technicy zarzucili badania. Szkoda już została wyrządzona.

W notatniku zapisane zostały tylko trzy strony, reszta była czysta. Notatki dotyczyły przede wszystkim gminnych projektów pomocy społecznej i terminów. Bardzo rozczarowujące i pewnie dość istotne dla rzeczywistości, którą Merete Lynggaard opuściła.

Włożył rękę na dno bocznej kieszonki z poluzowaną gumką i wyciągnął trzy, cztery kawałki zgniecionego papieru. Pierwszym świstkiem był dowód zakupu marynarki firmy Jack&Jones z 3 kwietnia 2001 roku, ale pozostałe wyglądały jak białe kartki formatu A4 złożone w harmonijkę, leżące na dnie szkolnej teczki każdego ucznia. Zapisane ręcznie ołówkiem, niezbyt czytelne i oczywiście niedatowane.

Nakierował przegubową lampę na leżący na wierzchu zwitek i lekko go wygładził. Tylko osiem słów. „Możemy pogadać o mojej propozycji reformy podatków?” – brzmiał napis, u dołu którego widniały inicjały TB. Wiele możliwości, ale czy Tage Baggesen nie stanowił jednej z lepszych propozycji? Tak w każdym razie postanowił uznać.

Uśmiechnął się. Ha, to dobre! Tage Baggesen bardzo chciał porozmawiać z Merete Lynggaard, oj, bardzo. Ale i tak wiele nie wskórał.

Carl rozprostował kolejną kartkę i przeczytał ją szybko. Tym razem list wywołał w nim odmienne odczucia. Jego ton był osobisty, ale w inny sposób. Baggesen wydawał się tu znękanym. Napis brzmiał: „Nie wiem, co się stanie, jeśli to upublicznisz, Merete. Błagam cię, nie rób tego. TB”.

Następnie Carl wziął ostatnią kartkę. Była niemal zupełnie zamazana, tak jakby bez przerwy wyciągano ją z teczki. Obracał nią i kręcił, odczytując zdania słowo po słowie.

„Myślałem, że się rozumiemy, Merete. Cała ta sprawa głęboko mnie rani. Zaklinam cię jeszcze raz: zachowaj to dla siebie. Zrywam z tym wszystkim”.

Tym razem nie było żadnych inicjałów w podpisie, ale nie ulegało najmniejszej wątpliwości, że pismo było to samo.

Chwycił telefon i wystukał numer Kurta Hansena.

Sekretarka w biurze Prawicy podniosła słuchawkę. Chciała pomóc, ale niestety Kurt Hansen był w tej chwili zajęty. O ile się orientowała, spotkanie skończy się za kilka minut. Spytała, czy Carl chce tak długo czekać.

Trzymając słuchawkę telefonu przy uchu, Carl przyglądał się leżącym przed nim kartkom. Były w aktówce od marca 2002, najprawdopodobniej cały rok wcześniej. Może to błahostka, a może nie. Może Merete Lynggaard schowała je dlatego, że mogły w którymś momencie stać się ważne, a może nie.

Po kilku minutach niezobowiązującej rozmowy w tle usłyszał kliknięcie, a zaraz potem charakterystyczny głos Kurta Hansena.

– Co mogę dla ciebie zrobić, Carl? – zapytał parlamentarzysta bez wstępnych prezentacji.

– Jak mogę się dowiedzieć, kiedy Tage Baggesen przedstawił projekt reformy podatków?

– Po kiego diabła ci ta informacja, Carl? – zaśmiał się. – Nie ma nic nudniejszego od poglądów Radykalnego Centrum na temat podatków.

– Potrzebna mi w miarę dokładna data.

– Będzie ciężko. Tage Baggesen zgłasza projekty ustaw co dwie sekundy. – Znów się roześmiał. – Nie, żarty na bok. Tage Baggesen jest ekspertem do spraw transportu od co najmniej pięciu lat. Nie wiem, dlaczego wycofał się ze stanowiska eksperta do spraw podatków, ale poczekaj chwileczkę. – Zasłonił mikrofon telefonu, a w pomieszczeniu rozległy się stłumione głosy.

– Zdaje nam się, że to było na początku 2001 roku, za czasów poprzedniego rządu. Tam miał większe pole do popisu, jeśli chodzi o takie wygłupy. Stawiamy na marzec, kwiecień 2001.

Carl pokiwał głową z zadowoleniem.

– Okej, Kurt. Pasuje idealnie do tego, co podejrzewałem. Dzięki, stary druhu. Nie mógłbyś przełączyć mnie do Tagego Baggesena?

W słuchawce rozległ się sygnał, po czym połączył się z sekretarką, która oznajmiła mu, że Tage Baggesen jest za granicą z wizytą studyjną na Węgrzech, w Szwajcarii i w Niemczech, gdzie zapoznaje się z problematyką pojazdów szynowych. Ma wrócić w poniedziałek.

Wizyta studyjna? Pojazdy szynowe? Dawno nie słyszał takich bzdetów. Carl nazwałby to wyjazdem na wakacje. Bez dwóch zdań.

– Potrzebny jest mi jego numer komórkowy. Czy będzie pani łaskawa mi go podać?

– Nie sędzę, żebym mogła.

– Proszę posłuchać. Nie rozmawia pani z byle wieśniakiem z Fionii. Mogę ustalić ten numer w ciągu czterech minut, jeśli będę musiał. Ale czy Tagemu Baggesenowi nie będzie przykro usłyszeć, że to wasz sekretariat wyznaczył mi to zadanie?

Na linii silnie trzeszczało, ale i tak było słychać, że Tage Baggesen nie tryska entuzjazmem.

– Mam tu kilka starych kartek, których znaczenie muszę wyjaśnić – oznajmił Carl z największą delikatnością. Wiedział już przecież, jak facet potrafi zareagować. – Nic szczególnego, tylko tak dla porządku.

– Co to za kartki? – Suchy ton głosu odcinał się wyraźnie od ich rozmowy sprzed trzech dni.

Carl przeczytał na głos notatki, jedną po drugiej. Kiedy doszedł do ostatniej, odniósł wrażenie, że Tage Baggesen przestał oddychać po drugiej stronie linii.

– Panie Baggesen? – zapytał. – Jest pan tam?

Usłyszał przerywany sygnał w słuchawce.

Żeby tylko nie rzucił się teraz do rzeki – pomyślał Carl. Próbując sobie przypomnieć, jaka rzeka przepływa przez Budapeszt, zdjął z białej tablicy kartkę z podejrzanymi i dodał inicjały Tagego Baggesena do punktu trzeciego: „Koledzy z Christiansborga”.

Gdy tylko przerwał połączenie, telefon na biurku zadzwonił ponownie.

– Beate Lunderskov – usłyszał w słuchawce. Carl nie miał pojęcia, kim ona jest.

– Przeszukaliśmy stary twarde dysk Merete Lynggaard i muszę z przykrością poinformować, że został bardzo skutecznie wyczyszczony.

Teraz go olśniło. To była jedna z dziewczyn z sekretariatu Demokratów.

– Myślałem, że zachowujecie twarde dyski właśnie po to, żeby przechowywać informacje – powiedział.

– Tak właśnie jest, ale najwyraźniej nikt nie poinformował o tym sekretarki Merete, Søs Norup.

– I co to oznacza?

– No, że to ona wyczyściła dysk. Zapisała to skrętnie z tyłu: „Sformatowano 20.03.2002, Søs Norup”. Trzymam go w ręce.

– Przecież to prawie trzy tygodnie po jej zaginięciu.

– Tak, zgadza się.

Cholerny Børge Bak i jego koleżkowie. Czy w ogóle cokolwiek w tym dochodzeniu odbyło się zgodnie z procedurami?

– Można przesłać go do bardziej dogłębnej analizy. Są ludzie, którzy potrafią odzyskać wyczyszczone dane.

– No tak, już to zrobiono. Chwileczkę. – Poszurała trochę w tle, po czym

wróciła z zadowoleniem w głosie. – Tak, tu mam kartkę. Próbowano odzyskać dane w Down Under na Store Kongensgade na początku kwietnia 2002 roku. Jest szczegółowe wyjaśnienie, dlaczego nie da się tego zrobić. Mam je przeczytać?

– Nie musi pani – odparł. – Søs Norup najwidoczniej wiedziała, jak to się robi fachowo.

– Najwidoczniej – powiedziała. – Była bardzo drobiazgowa.

Podziękował i odłożył słuchawkę.

Posiedział przez chwilę, wpatrując się w telefon, po czym zapalił papierosa, wziął podniszczony kalendarz Merete Lynggaard ze stołu i otworzył go z uczuciem bliskim pietyzmowi. Zawsze tak się czuł, ilekroć mógł się połączyć pępowiną z ostatnimi chwilami zmarłych.

Podobnie jak notatki, jej pismo w kalendarzu było dość nieczytelne i nosiło znamiona pośpiechu. Lekko stawiane drukowane litery. Niezakończone N i G, nachodzące na siebie słowa. Rozpoczął od spotkania z grupą do badań nad łożyskiem 20 lutego 2002 roku. „Bankeråt o 18:30” – było napisane trochę niżej na tej samej stronie. Nic więcej.

W następnych dniach nie pozostała ani jedna niezapisana linia. Musiał przyznać, że Merete Lynggaard miała dość napięty harmonogram, ale nie znalazł żadnej uwagi o charakterze prywatnym.

Kiedy dotarł do jej ostatniego dnia w pracy, uczucie desperacji zaczęło się przybliżać. Nie było tam absolutnie niczego, co mogłoby popchnąć go dalej. Wtedy odwrócił ostatnią kartkę. Widniało na niej: „piątek 01.03.2002”. Dwa spotkania w komisjach i jedno w klubie parlamentarnym, nic więcej. Wszystko inne skrywała przeszłość.

Odsunął kalendarz i zajrzał do pustej dyplomacji. Naprawdę leżała tak przez pięć lat za piecem bez żadnego pożytku dla świata? Ponownie wziął do rąk terminarz i przekartkował. Merete Lynggaard też nie używała niczego poza kartkami kalendarza i spisem telefonów.

Wyjął spis telefonów z tylnej części kalendarza. Mógł przeskoczyć od razu do D albo H, ale wolał oszczędzić sobie rozczarowania. Pod literami A, B i C rozpoznał dziewięćdziesiąt procent nazwisk. Nie było tu wielkiego podobieństwa do jego spisu telefonów, w którym dominowali Jesper, Vigga i ludzie z sąsiedztwa w Rønneholtparken. Nietrudno było wydedukować, że nie miała zbyt wielu prywatnych znajomości. Ba, pewnie w ogóle żadnych. Piękna kobieta z upośledzonym umysłowo bratem i cholerną ilością pracy – tak to właśnie było. Doszedł do D i spostrzegł, że numeru telefonu Daniela Hale’a też tam nie było. Merete Lynggaard nie zapisywała swoich kontaktów według pierwszej litery imienia, tak jak zwykła to robić Vigga. Ludzie się jednak różnią. Kto zresztą, do diabła, szukałby premiera Szwecji pod G jak Göran? Oprócz Viggi, oczywiście.

I wtedy to zobaczył. W chwili, kiedy przekartkował kalendarz do H, wiedział

już, że w sprawie nastąpił zwrot. Mówiło się o nieszczęśliwym wypadku, o samobójstwie. Pod koniec została już tylko bezradność. Po drodze pojawiły się poszlaki sugerujące, że w sprawie Lynggaard nie wszystko było do końca jasne, ale ta strona wręcz o tym krzyczała. W całym kalendarzu widniały sporządzone naprędce notatki. Litery i liczby, które nawet jego pasierb potrafiłby napisać porządniej, co jednak o niczym nie świadczyło. Jej pismo nie było piękne, co mogło się wydawać dość zaskakujące w wypadku tak uporządkowanej kobiety. A jednak w żadnym momencie Merete Lynggaard nie miała wątpliwości, co zapisała. Nigdzie nie było poprawek ani korekt. Wiedziała, co pisze, za każdym razem. Rozmyślnie i nieomylnie. Oprócz tego miejsca w spisie telefonów pod H. Tu było inaczej. Nie mógł wiedzieć na pewno, że miało to coś wspólnego z nazwiskiem Daniela Hale'a, ale w głębi serca, gdzie policjant ma swoje ostatnie rezerwy, wiedział, że trafił w dziesiątkę. Przekreśliła nazwisko grubymi pociągnięciami długopisu. Nie dało się tego odczytać, ale pod spodem było kiedyś napisane nazwisko Daniela Hale'a i jego numer telefonu. Po prostu to wiedział.

Uśmiechnął się. Czyli jednak będzie potrzebował techników. A oni będą musieli wykonać swoją robotę porządnie i w niezłym tempie.

– Assad! – krzyknął. – Chodź no tutaj!

Przez chwilę słyszał szuranie na korytarzu, zanim Assad pojawił się w drzwiach z wiadrem i zielonymi rękawiczkami.

– Mam dla ciebie zadanie. Technicy muszą spróbować odzyskać ten numer. – Wskazał na skreślenia. – Lis ci wyjaśni, jak wygląda procedura. Powiedz im, żeby się pospieszyli.

Zapukał ostrożnie do pokoju Jespera i oczywiście nie uzyskał żadnej odpowiedzi. Jak zwykle nie ma go w domu – pomyślał o stu dwunastu decybelach, które zwykle łomotały w drzwi od wewnątrz. Ale Carl się mylił, o czym przekonał się zaraz po otwarciu drzwi.

Dziewczyna, z której biustem Jesper zaznajamiał się pod bluzką, wydała przeszywający do szpiku kości pisk, a ciskający błyskawice wzrok Jespera przydawał sytuacji dramatyzmu.

– Przepraszam – powiedział Carl mimowolnie, gdy Jesper wyswobadzał ręce z kłopotliwego miejsca, a policzki dziewczyny robiły się czerwone jak tło wiszącego za nimi plakatu z Che Guevarą. Carl ją znał. Miała najwyżej czternaście lat, ale wyglądała na dwadzieścia i mieszkała na Cedervangen. Jej matka pewnie też tak kiedyś wyglądała, ale czas nauczył ją, że nie zawsze opłaca się wyglądać na starszą.

– Co ty, kurwa, robisz, Carl?! – wrzasnął Jesper, zrywając się z sofy.

Carl jeszcze raz przeprosił, zaznaczając, że zgodnie z umową zapukał do drzwi, jednak przepaść międzypokoleniowa z hukiem podzieliła dom.

– Kontynuujcie, gdzie... skończyliście. Mam do ciebie tylko jedno pytanie,

Jesper. Nie wiesz, gdzie są twoje stare ludziki z zestawów Playmobil?

Jego przybrany syn wyglądał, jakby za chwilę miał zacząć ciskać granatami ręcznymi. Carl zorientował się, że to nie było najważniejsze pytanie, zważywszy na okoliczności.

Carl skinął przeproszająco do dziewczyny.

– Potrzebuję ich do dochodzenia, wiem, że to brzmi dziwnie. – Skierował wzrok na Jespera i poczuł, jak w całe jego ciało wbijają się sztylety. – Masz jeszcze te plastikowe figurki, Jesper? Chcę je od ciebie odkupić.

– Idź już w cholere, Carl. Idź na dół do Mortena. Możesz odkupić jakieś od niego, ale musisz mieć na to gruby portfel.

Carl zmarszczył brwi. Co miał do tego gruby portfel?

Ostatni raz pukał do drzwi Mortena Hollanda jakieś półtora roku temu. Choć jego lokator czuł się na parterze jak u siebie w domu i zachowywał się jak członek rodziny, to życie, które wiódł w piwnicy, było nietykalne. Dokładał się mimo wszystko do czynszu, co dawało się odczuć, i Carl nie miał ochoty wiedzieć o Mortenie nic, co mogłoby podkopać jego reputację. Dlatego trzymał się z daleka.

Troska okazała się jednak zbyt skuteczna, bo wszystko na dole u Mortena świadczyło na rzecz jego stateczności i jeśli nie liczyć wysokich na metr plakatów z wyjątkowo barczystymi facetami i równie biuściastymi dziewczynami, to miejsce mogło równie dobrze należeć do starszej osoby mieszkającej w budynku spółdzielczym na Prins Valdemars Allé.

Morten, zapytany o los zabawek Playmobil Jespera, zaciągnął Carla do sauny, która stanowiła niezbędną część wszystkich domów w okolicy, a którą dziewięćdziesiąt dziewięć procent mieszkańców albo zburzyła, albo zagospodarowała na magazyn wszelkich śmieci i gratów.

– Proszę, zobacz – powiedział, otwierając z dumą drzwi do pomieszczenia wypełnionego od podłogi do sufitu półkami uginającymi się od zabawek, które jeszcze przed paru laty zalegały na pchlich targach. Zabawki z jajek niespodzianek, figurki z *Gwiezdných Wojen*, *Wojowniczych Żółwi Ninja* i zabawki Playmobil. Na tych półkach znajdowała się połowa zasobów plastiku tego domu.

– Popatrz, to są oryginalne figurki z serii wypuszczonej na targi zabawek w Norymberdze w 1974 roku – oznajmił Morten i z dumą podniósł z półki dwie małe figurki w hełmach.

– Numer 3219 z kilofem i 3220 z lizakiem policjanta z drogówki w nienaruszonym stanie – ciągnął. – Czy to nie czyste szaleństwo?

Carl kiwnął głową. Lepiej by tego nie ujął.

– Brakuje mi tylko numeru 3218, żeby mieć cały komplet rzemieślników. Jesper wzbogacił moją kolekcję o numery 3201 i 3202. Popatrz, czy nie są fantastyczne? Trudno uwierzyć, że Jesper kiedykolwiek się nimi bawił.

Carl potrząsnął głową. To oczywiste, że wyjazd na Baleary, czy jak im tam

było, byłby istną stratą pieniędzy.

– I sprzedał je tylko za parę tysiaków. Jak ładnie z jego strony!

Carl spojrział na półki. Chętnie powiedziałby Jesperowi i Mortenowi kilka celnych słów o czasach, kiedy to dostawał dwie korony za godzinę rozrzucania obornika, a kielbaska z dwiema kromkami chleba kosztowała koronę osiemdziesiąt.

– Czy mogę pożyczyć kilka na jutro? Najchętniej tamte – zapytał, wskazując na małą rodzinę z psem i całą resztą.

Morten Holland spojrział na Carla jak na wariata.

– Oszalałeś, Carl? To jest pudełko numer 3965 z 2000 roku. Mam cały zestaw z domkiem, balkonem i wszystkim. – Wskazał na najwyższą półkę.

Rzeczywiście. Stał tam domek w całej swojej plastikowej krasie.

– To może masz jakieś inne, które mógłbym pożyczyć? Tylko do jutrzejszego wieczora.

W tej chwili twarz Mortena wyrażała osobliwą dezorientację.

Pewnie wyszłoby na to samo, gdyby Carl go zapytał, czy może go z całej siły kopnąć w krocze.

2007

Piątek zapowiadał się pracowicie. Przed południem Assad miał rozmowę w Biurze Obsługi Cudzoziemców. Tak brzmiała nowa nazwa starego mechanizmu eliminującego – Urzędu do spraw Cudzoziemców – który rząd przemianował w ramach udoskonalania rzeczywistości. Carl zaś miał do załatwienia sprawy na wszystkich możliwych frontach.

Poprzedniego wieczora, gdy Morten udał się na polowanie do centrum wideo, wykradł z jego skarbca niedużą rodzinę figurek Playmobil i teraz, kiedy przemierzał północnozelandzkie pustkowia, rodzina leżała na siedzeniu obok, wpatrując się w niego chłodno i z wyrzutem.

Dom w Skævinge, w którym znaleziono ofiarę wypadku drogowego, Dennisa Knudsen, uduszonego własnymi wymiocinami, nie był, tak jak i pozostałe domy po drodze, żadnym objawieniem estetycznym, ale wydawał się na swój chałupniczy, niedbały sposób harmonizować ze zniszczonymi tarasami, płytami z gazobetonu i eternitu, które z kolei, jeśli już chodzi o dobór materiałów i ich trwałość, doskonale komponowały się z bezużytecznymi, zmatowiałymi oknami.

Carl spodziewał się, że drzwi otworzy mu solidnie zbudowany rolnik czy pracownik betoniarni albo ich żeński odpowiednik, jednak zamiast nich w drzwiach pojawiła się kobieta pod czterdziestkę o tak nieokreślonej i delikatnej urodzie, że z miejsca trudno było ocenić, czy pasuje do dyrektorskich pokoi, czy też do zabawiania klientów w drogich hotelowych barach.

Tak, oczywiście, że może wejść, i nie, niestety oboje jej rodzice już nie żyją.

Przedstawiła się jako Camilla i zaprowadziła go do salonu, w którym istotną część wystroju stanowiły talerzyki z motywami świątecznymi, trójkątne ozdobne półeczki na bibeloty oraz gobeliny.

– W jakim wieku byli pani rodzice, gdy zmarli? – zapytał, usiłując zignorować brzydotę pomieszczenia.

Zrozumiała, o co mu chodzi. Wszystko w tym domu pochodziło z innej epoki.

– Mama odziedziczyła ten dom po mojej babci, więc większość tych rzeczy należała do niej – odparła. Ona z pewnością sama by tego tak nie urządziła. – Odziedziczyłam to wszystko i dopiero co się rozwiodłam, więc muszę doprowadzić dom do porządku, o ile uda mi się znaleźć fachowców. Miał pan szczęście, że mnie tu zastał.

Wziął ramkę ze zdjęciem z najładniejszego mebla w salonie – sekretarzyka

w orzechowej okleinie – i zobaczył całą rodzinę: Camillę, Dennisa i rodziców. Zdjęcie musiało mieć przynajmniej dziesięć lat, a rodzice jaśnieli jak słońca, stojąc przed gośćmi ustawionymi w szpaler z okazji ich srebrnych godów. „Wszystkiego najlepszego z okazji 25 wspólnych lat, Grete i Henningu!” – brzmiał napis. Camilla miała na sobie obcisłe dżinsy, które nie pozostawiały fantazji zbyt wiele miejsca, Dennis zaś nosił po prostu skórzaną kamizelkę i bejsbolówkę z napisem „Castrol Oil”. W sumie w Skævinge, jak widać, nie brakowało uśmiechów, jubileuszowych flag i szczęśliwych dni.

Na półce kominkowej, nad samym piecem, stało jeszcze kilka zdjęć. Zapytał o widniejące na nich osoby i z jej odpowiedzi wywnioskował, że rodzina nie posiadała dużego kręgu znajomych.

– Dennis miał bzika na punkcie wszystkiego, czym można szybko jeździć – powiedziała Camilla i pociągnęła go za sobą do pokoju, który kiedyś należał do Dennisa Knudsen.

Nie zdziwiło go kilka lamp lava ani zestaw potężnych głośników, ale poza tym pokój kontrastował z resztą domu. Meble były jasne i dopasowane. Nową szafę wypełniały ładne ubrania na wieszakach. Ściany były ozdobione licznymi, starannie oprawionymi dyplomami, a nad nimi, na brzoźowych półkach zawieszonych pod sufitem, stały puchary, które Dennis zdobył przez wszystkie lata życia. Carl przeliczył je pobieżnie. Sto albo i więcej, imponujące.

– Tak – powiedziała. – Dennis wygrywał wszystko, za co się wziął. Żużel, wyścigi samochodowe, zawody na traktorach, rajdy i wszystkie klasy wyścigów motocyklowych. Miał wrodzony talent. Uzdolniony w każdej dziedzinie, którą się interesował, również pod względem pisania, rachunków i w ogóle wszystkiego. To ogromnie smutne, że umarł. – Kiwnął głową, nie patrząc na nią. – Jego śmierć odebrała życie tacie i mamie. Był naprawdę dobrym synem i młodszym bratem.

Obdarzył ją spojrzeniem pełnym zrozumienia, ale nie rozumiał zbyt dużo. Czy to naprawdę ten sam Dennis Knudsen, o którym Lis mówiła Assadowi?

– Cieszę się, że zabraliście się za tę sprawę – oznajmiła. – Szkoda tylko, że nie zrobiliście tego, póki żyli mama i ojciec.

Spojrzał na nią, próbując zrozumieć, o co jej chodzi.

– Co ma pani na myśli, mówiąc „sprawa”? Chodzi o wypadek samochodowy?

Kiwnęła głową.

– Tak, o wypadek i śmierć Dennisa niedługo później. Dennis potrafił sobie nieźle golnąć, ale wcześniej nie brał narkotyków, mówiliśmy to już wtedy policji. Przecież pracował z młodymi ludźmi i przestrzegał ich właśnie przed zażywaniem narkotyków, ale policja się tym nie przejęła. Widzieli tylko, że był karany i ile miał na koncie mandatów za przekraczanie prędkości. Dlatego skazali go z góry, kiedy znaleźli w jego sportowej torbie te ohydne pigułki ecstasy. – Jej oczy zrobiły się

wąskie. – Ale to nie mogła być prawda, bo Dennis nie tknąłby czegoś podobnego. Nie potrafiłby wtedy wystarczająco szybko reagować podczas jazdy. Nienawidził tego gówna.

– Może skusiła go wizja szybkich pieniędzy i chciał to dalej sprzedać. Może chciał sam spróbować. Gdyby pani wiedziała, czego my się na Komendzie Głównej naoglądamy!

W tym momencie bruzdy wokół jej ust się pogłębiły.

– Ktoś go do tego namówił, a ja dobrze wiem kto. Mówiłam już wtedy.

Wyciągnął swój notatnik.

– Tak? – Drzemiący w Carlu pies tropiciel podniósł łeb i zaczął wietrzyć. Pojawił się nieoczekiwany trop. Był teraz wyjątkowo czujny. – Więc kto to był?

Podeszła do ściany pokrytej tapetą pochodzącą na pewno z czasów powstania domu, czyli z początku lat sześćdziesiątych, i zdjęła fotografię z gwoździa. Kiedy Carl zdobył puchar w pływaniu w Brønderslev, ojciec zrobił mu podobne zdjęcie. Dumna ojcowska dokumentacja, świadcząca o wielkości i uzdolnieniach syna. Carl ocenił, że Dennis miał wtedy najwyżej dziesięć, dwanaście lat, piękny w swoim stroju do gokarta i dumny jak diabli ze ściskanej w dłoni małej, srebrnej tarczy.

– Ten tam – powiedziała Camilla, wskazując na jasnowłosego faceta, który stał za Dennisem i trzymał rękę na jego ramieniu. – Nazywali go Atomos, nie wiem dlaczego. Poznali się na torze crossowym. Dennis oszalał na punkcie Atomosa, a Atomos był gnojkiem.

– To znaczy, że utrzymywali ze sobą kontakt od dzieciństwa?

– Nie wiem dokładnie. Wydaje mi się, że przestali się widywać, gdy Dennis miał szesnaście czy siedemnaście lat, ale wiem, że przez ostatnie lata znów się spotykali, bo mama ciągle się tym zamartwiała.

– A dlaczego sądzi pani, że Atomos miał coś wspólnego ze śmiercią pani brata?

Spojrzała ze smutkiem na fotografię.

– Był po prostu paskudnym typem o zgniłej duszy.

– Co pani rozumie przez to określenie?

– Że miał zniszczony umysł. Dennis mówił, że to bzdury, ale tak było.

– Dlaczego więc pani brat się z nim przyjaźnił?

– Bo Atomos zawsze zachęcał go do jeżdżenia. No i był parę lat starszy. Dennis go podziwiał.

– Pani brat udusił się własnymi wymiocinami. Zażył pięć pigułek, a zawartość alkoholu w jego krwi wynosiła 4,1 promila. Nie wiem, ile ważył, ale w każdym razie naprawdę sobie nie żałował. Wie pani, czy miał powody do picia? Czy dopiero co zaczął? Był bardzo przybity po wypadku?

Posłała mu zasmucone spojrzenie.

– Tak, rodzice mówili, że wypadek wywarł na niego duży wpływ. Dennis fantastycznie radził sobie za kółkiem. To był pierwszy wypadek z jego udziałem i do tego zginął w nim człowiek.

– Według moich informacji Dennis siedział dwukrotnie w więzieniu za lekkomyślną jazdę, więc nie mógł być aż takim fantastycznym kierowcą.

– Ha! – Spojrzała na niego z potępieniem. – Nigdy nie jeździł lekkomyślnie! Kiedy ścigał się na autostradzie, zawsze wiedział, jak daleko przed nim pas jest wolny. Narazanie bezpieczeństwa i życia innych było ostatnią rzeczą, jakiej pragnął.

Ilu szkodników społecznych nigdy by się nie wykluło, gdyby ich rodziny w porę zareagowały? Ilu idiotów mogło liczyć na pobłażliwość rodziny? Carl słyszał to już tysiące razy: mój brat, mój syn, mój mąż jest niewinny.

– Ma pani bardzo dobre zdanie o bracie, czy to nie jest trochę naiwne?

Chwyciła go za nadgarstek i zbliżyła swoją twarz tak blisko niego, że jej grzywka połaskotała go w nos.

– Jeśli jesteś tak samo słaby w dochodzeniu jak w kroczu, to lepiej już idź – wysyczała.

Zaskoczył go jej nagły, prowokacyjny protest. Czyli jednak nie bywała na dyrektorskich salonach – pomyślał, odsuwając twarz.

– Mój brat był w porządku, rozumiesz? – ciągnęła. – A jeśli masz zamiar dalej w tym grzebać, to radzę ci pilnie strzec tych danych. – Poklepała go po rozporoku i się wycofała. To była szokująca metamorfoza. Znowu zmieniła się w delikatną, wzbudzającą zaufanie i otwartą kobietę. Co za cholerna robota mu się trafiła.

Zmarszczył brwi i zbliżył się do niej o krok.

– Jeśli jeszcze raz dotkniesz mojego instrumentu, to przekłuję te twoje silikonowe balony i powiem, że zdarzyło się to, bo stawiałaś opór przy aresztowaniu za groźby, że mnie zabijesz jednym ze starych pucharów swojego brata. Gdy wokół twoich nadgarstków zatrzasną się kajdanki, a ty pogapisz się w brudną ścianę aresztu w Hillerød, będziesz marzyć o tym, by móc cofnąć to klepienie. Kontynuujemy czy chcesz dodać coś na temat moich klejnotów?

Była wyluzowana. Nawet się nie uśmiechnęła.

– Mówię tylko, że mój brat był w porządku, a ty masz w to uwierzyć.

Carl dał sobie spokój. I tak była niewzruszona.

– Ach tak – powiedział. – A gdzie znajdę tego Atomosa? – zapytał, wycofując się o krok od kobiety kameleona. – Naprawdę nic więcej na jego temat nie pamiętasz?

– Wiesz co, on był pięć lat młodszy ode mnie. Nikt nie mógł mnie wtedy mniej obchodzić.

Wykrzywił twarz w uśmiechu. Oto jak zainteresowania potrafią się zmieniać

z upływem lat.

– Jakież cechy szczególne? Blizny, włosy, zęby? Czy ktoś inny z miasteczka mógł go znać?

– Nie wydaje mi się. Pochodził z domu dziecka z miejscowości Tisvildeleje. Stała przez chwilę i zastanawiała się, odwróciwszy wzrok.

– Wiesz co? Wydaje mi się, że to miejsce nazywało się Godhavn. – Ujęła ramkę ze zdjęciem i podała mu. – Jeśli obiecasz, że je oddasz, możesz pokazać je ludziom z domu dziecka. Może będą potrafili odpowiedzieć na twoje pytania.

Samochód stał przy zalanym słońcem skrzyżowaniu, a Carl się zastanawiał. Mógł jechać na północ do Tisvildeleje i porozmawiać z ludźmi z domu dziecka. Może ktoś pamiętał chłopca sprzed dwudziestu lat zwanego Atomosem. Mógł też pojechać na południe do Egely i pobawić się z Uffem w przeszłość. Mógł też wreszcie zaparkować brykę na poboczu, ograniczyć procesy myślowe do minimum i przekimać parę godzin. Ostatnia opcja brzmiała szczególnie kusząco.

Z drugiej strony sprawy wyglądały tak, że jeśli na czas nie odstawi figurek Playmobil na półkę Mortena Hollanda, to ryzyko, że utraci lokatora, a wraz z nim znaczną część swoich dochodów, było bardzo realne.

Dlatego zwołał hamulec ręczny i skręcił w lewo, kierując się na południe.

W Egely był czas lunchu, więc gdy zaparkował samochód, poczuł unoszącą się w okolicy woń tymianku i sosu pomidorowego. Znalazł dyrektora siedzącego samotnie przy długim stole z drewna tekowego stojącym na tarasie przed jego gabinetem. Podobnie jak ostatnio, wyglądał nienagannie. Z kapeluszem słonecznym na głowie i serwetką zatknietą za kołnierz ostrożnie skubał lazanie leżącą na brzegu talerza. Nie należał do tych, którzy delektują się ziemskimi rozkoszami. Nie dotyczyło to bynajmniej personelu administracyjnego i kilku pielęgniarek siedzących dziesięć metrów od niego z wypełnionymi po brzegi talerzami i pogrążonych w rozmowie.

Ujrzeni go, kiedy wyszedł zza węgła, i nagle zamilkli. Teraz było słychać wyraźnie wiosenny świergot ptaków budujących gniazda w krzewach oraz dochodzący ze stołówki brzęk talerzy.

– Smacznego – powiedział i usiadł przy stole dyrektora, nie czekając na zaproszenie. – Przyszedłem, żeby zapytać, czy coś panu wiadomo o tym, jakoby Uffe Lynggaard był w stanie poprzez zabawę odtworzyć wypadek, w którym został poszkodowany. Karen Mortensen, opiekunka społeczna ze Stevns, zaobserwowała to na krótko przed śmiercią Merete Lynggaard, wiedział pan o tym?

Dyrektor powoli pokiwał głową i wziął kolejny kęs. Carl rzucił okiem na talerz. Najwyraźniej niekwestionowany król Egely musi spożyć ostatni kęs lunchu, zanim raczy zwrócić się do ludu.

– Czy to jest zapisane w dokumentacji medycznej Uffego? – pytał dalej Carl.

Dyrektor ponownie skinął głową, przeżuając powoli.

– Czy to się zdarzało od tamtej pory?

Tu nastąpiło wzruszenie ramion.

– Zdarzało się czy się nie zdarzało?

Wtedy pokręcił głową.

– Chciałbym pobyć dziś z Uffem sam na sam. Tylko przez dziesięć, piętnaście minut. Da się to zrobić?

Na to nie odpowiedział.

Carl musiał więc poczekać, aż dyrektor skończy, wytrze usta materiałową serwetką i oczyści zęby językiem. Jeszcze jeden łyk wody z lodem i jego wzrok skierował się na wprost.

– Nie, nie wolno przebywać panu sam na sam z Uffem – brzmiała odpowiedź.

– Czy można spytać dlaczego?

Obdarzył go pogardliwym spojrzeniem.

– Czy pana zawód nie jest dość odległy od naszego? – Nie oczekiwał odpowiedzi Carla. – Nie możemy ryzykować, że przyczyni się pan do cofnięcia się Uffego Lynggaarda w rozwoju, po prostu.

– A on się rozwija? Nie wiedziałem.

Spostrzegł cień padający na stół i odwrócił się do pielęgniarki, która przyjaźnie mu się ukloniła, natychmiast przywołując wspomnienia o lepszym traktowaniu niż to, które był w stanie zapewnić dyrektor.

Popatrzyła z respektem na swojego szefa.

– Zajmę się tym. Uffe i ja i tak mieliśmy iść teraz na spacer. Pójdę z panem Mørckiem.

Pierwszy raz szedł obok Uffego Lynggaarda. Uffe był wysoki. Długie, patykowate kończyny i postura wskazująca na to, że bez przerwy siedział przy stole.

Przełożona pielęgniarek trzymała go za rękę, ale widać było, że za tym nie przepada. Kiedy dotarli do zarośli nad fiordem, puścił jej dłoń i usiadł na trawie.

– Lubi obserwować kormorany, prawda, Uffe? – powiedziała, wskazując na kolonię ptaków siedzących na kępie ledwo żywych, obsranych drzew.

– Chciałbym coś pokazać Uffemu – oznajmił Carl.

Spojrzała czujnie na cztery figurki i samochód Playmobil, które wyciągnął z plastikowej siatki. Była bystra, zauważył to już za pierwszym razem, ale może nie tak skłonna do współpracy, jak się spodziewał.

Podniosła rękę do swojej pielęgniarskiej plakietki, zapewne po to, żeby nadać swoim słowom większą wagę.

– Znam epizod opisany przez Karen Mortensen. Nie sądzę, aby jego powtórzenie było dobrym pomysłem.

– Dlaczego?

– Chce pan odtworzyć wypadek, kiedy Uffe będzie patrzył, tak? Ma pan nadzieję, że to coś w nim odblokuje.

– Tak.

Kiwnęła głową.

– Tak myślałam. Ale szczerze mówiąc, nie jestem przekonana. – Zrobiła gest, jakby chciała się podnieść, ale jednak się zawahała.

Carl położył ostrożnie dłoń na ramieniu Uffego i kucnął obok niego. Oczy Uffego lśniły z ekscytacji, odbijając blask fal. Carl go rozumiał. Kto by nie chciał zatracić się w tym pięknym marcowym dniu, z niebem tak czystym i błękitnym jak nigdy dotąd.

Postawił zabawkowy samochód na trawie przed Uffem i zaczął po kolei wyciągać figurki i układać je na siedzeniach. Tata i mama z przodu, córka z synem z tyłu.

Pielęgniarka śledziła każdy jego ruch. Może będzie musiał wrócić tu innego dnia i powtórzyć eksperyment. Ale teraz przynajmniej spróbuje ją przekonać, że jest świadom, iż nie opłaca się nadużywać jej zaufania. Że traktuje ją jak sojusznika.

– Brum, brum – powiedział ostrożnie, jeżdżąc samochodzikiem w przód i w tył po trawie przed oczami Uffego i budząc popłoch wśród kilku trzmieli pogrążonych w kwiatowym tańcu.

Carl uśmiechnął się do Uffego i wygładził ślady zostawione przez samochodzik. Właśnie to interesowało Uffego najbardziej. Zgnieciona trawa, która się prostuje.

– Teraz wyjeżdżamy z Merete, tatą i mamą, Uffe. Ooo, popatrz, jesteśmy tu wszyscy. Spójrz, jak jedziemy przez las! Widzisz, jak jest fajnie?

Podniósł wzrok na ubraną w biel kobietę. Była spięta, a bruzdy wokół jej ust zdradzały cień wątpliwości. Powinien dać spokój i pozwolić, aby sprawy potoczyły się własnym torem. Jeśli Uffe zacznie wrzeszczeć, ona zaraz się spłoszy. Była znacznie bardziej pochłonięta zabawą niż Uffe, który po prostu siedział ze słonecznym blaskiem w oczach, pozwalając, by otoczenie obywało się bez niego.

– Uważaj, tato! – ostrzegł Carl wysokim, kobiecym głosem. – Jest ślisko, możesz wpaść w poślizg! – Potrząsnął lekko samochodem. – Uważaj na drugi samochód, on też się ślizga. Ratunku, zaraz w niego wjedziemy!

Wydał z siebie odgłos naśladujący pisk hamulców i dźwięk metalu szorującego o jezdnię. Wtedy Uffe spojrział na inscenizację, a Carl pozwolił, by samochód się przewrócił, a wszystkie figurki wyturlały się na ziemię.

– Uważaj, Merete! Uważaj, Uffe! – krzyknął wysokim głosem, a przełożona pielęgniarek nachyliła się ku niemu, kładąc mu rękę na ramieniu.

– Nie wydaje mi się... – powiedziała, kręcąc głową. Za chwilę chwyci Uffego i pociągnie za sobą.

– Bum! – wykrzyknął Carl i puścił samochodzik po trawie, Uffe jednak nie zareagował.

– Myślę, że jest nieobecny duchem – powiedział Carl i zapewnił ją skinieniem ręki, że przedstawienie skończone. – Mam zdjęcie, które chciałbym pokazać Uffemu, czy mogę? – ciągnął. – Potem zostawię was w spokoju.

– Zdjęcie? – zapytała, podczas gdy on opróżniał plastikową torbę. Następnie odłożył na trawę fotografie pożyczone z domu Dennisa Knudsen i podniósł broszurę firmy Daniela Hale'a na wysokość twarzy Uffego.

Widać było, że Uffe jest zaciekawiony. Jak małpka w klatce, która zobaczywszy tysiące wykrzywionych twarzy, wreszcie widzi coś innego.

– Znasz tego tu, Uffe? – zapytał i spojrzał z uwagą na jego twarz. Minimalny skurcz mięśni mógł być jedynym sygnałem, jaki otrzyma. Jeśli w ogóle istniał jakiś kanał prowadzący do ociężałego umysłu Uffego, Carl musiał sam się postarać, by do niego dotrzeć.

– Był u was w domu w Magleby, Uffe? Czy ten mężczyzna tam był i przyniósł list tobie i Helle? Pamiętasz go? – Wskazał na przejrzyste oczy i jasne włosy Daniela Hale'a. – Czy to ten?

Uffe wpatrywał się martwo, po czym jego wzrok powędrował w dół i zatrzymał się na zdjęciach leżących przed nim na trawniku.

Carl podążył za spojrzeniem Uffego i spostrzegł, jak jego źrenice nagle się zwężają, a usta rozchylają. Jak to, co Uffe zobaczył, całkowicie zwała go z nóg. W sposób równie realny i widoczny, jakby upuścił lewarek na stopę.

– A co z tym tutaj, widziałeś go już, Uffe? – zapytał i nagłym ruchem wyciągnął zdjęcie ze srebrnych godów z Dennisem Knudsenem i zatrzymał je tuż przed twarzą Uffego. – Widziałeś? – Poczul, jak pielęgniarka podnosi się za jego plecami, ale było mu wszystko jedno. Musiał zobaczyć jeszcze raz, jak źrenice Uffego się zwężają. To było jak posiadać klucz i wiedzieć, że gdzieś pasuje, tylko nie wiadomo gdzie.

Ale Uffe patrzył teraz w górę, zupełnie spokojny, z oczami nieskupionymi na niczym konkretnym.

– Myślę, że powinniśmy przestać – rozległy się słowa pielęgniarki, która delikatnie objęła Uffego za ramiona. Być może Carl potrzebował tylko dwadzieścia sekund więcej. Może mógłby do niego dotrzeć, gdyby byli sami.

– Nie widziała pani jego reakcji? – spytał.

Pokręciła głową. Do jasnej cholery.

Wtedy odłożył ramkę ze zdjęciem na ziemi obok drugiej, którą pożyczył ze Skævinge.

W tym momencie ciałem Uffego wstrząsnął dreszcz. Najpierw tułowiem – zapadła mu się klatka piersiowa, potem prawą ręką, którą uniósł pod kątem prostym nad brzuchem.

Pielęgniarka próbowała uspokoić Uffego, ale nie zwracał na nią uwagi. Po chwili zaczął dyszeć, krótko i płytko. Usłyszeli to zarówno Carl, jak i pielęgniarka, która zaczęła głośno protestować. Ale Carl i Uffe byli w tym momencie sami – Uffe w swoim świecie, w drodze do świata Carla. Carl ujrzał, jak jego źrenice powoli się rozszerzają. Jak przesłona w dawnych aparatach fotograficznych – otwierały się i zasysały wszystko wokół.

Uffe ponownie spojrzął w dół i tym razem wzrok Carla podążył za jego spojrzeniem na trawę. Uffe był teraz naprawdę obecny.

– Czyli go znasz? – spytał Carl, ponownie umieszczając zdjęcie Dennisa Knudsen na srebrnych godach rodziców przed wzrokiem Uffego, ale ten odepchnął je na bok jak niezadowolone dziecko i zaczął wydawać z siebie dźwięki, które nie przypominały normalnego dziecięcego gaworzenia, lecz raczej odgłosy astmatyka, który nie może złapać tchu. Jego oddech stał się niemal chrapliwy, aż pielęgniarka krzyknęła do Carla, żeby sobie poszedł.

Jeszcze raz podążył wzrokiem za Uffem i tym razem nie miał wątpliwości. Jego spojrzenie było utkwione w drugiej fotografii, którą ze sobą przyniósł. Fotografii Dennisa Knudsen i Atomosa stojącego z tyłu i opierającego się o ramiona przyjaciela.

– Tak lepiej? – zapytał, pokazując na młodego Dennisa w stroju gokartowym.

Ale Uffe wpatrywał się w chłopaka za Dennisem. Carl nigdy nie widział, aby ludzkie oczy wpatrywały się w coś tak intensywnie. Jakby chłopak ze zdjęcia zawładnął wnętrzem Uffego, jakby te oczy ze starego zdjęcia paliły Uffego żywym ogniem, jednocześnie dając mu życie.

I nagle Uffe zaczął krzyczeć. Krzyczał, aż pielęgniarka przewróciła Carla na trawę i przyciągnęła Uffego do siebie. Krzyczał, aż zaczęto wołać z oddalonych budynków Egely.

Krzyczał, aż chmary kormoranów poderwały się do lotu, zostawiając za sobą nagie drzewa.

2005–2006

Poluzowanie zęba zajęło Merete trzy dni, trzy koszmarne, piekielne doby. Za każdym razem, gdy ujmowała szczypcami pulsującą bestię i płynący falami ból wysysał z niej całą siłę, musiała walczyć z samą sobą do granic możliwości. Jeden ruch i cały organizm ogarniała niemoc. Potem kilka sekund z walącym jak młot sercem, obawa przed kolejnym ruchem, i tak w koło, w nieskończoność. Kilkakrotnie próbowała chwycić mocno, ale w chwili gdy zardzewiały metal zgrzytał o ząb, zawodziły ją siły i odwaga.

Kiedy wreszcie doszła do etapu, w którym z zęba pociekła ropa, a ucisk na chwilę zelżał, z jej oczu popłynęły łzy wdzięczności.

Wiedziała, że obserwują ją z zewnątrz. Ten, którego nazywali Lassem, jeszcze nie wrócił, więc włącznik sprzętu nagłaśniającego wciąż był wciśnięty. Nic nie mówili, ale słyszała ich ruchy i oddech. Im bardziej cierpiała, tym głębsze stawały się ich oddechy, zupełnie jakby podniecało ich to seksualnie. Jej nienawiść do nich przybierała na sile. Kiedy wreszcie wyrwie ząb, spojrzy w przyszłość. Na pewno się zemści. Ale najpierw musi być w stanie się skupić.

Dlatego ponownie zaciskała metalowe szczypce o paskudnym smaku wokół zęba i poruszała nimi, nie mając ani przez chwilę wątpliwości, czy przeprowadzić zadanie do końca. Ten ząb spowodował już dość szkód, teraz nadszedł jego kres.

Wyrwała go nocą, gdy była sama. Oznaki życia z zewnątrz słyszała wiele godzin temu, więc śmiech ulgi, jaki z siebie wydała w odpowiadającym echem pomieszczeniu, należał tylko do niej. Stan zapalny miał kojący smak. Puls, uwalniający krew do jej ust, był jak pieszczota.

Pluła w dłoń co dwadzieścia sekund i rozsmarowywała krwawą masę najpierw na jednej, a potem na drugiej lustrzanej szybie, a kiedy krew przestała lecieć, praca była skończona. Został tylko niewielki obszar o powierzchni dwadzieścia na dwadzieścia centymetrów w prawym iluminatorze. Udało jej się zmącić radość, którą czerpali z oglądania jej jak na wystawie, kiedy tylko przyszła im na to ochota. Wreszcie to ona będzie decydować, kiedy pojawi się w ich polu widzenia.

Gdy następnego ranka podali jedzenie przez służę, obudziły ją przekleństwa kobiety.

– Ta mała dziwka zaświniła szyby. Popatrz! Wysmarowała gównem całe okna.

Usłyszała, jak mężczyzna mówi, że to bardziej przypomina krew, na co kobieta syknęła:

– Czy to podziękowania za to, że daliśmy ci szczypce? Musiałś wysmarować wszystko tą swoją zasyfioną krwią? Jeśli to podziękowania, to musisz za nie zapłacić. Zgasimy światło, a wtedy zobaczymy, co powiesz, zdiro. Może wtedy zetrzesz to świństwo. Tak, będziesz głodować, dopóki tego nie zrobisz.

Usłyszała, że mają zamiar cofnąć wiadro z jedzeniem przez służę, ale zdążyła skoczyć i włożyć szczypce w karuzelę. Na tej ostatniej porcji jej nie oszukają. Wyciągnęła wiadro w ostatniej chwili, zanim karuzela poluzowała szczypce. Mechanizm cofnął się, świszcząc i szurając, po czym drzwi służy zamknęły się ponownie.

– Ten numer dzisiaj przeszedł, ale jutro ci się nie uda! – krzyknęła kobieta na zewnątrz. Wściekłość pobrzmiwająca w jej głosie stanowiła pocieszenie. – Będę ci dawać zepsute jedzenie, dopóki nie wytrzesz szyb do czysta, rozumiesz? – ciągnęła. Potem zgasły palące się nad nią świetlówki.

Merete siedziała przez chwilę, patrząc w górę na niewyraźnie rysujące się ciemne plamy lustrzanych szyb i na niewielki niezamazany kawałek jaśniejący trochę silniej. Zauważyła, że kobieta próbuje do niego sięgnąć, aby móc zajrzeć do środka, ale Merete z rozmysłem zostawiła go za wysoko. Ile to już czasu minęło, odkąd czuła, jak radosne poczucie zwycięstwa przechodzi jej ciało? To nie potrwa długo, wiedziała o tym, ale czas pokazywał, że takie chwile były jedyną rzeczą, dla której chciała żyć.

One oraz wyobrażenia zemsty, marzenia o życiu na wolności i o tym, że któregoś dnia stanie twarzą w twarz z Uffem.

Tamtej nocy zapaliła po raz ostatni latarkę. Podeszła do małego niezamazanego kawałka w jednej z lustrzanych szyb i poświeciła sobie w usta. Dziura w dziąśle była ogromna, ale nie wyglądała źle, na ile była w stanie to ocenić w tych warunkach. Czubek języka mówił to samo. Rozpoczął się już proces gojenia.

Po kilku minutach światło latarki stało się słabsze, więc uklękła i zaczęła przyglądać się mechanizmowi zamykającemu służę. Oglądała go już tysiące razy, ale może powinna go teraz dobrze zapamiętać. Kto wie, czy światło na suficie kiedyś znów się zapali.

Drzwi służy miały łukowaty, a z zewnątrz prawdopodobnie stożkowaty kształt, żeby można było szczelnie zamknąć pomieszczenie. Dolny odcinek, sama zapadka służy, miała nie więcej niż pięćdziesiąt pięć centymetrów wysokości. Tutaj też nie można było wyczuć niemal żadnych szpar. Z przodu przyspawano do ziemi metalowy trzpień, dzięki któremu drzwi służy mogły się zatrzymać w otwartej pozycji. Badała go gruntownie, dopóki nie zgasło światło latarki.

Potem siedziała w ciemności i myślała, co może robić.

Mogła mieć wpływ na trzy rzeczy. Przede wszystkim w jakim stopniu jest widoczna dla otoczenia – i ten problem już rozwiązała. Dawno, dawno temu,

wkrótce po tym, jak ją uwięzili, przeczesła skrupulatnie całe pomieszczenie w poszukiwaniu czegoś, co mogłoby przypominać ukrytą kamerę, ale niczego takiego nie znalazła. Potwory, które ją przetrzymywały, polegały wyłącznie na lustrzanych szybach. A nie powinny. Właśnie dzięki temu mogła teraz poruszać się niezauważona.

Pozostało zatroszczyć się o to, by jej umysł się nie poddał. Bywały dni i noce, kiedy zapadała się w sobie, bywały też tygodnie z ciągłą gonitwą myśli, jednak starała się nie zubożnąć. Kiedy do niej dotarło, do czego to mogło prowadzić, zmuszała się do myślenia o innych, którzy przeżyli coś podobnego przed nią. O tych, którzy siedzieli w odosobnieniu bez wyroku przez dziesiątki lat. Przykładów dostarczała historia powszechna i literatura. Papillon, hrabia Monte Christo i wielu innych. Jeśli oni potrafili, ona też da radę. Próbowwała więc ze wszystkich sił skierować myśli ku książkom, filmom oraz najlepszym wspomnieniom i w ten sposób udawało jej się uniknąć najgorszego.

Bo chciała być sobą, Merete Lynggaard, aż do dnia, w którym opuści to miejsce. Była to przysięga, której nie zamierzała złamać.

A kiedy wreszcie nadejdzie ten dzień, sama zdecyduje, jak umrze. To była trzecia rzecz. Kobieta na zewnątrz mówiła przedtem, że to ten Lasse podejmuje decyzje, ale w odpowiedniej sytuacji ta wilczyca mogła przecież wziąć sprawy w swoje ręce. Nienawisć już wcześniej brała nad nią górę, może się to zdarzyć ponownie. Wystarczy jedynie chwila szaleństwa, żeby otworzyć śluzę i wyrównać ciśnienie. Ta chwila z pewnością nadejdzie.

Przez prawie cztery lata, które Merete spędziła w klatce, po tej kobiecie również dało się odczuć upływ czasu. Jej oczy zapadły się głębiej, głos się zmienił. Trudno było w tych warunkach ocenić, ile ma lat, ale na pewno wystarczająco dużo, żeby nie bać się tego, co życie ze sobą niesie. A to czyniło ją niebezpieczną.

W każdym razie nie wyglądało na to, żeby ta dwójka była jakoś szczególnie zorientowana w technice. Nie potrafili nawet naprawić włącznika, który się zaklinował, więc pewnie nie umieli też wyrównać ciśnienia inaczej niż poprzez otwarcie drzwi. Taką przynajmniej miała nadzieję. Jeśli więc teraz postara się, by nie mogli ich otworzyć wbrew jej woli, to zapewni sobie czas konieczny do popełnienia samobójstwa. Narzędziem będą szczypce. Gdyby tym z zewnątrz przyszło do głowy, aby nagle wyrównać ciśnienie w pomieszczeniu, z pewnością będzie potrafiła chwycić tętnice czubkami szczypiec i je rozerwać. Nie za bardzo wiedziała, co się może zdarzyć, ale groźba, że ciśnienie może ją rozsadzić od środka, była przerażająca. Trudno sobie wyobrazić gorszą śmierć. Dlatego chciała sama zdecydować, kiedy i jak zginie.

Merete nie miała żadnych złudzeń, że ten Lasse będzie sobie życzył czegoś innego. To oczywiste, że w pomieszczeniu istnieją inne kanały wyrównywania ciśnienia niż ten, który kryje śluza. Pewnie można użyć systemu wymiany

powietrza. Nie wiedziała przecież, w jakich celach powstało to pomieszczenie, ale z pewnością tanie nie było. Dlatego wnioskuje, że powód, dla którego je zbudowano, również miał pewną wartość czy znaczenie. Musiały więc istnieć jakieś procedury awaryjne. Widziała zarys małych metalowych dysz zwisających z sufitu spod instalacji elektrycznej. Niewiele większych niż mały palec, ale czy to nie wystarczy? Być może tamtędy pompowano świeże powietrze do środka. Nie miała pojęcia – mógł to być również awaryjny system wyrównywania ciśnienia. Jedno było pewne: jeśli ten Lasse będzie chciał ją skrzywdzić, to z pewnością znajdzie odpowiednie przyciski.

Na razie próbowała skupić się na przeciwdziałaniu tym zagrożeniom, które wydawały się najpilniejsze. Dlatego rozkręciła latarkę, wyjęła baterie i stwierdziła z zadowoleniem, że metal, z którego wykonano jej trzonek, był twardy, solidny i ostry.

Odległość od brzegu śluzicy do podłogi wynosiła zaledwie kilka centymetrów, więc gdyby udało się jej wygrzebać dziurę dokładnie za trzpieniem przyspawanym do podłoża, to będzie w stanie włożyć w nią latarkę i w ten sposób zapobiec otwarciu się drzwi.

Ścisnęła latarkę. Siedziała z narzędziem, które wywoływało w niej wrażenie, że nad czymś w życiu sprawuje kontrolę, i było to nieopisane miłe uczucie. Tak jak wtedy, gdy po raz pierwszy wzięła tabletkę antykoncepcyjną. Jak wtedy, gdy sprzeciwiła się rodzinie zastępczej i czmychnęła, ciągnąc za sobą Uffego.

Ryćcie w betonie było znacznie cięższe, niż sobie wyobrażała. Przez kilka pierwszych dni, kiedy miała jedzenie i picie, praca szła szybko, ale kiedy wiadro zrobiło się puste, jej palce prędko osłabły. Nie miała zbyt wielu możliwości, by się im przeciwstawić, wiedziała o tym dobrze.

Jedzenie, które przez kilka ostatnich dni jej przysyłali, było absolutnie niejadalne. Naprawdę się na niej zemścili. Już sam fetor odrzucał ją od wiader. Śmierdziało jak rozkładająca się padlina. Co noc przez pięć lub sześć godzin skrobała latarką podłogę. To było wyczerpujące, ale musiała się przyłożyć – nie miała innego wyjścia. Dziura nie mogła być na tyle duża, żeby latarka miała w niej luz, a ponieważ latarka sama w sobie była przyrządem do żłobienia, musiała po prostu wwiercać się nią w podłoże, aby dziura miała właściwą średnicę, a potem zdrapywać beton płåtami o grubości kartki.

Piątego dnia dziura miała głębokość mniejszą niż dwa centymetry, a żołądek Merete trawiły kwasy.

Czarownica z zewnątrz codziennie dokładnie o tej samej porze ponawiała swoje żądanie. Jeśli Merete nie wytrze szyb, to nie włączy światła i nie da jej żadnego porządnego jedzenia. Mężczyzna próbował pertraktować, ale bezskutecznie. Teraz stali tam znów, domagając się swojego. O światło nie dbała, ale jej trzewia krzyczały z głodu. Jeśli nie będzie jadła, rozchoruje się, a nie chciała

być chora.

Spojrzała w górę, na czerwonawą powłokę jaśniejącą lekko na szybie.

– Nie mam czym wytrzeć szyb do czysta, jeśli to dla was takie ważne! – krzyknęła w końcu.

– To użyj swoich sików i rękawów, wtedy włączymy ci światło i przyślemy jedzenie – odkrzyknęła kobieta.

– W takim razie przyslijcie mi też nową kurtkę.

Wtedy kobieta wybuchła ohydny, dokuczliwym śmiechem, który przeszył ją do szpiku kości. Nie odpowiedziała, śmiała się po prostu, aż zabrakło jej tchu w płucach, i znów nastała cisza.

– Nie zrobię tego – powiedziała Merete. Ale jednak to zrobiła.

Chociaż nie zajęło to dużo czasu, czuła, jakby poniosła wielką klęskę.

Choć teraz znowu od czasu do czasu pojawiali się za szybami, nie widzieli, co robiła. Siedziała blisko drzwi, w niewidocznym z zewnątrz kącie, tak jak kiedyś między lustrzanymi szybami. Gdyby niespodziewanie zjawili się w nocy, od razu usłyszeliby jej skrobanie, ale nie robili tego. To była zaleta metod, którymi ją sobie podporządkowywali. Wiedziała, że noc należy tylko do niej.

Kiedy wygrzebała dziurę o głębokości czterech centymetrów, jej przewidywalna egzystencja zmieniła się całkowicie. Siedziała pod migającymi świetlówkami, czekając na jedzenie i wyliczając, że zbliżają się urodziny Uffego. W każdym razie rozpoczął się już maj. Piąty maj od czasu jej uwięzienia. Maj 2006. Siedziała obok wiadra na fekalia, czyściła zęby i myślała o Uffem, widząc oczami wyobraźni, jak na dworze słońce płąsa po bezchmurnym, błękitnym niebie. *Happy birthday to you* – zanuciła zachrypniętym głosem, widząc w myślach zadowoloną twarz Uffego. Gdzieś tam, na zewnątrz, Uffe miał się dobrze, wiedziała to. Oczywiście, że miał się dobrze. Tak często to sobie powtarzała.

– O, to ten przycisk, Lasse – rozległ się nagle głos kobiety. – Zaciął się, więc słyszała wszystko, co mówiliśmy.

Obraz nieba zniknął momentalnie, a serce zaczęło łomotać. Pierwszy raz słyszała, jak kobieta zwraca się do mężczyzny, którego nazywali Lasse

– Od jak dawna? – odezwał się stłumiony głos, który sprawił, że wstrzymała oddech.

– Od twojego ostatniego wyjazdu. Cztery, pięć miesięcy temu.

– Wygadaliście się?

– Oczywiście, że nie!

Przez chwilę panowało milczenie.

– Zresztą wkrótce i tak będzie wszystko jedno. Niech sobie słyszy, co mówimy. W każdym razie do czasu, kiedy zdecyduję inaczej.

To zdanie uderzyło ją jak cios w głowę. „Zresztą wkrótce i tak będzie wszystko jedno”. Z czym będzie wszystko jedno? Co miał na myśli? Co ma się

wydarzyć?

– Była okropna, kiedy cię nie było. Próbowwała się zagłodzić, a raz udało jej się zablokować służę. Ostatnio wysmarowała szyby własną krwią, żebyśmy nie mogli zaglądać do środka.

– Braciszek mówił, że w którymś momencie bolał ją ząb. Szkoda, że tego nie widziałem – powiedział Lasse.

Kobieta zaniosła się skrzeczącym śmiechem. Wiedzieli przecież, że siedzi tu i wszystko słyszy. W jaki sposób stali się tacy? Co takiego im zrobiła?

– Co wam zrobiłam, gnojki?! – krzyknęła z całych sił, wstając. – Zgaście tu światło, żebym widziała wasze oczy, gdy do mnie mówicie!

Znów rozległ się śmiech kobiety.

– Marzenia ściętej głowy, dziewucho! – odkrzyknęła.

– Chcesz, byśmy zgasili światło? – Lasse zaśmiał się krótko. – Czemu nie? – powiedział. – Czy to właśnie nie teraz wszystko na serio się zaczyna? Czy to nie dzięki temu czeka nas mnóstwo interesujących dni, aż do samego końca?

To były straszne słowa. Kobieta próbowała protestować, ale mężczyzna powstrzymał ją kilkoma ostrymi słowami, po czym nagle zgasły migające nad nią lampy.

Stała przez chwilę z bijącym sercem, próbując przyzwycząić się do słabego światła wpływającego do pomieszczenia z zewnątrz. Na początku te bydlaki za szybą wyglądały jak cienie, ale powoli ich postaci stawały się wyraźniejsze. Kobieta na samym dole, przy samym brzegu iluminatora, mężczyzna znacznie wyżej. Pomyślała, że to Lasse. Powoli podszedł bliżej. Jego niewyraźna sylwetka nabrała kształtu. Szerokie ramiona, proporcjonalnie zbudowany, nie tak jak ten drugi, chudy.

Miała ochotę jednocześnie przeklinać ich i błagać o litość. Wszystko, co tylko możliwe, by powiedzieli, dlaczego jej to robią. Przyszedł ten, który podejmował decyzje. Widziała go po raz pierwszy i było to w niepokojący sposób podniecające. Tylko on decydował, czy ona ma dowiedzieć się więcej, czuła to, a teraz ona będzie domagała się swego. Ale kiedy podszedł o krok bliżej i zobaczyła go, słowa uwięzły jej w gardle.

Spojrzała zszokowana na jego usta. Po chwili zagościł na nich krzywy uśmiešek odsłaniający powoli białe zęby. Wtedy wszystko złożyło się w całość, a po jej ciele przebiegł dreszcz.

Wiedziała już, kim jest Lasse.

2007

Na trawniku w Egely Carl natychmiast przeprosił pielęgniarkę za zajście, po czym szybko wrzucił zdjęcia i figurki Playmobil do reklamówki i dużymi krokami udał się na parking. W tle słychać było krzyk Uffego. Dopiero kiedy odpalił samochód, zauważył grupę personelu złączoną niezdarnie z pagórka. Czyli to koniec z prowadzeniem dochodzenia na włościach Egely. W porządku.

Uffe zareagował gwałtownie. Carl wiedział już, że do pewnego stopnia funkcjonował on w tym samym świecie co wszyscy. Spojrzał w oczy Atomosa na fotografii i to nim wstrząsnęło, nie ma co do tego wątpliwości. To ogromny postęp.

Zatrzymał wóz na poboczu polnej drogi i wyszukał zakład Godhavn w Internecie podłączonym do przenośnego urządzenia. Numer pojawił się w okamgnieniu.

Prezentacja była krótka. Ludzie stamtąd przywykli widocznie, że zwracała się do nich policja, więc nie było potrzeby owijać w bawełnę.

– Tylko spokojnie – powiedział. – Żaden z państwa podopiecznych nie zrobił nic złego. Chodzi o chłopca, który u was mieszkał na początku lat osiemdziesiątych. Nie znam jego nazwiska, ale nazywano go Atomosem, czy to imię się państwu z czymś kojarzy?

– Na początku lat osiemdziesiątych? – spytała dyżurna. – Nie, tak długo tutaj nie pracuję. Mamy rejestr wszystkich naszych podopiecznych, jednak pod tym imieniem raczej nikogo nie znajdziemy. Jest pan pewien, że nie ma pan innego, pod którym moglibyśmy szukać?

– Niestety. – Powiódł wzrokiem po cuchnących obornikiem polach. – Nie ma u państwa kogoś, kto pracuje tam od dawna?

– Uff. Na pewno nie wśród osób zatrudnionych na stałe. Ale, hmm, tak, faktycznie mamy takiego emerytowanego pracownika, Johna, który przychodzi tu parę razy w tygodniu. Nie potrafi obejść się bez chłopaków, a oni bez niego. Na pewno pracował tutaj w tamtym czasie.

– A nie ma go dziś przypadkiem w pracy?

– Johna? Nie, jest na wakacjach. Gran Canaria za 1295 koron, czy można było się oprzeć? Ale wraca w poniedziałek, więc zobaczą, czy uda nam się go tu zwabić. Przychodzi wyłącznie po to, by pobyć z chłopakami. Lubią go. Proszę zadzwonić w poniedziałek, zobaczymy.

– Może mógłbym otrzymać jego numer domowy?

– Nie, Niestety. Zgodnie z naszą polityką nie udzielamy informacji na temat prywatnych numerów pracowników. Nigdy nie wiadomo, kto dzwoni, prawda?

– Nazywam się Carl Mørck, wydaje mi się, że mówiłem to pani przed chwilą. Jestem policjantem, może pani pamięta?

Zaśmiała się.

– Może pan sam zdobyć jego numer, skoro jest pan taki obrotny, ale proponuję, żeby poczekał pan do poniedziałku i wtedy zadzwonił do nas jeszcze raz, dobrze?

Odchylił się na siedzeniu i spojrzął na zegarek. Było chwilę po pierwszej. Czyli zdążyłby jeszcze do biura, by sprawdzić komórkę Merete Lynggaard, o ile bateria w ogóle nadal działała po tych pięciu latach, w co wątpił. W przeciwnym razie będą musieli postarać się o nową.

Dalej, na polach za pagórkami mewy podniosły się z krzykiem do lotu. Pod nimi przejechał z warkotem jakiś pojazd, wzbijając w górę tumany kurzu. Po chwili ukazał się dach kabiny. To był traktor, ogromny pojazd marki Landini, z niebieską kabiną, który przetaczał się powoli po polu uprawnym. Takie rzeczy się wie, jeśli się dorastało w umazanych gnojem gumiakach. Czyli tutaj też nawożą – pomyślał, odpalając silnik, by ruszyć z miejsca, zanim powiew odoru go tu dosięgnie i przedostanie się do układu klimatyzacyjnego auta.

Spojrzał na rolnika siedzącego w środku za szybami z pleksiglasu w bejsbolówce na głowie. Wyglądał na pochłoniętego swoją pracą i perspektywą pobicia wszelkich rekordów podczas letnich żniw. Był rumiany i miał na sobie flanelową koszulę. W porządną kratę. Koszulę, w jakich kiedyś widywało się drwali.

Cholera – pomyślał. Zapomniał zadzwonić do kolegów z Sorø i powiedzieć im, który wzór koszuli mieli według niego sprawcy na Amager. Westchnął na samą myśl. Żeby mu tylko oszczędzili tego wszystkiego. Kolejnym krokiem będzie pewnie konieczność ponownego wyjazdu i wskazania koszuli.

Wybrał numer i połączył się z dyżurnym, który natychmiast przełączył go do prowadzącego dochodzenie, tego, którego nazywali Jørgensenem.

– Mówi Carl Mørck z Kopenhagi. Myślę, że mogę potwierdzić, że okazana mi koszula była identyczna z tą, którą miał na sobie jeden ze sprawców na Amager.

Jørgensen nie zareagował. Dlaczego, do cholery, nie odchrząknął czy coś, żeby człowiek wiedział, że nie kopnął w kalendarz po drugiej stronie linii?

– Hmmm – odchrząknął Carl. Może to zaraźliwe? Ale facet nic nie powiedział. Może zasłonił słuchawkę.

– Przez ostatnie noce miałem sny, rozumiesz? – ciągnął Carl. – Wróciło do mnie wiele scen ze strzelaniny. Również wygląd koszuli. Teraz widzę to wszystko całkiem wyraźnie.

– Aha – powiedział wreszcie Jørgensen po kolejnej porcji brzemiennego milczenia. Chyba powinien zamiast tego krzyknąć z radości, przynajmniej raz.

– Nie chcesz wiedzieć, gdzie na stole leżała koszula, którą mam na myśli?

– Chcesz powiedzieć, że to pamiętasz?

– Jeśli jestem w stanie przypomnieć sobie koszulę po tym, jak dostałem kulkę w łeb, zostałem przygnieciony bezwładnym ciałem o wadze stu pięćdziesięciu kilogramów i połała się na mnie krew moich najlepszych kumpli, to myślisz, że nie pamiętam, w jakiej kolejności leżały te cholerne koszule cztery dni temu?

– To dosyć niezwykle.

Carl policzył do dziesięciu. Bardzo możliwe, że to dość niezwykle na Storgade w Sorø. Pewnie też dlatego on sam wylądował w wydziale z dwudziestokrotnie większą liczbą spraw o morderstwo niż w wydziale Jørgensena.

– Jestem też całkiem niezły w grę „Memory” – brzmiała jego odpowiedź.

Nastąpiła przerwa – musiało to do niego dotrzeć.

– Ach, doprawdy! W takim razie chętnie się dowiem – padła konkluzja.

Boże, co za burak!

– To była koszula leżąca na samym brzegu po lewej stronie – powiedział Carl. – To znaczy ta najbliżej okna.

– Okej – odparł Jørgensen. – Tak też twierdzi świadek.

– Dobrze, cieszę się. To by było na tyle. Przyślę ci e-mail, żebyś to miał na piśmie. – Właśnie traktor na polu zbliżył się niepokojąco. Strużki szczylni i gówna wydostawały się pod dużym ciśnieniem z rur znajdujących się tuż nad ziemią. Sama radość!

Zamknął okno od strony pasażera i miał zamiar się rozłączyć.

– Jeszcze chwilka, zanim odłożysz słuchawkę – dodał Jørgensen. – Schwytałismy podejrzanego. Między nami kolegami mogę powiedzieć, że jesteśmy wręcz pewni, że złapaliśmy jednego ze sprawców. Kiedy mógłbyś tu przyjechać na konfrontację? Może jutro?

– Na konfrontację? Nie, nie mogę.

– O co ci chodzi?

– Jutro jest sobota, to znaczy mój wolny dzień. Kiedy już się wyśpię, mam zamiar wstać, zaparzyć filiżankę kawy i wrócić do łóżka. Ta czynność może się powtarzać i zająć mi cały dzień, nie wiadomo. Poza tym nie widziałem żadnego ze sprawców na Amager, co zresztą podkreślałem wystarczająco wiele razy, jeśli w ogóle miałeś okazję czytać raporty. A że twarz tego faceta nie objawiła mi się dotąd we śnie, to powinieneś założyć, że od ostatniego spotkania go nie widziałem. Dlatego nie przyjadę, w porządku, Jørgensen?

Znów nastąpiła pauza, szlag by to trafił. To było bardziej wkurzające niż w wypadku polityków wklejających co drugie słowo przerywniki w stylu „yyy” w swoje nużące, długie zdania.

– Sam wiesz najlepiej, czy to w porządku – odparł Jørgensen. – To przecież

twoich przyjaciół okaleczył ten człowiek. W każdym razie przeszukaliśmy miejsce zamieszkania podejrzanego i wiele znalezionych tam przedmiotów wskazuje, że przebieg wypadków na Amager i w Sorø jest podobny.

– To dobrze, Jørgensen, gratuluję. Będę śledził przebieg sprawy w gazetach.

– Wiesz, że będziesz świadkiem, kiedy rozpocznie się rozprawa? Oba przestępstwa łączy przede wszystkim rozpoznana przez ciebie koszula.

– Tak, będę świadkiem. Udanego polowania.

Odłożył słuchawkę i zwrócił uwagę na nieprzyjemne uczucie w okolicy klatki piersiowej. Silniejsze niż wcześniej. Może należało je łączyć z niewyobrażalnym smrodem, który nagle wdarł się do kabiny, ale z drugiej strony mogło też zbliżać się coś gorszego.

Siedział przez minutę, czekając, aż ucisk trochę zelżeje. Po chwili odwzajemnił pozdrowienie rolnika siedzącego w wieżyczce z pleksiglasu i włączył silnik. Kiedy przejechał pięćset metrów, zwolnił tempo, otworzył okno i zaczął gorączkowo chwytać powietrze. Złapał się za pierś i z całej siły zgiął plecy, aby pozbyć się napięcia. Po chwili zjechał na bok i zaczął wciągać powietrze coraz głębiej do płuc. Miał okazję widzieć tego rodzaju ataki paniki u innych, ale przeżywać to na własnym ciele było surrealistycznym doświadczeniem. Odblokował drzwi, splótł dłonie na ustach, by zmniejszyć efekt hiperwentylacji, po czym jednym ruchem otworzył drzwi na oścież.

– Kurwa mać! – krzyknął, pochylając się. Wypełzył na brzeg rowu, czując w piersi silne uderzenia. Wysoko nad nim wirowały chmury, a niebo zaczęło się ku niemu opuszczać. Upadł na bok, próbując wymacać w kieszeni marynarki telefon komórkowy. Nie ma zamiaru umrzeć na pieprzony atak serca, ma jeszcze coś do powiedzenia.

Przejeżdżający obok samochód nieco zwolnił. Nie mogli go zobaczyć siedzącego za autem przy rowie, ale on ich słyszał.

– Dziwnie to wygląda – powiedział czyjś głos, po czym samochód ruszył dalej. Gdybym miał ich numer rejestracyjny, już ja bym ich, kurwa, nauczył – zdążył pomyśleć, nim wokół niego zapadła ciemność.

Ocknął się z telefonem komórkowym przyklejonym do ucha i mnóstwem pieprzonej ziemi na ustach. Oblizał wargi, splunął i zdezorientowany rozejrzał się wokół. Chwycił się za klatkę piersiową, gdzie ucisk jeszcze do końca nie minął, i stwierdził, że nie jest z nim tak źle. Następnie podniósł się i wgramolił na przednie siedzenie. Nie było jeszcze drugiej. Czyli nie leżał tu zbyt długo.

– Co to było, Carl? – zapytał sam siebie, z suchymi ustami i językiem dwa razy grubszym niż zwykle. Nogi miał jak z lodu, ale skórę tułowia zlewał pot. W jego ciele zaszło coś bardzo złego.

Zaczynasz tracić kontrolę nad sobą – warknął w myślach, kiedy z trudem sadowił się na siedzeniu kierowcy. I wtedy zadzwoniła komórka.

Assad nie zapytał, jak Carl się miewa, po co miałby to robić?

– No, to teraz mamy problem, Carl – oznajmił po prostu, a Carl zaklął w myślach.

– Technicy nie odważą się usunąć tego skreślenia w spisie telefonów Merete Lynggaard – ciągnął Assad wytrwale. – Mówią, że numer i skreślenie zostały napisane tym samym rodzajem długopisu, więc chociaż ścierali już różne rzeczy, to istnieje duże ryzyko, że obie warstwy znikną.

Carl chwycił się za pierś. Czuł się teraz, jakby nałykał się powietrza. Cholerny ból. Może to naprawdę atak serca?

– Mówią, że muszą to wszystko wysłać do Anglii. Coś tam kombinują z jakimś cyfrowym procesem, chemicznym zmiękczeniem czy jak tam to nazwali.

– Teraz pewnie czekał, aż Carl go poprawi, ale Carl nie miał zamiaru niczego poprawiać, do cholery. Był wystarczająco zajęty zaciskaniem powiek, próbując pozbyć się tych ohydnych spazmów panoszących się w jego klatce piersiowej.

– Moim zdaniem to zajmuje za dużo czasu. Mówią, że dostaniemy wyniki dopiero za trzy, cztery tygodnie. Nie zgadzasz się ze mną?

Carl usiłował się skoncentrować, ale Assad nie miał tego rodzaju cierpliwości.

– Może nie powinienem ci tego mówić, Carl, ale czuję, że naprawdę mogę na ciebie liczyć, więc i tak to powiem. Znam faceta, który może to dla nas zrobić. – Tu Assad poczekał na jakiś sygnał, ale się przeliczył. – Jesteś tam jeszcze, Carl?

– Tak, do cholery – zasyczał Carl, po czym wziął tak głęboki oddech, że jego płuca całkowicie się rozszerzyły. Kurwa, ależ to bolało, zanim zmniejszył się nacisk. – Kim on jest? – zapytał, próbując się rozluźnić.

– Nie, nie chcesz tego wiedzieć, Carl. Ale to zdolny facet, pochodzi z Bliskiego Wschodu. Znam go naprawdę dobrze, jest fachowcem. Powinienem go zatrudnić do tego zadania?

– Chwilkę, Assad, muszę pomyśleć.

Wytoczył się z samochodu i stanął zgięty wpół, ze spuszczoną głową i rękami opartymi o kolana. Krew zaczęła wracać do mózgu. Skóra twarzy zaróżowiła się, a ucisk w piersi zmalął. O, jak dobrze. Pomimo smrodu snującego się niczym choroba powietrze pomiędzy dającymi schronienie drzewami było niemal orzeźwiające.

Kiedy się wyprostował, czuł się dobrze.

– Tak, Assad – powiedział do telefonu. – Jestem już. Nie możemy zatrudnić fałszerza paszportów, kapujesz?

– Kto powiedział, że to fałszerz paszportów? Przecież nie ja.

– To kim jest?

– Był po prostu dobry w takich rzeczach tam, skąd pochodzi. Potrafi tak usunąć pieczętkę, że nikt tego nie zauważy. To pewnie potrafi usunąć też trochę

tuszu. Nie musisz wiedzieć nic więcej. On też się nie dowie, z czym ma do czynienia. Jest szybki, Carl, i nic nie kosztuje. Jest mi winien przysługę.

– Jak szybki?

– Będziemy to mieć na poniedziałek, jeśli chcemy.

– To daj mu to, Assad. Daj mu.

Wymamrotał coś po drugiej stronie linii. Prawdopodobnie „okej” po arabsku.

– Jeszcze jedna rzecz, Carl. Mam przekazać od pani Sørensen z góry z Wydziału Zabójstw, że ta świadek w sprawie o zabójstwo rowerzysty zaczęła trochę mówić. Dowiedziałem się, że...

– Assad, przestań już. To nie nasza sprawa. – Wsiadł z powrotem do samochodu. – Mamy dość roboty z własną.

– Pani Sørensen nie chciała mi tego mówić wprost, ale wydaje mi się, że oni tam na drugim piętrze chcieliby wiedzieć, co myślisz, znaczy bez pytania cię wprost.

– Przyciśnij ją, Assad, niech ci powie wszystko, co wie. I pojedź do Hardy’ego w poniedziałek rano, i wszystko mu opowiedz. Jestem pewien, że będzie się bawił lepiej niż ja. Weź taksówkę, to potem zobaczymy się na komendzie, okej? Dziś możesz już iść. Baw się dobrze, Assad. Pozdrów Hardy’ego i powiedz mu, że zajrzę do niego któregoś dnia w przyszłym tygodniu.

Rozłączył się i spojrzał przez przednią szybę, która wyglądała, jakby pokropił ją przelotny deszczyk. Ale to nie był deszcz, czuł to wyraźnie. To były świńskie siki *à la carte*. Prosto z wiosennego wiejskiego menu.

Na stole Carla stał bogato zdobiony, monstualny przyrząd do gotowania herbaty i skwierczał. Jeśli Assad myślał, że na płomieniu olejowym uda się zachować aromat i temperaturę herbaty miętowej aż do powrotu Carla, to się przeliczył, bo teraz czajnik wygotował się do tego stopnia, że jego dno trzeszczało. Zdmuchnął ogień i usiadł ciężko w fotelu, czując ponownie ucisk w piersiach. Słyszało się o takich rzeczach. Ostrzeżenie, potem ulga. Potem znowu krótkie ostrzeżenie i – bang – śmierć. Świetlana perspektywa dla kogoś, kto musi zmitrężyć jeszcze mnóstwo lat, zanim przejdzie na emeryturę.

Wziął wizytówkę Mony Ibsen i ważył ją w dłoni. Dwadzieścia minut na jej miękkim, ciepłym ciele i na pewno poczułby się lepiej. Pytanie tylko, czy działanie będzie równie skuteczne, jeśli będzie musiał zadowolić się ostrzałem jej miękkich, ciepłych spojrzeń.

Podniósł słuchawkę i wybrał jej numer, a kiedy usłyszał sygnał, ucisk powrócił. Czy było to bicie serca, świadczące, że jeszcze żyje, czy przestroga przed czymś przeciwnym? Skąd miał to wiedzieć?

Łapał gorączkowo powietrze, gdy się przedstawiła.

– Carl Mørck – powiedział niezdarnie. – Jestem gotów odbyć szczerą spowiedź.

– W takim razie proszę się udać do Bazyliki Świętego Piotra – odparła sucho.

– Nie, mówię poważnie. Wydaje mi się, że miałem dziś atak paniki. Nie czuję się dobrze.

– W takim razie poniedziałek godzina jedenasta. Mam doradzić coś na uspokojenie czy poradzi pan sobie przez weekend?

– Poradzę sobie – powiedział, ale gdy odłożył słuchawkę, nie był tego wcale taki pewny.

Zegar tykał nieubłaganie. Pozostały tylko dwie godziny do powrotu Mortena Hollanda z popołudniowego dyżuru w wypożyczalni wideo.

Odpiął komórkę Merete Lynggaard od ładowarki i włączył ją. „Wprowadź PIN” – brzmiało polecenie. Czyli bateria jeszcze działała. Dobry stary Siemens, można na niego liczyć.

Wpisał „1-2-3-4” i uzyskał informację o błędzie. Potem spróbował „4-3-2-1” z tym samym wynikiem. Czyli został mu tylko jeden nabój w magazynku, zanim będzie musiał odesłać to gównu ekspertom. Otworzył teczkę sprawy i odnalazł datę urodzin Merete Lynggaard. Równie dobrze mógł posłużyć się datą urodzin Uffego. Przewrócił kilka stron i odnalazł również tę datę. Mogła to być również kombinacja obu dat albo coś jeszcze innego. Zdecydował się połączyć pierwsze liczby dat urodzin obojga, najpierw Uffego, i wpisał numer.

Kiedy na ekranie pojawiła się uśmiechnięta twarz Uffego obejmującego Merete za szyję, ucisk w klatce piersiowej zelżał na chwilę. Ktoś inny wydałby z siebie okrzyk tryumfu, ale Carl nie miał na to siły. W zamian za to położył nogi na stole.

Pomimo niewygodnej pozycji otworzył spis telefonów i przejrzał listę połączeń przychodzących i wychodzących w okresie od 15 lutego 2002 roku aż do dnia, w którym Merete Lynggaard zniknęła. Było tego sporo. Niektórych z tych numerów będzie musiał poszukać w archiwach operatorów. Numery, które zostały kilkakrotnie zmienione. Zadanie wyglądało na uciążliwe, ale po godzinie zobaczył, że wzór jest prosty: przez cały ten czas Merete Lynggaard komunikowała się tylko z kolegami i reprezentantami organizacji pozarządowych. Tylko z jej własnego sekretariatu było trzydzieści połączeń, w tym ostatnie 1 marca. To znaczy, że ewentualne telefony od fałszywego Daniela Hale’a musiały być kierowane na telefon stacjonarny w Christiansborgu. Oczywiście o ile w ogóle do niej dzwonił.

Westchnął i odsunął stopą stertę papierów na środek biurka. Świerzbila go prawa noga, aby wymierzyć Børgemu Bakowi kopa w dupę. Jeśli nawet poprzednia ekipa wywiadowcza sporządziła listę połączeń z telefonem w gabinecie Merete Lynggaard, to i tak musiała zginąć, bo w teście sprawy nie było po niej śladu.

No tak, tę część dochodzenia pozostawi Assadowi w poniedziałek, kiedy on sam będzie pod opieką Mony Ibsen.

W sklepie z artykułami dla dzieci w Allerød wybór zabawek Playmobil był nie najgorszy, wręcz doskonały, za to ceny adekwatne. Wydało mu się niepojęte, jak obywateli miasta było stać na powoływanie na świat potomstwa. Wybrał najtańszy zestaw składający się z dwóch figurek – z wozem policyjnym i funkcjonariuszami – za 269,75 koron i poprosił o paragon. Morten Holland i tak będzie musiał się tu wybrać, by dokonać wymiany, to pewne.

Gdy tylko ujrzał Mortena w kuchni ich domu, przyznał się do wszystkiego. Wyciągnął pożyczone zabawki z plastikowej torby i wręczył mu je wraz z nowym pudełkiem. Powiedział, że jest mu niezmiernie przykro i że już nigdy tego nie zrobi. Że już w ogóle nigdy nie wtargnie na prywatny teren Mortena podczas jego nieobecności. Reakcja Mortena była nietrudna do przewidzenia, ale Carla zaskoczyło to, że ciało jego sublokatora, stanowiące wielki i kluchowaty dowód na szkodliwość bogatej w tłuszcze żywności i braku ruchu, można doprowadzić do stanu niemal fizycznej wściekłości. Że też ciało może aż kipieć z poczucia krzywdy, a rozczarowanie można wyrazić tak wieloma różnymi słowami. Nie tylko nadepnął Mortenowi na gigantyczny odcisk. On go dosłownie wdeptał w laminowaną podłogę.

Carl spojrzął gniewnie na miniaturową plastikową rodzinę stojącą na brzegu kuchennego stołu i zamarzył, by to wszystko nigdy się nie wydarzyło, gdy ucisk w piersi powrócił w nowej postaci.

Wyrzucając z siebie syczące zapewnienia, że nadszedł czas, by Carl rozejrzał się za nowym lokatorem, Morten nie zwrócił uwagi na problem Carla, dopóki ten nie osunął się na podłogę wstrząsany drgawkami przechodzącymi po ciele od szyi aż do pępka. Tym razem nie był to tylko ból w klatce piersiowej. Skóra wydawała mu się za ciasna, mięśnie gotowały się od nagłego dopływu krwi, a spazmatyczne skurcze przepony dociskały mu wnętrzości do kręgosłupa. Właściwie to nie odczuwał bólu, tylko niemożność zaczerpnięcia powietrza.

Już po kilku sekundach Morten pochylał się nad nim z szeroko otwartymi świńskimi oczkami, pytając, czy nie chce szklanki wody. Szklanka wody? W czym to, do diabła, pomoże? – przemknęło mu przez myśl, gdy jego puls tańczył zupełnie nie do taktu. Czy Morten chce pokropić go wodą, by przywołać przyjemne wspomnienie letniego deszczu, czy też wlać ją między jego zacisnięte zęby, przez które świszczwał upośledzony oddech?

– Tak, Morten, dziękuję – wydusił z siebie. Wszystko, byleby tylko osiągnąć kompromis pośrodku kuchennej posadzki.

Kiedy stanął na nogi i usiadł w najbardziej wysłużonym narożniku sofy, przestrach Mortena ustąpił miejsca pragmatyzmowi.

Jeśli tak stateczny człowiek jak Carl przeszedł w wyniku przeprosin tak spektakularne załamanie, to z pewnością mówił serio.

– Dobrze. Czyli uważamy sprawę za niebyłą, tak, Carl? – powiedział, ciężko

przymykając powieki.

Carl kiwnął głową. Wszystko, co mogło zapewnić mu mir domowy i kilkanaście godzin relaksu, zanim Mona Ibsen zacznie grzebać w jego wnętrzu.

2007

W salonie na regale za książkami Carl schował zawczasu kilka niedopitych butelek ginu i whisky, których Jesper jeszcze nie zdążył wywęszyć i obdzielić nimi organizowanej naprędce imprezy.

Opróżnił większą część z nich, zanim ogarnął go spokój i wkroczył bardzo głębokim snem w niezliczoną ilość weekendowych godzin. W ciągu dwóch dni tylko trzykrotnie wstał i zaopatrzył się w to, co akurat było w lodówce. Jespera i tak nie było w domu, a Morten pojechał z wizytą do swoich rodziców do Næstved, kto by się więc przejmował datą przydatności do spożycia i nieortodoksyjnym zestawieniem menu?

W poniedziałek rano Jesper potrząsnął Carlem, wybijając go ze snu.

– Wstawaj już, Carl, co z tobą? Potrzebuję kasy na żarcie. W lodówce nic nie ma.

Spojrzał na swojego przybranego syna oczami, które odmawiały zrozumienia czegokolwiek, nie wspominając nawet o zaakceptowaniu światła dziennego.

– Która godzina? – wymamrotał i przez chwilę zastanawiał się, jaki dziś jest dzień.

– Wstawaj, Carl. Wiesz, ile już się spóźniłem?

Spojrzał na budzik, który w swojej łaskawości zostawiła mu Vigga. Było dziesięć po dziesiątej. Za mniej niż pięćdziesiąt minut powinien siedzieć na krześle, spoglądając w poważne i pełne profesjonalizmu oczy Mony Ibsen.

– Ma pan kłopoty z punktualnością? – zapytała, zerkając na zegarek na nadgarstku. – Widzę, że nadal źle pan sypia – ciągnęła, zupełnie jakby prowadziła korespondencję z jego poduszką.

Wkurzył się. Może byłoby lepiej, gdyby zdążył się wykapać, zanim wyskoczył za drzwi. Żeby tylko nie śmierdzieć – pomyślał, przekrzywiając dyskretnie głowę w stronę pach.

Siedziała spokojnie, patrząc na niego z rękami na kolanach i skrzyżowanymi nogami w czarnych sztruksach. Włosy miała pocieniowane i krótsze niż ostatnio, brwi porażająco czarne. Dość przerażająca całość.

Opowiedział historię o swoim załamaniu na polach Larsa Zastrąca, oczekując choćby odrobiny współczucia.

– Czy czuje pan, że pan zawiódł swoich kolegów podczas tej strzelaniny? – wypaliła zamiast tego.

Carl przełknął kilkakrotnie ślinę, poglądził przez chwilę o pistolecie, który mógł wyciągnąć szybciej, i o instynktach, które mogły się przytępić przez

wieloletnie obcowanie z kryminalistami.

– Jestem przekonana, że ma pan poczucie, iż zawiódł pan swoich przyjaciół. W związku z tym będzie pan cierpieć, jeśli nie zaakceptuje pan faktu, że wypadki nie mogły potoczyć się inaczej.

– Wypadki mogły potoczyć się inaczej – odpowiedział.

Zignorowała to.

– Powinien pan wiedzieć, że Hardy Henningsen też jest w trakcie terapii. W ten sposób mam ogląd z dwóch stron i powinnam sama odsunąć się od sprawy. Jednak nie ma żadnych regulacji, które by tego wymagały, dlatego pytam, czy posiadając tę wiedzę, nadal chce pan ze mną rozmawiać. Musi pan być świadomy, że nie wolno mi omawiać tego, o czym powie mi Hardy Henningsen, pan jest zresztą chroniony w drugą stronę przez moją tajemnicę zawodową.

– W porządku – powiedział, ale nieszczerze. Gdyby jej policzki nie były pokryte delikatnym puszkciem, a jej usta tak głośno nie domagały się pocałunku, wstałby i posłał ją do diabła. – Ale chcę o tym porozmawiać z Hardym – dodał. – Hardy i ja nie możemy mieć przed sobą tajemnic, to nie przejdzie.

Skinęła głową i się wyprostowała.

– Czy poza tym był pan kiedykolwiek w sytuacji, w której czuł pan, że traci kontrolę?

– Tak – odparł.

– Kiedy?

– Właśnie teraz. – Posłał jej głębokie spojrzenie.

Zignorowała to. Zimna babka.

– Co oddałby pan za to, żeby Anker i Hardy nadal tutaj byli? – zapytała, przechodząc potem szybko do kolejnych czterech pytań, które wzbudziły w nim dziwne uczucie smutku. Z każdym pytaniem spoglądała mu w oczy i notowała odpowiedzi w swoim bloczku. Miała wrażenie, że chciała doprowadzić go na skraj załamania. Tak jakby miał się dotkliwie potłuc, zanim ona będzie potrafiła mu pomóc.

Zauważyła, że cieknie mu z nosa, jeszcze zanim on się zorientował. Następnie podniosła wzrok i odnotowała łzy zbierające się w jego oczach.

Nie wolno ci mrugnąć, bo polecą – powiedział do siebie, nie rozumiejąc, co tak go poruszyło. Nie bał się płaczu, nie miał też nic przeciwko, żeby ona to widziała. Nie rozumiał po prostu, dlaczego to musi dziać się właśnie teraz.

– Proszę płakać – powiedziała z taką samą odwieczną mądrością, z którą zachęcałaby niemowlę do beknięcia.

Gdy dwadzieścia minut później kończyli sesję, Carl miał dosyć wywnętrzania się. Natomiast Mona Ibsen sprawiała wrażenie zadowolonej. Podała mu rękę i wyznaczyła termin kolejnego spotkania. Jeszcze raz go zapewniła, że wynik strzelaniny był przypadkowy, o czym on sam się przekona w trakcie

trwającej kilka spotkań terapii.

Kiwnął głową i w pewien sposób poczuł się lepiej. Może dlatego, że jej zapach przyćmiewał jego własny i że uścisk jej dłoni był taki lekki, miękki i ciepły.

– Proszę się ze mną kontaktować, jeśli coś będzie panu leżało na sercu. Wszystko jedno, czy to będzie coś dużego czy nie. To może być ważne dla naszej dalszej współpracy, nigdy nie wiadomo.

– W takim razie już mam pytanie – powiedział, usiłując zaprezentować jej swoje umięśnione ręce, podobno seksowne. Przez wszystkie lata otrzymywał za nie sporo pochwał od kobiet.

Zauważyła, jak pozuje, i po raz pierwszy się uśmiechnęła. Miękkie wargi kryły zestaw zębów bielszy niż ten, który posiadała Lis z drugiego piętra. Rzadki widok w wieku, w którym czerwone wino i bogate w kofeinę napoje zmieniały zęby większości ludzi w coś przypominającego przydymione szkło.

– To znaczy? – zapytała.

Wziął się w garść. Wóz albo przewóz.

– Czy jest już pani zajęta? – Przestraszył się, jak niezgrabnie to zabrzmiało, ale było już za późno. – Przepraszam. – Pokręcił głową. Ciężko było to dalej ciągnąć. – Chciałem tylko zapytać, czy może byłaby pani skłonna przyjąć któregoś dnia zaproszenie na obiad?

Jej uśmiech zamarł. Zniknęły białe zęby i delikatny wyraz twarzy.

– Myślę, że powinien pan najpierw dojść do siebie, zanim przejdzie pan do tego typu ofensyw. No i że powinien pan wybierać swoje ofiary z większą starannością.

Poczuł, jak gniew rozchodzi się po całym jego organizmie, gdy odwróciła się plecami i otworzyła drzwi na korytarz. Niech to cholera.

– Jeśli sądzi pani, że nie podchodzi pod kategorię „wybrana z dużą starannością” – zawarczał do jej pleców – to z pewnością pani nie wie, z jaką siłą działa na płeć przeciwną.

Odwróciła się i wyciągnęła ku niemu dłoń, wskazując na palec, na którym widniała obrączka.

– Owszem, dobrze o tym wiem – powiedziała i rakiem wycofała się z pola bitwy.

Stał z opuszczonymi ramionami. Uważał się za jednego z najlepszych detektywów, jakich zrodziło Królestwo Danii, i zastanawiał się, w jaki sposób mógł przeoczyć coś tak oczywistego.

Zadzwonili z zakładu Godhavn z informacją, że udało im się nawiązać kontakt z emerytowanym wychowawcą Johnem Rasmussenem. Następnego dnia wybiera się do Kopenhagi w odwiedziny do siostry i prosił, aby przekazać, że zawsze chciał zobaczyć Komendę Główną, dlatego chętnie złoży Carlowi wizytę około dziesiątej, jeśli to możliwe. Carl nie mógł do niego zadzwonić, bo taka była

ich polityka, ale mógł oddzwonić do zakładu, jeśli coś stało na przeszkodzie.

Dopiero gdy odłożył słuchawkę, powrócił do rzeczywistości. Fiasko, jakie poniósł z Moną Ibsen, spowodowało dezintegrację części składowych jego mózgu, a ich składanie z powrotem dopiero się rozpoczęło. Wychowawca z Godhavn, który był na Gran Canarii, chciał przyjść. Może byłoby lepiej się upewnić, czy facet w ogóle pamięta chłopca o imieniu Atomos, zanim Carl zaoferuje swoje usługi jako przewodnik po Komendzie Głównej, ale pieprzyć to.

Wciągnął powietrze w całą objętość płuc, próbując pozbyć się z organizmu Mony Ibsen i tych jej kocich oczu. W sprawie Merete Lynggaard było wystarczająco dużo małych wątków, żeby zawiązać z nich supeł. Trzeba więc po prostu kontynuować, zanim dopadnie go współczucie dla samego siebie.

Pierwszym zadaniem było pokazanie pomocy domowej Helle Andersen ze Stevns fotek, które dostał w domu Dennisa Knudsen. Może ją też uda się zwabić na komendę, oferując wycieczkę z przewodnikiem w postaci podkomisarza kryminalnego. Byle tylko nie trzeba było znowu jechać aż za potok Tryggevælde.

Zadzwoił do niej i porozmawiał z jej mężem, który wciąż utrzymywał, że jest na zwolnieniu chorobowym z potwornym bólem pleców, choć jego głos brzmiał zaskakująco rześko. Powiedział „Cześć, Carl”, jakby byli kiedyś razem na obozie harcerskim i żarli z tej samej menażki.

Słuchanie go było podobnym doświadczeniem jak siedzenie obok ciotki, która nigdy nie wyszła za mąż.

Ależ tak, oczywiście, że zawołałby Helle, gdyby tylko była w domu. Nie, zawsze jest u klientów aż do godziny... Ojejku! Chyba słyszy jej samochód na podjeździe. Rzeczywiście, sprawiła sobie nowy samochód, słysząc różnicę między pojemnością 1.3 a 1.6. To, co mówił ten pan w telewizji, to jednak prawda, że takie suzuki są niezawodne. Wiesz, w każdym razie świetnie, kiedy człowiek właśnie pozbył się starego opla za dobrą cenę – paplał ten gaduła, gdy w tle żona zameldowała swoje przybycie przenikliwym: „Oooooleeee! Jesteś w domu? Porąbałeś już drewno?”.

Ole miał szczęście, że pytania nie usłyszał ktoś z zakładu ubezpieczeń społecznych.

Helle Andersen była serdeczna i pomocna, kiedy już złapała oddech, więc Carl podziękował jej za przyjęcie Assada i zapytał, czy może odebrać kilka zdjęć, które on jej prześle e-mailem.

– Teraz? – zapytała i pewnie na kolejnym wydechu chciała mu opowiedzieć, dlaczego to nie jest dobra pora. – Przywiozłam ze sobą pizzę. Ole najchętniej jada pizzę z sałatą, a nie jest zbyt smaczna, gdy zielenina utonie w serze.

Minęło dwadzieścia minut, nim oddzwoniła, sprawiając wrażenie, jakby jeszcze nie zdążyła połknąć ostatniego kęsa.

– Otworzyła pani maila?

- Tak – potwierdziła. Siedziała właśnie, patrząc na trzy pliki.
- Proszę kliknąć na pierwszy. Co pani widzi?
- To ten Daniel Hale, którego zdjęcie pokazywał mi ostatnio pana asystent.

Nigdy wcześniej go nie widziałam.

- Proszę kliknąć na drugi plik. I co?
- Kto to jest?

– O to właśnie pytam. Nazywa się Dennis Knudsen. Widziała go pani wcześniej? Może być kilka lat starszy niż na tym zdjęciu.

Roześmiała się.

– W każdym razie nie w tej głupkowatej bejsbolówce. Nie, jestem pewna, że nigdy przedtem go nie widziałam. Przypomina trochę mojego kuzyna Gorma, ale Gorm jest ze dwa razy grubszy.

To pewnie rodzinne.

– A co z trzecim? Poznaje pani osobę, która rozmawiała z Merete w Christiansborgu krótko przed jej zniknięciem? Widać go tylko z tyłu, ale może coś sobie pani przypomina? Ubranie, włosy, postura, wzrost, tężyzna, cokolwiek?

Nastąpiła krótka pauza, która dobrze wróżyła.

– Nie wiem, widać go, jak pan mówi, tylko z tyłu. Ale być może go widziałam. Myśli pan, że gdzie mogłam go zobaczyć?

– No tak, chodzi o to, żeby to pani powiedziała.

Dawaj, dawaj, Helle – pomyślał. O ilu sytuacjach może być mowa?

– Wiem, że chodzi panu o mężczyznę, który doręczył list. Na pewno widziałam go z tyłu, ale wtedy miał na sobie inne ubranie, więc to nie takie proste. Ale wiele się zgadza, po prostu nie jestem całkiem pewna.

– To nie powinnaś nic mówić, skarbie – zabrzmiał w tle głos należący do pizzożericy o rzekomo schorowanych plecach. Trudno było powstrzymać się od głębokiego westchnienia.

– Okej – powiedział Carl. – Mam jeszcze ostatnie zdjęcie, które chciałbym pani przesłać. – Kliknął na ikonę skrzynki.

– Już przyszło – powiedziała po drugiej stronie dziesięć sekund później.

– Proszę powiedzieć, co pani widzi.

– Widzę zdjęcia faceta, który był też na fotce numer dwa, jak mi się wydaje. Dennis Knudsen, czy nie tak się nazywa? Na tym zdjęciu jest jeszcze chłopcem, ale nietrudno rozpoznać ten śmieszny wyraz twarzy. Ależ pucułowate policzki! Założę się, że jeździł gokartem. Tak się zabawnie składa, że mój kuzyn Gorm też.

Pewnie jakieś pięćset kilo temu – chętnie dodałby Carl.

– Proszę popatrzeć na tego chłopca za Dennisem Knudsenem. Przypomina pani kogoś?

Po drugiej stronie zaległa cisza. Nawet ekwilibrysta z chorym grzbietem zamilkł. Carl pozwolił, by czas mijał. Cierpliwość jest cnotą odkrywców. Pozostało

tylko z niej skorzystać.

– W sumie to dość nieprzyjemne – przemówiła wreszcie ze ściśniętym gardłem. – To on. Jestem całkiem pewna, że to on.

– Ten, który doręczył list do domu Merete?

– Tak. – Ponownie nastąpiła pauza, jakby musiała poddać w myślach wizerunek chłopca obróbce czasu. – Czy to ten, którego szukacie? Myśli pan, że on może mieć coś wspólnego z tym, co się stało z Merete? Powinam się go bać? – Jej głos był autentycznie zmartwiony. I może mogła mieć ku temu powody.

– To było przed pięcioma laty, nie ma się czego bać. Tylko spokojnie. – Usłyszał jej westchnienie. – Czyli mówi pani, że to ta sama osoba, która przyniosła list. Jest pani całkowicie pewna?

– Może tak być. Tak, absolutnie. Ma takie charakterystyczne oczy, wie pan, o co chodzi. Ojejku, dziwnie się czuję.

To pewnie ta pizza – pomyślał Carl, po czym podziękował, odłożył słuchawkę i odchylił się na fotelu.

Spojrzał na leżącą na wierzchu teczki jedną z fotek Merete Lynggaard zamieszczonych w kolorowej prasie. Teraz czuł silniej niż kiedykolwiek wcześniej w tej sprawie, że stanowi ogniwo łączące ofiarę ze sprawcą. Tak, po raz pierwszy był pewny swego. Ten Atomos opuścił krainę dzieciństwa, by wyrosnąć na isticie diabelski pomiot, barwnie rzecz ujmując. Tkwiące w nim zło doprowadziło go do Merete Lynggaard. Pytanie tylko dlaczego, gdzie i jak. Może Carl nigdy nie pozna odpowiedzi, ale miał w każdym razie na to ochotę.

A taka Mona Ibsen niech sobie w tym czasie poleruje swoją obrączkę.

Później wysłał zdjęcia do Billego Antvorskova. Nie minęło pięć minut, a w skrzynce mailowej pojawiła się odpowiedź: tak, jeden z chłopców na zdjęciu przypomina mężczyznę, który był z nim w Christiansborgu. Ale nie chciał podpisać się pod tym, że to na pewno on.

Carla to zadowoliło. Był pewien, że Bille Antvorskov nigdy nie podpisywał się pod absolutnie niczym, czego nie zbadał z wszystkich możliwych stron.

Wtedy zadzwonił telefon. Nie był to Assad ani człowiek z Godhavn, jak się spodziewał Carl, ale niech go Bóg ma w swojej opiece – Vigga.

– Gdzie ty się podziewasz, Carl? – zapytała drżącym głosem.

Carl próbował zgadnąć, o co w ogóle chodzi, ale nie zdążył dojść do żadnego wniosku, zanim zalał go nagły strumień słów.

– Przyjęcie zaczęło się pół godziny temu, ale na razie nie ma żywej duszy. Mamy dziesięć butelek wina i dwadzieścia paczek chipsów. Jeśli ciebie też nie będzie, to nie wiem już, co zrobić.

– Chodzi o tę twoją galerię, tak?

Kilka krótkich pociągnięć nosem świadczyło, że była bliska płaczu.

– Nie wiem nic o żadnym przyjęciu.

– Hugin wysłał przedwczoraj pięćdziesiąt zaproszeń. – Pociągnęła nosem po raz ostatni, po czym, jak diabeł z pudełka, pojawiła się dawna Vigga. – Dlaczego nie można liczyć przynajmniej na twoje wsparcie? Zwłaszcza że zainwestowałeś w to pieniądze!

– Lepiej spytaj swego błędnego ducha.

– Kogo nazywasz duchem? Huginą?

– A co, płacze się koło ciebie więcej takich przydupasów?

– Hugin jest tak samo jak ja zainteresowany, żeby to wypaliło.

W to nie wątpił. Gdzie indziej wystawiliby mu te jego podarte w palcach kawałki reklam bielizny i rozgniecione figurki z Happy Mealów zaklajstrowane najtańszą farbą?

– Vigga, chcę ci tylko uświadomić, że o ile ten Einstein w ogóle nie zapomniał wysłać listów w sobotę, jak twierdzi, to będą one leżeć w skrzynkach dopiero dziś wieczorem, kiedy ludzie wrócą z pracy.

– Boże, nie! Niech to szlag! – zawyła.

Czyli pewien facet w czerni dziś wieczór sobie nie pobzyka.

Niezły ubaw.

Tage Baggesen zapukał we framugę drzwi do gabinetu w piwnicy dokładnie w chwili, gdy Carl objął zębami papierosa, takiego, który godzinami krzyczy i doprasza się, by go zapalić.

– Tak? – powiedział z płucami wypełnionymi dymem i rozpoznał parlamentarzystę dość godnie znoszącego stan upojenia alkoholowego i wysyłającego w eter zapach koniaku i piwa.

– Przepraszam, że ostatnio tak nagle przerwałem naszą rozmowę telefoniczną. Musiałem pomyśleć, skoro wszystkie rzeczy i tak wychodzą na jaw.

Carl poprosił go o zajęcie miejsca i zapytał, czy chce coś do picia, ale Tage Baggesen machnął odmownie jedną ręką, biorąc sobie krzesło drugą. Nie, spragniony z pewnością nie był.

– Jakie rzeczy ma pan na myśli? – zapytał Carl, starając się, by zabrzmiało to tak, jakby miał coś w zanadru.

– Jutro składam swój mandat poselski – oświadczył Baggesen, rozglądając się po pokoju ciężkim wzrokiem. – Po tej rozmowie idę do naszego przewodniczącego. Merete mi mówiła, że tak będzie, ale ja nie słuchałem. I zrobiłem coś, czego nigdy nie powinienem robić.

Carl zmrużył oczy.

– Dobrze zatem, że wyjaśnimy sobie parę spraw, zanim wypowiedzi się pan przed całym światem.

Parlamentarzysta skinął i schylił głowę.

– Kupowałem akcje w 2000 i 2001 roku i dobrze na tym wyszedłem.

– Jakie akcje?

– Jakie popadło. Sprawilem sobie nowego doradcę giełdowego, który poradził mi inwestowanie w fabryki broni w USA i Francji.

Doradca z lokalnego banku w Allerød z pewnością nie namówiłby Carla, by ten ulokował w ten sposób swoje oszczędności. Zaciągnął się głęboko i zgasił fajkę. Był w stanie uwierzyć, że czołowy polityk pacyfistycznej partii Radykalne Centrum nie chciał zasłynąć z powodu tego typu transakcji.

– Wynająłem też swoje dwa domy na salony masażu erotycznego. Na początku o tym nie wiedziałem, dowiedziałem się po fakcie. Były położone w Strøby Egede, niedaleko miejsca zamieszkania Merete. Zrobiło się tam o tym głośno. W tym czasie robiłem różne interesy. Niestety przechwalałem się nimi przed Merete. Byłem taki zakochany, a ona zupełnie obojętna. Może łudziłem się, że bardziej się mną zainteresuje, gdy zyskam prestiż, ale oczywiście tak się nie stało. – Potarł kark. – To w ogóle nie było w jej stylu.

Carl śledził oczami dym rozplywający się w powietrzu.

– Prosiła, by się pan z tego wycofał?

– Nie, nie prosiła o to.

– W takim razie o co chodziło?

– Powiedziała, że może przypadkiem wygadać się przed swoją ówczesną sekretarką, Marianne Koch. Przesłanie było jasne. Dzięki takiej sekretarce wszyscy dowiedzieliby się w okamgnieniu. Merete mnie po prostu ostrzegła.

– Dlaczego interesowała się pana sprawami?

– Wcale się nie interesowała. Właśnie o to chodzi. – Westchnął i oparł głowę o dłoń. – Tak długo się jej narzucałem, że chciała mnie po prostu spławić. W ten sposób postawiła na swoim. Jestem pewien, że gdybym dalej ją naciskał, to rozpowszechniłaby te wiadomości. Nie mam jej tego za złe. Co innego mogła zrobić?

– A więc zostawił ją pan w spokoju i kontynuował swoje interesy?

– Wymówiłem umowy z salonami masażu, ale akcje zachowałem. Sprzedałem je dopiero chwilę po 11 września.

Carl kiwnął głową. Tak, na tej katastrofie wielu się wzbogaciło.

– Ile pan na tym zarobił?

Baggesen uniósł wzrok.

– Trochę ponad dziesięć milionów.

Carl wyduł wargi.

– I zabił pan Merete, żeby tego nie wyjawiała?

To wstrząsnęło parlamentarzystą. Carl natychmiast rozpoznał wystraszoną twarz faceta, z którym się zmagał przy ostatnim spotkaniu.

– Nie, nie! Dlaczego miałbym ją zabijać? To, co robiłem, nie było przecież nielegalne! Groziło najwyżej tym, co właśnie dzieje się teraz.

– Czekał pan, aż pana wywalą?

Spojrzenie Tagego Baggesena błdziło po pomieszczeniu i spoczęło dopiero na jego inicjałach, które znalazł na liście podejrzanych przypiętej do tablicy.

– Może pan to skreślić – powiedział, wstając.

Assad zjawił się w pracy dopiero około trzeciej. Znacznie później, niż można się było tego spodziewać po człowieku z jego kwalifikacjami i niepewną pozycją. Carl zastanawiał się przez chwilę nad reprimendą, ale zadowolona twarz i entuzjazm Assada nie zachęcały do ofensywy.

– Co, do jasnej cholery, robiłeś przez cały ten czas? – zapytał w końcu Carl, pokazując ręką na zegar.

– Masz pozdrowienia od Hardy’ego, Carl. Sam mnie tam posłałeś.

– Byłeś u Hardy’ego przez siedem godzin? – Ponownie wskazał na zegar.

Assad pokręcił głową.

– Przecież mu opowiadałem, co wiem o sprawie morderstwa rowerzysty. I wiesz, co powiedział?

– Pewnie wpadł na to, kto może być mordercą.

Assad wyglądał na zdumionego.

– Musisz go dobrze znać, Carl. Faktycznie tak było.

– Niemal podał nazwisko, jak sędzę.

– Nazwisko? Nie, ale powiedział, że trzeba szukać kogoś, kto miał znaczenie dla dzieci świadka. Że to na pewno nie był nauczyciel czy ktoś ze świetlicy, ale ktoś, od kogo naprawdę były zależne. Eksmąż świadka albo lekarz, albo ktoś, kogo dzieci bardzo podziwiały. Instruktor jazdy na koniu czy coś takiego. Ale że to musi być ktoś, kto miał do czynienia z obojgiem dzieci. Dopiero co powiedziałem to na drugim piętrze.

– Ach tak! – Carl ściągnął usta. Niesamowite, jaki się nagle stał rezolutny! – Wyobrażam sobie, że Bak był wniebowzięty.

– Wniebowzięty? – Assad musiał przetrwać to słowo. – Być może. A jak się wtedy wygląda?

Carl wzruszył ramionami. Znow rozpoznawał dawnego Assada.

– A co robiłeś oprócz tego? – Wydedukował z Assadowych ruchów brwiami, że ma coś w zanadru.

– Popatrz, co tu mam, Carl. – Wyciągnął ze swojej reklamówki z supermarketu Fakta oprawiony w skórę, zniszczony kalendarz Merete Lynggaard i położył go na stole. – Sprawdź sam, czy facet nie jest dobry? – zapytał.

Carl otworzył spis telefonów na „H” i natychmiast zauważył zmianę. Tak, faktycznie doskonale wykonane. W miejscu poprzekreślanego numeru telefonu widniał teraz nieco zamazany, ale jednak zupełnie wyraźny napis: „Daniel Hale 25772060”. To było niesamowite. Nawet bardziej niesamowite niż szybkość jego palców stukających po klawiaturze komputera, by przeszukać spis abonentów.

Musiał po prostu bezzwłocznie sprawdzić ten numer. Oczywiście

nadaremnie.

– Tu jest napisane „numer nieważny”. Zadzwoń do Lis i poproś, żeby natychmiast go sprawdziła. Powiedz, że najprawdopodobniej stracił ważność pięć lat temu. Nie wiemy, do jakiej sieci komórkowej należał, ale ona się tego dowie, jestem tego pewien. Pospiesz się, Assad! – powiedział, klepiąc go po ramieniu o twardości granitu.

Carl zapalił papierosa, odchylił się i dokonał podsumowania.

Merete Lynggaard spotkała się z fałszywym Danielem Hale'em w Christiansborgu i miała z nim flirt, po czym rzuciła go po kilku dniach. Wykreślenie jego nazwiska ze spisu telefonów wydawało jej się czymś niezwykłym, niemal rytualnym. Cokolwiek spowodowało takie zachowania Merete, to spotkanie z tak zwanym Danielem Hale'em było dla niej z pewnością dramatycznym przeżyciem.

Carl spróbował ją sobie wyobrazić. Piękna pani polityk mająca przed sobą całe życie spotyka niewłaściwego faceta. Oszusta, mężczyznę o złych zamiarach. Wielu łączy go z chłopcem o imieniu Atomos. Opiekunka z Magleby uważa, że wiele wskazuje, iż ten chłopiec i mężczyzna, który przyniósł list z życzeniami „Miłej podróży do Berlina”, to jedna i ta sama osoba. A według Billego Antvorskova młody Atomos to ten, który później podawał się za Daniela Hale'a. Ten sam chłopiec, który według siostry Dennisa Knudsena miał w dzieciństwie duży wpływ na jej brata, a zgodnie z wieloma przesłankami wiele lat później nakłonił swojego przyjaciela Dennisa Knudsena, żeby wjechał w samochód prawdziwego Daniela Hale'a i tym samym spowodował jego śmierć. Skomplikowane i nieskomplikowane zarazem.

Z czasem w szufladzie zatytułowanej „poszlaki” odłożyło się sporo spraw: tajemnicza śmierć Dennisa Knudsena krótko po wypadku samochodowym, zbyt gwałtowna reakcja Uffego na widok starej jak świat fotografii Atomosa, który prawdopodobnie poznaje Merete Lynggaard jako Daniel Hale. No i spotkanie, w zaaranżowanie którego włożył tyle wysiłku.

Wreszcie zniknięcie Merete Lynggaard.

Poczuł, jak kwaśna zawartość żołądka toruje sobie drogę do gardła, i prawie zamarzył o łyku ulepku Assada.

Carl nienawidził czekać, jeśli nie było to konieczne. Dlaczego, do kurwy nędzy, nie może porozmawiać z tym zasranym opiekunem z Godhavn tu i teraz? Chłopiec zwany Atomosem musiał przecież mieć jakieś nazwisko i numer ewidencyjny. Coś, co sięgałoby do obecnych czasów. Chciał to wiedzieć. Już!

Zgasił niedopałek, ściągnął listy dotyczące sprawy z tablicy magnetycznej i przebiegł po nich wzrokiem.

PODEJRZANI:

1) *Uffe*

- 2) *Nieznany doręczyciel. List o Berlinie.*
- 3) *Mężczyzna/kobieta z restauracji Café Bankeråt*
- 4) *„Koledzy” z Christiansborga – TB +?*
- 5) *Morderstwo na tle rabunkowym. Ile pieniędzy w torbie?*
- 6) *Napaść na tle seksualnym.*

SPRAWDZIĆ:

Pracowniczka socjalna ze Stevns

Telegram

Sekretarki w Christiansborgu

Świadkowie z promu Szlezwik-Holsztyn

Rodzina zastępcza po wypadku / dawni koledzy z uniwersytetu. Czy miała skłonności depresyjne? Była w ciąży? Była zakochana?

Obok „nieznany doręczyciel” napisał w nawiasie „Atomos jako Daniel Hale”. Następnie skreślił inicjały Tagego Baggesena i dodane na dole kartki pytanie numer dwa, czy była w ciąży.

Oprócz punktu trzeciego na pierwszej kartce nadal widniały punkty numer pięć i sześć. Nawet niewielka kwota mogła skusić chory mózg złodzieja, natomiast punkt szósty o motywach seksualnych nie wydawał się prawdopodobny, zważywszy na warunki i czas pobytu na promie.

Spośród punktów na drugiej kartce brakowało mu jeszcze świadków z promu, rodziny zastępczej i kolegów ze studiów. Jeśli chodzi o świadków, to raporty niczego nie wnosiły, a reszta była teraz całkowicie obojętna. W każdym razie nie było to samobójstwo.

Nie, nie zajadę daleko z tymi kartkami – pomyślał, spojrzawszy na nie jeszcze parę razy, po czym cisnął je do kosza. Coś tam w końcu powinno wylądować.

Wziął spis telefonów Merete Lynggaard i uniósł go do oczu. Assad odwalił kawał niezłej roboty. Przekreślenia zupełnie zniknęły. To naprawdę niewiarygodne.

– Musisz mi powiedzieć, kto to zrobił! – wrzasnął przez korytarz, ale Assad powstrzymał go ruchem ręki. Teraz spostrzegł, że jego pomocnik siedzi z telefonem przy uchu, kiwając głową. Nie wyglądał na ożywionego, wręcz przeciwnie. Czyli pewnie nie można było znaleźć abonenta starego numeru komórki, który widniał w spisie telefonów pod nazwiskiem „Hale”.

– Czy to był telefon na kartę? – zapytał, gdy Assad wszedł ze swoim świstkiem papieru i z lekką dezaprobatą zaczął opędząć się od dymu.

– Tak – odparł, podając świstek Carlowi. – Telefon należał do dziewczynki z siódmej klasy ze szkoły Tjørnelyskolen w Greve. Zgłosiła, że go jej skradziono z kurtki wiszącej na zewnątrz klasy 18 lutego 2002 roku. Kradzież zgłoszono dopiero kilka dni później i nikt nie wie, kto to zrobił.

Carl kiwnął głową. Czyli znają abonenta, ale nie osobę, która ukradła telefon i go używała. To miało sens. Był już pewien, że to wszystko ściśle się ze sobą

łączy. Zniknięcie Merete Lynggaard nie było wynikiem ciągu przypadków. Zbliżył się do niej mężczyzna o nieczystych zamiarach i uaktywnił łańcuch zdarzeń, w wyniku którego słuch o pięknej parlamentarzystce zaginął. Od tego czasu minęło ponad pięć lat. Oczywiście spodziewał się najgorszego.

– Lis pyta teraz, czy ma dalej pracować nad sprawą? – zapytał Assad.

– To znaczy?

– Czy ma porównywać rozmowy ze starego numeru telefonu w gabinecie Merete Lynggaard z tym numerem tutaj? – Assad wskazał na skrawek papieru, na którym były starannie napisane dane dziewczynki: „25772060, Sanne Jønsson, Tværager 90, Greve Strand”. To znaczy, że Assad jednak potrafił pisać tak, żeby dało się to przeczytać.

Carl pokiwał głową. Czy naprawdę zapomniał poprosić o porównanie list rozmów? Chyba musi zacząć używać pieprzonego notatnika, zanim jego alzheimer w wersji light się rozwinię.

– Jasna sprawa – odparł władczo i pewnie. Może w ten sposób uda się odtworzyć łańcuch komunikacji, który mógłby ujawnić rozwój i regres stosunków panujących między Merete Lynggaard i fałszywym Danielem Hale'em.

– Ale wiesz co, Carl, to zajmie kilka dni. Lis jest teraz zajęta i mówi, że to dość kłopotliwe, kiedy minęło już tyle czasu. Może się w ogóle nie udać. – Assad miał smutną minę.

– Powiedz, Assad, kto wykonał tę piękną robotę – powiedział Carl, machając kalendarzem Merete.

Ale Assad nie chciał.

Carl zabierał się właśnie do wyjaśniania, że tajemniczość nie wpływa korzystnie na jego szanse utrzymania posady, gdy zadzwonił telefon.

To był dyrektor Egely, którego awersja do Carla wręcz buchala ze słuchawki.

– Informuję pana, że Uffe Lynggaard opuścił zakład krótko po pana skrajnie nieodpowiedzialnym ataku. Nie wiemy, gdzie teraz przebywa. Została już powiadomiona policja w Frederikssund, ale jeśli stało mu się coś złego, to już ja się postaram, panie Mørck, żeby zniszczyć panu karierę.

Następnie rzucił słuchawką, zostawiając Carla w huczącej pustce.

Dwie minuty później zadzwonił do piwnicy szef Wydziału Zabójstw i polecił, by Carl stawiał się w jego gabinecie. Nie musiał wydawać rozkazów, Carl dobrze znał ten ton.

Ma iść na górę, i to już, natychmiast.

2007

Już w kiosku na stacji kolejowej w Allerød zaczął się koszmar. Rozszerzony, wielkanocny numer „Gossip” wyszedł tydzień wcześniej niż zwykle i teraz wszyscy, którzy choćby w najmniejszym stopniu znali Carla, wiedzieli, że to właśnie jego zdjęcie, podkomisarza kryminalnego Carla Mørcka, widniało w rogu na pierwszej stronie, tuż pod główną historią o księciu i zbliżającym się ślubie z jego francuską dziewczyną.

Kilku miejscowych odwracało się z zażenowaniem, kupując kanapki i owoce. „Policjant śledczy grozi dziennikarzowi” – grzmiał nagłówek, a pod spodem małymi literami było napisane: „Cała prawda o śmiertelnej strzelaninie”.

Sprzedawca w kiosku był szczerze rozczarowany, że Carl nie zamierza osobiście zainwestować w tę wiadomość, ale nie, do cholery, nie ma mowy, żeby Carl dokładał się Pellemu Hyttestedowi do żarcia.

W pociągu ludzie trochę się na niego gapili i poczuł, jak w jego klatce piersiowej znów pojawia się ucisk.

Na komendzie nie było lepiej. Poprzedni dzień zakończył na reprimendzie w gabinecie szefa Wydziału Zabójstw z powodu zniknięcia Uffego Lynggarda, a teraz znowu wysyłają go na górę.

– Czego się gapicie, gady? – warknął po drodze do kilku osób, które nie wyglądały na zmartwione jego sprawą.

– No tak, Carl. Pytanie brzmi, co ja mam z tobą począć? – powiedział Marcus Jacobsen. – W przyszłym tygodniu mogę się pewnie spodziewać informacji, że dopuściłeś się terroru psychicznego na opóźnionym umysłowo. Wiesz dobrze, co prasa może wymyślić, jeśli Uffe Lynggaard umrze, prawda? – Wskazał na gazetę. Widniało tam zdjęcie rozgniewanego Carla, które fotograf zrobił kilka lat temu na miejscu zbrodni. Carl doskonale pamiętał, jak przepędzał prasę z zabezpieczonego obszaru i jak wkurzeni byli dziennikarze.

– Zapytam więc jeszcze raz: co mamy z tobą zrobić, Carl?

Carl przyciągnął tygodnik do siebie i przebiegł wściekłym wzrokiem po tekście, wydrukowanym na żółtym i czerwonym tle. Naprawdę potrafili mieszać człowieka z błotem, te szmatławe dziennikarzyny bez krzty klasy.

– W ogóle nie wypowiadałem się o tej sprawie dla „Gossip” – powiedział. – Po prostu powiedziałem, że oddałbym życie za Hardy’ego i Ankerę, nic poza tym. Zignoruj to, Marcus, albo napuść na nich prawnika.

Rzucił gazetę i się podniósł. Właśnie złożył zgodne z prawdą zeznanie. Co, do cholery, Marcus z tym robi? Wyrzuci go z pracy? Z tego też może wyjść kilka

niezłych nagłówków.

Szef spojrział na niego z rezygnacją.

– Dzwonili z magazynu kryminalnego „Station 2” na kanale TV2 i chcieli z tobą rozmawiać. Powiedziałem, że mogą o tym zapomnieć.

– Okej. – Szef nie śmiał pewnie powiedzieć nic innego.

– Pytali mnie, czy w historii „Gossip” na temat twój i strzelaniny na Amager jest ziarno prawdy.

– Aha. Chciałbym się więc dowiedzieć, co odpowiedziałeś.

– Powiedziałem, że to brednie.

– Okej, to dobrze. – Carl kiwnął głową z zaciętością. – A ty sam też tak uważasz?

– Carl, posłuchaj mnie. Jestem już na służbie od wielu lat. Ile to razy w twojej karierze zdarzyło się, że kolega napytał sobie kłopotów? Przypomnij sobie swój ostatni raz, kiedy dreptałeś w czasie nocnego patrolu po Randers czy gdzie to było i nagle stanęła przed tobą zgraja nawalonych wieśniaków, którym nie podobał się twój mundur. Pamiętasz to uczucie? Z upływem lat pojawiają się sytuacje sto razy gorsze niż ta. Doświadczyłem tego, Lars Bjørn i Bak też, i wielu dawnych kolegów, którzy teraz zajmują się czymś innym, też przez to przeszło. Grożenie śmiercią. Toporami i młotkami, metalowymi prętami, nożami, tłuczonymi butelkami, śrutówką czy inną bronią palną. Ile razy człowiek jest w stanie to wytrzymać, a w którym momencie ma już dosyć, kto to wie? Wszyscy w jakimś momencie doświadczyliśmy gównianego traktowania. A jeśli nie, to czy jest się wtedy gliną z prawdziwego zdarzenia, co? Czasami musimy po prostu zapuszczać się tam, gdzie nie ma dna. To nasza praca.

Carl skinął głową i poczuł ucisk pod mostkiem, ale innego rodzaju.

– Jaki jest z tego wniosek, szefie? – zapytał, pokazując na tygodnik. – Co o tym powiesz? Co o tym myślisz?

Szef Wydziału Zabójstw spojrział spokojnie na Carla i bez słowa wstał, otworzył okno wychodzące na park Tivoli, schylił się, wziął gazetę i przedał ją na pół, po czym obrócił się i wyrzucił szmatławca przez okno.

Nie można tego było ująć dobitniej.

Carl poczuł, jak od uśmiechu tworzą mu się kurze łapki na skroniach. Jakiemuś przechodniowi dostanie się darmowy program telewizyjny.

Kiwnął głową do swojego przełożonego. To było naprawdę wzruszające.

– Niedługo przyjdę z nowymi informacjami w sprawie Lynggaard – podsumował, chcąc zakończyć spotkanie.

Szef Wydziału Zabójstw kiwnął głową z pewnym uznaniem. Właśnie w takich sytuacjach człowiek rozumiał, dlaczego przełożony był tak lubiany i jak udało mu się utrzymać przy sobie tę samą piękną kobietę przez ponad trzydzieści lat.

– I pamiętaj, że dotąd nie zapisałeś się na kurs, Carl – wtrącił. – Termin upływa pojutrze, rozumiemy się?

Carl przytaknął, ale to nic nie znaczyło. Jeśli szef się upierał przy dalszym kształceniu, to najpierw musiał się rozprawić ze związkami zawodowymi.

Czterominutową drogę z gabinetu szefa Wydziału Zabójstw do piwnicy przebył pod ostrzałem pogardliwych spojrzeń i pełnych dezaprobaty póż. Przynosisz nam wszystkim wstyd – mówiły niektóre oczy. Sami się, kurwa, wstydzicie – pomyślał. Powinni go raczej wesprzeć. Wtedy na pewno nie czułby się tak, jakby jego klatkę piersiową ubódł dobrze odpasiony byk.

Nawet przesiadujący w piwnicy Assad przeczytał artykuł, ale on przynajmniej poklepał Carla po plecach. Uważał, że zdjęcie na pierwszej stronie jest ładne i ostre, za to sama gazeta stanowczo za droga. Ten nowy punkt widzenia był nawet ciekawy.

Dokładnie o dziesiątej zadzwonił wartownik z budki na dziedzińcu komendy.

– Przyszedł do ciebie jakiś facet, Carl – powiedział chłodno dyżurny. – Oczekujesz jakiegoś Johna Rasmussena?

– Tak, przyślij go do mnie.

Pięć minut później usłyszał niepewne kroki na korytarzu, po których nastąpiło ostrożne:

– Halo, jest tu kto?

Carl zmusił się do wyjścia na korytarz i teraz stał twarzą w twarz z reliktem przeszłości ubranym w dziergany sweter z islandzkim wzorem, sztruksy i tym podobne badziewie.

– John Rasmussen. Dawny wychowawca w Godhavn, byliśmy umówieni – powiedział, wyciągając rękę i obdarzając Carla krótkim, osobliwym spojrzeniem. – Chwileczkę, czy to nie pan jest dziś na pierwszej stronie któregoś z tygodników?

Można było od tego zgłupieć. Nosząc taką kreację, powinien być ponad takie duperele.

Na początku ustalili, że John Rasmussen pamięta Atomosa, po czym uzgodnili, że porozmawiają o sprawie przed wycieczką po komendzie. Dawało to Carlowi możliwość zbycia faceta minirundką po parterze z rzutem oka na dziedzińce.

John Rasmussen sprawiał miłe wrażenie. Zdaniem Carla nie pasował do bandy nieprzystosowanych wyrostków. Ale pewnie było jeszcze wiele rzeczy, których nie wiedział o nieprzystosowanych wyrostkach.

– Dopilnuję, by przefaksowano panu to, co mamy w zakładzie. Tak się umówiłem z sekretariatem. Tyle że muszę panu powiedzieć, że nie ma tego zbyt dużo. Teczka z dokumentacją Atomosa zaginęła jakiś czas temu, a gdy znaleźliśmy ją za regałem, brakowało części akt. – Potrząsnął głową, aż zatrzęsała mu się luźna

skóra pod brodą.

– Dlaczego do was trafił?

Wzruszył ramionami.

– Wie pan, jakieś problemy w domu, potem umieszczenie w rodzinie zastępczej, co może i nie było najlepszą decyzją. Wtedy pojawia się reakcja, która czasami wymyka się spod kontroli. Sądzę, że był dobrym chłopakiem, ale miał za mało wyzwań i zbyt bystrą głowę. Nieciekawa kombinacja. Widać to na każdym kroku w gettach przyjezdnych robotników. Tych młodych ludzi wręcz rozsadza od niespożytkowanej energii.

– Czy dopuścił się przestępstwa?

– W jakimś tam stopniu pewnie tak, ale to były jakieś drobiazgi, jak sądę. No tak, faktycznie potrafił być agresywny, ale nie przypominam sobie, żeby był w Godhavn z powodu przemocy. Nie, nic takiego nie pamiętam, ale to było przecież ponad dwadzieścia lat temu, prawda?

Carl wyciągnął notatnik.

– Zadam panu krótkie pytania, więc będę wdzięczny, jeśli udzieli mi pan prostych odpowiedzi. Jeśli nie będzie pan potrafił odpowiedzieć, przejdziemy dalej. Zawsze możemy wrócić, gdyby odpowiedź nasunęła się panu później. Okej?

Mężczyzna uklonił się przyjaźnie Assadowi, który poczęstował go jedną ze swoich zawieszonych, wrzących substancji w filigranowej filiżance w złote kwiatki. Przyjął ją z uśmiechem. Z pewnością wkrótce tego pożałuje.

Skierował wzrok na Carla.

– Tak – powiedział. – Rozumiem.

– Prawdziwe nazwisko chłopca?

– Na imię miał zdaje się Lars Erik, Lars Henrik czy coś takiego. Nazwisko było zupełnie zwyczajne, wydaje mi się, że Petersen, ale mogę to przesłać faksem.

– Dlaczego nazywano go Atomosem?

– To miało związek z tym, czym zajmował się jego ojciec. W jakimś sensie bardzo podziwiał ojca. Stracił go kilka lat wcześniej, ale wydaje mi się, że jego ojciec był inżynierem i robił coś dla Centrum Badań Jądrowych na półwyspie Risø czy coś w tym stylu. Ale to pan łatwo odnajdzie, jak już będzie pan miał nazwisko chłopaka i jego numer ewidencyjny.

– Macie jeszcze jego numer ewidencyjny?

– Tak, co prawda zginął wraz z innymi dokumentami, ale mieliśmy w księgowości system, który zajmował się dofinansowaniem ze strony gminy i państwa, więc znaleźliśmy ten numer i dołączyliśmy do teczki.

– Jak długo u was był?

– Zdaje mi się, że jakieś trzy, może cztery lata.

– To długo, zważywszy na jego wiek, prawda?

– I tak, i nie. Czasami tak to już bywa. Nie można było mu pomóc wrócić do

społeczeństwa. Nie chciał iść do nowej rodziny zastępczej, a jego własna rodzina mogła go zabrać dopiero po jakimś czasie.

– Mielście od tamtej pory z nim kontakt? Wie pan, co się z nim działo?

– Spotkałem go przypadkowo kilka lat później i wyglądało na to, że świetnie sobie radzi. To było chyba w Helsingør. Pracował, zdaje się, jako steward albo sternik czy coś takiego. W każdym razie miał na sobie mundur.

– Chodzi panu o to, że był marynarzem?

– Tak, tak sędzę. Coś w tym stylu.

Muszę zdobyć od Scandlines listę załogi z promu Szlezwik-Holsztyn – pomyślał Carl. Ciekawe, czy kiedykolwiek się o nią zwrócili. Carl jeszcze raz zobaczył oczami wyobraźni zakłopotaną twarz Baka, siedzącego w gabinecie szefa w zeszły czwartek.

– Chwileczkę – powiedział do mężczyzny i krzyknął do Assada, żeby poszedł na górę do Baka i zapytał go, czy pofatygowali się, aby zdobyć listę załogi z promu, z którego zniknęła Merete Lynggaard, a jeśli tak, to gdzie się ta lista podziała.

– Merete Lynggaard? To o nią chodzi? – spytał mężczyzna z ognikami w oczach i wziął solidny łyk herbaty o konsystencji syropu.

Carl obdarzył go uśmiechem, który miał wyrażać wielką radość z tego, że w ogóle o to zapytał, po czym powrócił do przepytywania, nie udzielivszy mu odpowiedzi.

– Czy chłopiec przejawiał cechy psychopatyczne? Pamięta pan może, czy potrafił okazywać współczucie?

Pedagog zajrzał tęsknie do pustej filiżanki. Należał najwidoczniej do tych, którzy hartowali swoje kubki smakowe w czasach diety makrobiotycznej. Potem uniósł siwe brwi.

– Wielu chłopców, którzy do nas trafiają, ma problemy emocjonalne. Oczywiście niektóre z nich się diagnozuje, ale nie pamiętam, żeby tak było w przypadku Atomosa. Sędzę, że był w stanie okazywać współczucie. W każdym razie bardzo się martwił o swoją mamę.

– Miał powody? Była narkomanką?

– Ależ nie. O ile pamiętam, była chora. To dlatego oddanie go z powrotem do rodziny zajęło tyle czasu.

Potem nastąpiła krótka wycieczka. John Rasmussen okazał się baczny obserwator i komentował wszystko, co tylko zobaczył. Gdyby to zależało od niego, wymierzyłby krokami całą powierzchnię Komendy Głównej. Nie istniały dla niego nieistotne detale. W końcu Carl udał, że coś dzwoni w jego kieszeni.

– Niestety. Ten sygnał oznacza, że wydarzyło się morderstwo – powiedział z powagą, która zaraz udzieliła się wychowawcy. – Obawiam się, że musimy się pożegnać. Dziękuję za wszystko, panie Rasmussen. Liczę, że w ciągu najbliższych

paru godzin dostanę od pana faks, możemy się tak umówić?

Wreszcie w siedzibie Carla zapadła cisza. Przed nim leżała kartka z informacją, że Bak nic nie wie o liście załogi. A czego, do diabła, się spodziewał?

Z nory Assada dobiegały ciche modlitwy, ale poza tym panowała cisza. Carl czuł się, jakby wysmagała go i powaliła nagła wichura. Telefon wydzwaniał od ponad godziny w związku z tym gównianym artykułem w pieprzonym szmatławcu. Dzwonili wszyscy, począwszy od komendanta, który spieszył z dobrym słowem, po lokalne rozgłośnie radiowe, redaktorów portali internetowych, felietonistów i wszystkich innych szkodników, żerujących na marginesie świata mediów. Najwyraźniej bawiło to panią Sørensen z drugiego piętra, bo przełączała do niego całą tę hałastrę. Wyłączył więc dzwonek telefonu i włączył funkcję wyświetlania numerów. Problem jednak w tym, że nigdy nie był dobry w ich zapamiętywaniu. Mógł więc sobie równie dobrze odpuścić.

Z mimowolnej drzemki wyrwał go dopiero faks od pedagoga z Godhavn, Rasmussena.

Zgodnie z przewidywaniami John Rasmussen okazał się uprzejmym człowiekiem, który podziękował za spotkanie i pochwalił Carla za to, że poświęcił mu swój czas. Na kolejnych stronach znajdowały się obiecane dokumenty. Pomimo swej lakoniczności informacje były na wagę złota.

Chłopiec zwany Atomosem nazywał się naprawdę Lars Henrik Jensen. Numer ewidencyjny 020172-0619, urodzony w 1972 roku, co oznacza, że dziś ma trzydzieści pięć lat. Czyli on i Merete byli w zasadzie rówieśnikami.

„Absurdalnie pospolite nazwisko, Lars Henrik Jensen” – pomyślał znużony. Czemu, u diabła, Bak czy jakiś inny głąb z poprzedniej ekipy śledczej nie był na tyle lotny, by zażądać listy załogi z promu Szlezwik-Holsztyn? Kto wie, czy można się jeszcze dogrzebać do rozkładu wacht z tamtego czasu?

Zacisnął usta. Gdyby okazało się, że facet pracował wtedy na promie Szlezwik-Holsztyn, byłby to prawdziwy kamień milowy. Ale to, miejmy nadzieję, wyjaśni informacja ze Scandlines. Posiedział przez chwilę, wertując jeszcze raz fakсы, po czym chwycił słuchawkę telefonu, by zadzwonić do centralnego biura Scandlines.

Gdy próbował wybrać numer, w słuchawce odezwał się głos. Przez chwilę myślał, że to Lis z drugiego piętra, ale wtedy ze słuchawki popłynął aksamitny głos Mony Ibsen, który sprawił, że Carl wstrzymał oddech.

– Co się stało? – zapytała. – Nie było nawet jednego sygnału.

Prawdę mówiąc, sam chciałby to wiedzieć. Musiano ją przełączyć na dół dokładnie w chwili, gdy on podniósł słuchawkę.

– Widziałam dzisiejszy „Gossip” – oświadczyła.

Zaklął lekko. Czyli ona też. Gdyby to gówniane pismo wiedziało, ilu czytelników im przysporzył w tym tygodniu, umieściliby jego zdjęcie na stałe tuż

pod logo na pierwszej stronie.

– To przecież szczególna sytuacja, Carl. Co ona dla ciebie oznacza?

– Przyznaję, że nie jest to najmilsza rzecz, jaka mogła mi się przytrafić – odparł.

– Musimy wkrótce znów się spotkać – powiedziała.

W jakiś sposób propozycja nie brzmiała tak zachęcająco jak dawniej. Prawdopodobnie z powodu zakłócającej sygnał obrączki ślubnej, którą wcisnęła w jego nadajnik.

– Podejrzewam, że pan i Hardy uwolnicie się psychicznie dopiero, gdy mordercy zostaną schwytani. Czy zgadza się pan ze mną?

Poczuł, że dystans do niej rośnie.

– Wcale nie – odparł. – To nie ma nic wspólnego z tymi idiotami. Tacy jak my muszą umieć żyć z ciągłym poczuciem zagrożenia. – Usilnie próbował przypomnieć sobie celne riposty szefa Wydziału Zabójstw, które słyszał wcześniej, ale oddech tej erotycznej istoty po drugiej stronie nie działał dobrze na pamięć. – Proszę wziąć pod uwagę, że w przeszłości sprawy rzadko przybierały tak zły obrót. Któryś dnia musiało się zdarzyć jakieś nieszczęście.

– To dobrze, że pan tak mówi – odpowiedziała. Hardy musiał powiedzieć to samo. – Ale wie pan co? To zwykła ściema! Liczę, że będziemy się spotykać regularnie, żeby dojść z tym do ładu. W następnym tygodniu gazety już pana zostawia, więc będziemy mieć spokój.

Pracownicy Scandlines byli bardzo pomocni i mieli pod ręką teczkę sprawy Merete Lynggaard, jak to zwykle bywa w takich sytuacjach, mogli więc z miejsca powiedzieć, że lista załogi z tego niefortunnego dnia przed laty została wydrukowana, a jej kopię w swoim czasie przekazano policjantom z lotnej brygady. Przesłuchano wszystkich ludzi z załogi, zarówno pokładowej, jak i technicznej, i niestety nikt nie miał do powiedzenia niczego, co mogłoby pomóc w ustaleniu, co się stało z Merete Lynggaard podczas rejsu.

Carl miał ochotę palnąć się w czoło. Co, do cholery, działo się w tym czasie z tą listą? Użyto jej jako filtra do kawy? Niech diabli wezmą Baka i spółkę.

– Mam tu numer ewidencyjny – powiedział. – Czy może pan go poszukać?

– Niestety nie dzisiaj. Dział księgowości ma szkolenie.

– Okej. Czy lista jest w porządku alfabetycznym? – zapytał, ale okazało się, że nie jest. Kapitan i jego najbliżsi współpracownicy muszą być na początku, taka jest zasada. Na statku wszyscy znają swoje miejsce w hierarchii.

– Czy mógłby pan sprawdzić nazwisko Lars Henrik Jensen?

Zapytany zaśmiał się ze zmęczeniem po drugiej stronie. Lista musiała być gigantyczna.

Po upływie czasu, w którym Assad zdążył podnieść się po kolejnej modlitwie, obmyć twarz nad małą miseczką w kącie, wydmuchać nos

z wymownym trąbieniem, po czym ponownie nastawić czajnik z landrynkową wodą, urzędnik z biura Scandlines zakończył przeszukiwanie listy.

– Nie, nie ma żadnego Larsa Henrika Jensena – powiedział i skończył rozmowę.

To było cholernie zniechęcające.

– Dlaczego siedzisz ze spuszczoną głową, Carl? – uśmiechnął się Assad. – Nie powinieneś rozmyślać więcej o tym głupim zdjęciu w tej głupiej gazecie. Pomyśl sobie to, że byłoby znacznie gorzej, gdybyś połamał wszystkie ręce i nogi.

Zaiste osobliwa pociecha.

– Assad, znam nazwisko tego chłopca, Atomosa – powiedział. – Miałem przeczucie, że pracował na tym statku, na którym zniknęła Merete Lynggaard, ale to się nie potwierdziło. To dlatego mam taką minę.

Carl otrzymał wyważone uderzenie w plecy.

– Ale jednak udało ci się z tą listą załogi statku, tak? Pięknie, Carl! – powiedział tym samym, pełnym pochwały tonem, którego używa się, gdy dziecko odniesie sukces na nocniczku.

– No tak, niewiele mi z tego przyszło, ale jakoś sobie poradzimy. W faksie z Godhavn był też numer ewidencyjny Larsa Henrika Jensena, więc na pewno faceta znajdziemy. Dzięki Bogu mamy wszystkie rejestry, jakie są nam potrzebne.

Wpisał numer, z Assadem tuż za plecami, czując się jak dziecko przed otwarciem prezentu gwiazdkowego. Moment, w którym tożsamość głównego podejrzanego zostaje ustalona, należy do ulubionych chwil wszystkich policjantów śledczych.

I wtedy nastąpiło rozczarowanie.

– Co znaczy to tutaj, Carl? – zapytał Assad, wskazując na ekran.

Carl odłożył myszkę i spojrział w sufit.

– To znaczy, że numeru ewidencyjnego nie znaleziono. Po prostu nie ma w całym Królestwie Danii osoby, która posiada ten numer.

– Może wpisałeś to niepoprawnie? W faksie jest napisane wyraźnie?

Sprawdził to. Numer się zgadzał.

– Może to nie jest ten właściwy numer?

Trafna uwaga.

– Może go poprawiono? – Assad wziął faks z ręki Carla i przyjrzał się numerowi ze zmarszczonymi brwiami. – Spójrz, Carl. Wydaje mi się, że jedna czy dwie cyfry zostały poprawione. Jak uważasz? Czy tu i tu nie jest trochę podrapane? – Wskazał na dwie z czterech ostatnich cyfr. Trudno było to dostrzec, ale na wydruku w okolicach tych dwóch napisanych na maszynie cyfr widniało w każdym razie lekkie zacienienie.

– Jeśli nawet zmieniono tylko te dwie cyfry, to istnieje sto różnych kombinacji, Assad.

– Tak, i co z tego? Pani Sørensen potrafi wpisać te numery w pół godziny, jeśli tylko wyślemy jej na górę kwiaty.

Niebywałe, jak facetowi udało się wkraść w łaski tego babska.

– Możliwości może być znacznie więcej, Assad. Jeśli można poprawić dwie cyfry, to można też dziesięć. Musimy zwrócić się do Godhavn, by przysłali nam oryginał, i go dokładnie przestudiować, zanim zaczniemy myśleć, co dalej.

Zadzwoił zaraz do zakładu i poprosił o przesłanie kurierem oryginału kartki na Komendę Główną, ale odmówili. Nie mogą pozwolić na to, by oryginały dokumentów zniknęły z ich systemu.

Wtedy Carl opowiedział, dlaczego to takie ważne.

– W każdym razie przez wiele lat mieliście u siebie fałszywkę.

To stwierdzenie jednak zawiodło.

– Nie, nie sądzę. Odkrylibyśmy to, bo składamy raporty do władz, żeby dostać zwrot kosztów – powiedział ktoś po drugiej stronie z dużą pewnością siebie.

– No tak. A jeśli fałszerstwa dokonano długo po tym, jak podopieczny was opuścił? Kto, do diabła, byłby w stanie to odkryć? Proszę założyć, że ten nowy numer pojawia się w państwa dokumentacji dopiero piętnaście lat po odejściu Atomosa.

– Tak czy inaczej obawiam się, że nie możemy tego udostępnić.

– Okej, w takim razie musimy wybrać drogę sądową. Uważam, że to nieładnie z waszej strony, że odmawiacie nam pomocy. Proszę pomyśleć, że być może badamy sprawę o morderstwo.

Ani ostatecznie zdanie, ani groźba decyzji sądowej nie przyniesie rezultatu. Carl wiedział to od samego początku. Nie, apelowanie do wyobrażeń ludzi o samych sobie było znacznie skuteczniejsze. Bo nikt nie lubi, jak się o nim źle mówi. Na pewno nie ludzie ze służby zdrowia. Zwrot „nieładnie z waszej strony” był na tyle stonowany, że sprawiał agresywne wrażenie. To była „tyrania subtelnego zwrotu”, jak to pięknie nazwał jeden z jego nauczycieli ze szkoły policyjnej.

– Będzie pan musiał przesłać nam najpierw e-mail z żądaniem okazania oryginału – usłyszał w słuchawce Carl.

Czyli się udało.

– Jak ten Atomos naprawdę się nazywał, Carl? Wiemy, w jaki sposób zyskał ten przydomek? – zapytał później Assad z nogą opartą na szufladzie Carla.

– Lars Henrik Jensen.

– Lars Henrik, dziwne imię. Chyba nie ma zbyt wielu osób o takim imieniu.

Nie, z pewnością nie tam, skąd pochodzi Assad – pomyślał Carl, szykując się do sarkastycznej uwagi, gdy spostrzegł, że Assad ma zamyślony, obcy wyraz twarzy. Przez chwilę wyglądał zupełnie inaczej niż zwykle. Jakoś przytomniej. W pewnym sensie bardziej jak równorzędny partner.

– O czym myślisz, Assad? – zapytał.

Jego oczy wyglądały jak zasnute mgłą. Stały się nieobecne, a ich kolor się zmienił. Zmarszczył brwi i chwycił teczkę sprawy Lynggaard. Po chwili znalazł to, czego szukał.

– Czy to może być przypadek? – zapytał, wskazując na jedną z linii dokumentu leżącego na samym wierzchu.

Carl spojrział na imię i dopiero wtedy spostrzegł, jaki raport trzyma Assad.

Przez chwilę Carl próbował to wszystko zrozumieć i wtedy to nastąpiło. Gdzieś w jego wnętrzu, gdzie przyczyna i skutek się równoważą, a logika nie wystawia na próbę przytomności umysłu, gdzie myśli szybują swobodnie, właśnie tam połączyły się fragmenty układanki, a Carl wszystko pojął.

2007

Spojrzenie w oczy Daniela, mężczyzny, do którego tak ją coś przyciągało, nie było dla niej największym szokiem. Nawet nie to, że Daniel i Lasse to ta sama osoba, choć to sprawiło, że nogi się pod nią ugięły. Nie, dowiedzieć się, kim on naprawdę jest, było najgorszą rzeczą, jaka mogła ją spotkać. To przyćmiło wszystko. Zostało tylko ciężkie poczucie winy, przygniatające jej barki przez całe dorosłe życie.

To nie jego oczy rozpoznała, ale raczej czający się w nich ból. Ból, rozpacz i nienawiść, które w ułamku sekundy przejęły kontrolę nad życiem tego mężczyzny. Czy raczej chłopca, teraz już to wiedziała.

Lasse miał tylko czternaście lat, gdy pewnego pogodnego i mroźnego dnia zajrzał z okna samochodu swoich rodziców do drugiego auta. Dostrzegł w nim spragnioną życia, beztroską dziewczynę, która tak skutecznie droczyła się z bratem na tylnym siedzeniu, że ukradła uwagę swojego ojca. Ukradła te milisekundy, które zadecydowały o zdolności oceny i opanowaniu kierownicy. Cenne, pełne skupienia ułamki, które mogły uratować życie pięciorga ludzi i zapobiec kalectwu trojga. Tylko Lasse i Merete uszli z wypadku z życiem i zachowali pełnię sprawności, i właśnie dlatego wyrównanie rachunków było sprawą ich dwojga.

Zrozumiała to. I poddała się swemu przeznaczeniu.

W kolejnych miesiącach mężczyzna, który pod imieniem Daniel kiedyś ją pociągał, a którego teraz nienawidziła jako Lassego, przychodził do zewnętrznego pomieszczenia i co dzień obserwował ją przez iluminatory. Czasami po prostu stał i na nią patrzył, jakby była łąsicą w klatce, do której zaraz wpuszczą jadowite węże, a czasami do niej mówił. Rzadko o coś pytał, nie miał takiej potrzeby. Tak jakby wiedział, co ona odpowie.

– Kiedy spojrziałaś mi w oczy z waszego samochodu, gdy wasz ojciec nas wyprzedzał, pomyślałem, że jesteś najpiękniejszą dziewczyną, jaką kiedykolwiek w życiu widziałem – powiedział któregoś dnia. – A kiedy sekundę później śmiałaś się do mnie, zupełnie się nie przejmując, jakie zamieszanie spowodowałaś w samochodzie, wiedziałem już, że cię nienawidzę. To się zdarzyło na sekundę przed tym, jak dachowaliśmy, a moja młodsza siostra skręciła sobie kark na moim ramieniu. Słyszałem, jak pęka jej kręgosłup, rozumiesz?

Wpatrywał się w nią intensywnie, aby zmusić ją do spuszczenia wzroku, ale nie chciała tego zrobić. Odczuwała wstyd, ale to wszystko. Nienawiść była odwzajemniona.

Wtedy opowiedział jej o tych chwilach, które zmieniły wszystko. Jak ich

matka próbowała urodzić bliźnięta we wraku samochodu i jak jego ojciec, którego ze wszystkich sił kochał i podziwiał, patrzył na niego z czułością, kiedy umierał z otwartymi ustami. O ogniu liżącym nogi jego matki zaklinowane pod siedzeniem. O jego ukochanej młodszej siostrze, słodkiej i zabawnej, która leżała pod nim zmiądzona, i o urodzonym jako drugi bliźniaku, jak leżał tak bezradnie z pępowiną owiniętą wokół szyi, i o tym drugim, który leżał na szybie, płacząc, gdy zbliżały się do niego płomienie.

Strasznie było tego wszystkiego słuchać. Pamiętała tylko, aż nazbyt wyraźnie, swój pełen rozpaczy krzyk, a jego opowiadanie wzbudziło w niej poczucie winy.

– Moja mama nie chodzi od czasu wypadku. Mój brat nigdy nie poszedł do szkoły, nigdy nie nauczył się tego co inne dzieci. Z twojego powodu wszyscy straciliśmy wtedy życie. Jak myślisz, jak to jest, jednego dnia mieć tatę, kochaną młodszą siostrę i perspektywę posiadania dwóch młodszych braci, a później nagle nie pozostaje nic? Moja mama miała bardzo wrażliwą psychikę, ale mimo wszystko potrafiła czasami śmiać się beztrzesko, zanim ty wkroczyłaś do naszego życia, a ona straciła wszystko. Wszystko!

W tym momencie do pomieszczenia wkroczyła kobieta, sprawiając wrażenie wyraźnie poruszonej jego opowieścią. Może płakała, Merete nie była w stanie tego ocenić.

– Jak myślisz, jak się czułem przez pierwsze miesiące sam, u rodziny zastępczej, w której mnie lali? Mnie, który nigdy wcześniej nie doświadczyłem niczego poza miłością i bezpieczeństwem. Nie było chwili, w której nie płonąłbym z żądzy, by zabić tę świnię, która zmusiła mnie do zwracania się do siebie „tato”, i przez cały czas miałem cię przed oczami, Merete. Ciebie i twoje ładne, nieodpowiedzialne oczy, które unicestwiły wszystko, co kochałem. – Zrobił przerwę, która potrwała tak długo, że słowa, które miały nadejść, były szokująco jasne. – Och, Merete, obiecałem sam sobie, że zemszczę się na tobie w imieniu ich wszystkich. Bez względu na koszty. I wiesz co? Dziś czuję się dobrze. Moja zemsta dotknęła was wszystkich, gnojków, którzy odebraliście nam nasze życie. Dowiedz się, że kiedyś zamierzałem też zabić twojego brata. Ale któregoś dnia zobaczyłem, kiedy was obserwowałem, jak on cię ogranicza. Ile winy miałaś w oczach, kiedy z nim przebywałaś. Jak bardzo podcina ci skrzydła. Miałem uwolnić cię od tego ciężaru, zabijając również jego? Czy nie jest też może jedną z twoich ofiar? Więc pozwoliłem mu żyć. Ale nie mojemu zastępczemu ojcu i nie tobie, Merete, nie tobie.

Trafił do domu dziecka, kiedy po raz pierwszy próbował zabić zastępczego ojca. Rodzina nie opowiedziała kierownictwu, co zrobił i że głęboka rana na czole mężczyzny została zadana łopata. Powiedzieli po prostu, że chłopak jest psychicznie chory i że nie mogą brać za niego odpowiedzialności. Wtedy mogli

dostać kolejnego chłopca, żeby zarabiać na nim pieniądze.

Ale dzika bestia w Lassem już się obudziła. Nikt nie będzie nigdy kontrolował jego ani jego życia.

Minęło pięć lat, dwa miesiące i trzynaście dni zanim sprawa o odszkodowanie została rozstrzygnięta, a jego matka czuła się na tyle dobrze, by prawie dorosły Lasse wprowadził się z powrotem do niej i swojego lekko upośledzonego brata. Tak, jeden z bliźniaków był do tego stopnia poparzony, że nie udało się go uratować, ale drugi przeżył pomimo pępowiny owiniętej wokół szyi.

Gdy matka była w szpitalu i w sanatorium, jeden z bliźniaków został przyjęty na oddział, a matka nie dostała go do domu, zanim nie skończył trzech lat. Miał blizny od poparzeń na twarzy i piersi i był w złej kondycji ruchowej z powodu niedotlenienia. Jednak stał się pociechą matki przez te lata, gdy zbierała siły, by umożliwić Lassemu powrót do domu. Dostali półtora miliona koron odszkodowania za swoje zrujnowane życie. Półtora miliona za utratę ojca, utratę jego przedsiębiorstwa, którym nie miał kto się zająć, utratę młodszej siostry i jednego z bliźniaków oraz utratę pełnosprawności matki i dobrobytu całej rodziny. Marne półtora miliona. Gdy Merete nie absorbowała ich już na co dzień, zemsta musiała dotknąć również pracowników towarzystw ubezpieczeniowych i adwokatów, którzy oszukali ich w kwestii odszkodowania. Lasse obiecał to mamie.

Merete miała dużo do odpokutowania.

Czas się kurczył, wiedziała to, i narastały w niej jednocześnie lęk i ulga. Prawie pięć lat w ohydnej niewoli było tak niszczące, że musiało wreszcie się skończyć. Oczywiście, że musiało.

Kiedy nadeszła noc sylwestrowa 2006 roku, ciśnienie w pomieszczeniu już od dawna wynosiło sześć atmosfer i tylko jedna ze świetlówek nie migąła bez przerwy. Uroczyście ubrany Lasse wszedł do pokoju po drugiej stronie lustrzanych szyb wraz z matką i bratem i życzył jej szczęśliwego Nowego Roku, dodając, że będzie to ostatni Nowy Rok w jej życiu.

– Przecież, jeśli się dobrze zastanowić, znamy dokładnie dzień twojej śmierci, prawda, Merete? To takie logiczne. Dodaj te lata, miesiące i dni, które byłem zmuszony spędzić z dala od rodziny, do dnia, w którym schwytałem cię jak zwierzę, którym zresztą jesteś, a będziesz wiedziała, kiedy umrzesz. Będziesz cierpieć w samotności dokładnie tyle czasu, ile ja musiałem, ale nie dłużej. Policz sobie, Merete. Kiedy nadejdzie czas, otworzymy śluzę. Będzie boleśnie, ale także szybko. W twojej tkance tłuszczowej zgromadził się azot, Merete. Jesteś teraz bardzo chuda, ale pęcherzyki powietrza znajdują się w całym ciele, weź to pod uwagę. Kiedy rozszerzą ci się kości, a ich fragmenty zaczną rozszczeplać się w tkankach, kiedy ciśnienie pod plombami spowoduje, że eksplodują w ustach, kiedy poczujesz, jak ból przeszywa twoje stawy barkowe i biodrowe, będziesz

wiedziała, że nadszedł czas. Policz to sobie. Pięć lat, dwa miesiące i trzynaście dni od 2 marca 2002 roku, a poznasz napis na swoim nagrobku. Możesz mieć nadzieję, że zatory krwi w płucach i mózgu spowodują paraliż albo że pękną ci płuca i umrzesz nieprzytomna tak szybko, jak się da, ale nie licz na to. Kto powiedział, że pozwolę, by to się stało błyskawicznie?

Czyli ma umrzeć 15 maja 2007 roku. Zostało dziewięćdziesiąt jeden dni, bo dzisiejsza data, według jej wyliczeń, to 13 lutego, dokładnie czterdzieści cztery dni od Nowego Roku. Każdego dnia od wieczoru sylwestrowego żyła w przeświadczeniu, że musi sama położyć wszystkiemu kres, nim sprawy zabrną za daleko. Ale póki co usiłowała, najlepiej jak potrafiła, trzymać się z dala od przygnębiających myśli i strzegła swoich najlepszych wspomnień.

W ten sposób przygotowywała się psychicznie, by pożegnać się ze światem, i często brała szczypce, i przyglądała się ich ostrym szczękom albo też wyciągała dłuższe nylonowe włókienko, zastanawiając się, czy złamać je w pół i zaostrzyć o betonową podłogę. To wszystko musi się skończyć za pomocą jednego z tych narzędzi. Położy się w kącie pod lustrzanymi szybami i przebije tętnice. Na szczęście były dobrze widoczne, tak wychudły jej ręce.

Tkwiała w takim przeświadczeniu aż do dzisiejszego dnia. Kiedy śluza dostarczyła jedzenie, na zewnątrz usłyszała ponownie głosy Lassego i jego matki. W obu była irytacja. Kłótnia wisiała w powietrzu.

Ten gnojek i ten babsztyl nie zawsze się kochają jak dwa aniołki – pomyślała z ożywieniem.

– Z mamusią też sobie nie radzisz, drogi Lasse?! – krzyknęła. Oczywiście wiedziała, że ten rodzaj zuchwałości pociągnie za sobą represje, znała przecież tę jędzę z zewnątrz.

Ale nawet jeśli znała jędzę, to okazało się, że niewystarczająco dobrze. Przypuszczała, że skończy się na pozbawieniu jej jedzenia przez parę dni, ale nie że zabiorą jej prawo do zdecydowania o własnym życiu.

– Uważaj na nią, Lasse – warknęła na zewnątrz stara. – Poróżni nas, jeśli będzie mogła. A wiedz, że ona chce cię oszukać. Uważaj na nią. Ona ma tam szczypce i może wpaść na to, by ich użyć przeciwko sobie, jeśli będzie musiała. Chcesz, żeby to ona śmiała się ostatnia? Chcesz tego, Lasse?

Nastąpiła trwająca kilka sekund pauza, a nad Merete zawisł miecz Damoklesa.

– Słyszałaś, co powiedziała moja matka, prawda, Merete? – rozległ się przez głośniki jego chłodny głos.

Jaki był sens odpowiadać?

– Od teraz trzymasz się z daleka od szyb. Mam cię widzieć przez cały czas, kapujesz? Przesuń wiadro na odchody do ściany. Już! Jeśli w jakikolwiek sposób spróbujesz zagłodzić się na śmierć, ukryć się albo się okaleczyć, musisz się liczyć

z tym, że spuszczyć ciśnienie w pomieszczeniu szybciej, niż zdążysz zareagować. Jeśli gdzieś się ukląjesz, krew tryśnie z ciebie jak z fontanny. Obiecuję ci, że zanim odpłyniesz w niebyt, poczujesz, jak eksplodują ci wnętrzności. Zainstaluję kamery i od dziś będę mieć cię na oku dwadzieścia cztery godziny na dobę. Umieścimy przy szybach kilka reflektorów i włączymy na pełną moc. Musisz wiedzieć, że mogę spuścić ciśnienie w kabinie za pomocą pilota. Możesz zwolnić zapadkę gilotyny teraz albo później. Ale kto wie, Merete? Może jutro wszyscy padniemy trupem? Może zatrujemy się tym pysznym łososiem, którego będziemy jeść na kolację. Nigdy nic nie wiadomo. Więc wytrzymaj. Może któregoś dnia przyjedzie tu królewicz na swoim białym rumaku i cię zabierze. Póki życia, póty nadziei, nie mam racji? Trzymaj się więc, Merete. Ale trzymaj się też reguł.

Spojrzała w górę ku jednej z szyb. Widać tam było niewyraźne kontury postaci Lassego. Szarego anioła śmierci. Unoszonego przez fale życia i skrywającego chory umysł, który, można mieć nadzieję, zawsze będzie go nękał.

– Jak zabiłeś swojego ojczyrna? W ten sam bestialski sposób?! – krzyknęła, spodziewając się, że usłyszy jego śmiech, ale nie, że pozostała dwójka się przyłączy. A więc byli tam wszyscy troje.

– Czekałem dziesięć lat, Merete. Wtedy wróciłem z większą o dwadzieścia kilo masą mięśniową i tak przytłaczającym brakiem szacunku, że myślałem, iż samo to go zabije.

– Ale wielkiego szacunku i tak nie byłeś w stanie wzbudzić – zripostowała i zaśmiała się z niego.

Warto było uraczyć go wszystkim, co mogło umniejszyć jego upojenie zwycięstwem.

– Zatłukłem go na śmierć, myślisz, że to nie wzbudziło w nim respektu? Niezbyt wyszukany sposób, ale tak właśnie było. Zabijałem go dość wolno. Zadowalała mnie tylko jego własna metoda.

Aż się w niej przewróciły wnętrzności. Facet był całkiem szalony.

– Jesteś taki jak on, ty żalosna, chora kreaturo – wyszeptowała. – Szkoda, że już wtedy cię nie złapali.

– Złapali? Powiedziałaś „złapali”? – Zaśmiał się znowu. – Niby jak? Były żniwa, a jego stara, gówniana żniwiarka stała na polu. Bez trudu wrzuciłem go do maszyny. Ten dureń miał dużo dziwnych pomysłów, więc nikogo nie dziwiło, że zginął w ten sposób, skoro chciał żać nocą. Muszę stwierdzić, że nikt za nim nie tęsknił.

– Jesteś naprawdę wielkim człowiekiem, Lasse. Kogo jeszcze zabiłeś? Masz coś więcej na sumieniu?

Nie liczyła, że na tym się skończy, ale jednak głęboko zszokowała ją jego opowieść o tym, jak wykorzystał pozycję zawodową Daniela Hale'a, by się do niej zbliżyć, w jaki sposób wszedł w jego rolę i jak go potem zamordował. Daniel Hale

nic Lassemu nie zrobił, musiał po prostu zniknąć, żeby Lasse nie został przypadkiem odkryty. To samo dotyczyło pomocnika Lassego, Dennisa Knudsen. On też musiał umrzeć. Żadnych świadków, był zimny jak lód.

– Mój Boże, Merete – wyszeptała do siebie. – Na ilu jeszcze ludzi sprowadziłaś bezwiednie nieszczęście?

– Dlaczego mnie po prostu nie zabiłeś, ty gnojku?! – krzyknęła do szyby. – Miałaś przecież szansę. Mówisz, że obserwowałeś mnie i Uffego. Dlaczego po prostu nie dźgnąłeś mnie nożem, gdy byłam w ogrodzie? Tam pewnie też mnie śledziłeś, prawda?

Przez chwilę panowało milczenie, po czym powiedział powoli, by mogła pojąć głębię jego cynizmu:

– Po pierwsze, to było zbyt proste. Musieliśmy widzieć, że twoje cierpienia trwają równie długo jak nasze. Poza tym, droga Merete, chciałem się do ciebie zbliżyć. Chciałem zobaczyć twoją bezbronność. Chciałem wstrząsnąć twoim życiem. Miałaś nauczyć się kochać tego Daniela Hale'a i nauczyć się też go bać. Miałaś wyjechać na swoją ostatnią wycieczkę z Uffem z przeświadczeniem, że coś niewyjaśnionego czeka na ciebie, jak wrócisz do domu. Dowiedz się, że sprawiłaś mi wyjątkową satysfakcję.

– Jesteś umyślowo chory!

– Chory, czyżby? Powiem ci, że to nic w porównaniu z dniem, w którym się dowiedziałem, że moja mama zwróciła się o pomoc do Funduszu Lynggaardów, by móc wrócić do domu po wypisaniu ze szpitala. I jak jej odmówiono, uzasadniając, że zgromadzone środki mogą być spożytkowane wyłącznie przez bezpośrednich spadkobierców Lotte i Alexandra Lynggaardów? Poprosiła wasz cholernie bogaty fundusz o marne sto tysięcy koron, a oni odmówili, choć wiedzieli, kim jest i przez co przeszła. I musiała spędzić kolejne lata w zakładach. Rozumiesz teraz, dlaczego ona też tak cię nienawidzi, ty rozpieszczona krowo? – Psychopata się rozplakał. – Pierdolone sto tysięcy koron. Ile to znaczyło dla ciebie i twojego brata? Tyle co nic!

Mogła powiedzieć, że nic o tym nie wiedziała, ale dług już został spleacony. Dawno temu.

Tego samego wieczora Lasse i jego brat zainstalowali kamery i włączyli reflektory. Dwa urządzenia o ostrym jak brzytwa świetle, które noc zamieniły w dzień i pograżyły jej więzienie we wszechogarniającej brzydocie, której bezmiar dopiero teraz pojęła. Ohydne szczegóły. Konfrontacja z własną degradacją była tak przerażająca, że przez pierwszą dobę miała zamknięte oczy. Miejsce kaźni zostało zaprezentowane, ale skazana wybrała ciemność.

Później przeciągnęli przewody nad obydwoma lustrzanymi szybami i podłączyli do detonatorów, które w tak zwanej sytuacji awaryjnej miały rozsądzić okna, po czym przywieźli i ustawili tuż za oknami butle z tlenem, wodorem

i „cieczami palnymi”, jak je nazwali.

Lasse poinformował, że wszystko gotowe. Kiedy ciśnienie rozsadzi ją od środka, przejadą po niej maszyną do kompostu, po czym wysadzą całość w powietrze. Huk będzie słychać w promieniu paru kilometrów. Tym razem będą musieli wypłacić odszkodowanie. Tego typu wypadki trzeba tylko starannie przygotować, a ślady zatrzeć na zawsze.

– Tak gładko nie pójdzie – powiedziała cicho i zaczęła obmyślać plan zemsty.

Po upływie kilku dni usiadła plecami do szyb i zaczęła żłobić czubkami szczypiec w betonie. Za kilka dni skończy, szczypce też się pewnie skończą. Czyli będzie musiała użyć swojej wykałaczkii, by przebić tętnice, ale to przecież wszystko jedno. Dobrze, że w ogóle była taka możliwość.

Dłubanina zajęła jej więcej niż parę dni, prawie tydzień, za to wyłobienia były na tyle głębokie, by móc przetrwać prawie wszystko. Zasłoniła je kurzem i brudem z kątów pomieszczenia. Literę po literze. Kiedy w przyszłości eksperci firmy ubezpieczeniowej dotrą do miejsca pożaru, by dociec jego przyczyny, była pewna, że przynajmniej kilka słów zostanie odkrytych, a więc dotrą też do całej wiadomości. Napis brzmiał:

Lasse, który jest właścicielem tego budynku, zamordował swego ojczyma, Daniela Hale'a i jednego ze swoich przyjaciół, po czym zamordował też mnie.

Opiekujcie się moim bratem Uffem i powiedzcie mu, że jego siostra myślała o nim każdego dnia przez ponad pięć lat.

Merete Lynggaard, 13 lutego 2007, uprowadzona i przetrzymywana w tym przeklętym miejscu od 2 marca 2002.

2007

Informacja, na którą natknął się Assad, znajdowała się w raporcie drogówki ze śmiertelnego wypadku, w którym zginęli rodzice Merete Lynggaard. Wspomniano w nim również o trojgu ludziach, którzy ponieśli śmierć w drugim samochodzie. Chodziło o noworodka, dziewczynkę w wieku zaledwie ośmiu lat i kierowcę auta, Henrika Jensena, który był inżynierem i założycielem przedsiębiorstwa o nazwie Jensen Industries, jednak ta ostatnia wiadomość nie została sprawdzona, o czym świadczyło kilka znaków zapytania na marginesie raportu. Według odręcznej notatki firma miała być „dobrze prosperującym przedsiębiorstwem”, które produkowało „gazoszczelne powłoki stalowe”. Dalej, pod notatką, widniało krótkie zdanie: „duma duńskiego przemysłu”, ujęte w cudzysłów, pewnie też zaczerpnięte od świadka.

Owszem, Assad dobrze zapamiętał. Kierowca, który zginął w drugim samochodzie, nazywał się Henrik Jensen. Nazwisko miało rzeczywiście wyjątkowo wiele wspólnego z Larsem Henrikiem Jensenem. Nikt nie mógłby zarzucić Assadowi głupoty.

– Wyjmij jeszcze raz te gazety, Assad – polecił Carl. – Może podali do wiadomości nazwiska ocalałych z wypadku. Nie zdziwiłbym się, gdyby chłopak z tego drugiego auta nazywał się Lars Henrik na cześć swojego ojca. Widzisz gdzieś jego imię? – Zaraz pożałował takiego podziału ról i wyciągnął rękę. – Podaj mi kilka artykułów z tabloidów. Tak, i kilka z tamtych – powiedział, wskazując na wycinki z gazet porannych.

Zobaczył odrażające zdjęcia umieszczone w kolorowym kontekście fotek ludzi bez znaczenia, którzy po prostu łaknęli sławy. Morze płomieni wokół forda sierry pochłonęło wszystko, czego dowodem było zdjęcie spalonego, czarnego wraku. To prawdziwy cud, że kilkoro przejeżdżających przypadkowo ludzi z Falcka uwolniło poszkodowanych, zanim wszyscy spłonęli. Według raportu drogówki straż pożarna nie sprawiła się jak zwykle, gdyż oblodzone drogi były po prostu zbyt niebezpieczne.

– Tutaj jest napisane, że matka nazywała się Ulla Jensen i że doznała uszkodzeń obu piszczeli – powiedział Assad. – Nie potrafię powiedzieć, jak nazywał się chłopiec, tu nie jest napisane. Nazywają go po prostu „starszym dzieckiem pary”. Ale miał czternaście lat, tak tu piszą.

– To się zgadza z rokiem urodzenia Larsa Henrika, o ile w ogóle można wierzyć temu poprawionemu numerowi z Godhavn – powiedział Carl, studiując kilka wycinków z popołudniówek.

W pierwszej niczego nie było. Reportaż umieszczono obok jakichś błahych politycznych przepychanek i skandalików. Receptą na sukces tej gazety było ciągle powielanie tej samej, sprawdzonej mieszanki. Gdyby ktoś podmienił gazetę sprzed pięciu lat na wczorajszy numer, musiałby się dobrze zastanowić, żeby stwierdzić, która jest nowsza.

Poprzeklinał trochę media, przeglądając kolejną gazetę, i otworzył na stronie, na której widniało nazwisko. Wręcz rzuciło mu się w oczy, dokładnie to, o które mu chodziło.

– Tu jest, Assad! – krzyknął, nie odrywając oczu od tekstu. W tej chwili czuł się jak myszołów, który wypatrzywszy zdobycz w locie nad czubkami drzew, pikował w dół. Fantastyczny łup. Ucisk w klatce piersiowej Carla zelżał, a jego ciało zalała osobliwa fala ulgi.

– Posłuchaj, co piszą, Assad: „Ocaleni z samochodu storpedowanego przez auto handlowca Alexandra Lynggaarda to małżonka Henrika Jensena, Ulla Jensen, lat czterdzieści, jedno z jej dopiero co urodzonych bliźnięt oraz ich najstarsze dziecko, Lars Henrik Jensen, lat czternaście”.

Assad upuścił wycinek. Jego ciemnobrązowe oczy niemal utonęły w morzu powstałych od uśmiechu zmarszczek.

– Podaj mi raport drogówki z wypadku, Assad. – Chwycił go. Może wypisali też numery ewidencyjne wszystkich uczestników wypadku. Przejechał palcem po raporcie z wypadku i znalazł tylko numery obu kierowców, ojców Merete i Larsa Henrika.

– Jeśli masz numer ewidencyjny taty, to nie możesz na jednej nodze znaleźć numeru syna, Carl? Moglibyśmy wtedy porównać go z numerem tego chłopca z Godhavn.

Carl kiwnął głową. Z tym nie powinno być problemu.

– Tylko sprawdzę, co jest na jego temat w Internecie – powiedział. – A ty możesz w tym czasie polecieć do Lis, żeby sprawdziła numery. Powiedz jej, że szukamy adresu Larsa Henrika Jensena. Jeśli nie ma w Danii stałego miejsca zamieszkania, to niech sprawdzi matkę. A jeśli Lis znajdzie jego numer, niech wydrukuje wszystkie adresy jego pobytu od czasu wypadku. Weź ze sobą teczkę, Assad. I pospiesz się trochę.

Wszedł do Internetu i wpisał „Jensen Industries”, ale bez rezultatów. Poszukał więc pod „gazoszczelne powłoki stalowe do reaktorów atomowych” i w wyszukiwarce pojawiła się lista przedsiębiorstw, między innymi z Francji i Niemiec. Wtedy dodał do wyników wyszukiwania słowa „okładziny obudowy bezpieczeństwa”, które, o ile się orientował, oznaczały mniej więcej to samo co „gazoszczelne powłoki stalowe do reaktorów atomowych”. To też nic nie dało.

Kiedy był bliski poddania się, natknął się na plik w formacie PDF dotyczący przedsiębiorstwa w Køge, w którym występowało zdanie „duma duńskiego

przemysłu” – dokładnie ten sam dobór słów, którego użyto w raporcie drogówki. Czyli to pewnie stąd pochodził cytat. Pomyślał ciepło o funkcjonariuszu z drogówki, któremu chciało się wgryźć w sprawę głębiej, niż to było konieczne. W końcu na pewno wylądował w wydziale kryminalnym. Carl mógł się o to założyć.

Nic więcej nie wskórał z Jensen Industries, co oznaczało, że nazwa się nie zgadzała. Telefon do rejestru przedsiębiorstw potwierdził informację, że nie ma firmy zarejestrowanej przez Henrika Jensena legitymującego się podanym numerem ewidencyjnym. Carl stwierdził, że to niemożliwe, po czym usłyszał trzy potencjalne wyjaśnienia takiego stanu rzeczy. Być może przedsiębiorstwo znajdowało się w zagranicznych rękach, mogło zostać zarejestrowane pod inną nazwą przez innego właściciela lub wchodziło w skład holdingu i było zapisane pod jego nazwą.

Wziął długopis i wykreślił nazwę firmy ze swojego notesu. Wyglądało na to, że Jensen Industries było białą plamą na mapie zaawansowanych technologii.

Zapalił papierosa i chwilę obserwował dym zbierający się wysoko pod systemem rur. Któregoś dnia alarmy przeciwpożarowe na korytarzu wyczują dym i w piekielnej wrzawie wykurzą wszystkich pracowników na dwór. Uśmiechnął się, zaciągnął głęboko i posłał gęstą chmurę dymu w stronę drzwi. To położy kres jego małej, nielegalnej rozrywce, ale wyobrażenie o Baku, Bjørnie i Marcusie Jacobsenie wpatrujących się ze strachem w okna swoich gabinetów wypełnionych stosami starannie zarchiwizowanych okropieństw chyba było warte zachodu.

Wtedy przypomniał sobie słowa Johna Rasmussena z Godhavn. Powiedział, że ojciec Atomosa alias Larsa Henrika Jensena mógł mieć coś wspólnego z Ośrodkiem Badań Jądrowych na Risø.

Carl wystukał numer. Może to ślepa uliczka, ale jeśli w ogóle ktoś coś wie na temat gazoszczelnych powłok stalowych do reaktorów atomowych, to są to ludzie z Risø.

Pełniąca dyżur osoba była skora do pomocy i przełączyła go do inżyniera o nazwisku Mathiasen, który z kolei połączył go z kimś o nazwisku Stein, a ten odesłał go dalej do Jonassena. Im dalej brnął, tym starsi zdawali się jego rozmówcy. Inżynier Jonassen przedstawił się po prostu jako Mikkel. Był bardzo zajęty. Owszem, może poświęcić pięć minut, by pomóc policji, a o co chodzi?

Sprawił wrażenie wyjątkowo zadowolonego z siebie, gdy usłyszał pytanie.

– Pyta pan, czy znam przedsiębiorstwo, które produkowało okładziny obudów bezpieczeństwa w latach osiemdziesiątych? – powiedział. – Tak, pewnie. HJ Industries należało do wiodących przedsiębiorstw na świecie.

Ten człowiek powiedział „HJ Industries”. Carl miał ochotę sam kopnąć się w tyłek. HJ od Henrik Jensen. H-J I-n-d-u-s-t-r-i-e-s, jakżeby inaczej?! To takie oczywiste! Mogli mu to, cholera, podsunąć już w rejestrze przedsiębiorstw.

– Firma Henrika Jensena nazywała się właściwie Trabeka Holding, proszę mnie nie pytać dlaczego, ale nazwa HJI jest do dziś znana na całym świecie. Ich standardy nadal obowiązują. To była smutna historia z nagłą śmiercią Henrika Jensena i szybkim krachem zaraz potem, ale bez jego nadzoru nad dwudziestoma pięcioma pracownikami i z powodu ogromnych wymagań co do jakości przedsiębiorstwo po prostu nie mogło dalej funkcjonować. Poza tym firma była w trakcie wielkich transformacji – zmiany siedziby i rozbudowy, więc wypadek zdarzył się w wyjątkowo niefortunnym momencie. To strata naprawdę wielkich wartości i solidnego *know-how*. Według mnie przedsiębiorstwo można było uratować, gdybyśmy podjęli interwencję tutaj na Risø, ale wtedy nie było odpowiedniej atmosfery politycznej wśród kierownictwa.

– Czy może mi pan powiedzieć, gdzie HJI się znajdowało?

– Tak, fabryka znajdowała się przez długi czas w Køge, sam tam byłem parę razy, ale tuż przed wypadkiem przenieśli ją bardziej na północ, gdzieś na południe od Kopenhagi. Nie wiem dokładnie dokąd. Poszukam swojego starego notesu z telefonami, gdzieś tu musi być. Ma pan chwilkę?

Przez jakieś pięć minut Carl słuchał, jak mężczyzna szura w tle, używając przy tym swego niewątpliwie ogromnego intelektu, by spenetrować najbardziej wulgarne zakamarki języka duńskiego. Brzmiało to tak, jakby był wściekły głównie na siebie. Carl rzadko spotykał się z czymś podobnym.

– Niestety – powiedział, wyczerpawszy limit przekleństw. – Nie mogę go znaleźć. I to ja, który nigdy niczego nie wyrzucam! Typowe. Ale niech pan porozmawia z Ullą Jensen, wdową. Pewnie jeszcze żyje, przecież nie jest taka leciwa. Powinna powiedzieć panu wszystko, co chciałby pan wiedzieć. Wspaniała kobieta. Szkoda, że spotkał ją tak potężny cios.

Carl wszedł mu w słowo.

– Tak, wielka szkoda – powiedział, szykując się na kończące rozmowę pytanie.

Ale inżynier się rozgadał.

– O tak, to co robili w HJI, było naprawdę genialne. Same metody spawania! Nie było nic widać, nawet jeśli oglądało się zdjęcia rentgenowskie spawów wykonane najlepszą z najlepszych aparatów. Ale znali też wszelkie możliwe metody wykrywania nieszczelności, o tak. Mieli na przykład komorę ciśnieniową, w której można było uzyskać nawet sześćdziesiąt atmosfer, by sprawdzić wytrzymałość produktów. Chyba największa komora ciśnieniowa, jaką miałem okazję zobaczyć. Z wyjątkowo zaawansowaną techniką sterowania. Jeśli pojemniki były w stanie to wytrzymać, to można być pewnym, że elektrownie atomowe zaopatrywano w urządzenia najwyższej jakości. Tacy byli ci w HJI. Zawsze w pierwszym szeregu.

Brzmiało to niemal tak, jakby sam zainwestował w akcje tego

przedsiębiorstwa. Naprawdę się rozkręcił.

– Nie wie pan przypadkiem, gdzie Ulla Jensen dziś mieszka? – wtrącił szybko Carl.

– Nie, ale może pan to znaleźć w spisie mieszkańców. Powinna mieszkać tam, gdzie była ostatnia siedziba firmy. O ile wiem, nie mogli jej stamtąd wyrzucić.

– Mówi pan, że gdzieś na południe od Kopenhagi?

– Tak, dokładnie tam.

Jak, u diabła, można powiedzieć „tak, dokładnie tam” o sformułowaniu tak niebywale niedokładnym jak „na południe od Kopenhagi”?!

– Jeśli pana interesują takie rzeczy, to zapraszam tu do nas, jeśli tylko ma pan ochotę – powiedział mężczyzna.

Carl podziękował i wyraził swoje ubolewanie, wymigując się nawałem pracy. W kwestii odwiedzin i możliwości przejścia się po przedsiębiorstwie takim jak Risø, po którym, nawiasem mówiąc, zawsze miał ochotę przejechać tonytonowym walcem i sprzedać resztki jako materiał do budowy dróg jakiejś miejscinie na Syberii, to może jednak rzeczywiście szkoda jego cennego czasu.

Gdy Carl odłożył słuchawkę, Assad już od dwóch minut stał w drzwiach.

– Co tam, Assad? – zapytał. – Załatwiłeś, co trzeba? Numery ewidencyjne sprawdzone?

Assad pokręcił głową.

– Uważam, że sam powinienesz iść i z nimi rozmawiać, Carl. Mają dziś... – pokręcił palcem wskazującym wokół skroni – ... coś z głowami.

Carl skradał się do Lis z sekretariatu przy ścianach z ostrożnością marcującego kocura. Faktycznie wyglądała dziś na nieprzystępną. Jej zwykle wesoło rozwichrzone włosy były przylizane, układając się we fryzurę przypominającą kask. Siedząca za nią pani Sørensen zgromiła go wzrokiem, a ludzie pracujący razem w gabinetach zaczęli na siebie krzyżeć. Godny pożałowania widok.

– Co się dzieje? – zapytał Lis, kiedy już nawiązali kontakt wzrokowy.

– Nie mam pojęcia. Kiedy logujemy się do archiwów państwowych, wyskakuje nam blokada dostępu. Zupełnie jakby zmieniono wszystkie kody.

– Ale Internet przecież działa bez zastrzeżeń.

– No to spróbuj się zalogować do ewidencji ludności albo do Urzędu Skarbowego, to sam zobaczysz.

– Musisz poczekać, tak jak wszyscy inni – triumfowała pani Sørensen swoim bezbarwnym głosem.

Postał przez chwilę, próbując znaleźć rozwiązanie, ale dał sobie spokój, widząc, jak na ekranie Lis pojawiają się raz za razem komunikaty o błędzie.

Wzruszył ramionami. Co tam, przecież sprawa nie jest taka pilna. Taki człowiek jak on dobrze wiedział, jak sprawić, by siła wyższa zadziałała na jego

korzyść. Kiedy elektronika odmawiała posłuszeństwa, był to widomy znak, że powinien zejść do piwnicy, położyć nogi na biurku i przez godzinkę lub dwie pograżać się w intymnej rozmowie z filiżanką kawy.

– Cześć, Carl – rozległ się głos za jego plecami. Był to szef Wydziału Zabójstw ubrany w śnieżnobiałą koszulę i odprasowany krawat. – Dobrze, że cię tu widzę. Może wstąpisz na chwilę do jadalni? – Dało się wyczuć, że to nie było pytanie. – Bak ma briefing, który, jak sędzę, ciebie też zainteresuje.

W jadalni stało ich z piętnastu, Carl na samym końcu, szef Wydziału Zabójstw trochę z boku, a kilku funkcjonariuszy z Wydziału Narkotykowego oraz zastępca Lars Bjørn i Børge Bak wraz ze swym najbliższym współpracownikiem na środku, plecami do okien. Najbliżsi współpracownicy Baka wyglądali na szczególnie ucieszonych.

Lars Bjørn oddał głos Bakowi i wszyscy już wiedzieli, co powie.

– Dzisiejszego ranka dokonaliśmy aresztowania w sprawie zabójstwa rowerzysty. Oskarżony rozmawia w tej chwili ze swoim adwokatem i jesteśmy przekonani, że jeszcze dziś będziemy dysponowali przyznaniem się do winy na piśmie.

Uśmiechnął się, zaczesując pożyczkę na swoje miejsce. To był jego poranek.

– Główny świadek, Annelise Kvist, złożyła wyczerpujące zeznanie, upewniwszy się, że podejrzanego zatrzymano, i w stu procentach potwierdziła nasze podejrzenia. Chodzi o dość poważanego i czynnego zawodowo lekarza specjalistę z Valby, który oprócz zadżgania dilerów narkotykowych w parku Valby sprowokował rzekomą próbę samobójczą Annelise Kvist i formułował konkretne groźby odnośnie do życia jej dzieci. – Bak wskazał na swego asystenta, by kontynuował.

– Podczas przeszukania miejsca zamieszkania głównego podejrzanego znaleźliśmy ponad trzysta kilo różnych środków odurzających, które obecnie są spisywane przez naszych techników. – Poczekał chwilę, żeby sala ucichła. – Nie ulega wątpliwości, że lekarz stworzył ogromną i rozgałęzioną siatkę składającą się z kolegów, którzy uzyskali znaczące wpływy ze sprzedaży różnorodnych leków na receptę, począwszy od metadonu, diazepam, valium, fenobarbitalu i morfiny, a skończywszy na sprowadzanych specjalnie środkach, takich jak amfetamina, zopiklon, THC czy acetofanazyn. Dodatkowo duże partie neuroleptyków, środków nasennych i halucynogennych. Podejrzany handlował wszystkim, czym się dało. I wygląda na to, że znajdował na wszystko klientów. W dystrybucji tych środków głównie wśród bywalców dyskotek pierwsze skrzypce grał zamordowany w parku Valby. Podejrzewamy, że zamordowany próbował szantażować lekarza, a ten się z nim rozprawił, ale sam czyn nie był zaplanowany. Świadkiem morderstwa była Annelise Kvist, która знаła lekarza. Właśnie ten fakt sprawił, że lekarz z łatwością mógł ją odszukać i zmusić do milczenia. – Przerwał, po czym Bak znów przejął

ster.

– Wiemy, że bezpośrednio po morderstwie lekarz odwiedził Annelise Kvist w jej miejscu zamieszkania. To specjalista chorób układu oddechowego, którego pacjentkami były córki Annelise Kvist, obie chore na astmę i zależne od przyjmowanych leków. Tego wieczoru lekarz wykazał się znacznym stopniem brutalności w mieszkaniu Annelise Kvist, zmuszając ją do podania dzieciom pigułek, jeśli miały przeżyć. Tabletki sprawiły, że pęcherzyki w płucach dziewczynek skurczyły się, zagrażając ich życiu, po czym lekarz podał im zastrzyk, który temu zapobiegł. To musiało być traumatyczne przeżycie dla matki – widzieć, jak jej córki sinieją na twarzach i nie mogą się z nią porozumieć.

Powiódł wzrokiem po pomieszczeniu, w którym ludzie zgodnie kiwali głowami.

– Lekarz później twierdził – ciągnął Bak – że dziewczynki uzależniły się od jego regularnych konsultacji i podawania antidotum na wypadek wystąpienia śmiertelnego nawrotu choroby. I tak zagwarantował sobie milczenie matki. Za to, że w ogóle dotarliśmy do świadka koronnego, winni jesteśmy podziękowania matce Annelise Kvist. Nie wiedziała o incydencie, który miał miejsce w nocy, ale wiedziała, że jej córka była świadkiem morderstwa. Wyciągnęła to z niej następnego dnia, widząc, w jakim szoku się znajduje. Matka nie dowiedziała się tylko, kto to zrobił. Tego Annelise nie chciała ujawnić. Kiedy więc na wniosek matki zabraliśmy Annelise na przesłuchanie, znajdowała się ona w stanie głębokiego kryzysu emocjonalnego. Dziś wiemy też, że lekarz odwiedził Annelise Kvist kilka dni później. Udzielił jej ostrzeżenia. Jeśli będzie gadać, zabije jej córki. Użył zwrotu „obedrę je żywcem ze skóry” i doprowadził kobietę do stanu, w którym udało się zmusić ją do zażycia śmiertelnej mieszanki leków. Resztę historii znacie – kobieta jest hospitalizowana, zostaje odratowana, po czym zamyka się w sobie jak ostryga. Ale nie wiecie, że podczas dochodzenia otrzymaliśmy dużą pomoc ze strony naszego nowego Departamentu Q, którym kieruje Carl Mørck.

Bak zwrócił się do Carla:

– Nie brałeś udziału w dochodzeniu, ale wniosłeś do procesu kilka celnych spostrzeżeń i za to ja i mój zespół chcemy ci podziękować. Tobie i twojemu pomocnikowi, służącemu jako kurier między nami i Hardym Henningsenem, który również wyraził swoje zdanie. Wysłaliśmy mu kwiaty.

Carl oniemiał. Kilku dawnych kolegów odwróciło się do niego, usiłując przywołać na swoich skamieniałych twarzach coś na kształt uśmiechu, ale reszta nie drgnęła nawet o milimetr.

– Tak – dodał podinspektor kryminalny Bjørn. – Wiele osób było w to zaangażowanych. Musimy też podziękować wam, chłopaki – powiedział, wskazując na dwóch funkcjonariuszy z Wydziału Narkotykowego. – Rozpracowanie szajki lekarzy należy teraz do was. To duża sprawa, wiemy. Ale

dzięki temu my w Wydziale Zabójstw możemy teraz wziąć się za inne zadania i to nas cieszy. Tutaj, na drugim piętrze, zawsze znajdzie się robota dla twardych facetów.

Carl poczekał, aż wszyscy opuszczą pokój. Doskonale wiedział, ile trudu kosztowało Baka ofiarowanie mu tego souvenir. Dlatego podszedł do niego z wyciągniętą ręką.

– Nie zasłużyłem na to, ale chcę ci podziękować, Bak.

Børge Bak spojrział przez chwilę na podaną mu dłoń i zaczął pakować swoje papiery.

– Nie musisz mi dziękować. Nigdy bym tego nie zrobił, gdyby nie zmusił mnie Marcus Jacobsen.

Carl kiwnął głową. Znowu było jasne, gdzie jeden ma drugiego.

Na korytarzu narastała panika. Wszyscy pracownicy biura stali przy drzwiach szefa, a każdy z nich przychodził z jakąś skargą.

– Tak, tak, nie wiemy jeszcze, co się stało – powiedział szef Wydziału Zabójstw Marcus Jacobsen. – Ale według informacji komendanta policji nie ma obecnie dostępu do żadnych publicznych rejestrów. Centralne serwery padły ofiarą hakerów, którzy pozmieniali wszystkie kody dostępu. Jeszcze nie wiemy, kto za tym stoi. Niezbyt wielu jest w stanie to zrobić, więc pracujemy na najwyższych obrotach, żeby znaleźć sprawców.

– To jakiś żart – powiedział ktoś. – To przecież niemożliwe!

Szef Wydziału Zabójstw wrzucił ramionami. Udawał niewzruszonego, ale widać było, że się przejmuje.

Carl poinformował Assada, że dzień pracy dobiegł końca. I tak już nic nie działają. Bez danych z systemu ewidencji nie mogli namierzyć Larsa Henrika Jensena.

W drodze do Kliniki Urazów Rdzenia Kręgowego w Hornbæk usłyszał w radiu, że do prasy wysłano list, z którego wynika, że rozsierzony obywatel wpuścił wirusa do wszystkich publicznych rejestrów. Podejrzewano, że to sprawa wysoko postawionego urzędnika państwowego, który po reformie gmin znalazł się w trudnej sytuacji, jednak niczego jeszcze nie ustalono. Informatycy próbowali wyjaśnić, w jaki sposób ktoś zdobył tak pilnie strzeżone dane, a premier nazwał winnych bandytami najgorszego pokroju. Eksperci do spraw bezpieczeństwa w zakresie transmisji danych pracowali już pełną parą. Wszystko powinno wkrótce znów zacząć działać, powiedział premier. A winnego czeka surowa kara. Już miał porównać całą sytuację do ataków na World Trade Center, ale się powstrzymał.

Pierwsza mądra decyzja od dłuższego czasu.

Na stoliku nocnym Hardy'ego rzeczywiście stały kwiaty, ale nawet najbardziej obskurne stacje benzynowe sprzedawały ładniejsze bukiety. Hardy'emu było wszystko jedno, i tak nie widział kwiatów – tego dnia ułożyli go twarzą do

okna.

– Masz pozdrowienia od Baka – powiedział Carl.

Hardy poczęstował Carla spojrzeniem, które z braku odpowiedniego słowa nazywa się ponurym.

– A co ma do mnie ten pieprzony sukinsyn?

– Assad przekazał im twoją wskazówkę, a teraz dokonali stosownego aresztowania.

– Przecież nie udzielałem im żadnych wskazówek.

– Udzielałeś. Powiedziałeś, że Bak powinien rozejrzeć się wśród lekarzy, którzy kręcili się wokół głównego świadka, Annelise Kvist.

– O jakiej sprawie mówimy?

– O morderstwie rowerzysty, Hardy.

Zmarszczył brwi.

– Nie mam pojęcia, o czym mówisz, Carl. Wrobiłeś mnie w sprawę Merete Lynggaard, a ta baba psycholog ciągle gada o strzelaninie na Amager. To już wystarczy. Nie mam pojęcia, o co chodzi w sprawie morderstwa rowerzysty.

Teraz już nie tylko Hardy marszczył brwi.

– Jesteś pewien, że Assad nie rozmawiał z tobą o morderstwie rowerzysty? Może masz problemy z pamięcią, Hardy? Nic się nie stanie, jeśli się przyznasz.

– Och, spieprzaj, Carl. Nie mam ochoty słuchać tego pierdolenia. Pamięć jest moim najgorszym wrogiem, nie rozumiesz tego? – wyrzucił z siebie, aż bąbelki śliny zebrały mu się w kącikach ust. Jego spojrzenie było puste.

Carl uniósł rękę w obronnym geście.

– Przepraszam, Hardy. Assad mnie pewnie źle poinformował. Zdarza się.

Ale w głębi duszy wcale tak nie uważał.

Takie rzeczy nie mogły i nie powinny się zdarzać.

2007

Zszedł na śniadanie z przetykiem palącym od zgagi i snem uwieszonym u szyi. Ani Morten, ani Jesper nie odezwali się do niego nawet słowem, co było standardem dla jego przybranego syna, ale absolutnie złowieszczym znakiem w wypadku Mortena.

Poranna gazeta leżała starannie złożona na rogu stołu. Wiadomość na pierwszej stronie głosiła, że Tage Baggesen dobrowolnie występuje z klubu parlamentarnego z powodu złego stanu zdrowia. Morten zwieszał milcząco głowę nad talerzem, utrzymując równe tempo jedzenia aż do chwili, gdy Carl dotarł do strony szóstej i w osłupieniu zaczął wpatrywać się we własne niewyraźne zdjęcie.

To była ta sama fotka, którą „Gossip” zamieściło poprzedniego dnia, ale tym razem sąsiadowała ze zrobionym na dworze, lekko zamazanym zdjęciem Uffego Lynggaarda. Tekst był pod każdym względem daleki od pochlebnego.

„Kierownik Departamentu Q prowadzący dochodzenie w »nierozwiązanych sprawach o szczególnym znaczeniu«, nazwanych tak przez Partię Danii, w ciągu dwóch dni dał się poznać prasie z wyjątkowo niekorzystnej strony” – głosił napis.

Nie wykorzystali za bardzo historii z „Gossip”, za to postarali się o wywiady, w których personel Egely oskarżył go o uciekanie się do brutalnych metod i przyczynienie się do zniknięcia Uffego Lynggaarda. Szczególnie wściekła i zajadła okazała się przełożona pielęgniarek. Użyła takich zwrotów jak „nadużycie zaufania”, „duchowy gwałt” i „manipulacja”. Artykuł kończył się słowami: „Do chwili oddania artykułu do druku redakcji nie udało się uzyskać komentarza ze strony kierownictwa policji”.

Trudno byłoby znaleźć jakiś spaghetti western z charakterem czarniejszym niż Carl Mørck. Nieźle wykombinowane, szczególnie jeśli człowiek wiedział, co naprawdę się wydarzyło.

– Mam dziś próbny egzamin – obudził go Jesper.

Carl spojrzął znad gazety.

– Z czego?

– Z matematyki.

Niedobre wieści.

– Jesteś przygotowany?

Chłopak wzruszył ramionami i wstał, jak zwykle nie zwracając uwagi na imponującą ilość naczyń, które upačkał masłem, marmoladą i innymi substancjami ustawionymi na stole.

– Chwileczkę, Jesper! – krzyknął za nim Carl. – Co to ma znaczyć?

Przybrany syn odwrócił się do niego.

– To znaczy, że jeśli nie uda mi się tego dobrze napisać, to nie wiadomo, czy pozwolą mi pójść do liceum. *Too bad!*

Carl wyobraził sobie pełen wyrzutu wyraz twarzy Viggi i opuścił gazetę. Zgaga znowu zaczęła mu dokuczać.

Wczorajszy chaos w rejestrach publicznych był tematem żartów już na parkingu. Kilkoro ludzi nie miało pojęcia, co będą robić w pracy. Zatrudniono ich do załatwiania spraw związanych z pozwoleniami na budowę i indywidualnymi dofinansowaniami leczenia, więc żadne z nich nie robiło w pracy nic innego poza siedzeniem i wgapieniem się w ekran.

W radiu wielu burmistrzów wypowiadało się nieprzychylnie o reformie gmin, która pośrednio wywołała tę całą biedę, a część pomstowała na ciężką sytuację urzędników, która prawdopodobnie jeszcze się pogorszy. Jeśli ten bezczelny osobnik, który rozłożył rejestry na łopatki, ośmieli się pokazać w którymś z tak boleśnie dotkniętych urzędów miasta, to najbliższy oddział ratunkowy będzie miał co robić.

Natomiast w Komendzie Głównej panowała atmosfera pełna nadziei. Ujęto już osobę odpowiedzialną za całe zamieszanie. Kiedy skłoni się oskarżoną, którą okazała się starsza programistka z ministerstwa spraw zagranicznych, do wyjaśnienia, jak naprawić szkodę, będzie można wszystko upublicznić. W ciągu kilku godzin sytuacja powinna wrócić do normy.

Władza centralna, której tak wielu ma już dość, znowu się umocniła.

Biedna kobieta.

Dziwnym trafem Carlowi udało się przemknąć do piwnicy, nie natknąwszy się po drodze na żadnego z kolegów. I dobrze. Wiadomości z gazet porannych o scysji Carla z psychicznie upośledzonym mężczyzną z zakładu w północnej Zelandii z całą pewnością rozniosły się nawet po najciemniejszych zakamarkach ogromnego gmachu.

Teraz miał już tylko nadzieję, że środowowe spotkanie Marcusa Jacobsena z generalnym inspektorem policji i innymi oficjelami nie będzie dotyczyć wyłącznie tego.

Zastał Assada na miejscu i od razu dobrał mu się do skóry.

Po pierwszych paru sekundach Assad sprawiał wrażenie zdeorientowanego. Przyjacielski pomocnik Carla jeszcze nigdy nie widział tej strony jego charakteru, która teraz objawiła mu się w pełnej okazałości.

– Tak, Assad, okłamałeś mnie – powtórzył Carl, wbijając w niego spojrzenie.
– Ani słowem nie wspomniałeś Hardy’emu o morderstwie rowerzysty. Sam doszedłeś do tych wniosków, faktycznie zmyślnie, ale mnie powiedziałeś coś innego. Nie mam zamiaru tego tolerować, rozumiesz? To będzie miało konsekwencje.

Było wręcz widać, jak za szerokim czołem Assada obracają się trybiki. O co chodzi? Ma wyrzuty sumienia czy co?

Postanowił zaatakować.

– Oszczędź sobie, Assad! Nie wciśniesz mi więcej kitu! Kim ty właściwie jesteś? Chciałbym to wiedzieć. I gdzie się podziewałeś, kiedy nie było cię u Hardy’ego? – Uprzedził protest Assada. – Tak, wiem, że tam byłeś, ale nie zabawiłeś długo. Wyduś to z siebie. Co się dzieje?

Cisza, która zapadła, nie była w stanie ukryć niepokoju Assada. Przez chwilę za jego spokojnym spojrzeniem kryło się ścigane zwierzę. Gdyby byli wrogami, prawdopodobnie rzuciłby się Carlowi do gardła.

– Chwileczkę – powiedział Carl. Obrócił głowę do komputera i wszedł na stronę Google. – Mam do ciebie kilka pytań, zgadzasz się?

Nie było odpowiedzi.

– Słuchasz?

Pomruk dobiegający od strony Assada, słabszy niż ten wydawany przez komputer, miał to prawdopodobnie potwierdzać.

– W twoich dokumentach jest napisane, że ty, twoja żona i dwie córki przyjechaliście do Danii w 1998 roku. W latach 1998–2000 przebywaliście w obozie dla uchodźców Sandholmslejren, po czym otrzymaliście azyl.

Assad przytaknął.

– Szybko.

– Tak było kiedyś, Carl. Teraz to wszystko wygląda inaczej.

– Pochodzisz z Syrii, Assad. Z jakiego miasta? Nie ma tego w dokumentacji. Obrócił się i spostrzegł, że twarz Assada jest ciemniejsza niż kiedykolwiek.

– Przesłuchujesz mnie, Carl?

– Tak, można tak powiedzieć. Jakież obiekcje?

– Jest wiele rzeczy, o których nie chciałbym ci opowiadać, Carl. Musisz to uszanować, tak. Miałem złe życie. Jest moje, nie twoje.

– Rozumiem. Ale z jakiego miasta pochodzisz? Tak trudno na to odpowiedzieć?

– Pochodzę z przedmieść Sab Abar.

Carl wpisał nazwę w wyszukiwarce.

– To jakieś zupełnie bezdroża.

– A twierdziłem inaczej, Carl?

– Jak daleko jest do Damaszku z Sab Abar według twojej oceny?

– Dzień drogi. Ponad dwieście kilometrów.

– Dzień drogi?

– Tam na pewne rzeczy potrzeba czasu. Najpierw jedzie się przez miasto, a potem są góry.

Tak, w każdym razie tak to wyglądało na Google Earth. Bardziej odległego

miejsca ze świecą szukać.

– Nazywasz się Hafez al-Assad. Tak w każdym razie jest napisane w twoich papierach z Urzędu do spraw Cudzoziemców. – Wpisał nazwisko w wyszukiwarce i natychmiast je znalazł. – To chyba niezbyt szczęśliwe nazwisko, nie sądzisz?

Wzruszył ramionami.

– Nazwisko dyktatora, który rządził Syrią przez dwadzieścia dziewięć lat! Czy twoi rodzice byli członkami partii Baas?

– Tak, byli.

– Zostałeś więc nazwany po nim?

– Powiem ci, że więcej osób w rodzinie tak się nazywa.

Spojrzał w ciemne oczy Assada. Wyglądały inaczej niż zazwyczaj.

– Kto był następcą Hafeza al-Assada? – rzucił szybko Carl.

Assad nawet nie mrugnął.

– Jego syn Baszar. Dajmy temu spokój, Carl. To dla nas niedobre.

– Może i nie jest. A jak się nazywał jego drugi syn, który zginął w wypadku samochodowym w 1994 roku?

– W tej chwili nie pamiętam.

– Nie? Dziwne. Tu jest napisane, że był ulubieńcem i wybrańcem swojego ojca. Nazywał się Basil. Moim zdaniem wszyscy Syryjczycy w twoim wieku powinni odpowiedzieć mi na to pytanie bez zastanowienia.

– Tak, zgadza się, nazywał się Basil. – Kiwnął głową. – Ale jest tak dużo rzeczy, które zdążyłem zapomnieć, Carl. Ja nie chcę tego pamiętać. Ja to... – szukał odpowiedniego słowa.

– Wyparłeś to?

– Tak, chyba tak.

Okej, skoro tak, to nie będziemy tego drażnić – pomyślał Carl. Musiał więc wrzucić drugi bieg.

– Wiesz, co myślę, Assad? Myślę, że kłamiesz. Wcale się nie nazywasz Hafez al-Assad, to było po prostu pierwsze nazwisko, jakie przyszło ci na myśl, kiedy ubiegałeś się o azyl, prawda? Założę się, że ten, kto ci przygotowywał fałszywe papiery, nieźle się uśmieł, co? Może to zresztą ten sam facet, który nam pomagał przy spisie telefonów Merete Lynggaard, czy nie?

– Myślę, Carl, że powinniśmy natychmiast przestać.

– Skąd naprawdę pochodzisz, Assad? Owszem, przyzwyczailem się do tego imienia, więc niech zostanie, choć to pewnie twoje nazwisko, co, Hafez?

– Jestem Syryjczykiem i pochodzę z Sab Abar.

– Chcesz powiedzieć z przedmieść Sab Abar?

– Tak, na północny wschód od centrum.

To wszystko brzmiało bardzo wiarygodnie, ale Carl miał problem, by tak bezkrytycznie to zaakceptować. Może dziesięć lat i setki przesłuchań wstecz – tak.

Ale nie teraz. Instykt Carla powarkiwał. Assad nie reagował tak jak trzeba.

– Tak naprawdę pochodzisz z Iraku, prawda, Assad? I masz na sumieniu coś, co grozi deportacją, zgadza się?

Twarz Assada znów się zmieniła. Zmarszczki na jego czole się wygładziły. Może dostrzegł jakieś wyjście, a może po prostu mówił prawdę.

– Z Iraku? Wcale nie, aż głupio cię słuchać, Carl – powiedział urażony. – Przyjdź do mnie do domu i obejrzyj moje rzeczy. Przywiozłem z domu walizkę. Możesz porozmawiać z moją żoną, rozumie trochę po angielsku. Albo z moimi córkami. Dowiesz się, że mówię prawdę, tak, Carl. Jestem uchodźcą politycznym i mam za sobą paskudne przeżycia. Nie chcę o tym rozmawiać, Carl, więc możesz zostawić mnie w spokoju? To prawda, że nie przebywałem u Hardy’ego tak długo, jak mówiłem, ale do Hornbæk jest daleko. Próbuję pomóc bratu dostać się do Danii, a to zajmuje trochę czasu, Carl. Przepraszam. W przyszłości będę mówił wszystko wprost.

Carl się odchylił. Nagle zapragnął ożywić swój sceptyczny mózg ulepkiem Assada.

– Nie rozumiem, jak udało ci się tak szybko wkręcić do policji, Assad. Ale jestem bardzo zadowolony z twojej pomocy. Kuriozalny z ciebie facet, ale coś potrafisz. Skąd się to wzięło?

– Kuriozalny? Co to znaczy? Coś związanego z kurami czy co? – Spojrzał na Carla ufnie. Owszem, coś potrafił. Może to wrodzony talent. Może wszystko, co mówił, było prawdą. Może po prostu Carl stał się zrzedliwym upierdliwcem.

– W papierach nie ma zbyt dużo o twojej edukacji, Assad. Jakie masz wykształcenie?

Assad wzruszył ramionami.

– Nie za bardzo duże, Carl. Mój ojciec miał małą firmę, która handlowała konserwami. Wiem wszystko o tym, jak długo puszka pomidorów bez skórki wytrzyma w pięćdziesięciu stopniach upału.

Carl spróbował się uśmiechnąć.

– Nie potrafiłeś trzymać się z dala od polityki i dorobiłeś się z niewłaściwego nazwiska, czy tak?

– Tak, coś w tym stylu.

– Torturowano cię?

– Tak. Carl, nie chcę w to wchodzić. Nie widziałeś, jak potrafię się zachowywać, gdy jestem smutny. Nie potrafię o tym mówić, okej?

Podniósł do góry kciuk.

Carl spuścił wzrok z Assada, po czym uniósł rękę, rozstawiając palce, a Assad klepnął w nią dłonią.

Wystarczyło.

– Okej, Assad. Jedziemy z robotą. Przed nami kilka zadań – oznajmił. –

Musimy odnaleźć tego Larsa Henrika Jensena. Mam nadzieję, że wkrótce będziemy mogli się zalogować do rejestru numerów, ale póki co spróbujemy odszukać jego matkę. Nazywa się Ulla Jensen. Pewien człowiek z Risø... – Zorientował się, że Assad szykuje się do zadania pytania, co to takiego, ale na to zawsze był czas. – Pewien człowiek poinformował mnie, że ona mieszka na południe od Kopenhagi.

– Czy Ulla Jensen to rzadkie nazwisko?

Pokręcił głową.

– Znamy już nazwę firmy jej męża, więc mamy więcej punktów odniesienia. Najpierw zadzwonię do rejestru przedsiębiorstw. Miejmy nadzieję, że nie padł. Ty w tym czasie otwórz książkę telefoniczną i wyszukaj Ullę Jensen. Spróbuj w gminach Brøndby, a potem idź na południe. Vallensbæk, może Glostrup, Tåstrup, Greve-Kildebrønde. Ale nie na samo południe do Køge, bo tam była poprzednia siedziba firmy. Czyli na północ stamtąd.

Assadowi widocznie ulżyło. Już zbierał się do wyjścia, ale zawrócił i uścisnął Carla. Szczecina na jego brodzie kłuła jak igły, a woda po goleniu pachniała podróbką, za to uczucia były prawdziwe.

Carl posiedział przez chwilę, by ochłonać, a Assad potoczył się do siebie. Carl poczuł się niemal, jakby odzyskał swoją dawną ekipę.

Odpowiedź nadeszła z dwóch stron jednocześnie. Rejestr przedsiębiorstw cały czas funkcjonował bez zarzutu, a identyfikacja HJ Industries zajęła tylko kilka sekund. Firma była własnością Trabeka Holding, niemieckiej spółki, której bardziej szczegółowych danych mogą jeszcze poszukać, jeśli sobie życzy. Nie wiedzą, do kogo należy, ale mogą się dowiedzieć, jeśli popytają swoich niemieckich kolegów. Kiedy podali mu adres, Carl krzyknął do Assada, żeby dał sobie spokój z szukaniem, na co Assad odparł, że też znalazł parę możliwości.

Porównali rezultaty swoich poszukiwań. Zgadzały się. Ulla Jensen mieszkała w siedzibie upadłej firmy HJI na Strøhusvej w gminie Greve.

Sprawdził na mapie. To tylko kilkaset metrów od Kappeløv Landevej, gdzie w wypadku zginął Daniel Hale. Przypomniawszy sobie, jak to wyglądało. To była droga, na którą patrzyli, rozglądając się po okolicy. Droga z młynem.

Poczuł, jak pompa tłocząca adrenalinę powoli przyspiesza. Mieli już adres. I mogli tam być za dwadzieścia minut.

– Nie powinniśmy tam najpierw zadzwonić, Carl? – Assad wręczył mu zwitek z numerem telefonu.

Spojrzał na niego bezmyślnie. Czyli z jego ust padały nie tylko diamenty.

– Doskonały pomysł, Assad, jeśli chcemy przyjechać do pustego domu.

Początkowo to musiała być zwykła zagroda z wiejskim domem, chlewem i stodołą wokół brukowanego podwórza. Dom stał tak blisko ulicy, że mogli z niej zajrzeć do pokoi. Za bielonymi budynkami znajdowały się jeszcze ze cztery

większe. Kilku z nich prawdopodobnie nigdy nie używano, w każdym razie na pewno nie budynku o wysokości ponad dziesięciu metrów, zięjącego dziurami, w które powinny być wstawione okna. Nie do pomyślenia, że władze mogły dopuścić do powstania takiego ohydztwa. Zasłaniało zupełnie widok na pola uprawne, gdzie żółte dywany rzepaku przechodziły w połacie trawy tak zielonej, że koloru nie oddałyby żadna farba.

Zlustrował krajobraz i nie zarejestrował żadnych oznak życia, również w sąsiedztwie budynków. Podwórze wyglądało na zaniedbane, zresztą tak jak wszystko inne. Z domu odchodził tynk. Przy drodze na wschód leżały zwały śmieci i odpadów budowlanych. Nie licząc dmuchawców i kwitnących drzew owocowych górujących nad dachem pokrytym eternitem, całość sprawiała przygnębiające wrażenie.

– Na podwórku nie ma samochodu, Carl – powiedział Assad. – Chyba od dawna nikt tu nie mieszka.

Carl zacisnął zęby, próbując powstrzymać falę rozczarowania. Jemu też wszystko mówiło, że Larsa Henrika Jensena tu nie ma. Szlag by to trafił.

– Chodź, Assad, wejdziemy i rozejrzemy się – powiedział i zaparkował samochód na poboczu drogi, jakieś pięćdziesiąt metrów dalej.

Cicho zabrali się do pracy. Przez zarośla przeszli na tyły domostwa i przedostali się do ogrodu, gdzie walczyły ze sobą o miejsce krzewy owocowe i bujne chwasty. Zakończony łukowato okna domu poszarzały ze starości i kurzu, a wszystko sprawiało wrażenie wymarłego.

– Patrz – powiedział Assad szeptem z nosem przyklejonym do szyby.

Carl go posłuchał. Wnętrze domu też robiło wrażenie opuszczonego. Jeśli nie brać pod uwagę niskiego standardu budynku i pleniących się ostów, wyglądało to prawie na zamek Śpiącej Królowny. Kurz na stołach, książkach, gazetach i rozmaitych papierach. W kącie nierozpakowane kartonowe pudła. Dywany leżące w nierozwiniętych rulonach.

Rodzina, której szczęśliwe czasy faktycznie zostały brutalnie zakłócone.

– Wydaje mi się, że wypadek się zdarzył, kiedy byli w trakcie przeprowadzki, Assad. Tak też mówił ten człowiek z Risø.

– No tak, ale popatrz tam dalej.

Wskazał do środka na drzwi po drugiej stronie, przez które wlewało się światło, ukazując lśniąca podłogę.

– Masz rację, to wygląda zupełnie inaczej.

Przebrnęli przez ogród warzywny, mijając trzmielę brzęczące wokół kwitnących kul czosnku, i znaleźli się na przeciwległym końcu domu.

Carl podszedł do okien. Były dobrze zamknięte. Przez pierwsze z nich widać było pokój o gołych ścianach, pod którymi stało kilka krzesel. Przyłożył czoło do szyby i wnętrze pokoju objawiło się w pełni. Nie ulegało wątpliwości, że był

używany. Na podłodze poniewierało się parę koszul, a na materacu odsunięta na bok pościel, na niej zaś piżama, która zapewne jeszcze niedawno leżała na sklepowej półce.

Nabrał powietrza, próbując się opanować, i instynktownie położył rękę na pasku, gdzie przez całe lata nosił służbowy pistolet. Właśnie mijał czwarty miesiąc, odkąd go tam nie było.

– W tym łóżku niedawno ktoś spał – powiedział ściszym głosem w kierunku Assada stojącego kilka okien dalej.

– Tutaj też ktoś niedawno był – odparł Assad. Carl stanął obok niego i zajrzał do środka. To prawda. Kuchnia lśniła czystością. Przez drzwi znajdujące się pośrodku widać było zakurzony salon, który widzieli z drugiej strony. Jak grobowiec. Jak świętość, której nie wolno zbezcześcić.

Jednak kuchni używano całkiem niedawno.

– Zamrażarki, kawa na stole, czajnik elektryczny. W kącie stoi też kilka pełnych butelek coli – powiedział Carl.

Carl odwrócił się w stronę chlewu i położonych za nim budynków. Mogliby pójść dalej, zrobić przeszukanie bez nakazu i zdobyć go, gdyby okazało się bezpodstawne. Trudno było mu się zdecydować, czy skorzystać z okazji, czy przeszukać dom w innym terminie. Równie dobrze mogło to się odbyć jutro, tak, może nawet lepiej jutro. Może do tego czasu ktoś wróci do domu.

Kiwnął głową. Lepiej poczekać i puścić wniosek zgodnie z procedurą. Wciągnął głęboko powietrze. Tak naprawdę nie miał na nic siły.

Kiedy tak stał, rozmyślając, w Assada nagle jakby coś wstąpiło. Jak na posiadacza tak nabitego i ociężałego ciała zrobił się zaskakująco zwinny. Pokonał podwórze kilkoma susami i teraz stał na polnej drodze, kiwając do rolnika, który wyjeżdżał swoim traktorem.

Carl poszedł w ich stronę.

– Tak – usłyszał słowa chłopca, gdy się zbliżył. Traktor terkotał na jałowym biegu. – Matka i syn dalej tu mieszkają. To dość dziwne, ale chyba urządziła się w tamtym budynku. – Wskazał na najdalsze z przyległych zabudowań. – A co, nie ma ich teraz w domu? W każdym razie widziałem ją rano przed chałupą.

Carl pokazał mu swoją plakietkę, co sprawiło, że gospodarz przekreślił kluczyk w stacyjce i wyłączył silnik.

– Ten syn – zapytał Carl. – Czy to Lars Henrik Jensen?

Rolnik zmrużył jedno oko i się zamyślił.

– Nie, tak się na pewno nie nazywa. To jest taki wysoki, dziwny gość. Jak on się, kurde, nazywał?

– Czyli nie Lars Henrik.

– Nie, inaczej.

To było jak jazda na karuzeli albo bujanie się na huśtawce. Góra, dół, blisko,

daleko. Carl już tego zasmakował. Niezliczoną ilość razy. I miał już tego naprawdę dosyć.

– Tamten budynek, mówi pan – stwierdził, pokazując ręką.

Chłop kiwnął głową, po czym splunął flegmą, która wylądowała na masce jego nowej zabawki firmy Ferguson.

– Z czego żyją? – spytał Carl, wskazując na okolicę.

– Nie wiem. Dzierżawię od nich trochę ziemi. Kristoffersen też coś tam dzierżawi. Mają też jakiś dodatek unijny za ugory, no i ona ma na pewno emeryturę. Kilka razy w tygodniu przyjeżdża też samochód z jakimś plastikowym badziewiem, które pewnie muszą oczyścić, no i przy okazji przywożą im też jedzenie. Myślę, że ta pani z synem sobie radzą. – Roześmiał się. – To w końcu wieś. Tutaj rzadko czegoś brakuje.

– Czy to samochód z gminy?

– A skąd! Z jakiejś firmy żeglugowej czy czegoś w tym stylu. Na aucie jest taki znaczek, co to się go widzi na statkach w telewizji. Nie wiem, skąd jest. Morza, oceany i takie tam nigdy mnie nie zajmowały.

Kiedy już poterkotał dalej w kierunku młyna, przyjrzeni się budynkom leżącym za chlewem. Dziwne, że nie zwrócili na nie wcześniej uwagi, były przecież całkiem spore. Pewnie stało się tak z powodu gęstych zarośli, a liście pojawiły się w tym roku wcześniej z powodu wysokiej temperatury.

Oprócz trójkątnego podwórza i wielkiej niewykończonej hali były tam jeszcze trzy płaskie zabudowania rozrzucone na pokrytej gruzem powierzchni, którą pewnie kiedyś planowano wyasfaltować. Obecnie budynki były zarośnięte przez chwasty i samosiejki i jeśli nie liczyć dość szerokiej ścieżki łączącej wszystkie zabudowania, teren tonął w zieleni.

Assad wskazał na wąskie ślady kół na ścieżce. Carl też je zauważył. Jakby od kół roweru, ale równoległe. Pewnie wózek inwalidzki.

Gdy zbliżyli się do najdalej położonego domu, który wcześniej wskazał rolnik, odezwał się dzwonek telefonu Carla, ostro i wyraźnie. Uchwycił spojrzenie Assada, przeklinając, że nie wyciszył komórki.

Dzwoniła Vigga. Potrafiła jak nikt pojawić się na orbicie w najmniej dogodnym momencie. Kiedy stał unurzany w mazi z gnijących zwłok, potrafiła poprosić go o kupno śmietanki do kawy. Umiała go dopaść, gdy telefon leżał w kieszeni marynarki, pod teczką w wozie służbowym mknącym w pogoni za podejrzanym. Vigga po prostu to potrafiła.

Odrzucił połączenie i wyłączył dźwięk.

Właśnie wtedy uniósł głowę i spojrzał prosto w oczy wysokiego i chudego mężczyzny w wieku ponad dwudziestu lat. Głowę miał dziwnie wydłużoną, niemal zdeformowaną, a połowa twarzy poorana była kraterami i ściągniętą skórą, jaką tworzą blizny po oparzeniu.

– Nie wolno wam tu przebywać – odezwał się głosem ni to dorosłego, ni dziecka.

Carl pokazał mu odznakę, ale facet prawdopodobnie nie rozumiał, co ona oznacza.

– Jestem policjantem – powiedział przyjaźnie. – Chcielibyśmy porozmawiać z twoją mamą. Wiemy, że tu mieszka. Gdybyś ją zapytał, czy możemy tu wejść i się rozejrzeć, byłbym ci bardzo wdzięczny.

Młody chłopak nie wydawał się zachwycony widokiem plakietki ani obu mężczyzn. Czyli jednak nie był aż tak poczciwy, jak wyglądał na pierwszy rzut oka.

– Ile mam czekać? – zapytał Carl bez ogródek. To chłopaka ruszyło. Zniknął wewnątrz domu.

Minęło kilka minut, podczas których Carl czuł, jak ucisk w klatce piersiowej się wzmacnia. Przeklinał sam siebie, że służbowy pistolet ani razu nie opuścił arsenału Komendy Głównej od czasu jego urlopu zdrowotnego.

– Trzymaj się z tyłu, Assad – polecił. Wyobrażał już sobie nagłówki jutrzejszych gazet. „Policjant śledczy poświęca asystenta w dramatycznej strzelaninie. Trzeci dzień z rzędu podkomisarz policji Carl Mørck z Departamentu Q przyczyną skandalu”.

Szturchnął Assada, by podkreślić powagę sytuacji, i ustawił się bokiem tuż przy framudze drzwi. Jeśli wyjdą z bronią palną albo czymś podobnym, to przynajmniej jego głowa nie nadzieje się od razu na lufę.

Wtedy chłopak wyszedł i zaprosił ich do środka.

Siedziała na wózku inwalidzkim w głębi pokoju, paląc papierosa. Była poszarzała, pomarszczona i wyniszczona tak, że nie dało się ocenić, ile ma lat, jednak wnioskując po wieku syna, nie mogła mieć więcej niż sześćdziesiąt parę. Siedziała na wózku przygarbiona. Dolna część jej nóg była dziwnie niezgrabna. Wyglądały jak gałęzie, które, kiedyś złamane, same musiały znaleźć sposób, by się zrosnąć. Wypadek samochodowy rzeczywiście pozostawił na niej swój ślad. Żałosny i smutny widok.

Carl się rozejrzył. Było tu jedno duże pomieszczenie. Pewnie jakieś dwieście pięćdziesiąt metrów kwadratowych albo i więcej, które mimo czterech metrów wysokości mocno śmierdziało tytoniem. Odprowadził wzrokiem spiralę dymu z jej papierosa aż pod okna połaciowe. W dachu zamontowano ich tylko dziesięć, więc pokój był dość ciemny.

Znajdowało się tu wszystko. Najbliżej drzwi wejściowych była kuchnia, obok toaleta. Salon z meblami z Ikei i tanimi dywanami na betonowej podłodze, rozciągający się piętnaście, dwadzieścia metrów dalej, aż do części, w której prawdopodobnie sypiała.

Nie licząc przyprawiającego o mdłości zapachu, wszystko znajdowało się

w idealnym porządku. Tu oglądała telewizję, czytała tygodniki i pewnie spędzała większość życia. Jej mąż umarł, więc radziła sobie najlepiej, jak potrafiła. Miała przecież syna do pomocy.

Carl spostrzegł, że wzrok Assada przesuwają się powoli po pokoju. W jego oczach było coś diabelskiego, kiedy tak prześlizgiwały się po wszystkim, od czasu do czasu zatrzymując się i skupiając na jakimś detalu. Był głęboko skoncentrowany. Stał wyprostowany z rękami wzdłuż ciała.

Przyjęła ich dość przyjaźnie, ale dłoń podała tylko Carlowi. Przedstawił ich, prosząc, by się nie denerwowała. Szukają jej starszego syna, Larsa Henrika, powiedział Carl. Chcą mu zadać kilka pytań, rutynowych, nic takiego. Czy mogłaby im powiedzieć, gdzie go znajdują?

Uśmiechnęła się.

– Lasse żegluje – powiedziała. Czyli nazywała go Lasse. – Nie ma go teraz w domu, ale za miesiąc będzie z powrotem w kraju. Wtedy mu to przekażę. Ma pan może wizytówkę?

– Nie, niestety. – Wypróbował jeden ze swoich chłopięcych uśmiechów, ale kobieta się na to nie złapała. – Wyślę wizytówkę, jak tylko wrócę do biura, oczywiście. – Znowu spróbował się uśmiechnąć, tym razem z lepszym skutkiem. To była złota zasada. Najpierw powiedz coś pozytywnego, a dopiero potem się uśmiechnij – będzie to wyglądało bardziej autentycznie. W odwrotnej kolejności uśmiech może znaczyć cokolwiek. Przymilanie się, flirt. To, co najlepsze dla ciebie. Na tyle kobieta znała przecież życie.

Uczył gest, jakby chciał się wycofać, i chwycił Assada za rękaw.

– W takim razie, pani Jensen, jesteśmy umówieni. A tak przy okazji, jak się nazywa firma, dla której pracuje pani syn?

Znała kolejność: najpierw wypowiedź, potem uśmiech.

– Och, gdybym tylko pamiętała. On pływa z wieloma firmami. – Wtedy pojawił się jej uśmiech. Widywał już wcześniej pożółkłe zęby, ale nigdy tak żółtych jak te tutaj.

– Jest sternikiem, prawda?

– Nie, stewardem. Lasse zna się na jedzeniu, zawsze był w tym dobry.

Carl próbował przywołać obraz chłopca, który obejmował Dennisa Knudsenę za ramiona. Chłopca zwanego Atomosem, bo jego tata produkował coś dla elektrowni atomowych. Kiedy zdażył nabyć wiedzę o jedzeniu? U rodziny zastępczej, która go tłukła? W zakładzie Godhavn? Kiedy był małym chłopcem, w domu u mamy? Carl też sporo w życiu przeszedł, ale nie miał pojęcia, jak przyrządzić sadzone jajko. Gdyby nie Morten Holland, w ogóle nie radziłby sobie w kuchni.

– To takie miłe, gdy dzieciom dobrze się układa. Cieszysz się na spotkanie z bratem? – powiedział, zwracając się do zdeformowanego chłopaka, który

przyglądał się im z taką podejrzliwością, jakby przyszli ich okraść.

Jego wzrok powędrował ku matce, ale jej twarz nawet nie drgnęła. Czyli z ust chłopaka nie padnie ani słowo, to jasne jak słońce.

– Gdzie pływa ostatnio pani syn?

Spojrzała na niego, a żółte zęby zniknęły powoli za spierzchniętymi wargami.

– Lasse żegluje sporo po Bałtyku, ale wydaje mi się, że teraz jest na Morzu Północnym. Czasem wyrusza jednym statkiem, a wraca drugim.

– To musi być duży armator, nie pamięta pani który? Umiałaby pani opisać logo?

– Nie, niestety. Nie jestem dobra w takich rzeczach.

Spojrzał ponownie na młodego mężczyznę. Widać było, że wie wszystko. Na pewno umiałby narysować to przekłete logo, gdyby mu było wolno.

– Znajduje się przecież na samochodzie, który przyjeżdża tu parę razy w tygodniu – rzucił Assad. Nie w porę. Oczy chłopaka zrobiły się niespokojne, a kobieta wciągnęła głęboko dym do płuc. Wyraz jej twarzy skryła gęsta chmura dymu, którą wypuściła na jednym oddechu.

– No tak, ale nic o tym dokładnie nie wiemy – wtrącił Carl. – Po prostu sąsiad twierdzi, że go widział, ale przecież może się mylić. – Pociągnął Assada za sobą.

– Na dziś dziękujemy – powiedział. – Bardzo proszę powiadomić syna, by zadzwonił zaraz po powrocie do domu. Będziemy mieć z głowy te pytania.

Skierowali się do drzwi, a kobieta ruszyła za nimi na swoim wózku.

– Wywieź mnie przed dom, Hans – zwróciła się do syna. – Muszę zaczerpnąć świeżego powietrza.

Carl wiedział, że kobieta nie spuści ich z oczu, dopóki nie opuszczą posesji. Gdyby na podwórzu albo gdzieś na tyłach stał samochód, Carl sądziłby, że chcą ukryć obecność Larsa Henrika Jensena w którymś z budynków. Jednak intuicja podpowiadała Carlowi coś innego. Jej starszego syna tu nie ma. Kobieta chce się po prostu ich pozbyć.

– Mają tu państwo imponujący kompleks budynków. To była kiedyś fabryka?

Toczyła się po ścieżce tuż za nimi, kopiąc kolejnego papierosa. Syn popychał wózek, ściskając kurczowo uchwyty. Jego zdeformowana twarz zdradzała szczególnie stan podekscytowania.

– Mój mąż posiadał fabrykę, która produkowała zaawansowane technologicznie pojemniki do elektrowni atomowych. Dopiero co przeprowadziliśmy się tutaj z Køge, kiedy umarł.

– Tak, kojarzę tę historię. Jest mi niezmiernie przykro. – Wskazał ręką na leżące najdalej, płaskie budynki. – Czy to tam miała odbywać się produkcja?

– Tak, tam i w tej wielkiej hali. – Powiodła ręką wokół. – Spawalnia tam, testy ciśnieniowe tam, a montaż w hali. Tu, gdzie mieszkam, miał być magazyn gotowych obudów bezpieczeństwa.

– Dlaczego nie mieszka pani w domu? Budynek wygląda na porządnym – zapytał, odkrywając przed jednym z zabudowań szereg niepasujących do otoczenia, szarawych wiader. Może stały tam od czasów poprzedniego właściciela. W takich miejscach jak to czas potrafi płynąć niezwykle powoli.

– Ach, sam pan wie! Jest w nim tyle rzeczy z zupełnie innych czasów. No i te wysokie progi, nie radzę sobie z nimi zbyt dobrze. – Poklepała oparcie wózka.

Poczuł, jak Assad odciąga go na bok.

– Nasz samochód stoi tam, Assad – powiedział, wskazując w przeciwnym kierunku.

– Wolałbym przejść przez żywopłot i pójść polną drogą – powiedział Assad, jednak Carl zauważył, że jego uwaga skoncentrowała się na składowisku mieszczącym się na wysłużonym betonowym fundamencie.

– To wszystko już tu było, kiedy się wprowadzaliśmy – powiedziała kobieta usprawiedliwiająco, tak jakby trochę złomu było w stanie pogorszyć i tak już ponure wrażenie, jakie sprawiało jej domostwo.

To były nieokreślone odpadki. Na samej górze leżało kilka szarawych wiader. Nie były oznakowane, ale wyglądały na pojemniki do składowania oleju albo artykułów spożywczych w dużych ilościach.

Powstrzymałby Assada, gdyby wiedział, o co mu chodzi, ale zanim zdążył zareagować, jego pomocnik przeskoczył przez metalowe pręty i właśnie rozsypywał płataninę sznurów i plastikowych rur.

– Przepraszam, ale kolega jest niepoprawnym zbieraczem. Co tam masz, Assad?! – krzyknął.

Ale Assad nie był w tej chwili jego partnerem. Był na łowach – a to kopnął jakiś złom, a to odwrócił jakiś przedmiot. W końcu wsadził rękę w stertę i chwycił ciekawą metalową tabliczkę, która po krótkiej szamotaninie okazała się mieć pół metra wysokości i co najmniej cztery metry długości. Obrócił ją. „Interlab SA” – głosił napis.

Assad popatrzył na Carla, który odwzajemnił się pełnym uznania spojrzeniem. Świetnie się spisał. Interlab SA. Duże laboratorium Daniela Hale’a przeniesione do Stangerup. Czyli istniał bezpośredni związek między Jensenami a Danielem Hale’em.

– Firma pani męża nie nazywała się chyba Interlab, prawda, pani Jensen? – spytał Carl i uśmiechnął się do jej zaciśniętych ust.

– Nie, to była firma, która sprzedała nam ten grunt wraz z budynkami.

– Mój brat pracuje w firmie farmaceutycznej Novo Nordisk. Przypominam sobie, że kiedyś wspominał o tej firmie. – Przeprosił w myślach swojego starszego

brata, który pewnie w tej chwili karmił norki we Frederikshavn. – Interlab. Oni nie wytwarzali enzymów czy czegoś takiego?

– To było laboratorium doświadczalne.

– Nazywał się Hale? Daniel Hale, zgadza się?

– Tak, człowiek, który sprzedał to mojemu mężowi, nazywał się Hale. Ale nie Daniel Hale, on był wtedy jeszcze małym chłopcem. Rodzina przeniosła Interlab na północ, a po śmierci starego przenieśli się jeszcze raz. Ale tutaj zaczynali – wyciągnęła rękę ku składowisku. Jeśli to ma być początek, Interlab nieźle się wywindował.

Carl obserwował ją wnikliwie, gdy mówiła. Była wcieleniem powściągliwości, ale teraz wypływały z niej potoki słów. Nie sprawiała wrażenia rozgorączkowanej, wręcz przeciwnie – bardzo się kontrolowała. Wszystkie jej zakończenia nerwowe zostały zawiązane w supeł. Próbowwała zachowywać się normalnie. Właśnie to sprawiało nienormalne wrażenie.

– Czy to nie on zginął niedaleko stąd? – rzucił Assad.

Tym razem Carl powinien kopnąć go w kostkę. Jak wrócą do domu, będą musieli odbyć rozmowę na temat bezmyślnego mielenia ozorem.

Popatrzył ponownie na budynki. Emanowały czymś więcej niż tylko rodzinną klęską. W całej tej szarości były też półtony. Tak jakby zabudowania wysyłały do niego sygnały. Kiedy na nie patrzył, wzbierały w nim mdłości.

– Daniel Hale zginął? Niczego takiego sobie nie przypominam. – Zgromił Assada wzrokiem i zwrócił się do kobiety: – Właściwie to chciałbym zobaczyć, jak zaczynał Interlab. Byłoby zabawnie opowiedzieć o tym bratu. Tak często mówi, że chciałby rozkręcić coś własnego. Może moglibyśmy obejrzeć pozostałe zabudowania? Zupełnie prywatnie.

Uśmiechnęła się do niego. Zbyt uprzejmie. Czyli odpowiedź będzie oznaczać coś przeciwnego. Nie chciała go tu więcej widzieć. Ma się wynosić.

– Och, ależ bardzo chętnie. Ale mój syn wszystko pozamykał na klucz, więc nie mogę pana wpuścić. Ale kiedy będzie pan z nim rozmawiał, proszę przy okazji go o to zapytać. Może pan wziąć ze sobą brata.

Kiedy mijali dom z zarysowanym murem, gdzie zginął Daniel Hale, Assad milczał.

– Coś jest nie tak w tym gospodarstwie – powiedział Carl. – Musimy tam wrócić z nakazem sądowym.

Ale Assad go nie słuchał. Siedział tylko, w milczeniu patrząc przed siebie, kiedy dojeżdżali do miasta Ishøj, a przy drodze jeden obok drugiego zaczęły wyrastać betonowe bloki. Nawet gdy zadzwoniła komórka Carla, a ten zaczął miotać się w poszukiwaniu zestawu słuchawkowego, Assad nie reagował.

– Tak? – powiedział Carl, spodziewając się gwałtownego ataku ze strony Viggi. Wiedział, dlaczego dzwoni. Znowu coś poszło nie tak. Przyjęcie zostało

przecież przesunięte na dziś. Pieprzone przyjęcie. Naprawdę mógł się obejść bez paru garści tłustych chipsów i kieliszka najtańszego wina z supermarketu, nie mówiąc już o tej pokrace, z którą postanowiła związać się Vigga.

– Dzień dobry, to ja – powiedział głos. – Helle Andersen ze Stevns.

Zredukował bieg i wystrzył uwagę.

– Uffe tutaj przyszedł. Jestem na wizycie domowej i właśnie przed chwilą przywiózł go tu taksówkarz z Klippinge. Woził kiedyś Merete i Uffego, więc rozpoznał go, gdy Uffe błąkał się na poboczu autostrady przy zjeździe do Lellinge. Jest wykończony. Siedzi teraz w kuchni i pije wodę całymi szklankami. Co mam robić?

Carl spojrział na światła. Wezbrała w nim fala niepokoju. Mógłby ostro zawrócić i wcisnąć gaz do dechy. Kuszące.

– Nic mu nie jest? – zapytał.

Głos miała zatroskany i mniej dziarski niż zwykle.

– Naprawdę nie wiem. Jest brudny i wygląda, jakby go ktoś przeciągnął przez szambo, ale to nie wszystko. Nie jest też do końca sobą.

– Jak to?

– Siedzi i niby się zastanawia. Rozgląda się po kuchni, jakby jej nie rozpoznawał.

– Bo pewnie tak jest. – Pomyślał o kuchni handlarzy antyków i miedzianych rondlach wiszących tam od sufitu do podłogi. O ustawionych równiutko kryształowych misach, pastelowej tapecie w egzotyczne owoce. Pewnie, że nie mógł niczego rozpoznać.

– Nie, nie o to chodzi. Nie potrafię tego wyjaśnić. Tak jakby bał się tu być, ale nie chce też pójść ze mną do samochodu.

– Dokąd chciała go pani zawieźć?

– Na posterunek. Żeby znowu nie nawiał, psiakrew. Ale on nie chce iść. Nawet jak go ładnie prosi pan handlarz antyków.

– Mówił coś? Wydał z siebie jakiś dźwięk czy coś?

Teraz siedziała po drugiej stronie, kręcąc głową, takie rzeczy się wyczuwa.

– Nie, żadnych dźwięków. Ale tak jakoś się trzęsie. Nasz najmłodszy też tak miał, jak nie dostał tego, co chciał. Pamiętam, jak raz w supermarkecie...

– Niech pani zadzwoni do Egely. Uffego tam nie ma już od czterech dni, muszą się dowiedzieć, że nic mu nie jest. – Sprawdził w spisie numer telefonu. To było jedyne sensowne posunięcie. Jeśli wmiesza się w opiekę nad Uffem, narobi sobie tylko kłopotów. Dziennikarze będą zacierać te swoje czarne od farby drukarskiej łapska.

Przy drodze Gammel Køge Landevej zaczęły się pojawiać małe, niskie domki. Stara budka z lodami. Zlikwidowany zakład elektryczny, w którym obecnie rezydowało kilka hojnie obdarzonych przez naturę dziewcząt zwalczanych ciągle

przez obyczajówkę.

Zerknął na Assada i zastanowił się, czy głośnym gwizdnięciem nie sprawdzić, na ile w tej istocie w ogóle tli się życie. Słyszało się przecież o ludziach, którzy umarli z otwartymi oczami i w połowie zdania.

– Jesteś tam, Assad? – spytał, nie oczekując odpowiedzi.

Carl przechylił się nad nim i sięgnął do schowka, gdzie znalazł pół paczki lucky strike'ów.

– Carl, daj już z tym spokój. Samochód od tego śmierdzi – rozległ się zaskakująco przytomny głos Assada.

Jeśli nie podoba mu się odrobina dymu, to niech spada do domu.

– Zatrzymaj się tutaj – powiedział Assad. Czyżby wpadli na ten sam pomysł?

Carl zatrzasnął schowek i zjechał w prześwit przed jedną z dróg prowadzących na plażę.

– Carl, jest niedobrze. – Assad spojrzał na niego ciemnymi oczami. – Myślałem o tym, co tam widzieliśmy. Coś tam jest nie tak.

Carl powoli pokiwał głową. Przed tym facetem nie da się niczego ukryć.

– U tej starej pani w salonie były cztery telewizory.

– Tak? Widziałem tylko jeden.

– Trzy stały obok siebie, niezbyt duże, w nogach jej łóżka. Były jakby zakryte, ale widziałem padające z nich światło.

Musiał mieć wzrok jak krzyżówka orła z sową.

– Trzy włączone telewizory przykryte kocem. Widziałeś to z takiej odległości, Assad? Tam było ciemno jak w grobie.

– Były tam, przy samym brzegu łóżka, pod ścianą. Nieduże, taki raczej rodzaj tego, no... – szukał odpowiedniego słowa.

– Monitora?

Kiwnął szybko głową.

– I wiesz co, Carl? Coraz więcej rzeczy dociera do mojej głowy. Były trzy albo cztery monitory. Przez te kocy widać było słabe szare czy zielone światło. Po co tam były? Dlaczego były włączone? No i dlaczego były tak przykryte, jakbyśmy nie mieli ich zobaczyć?

Carl spojrzał na drogę, po której ciężarówki przedzierały się w stronę miasta. Właśnie, dlaczego?

– I jeszcze jedna rzecz, Carl.

Teraz to Carl niezbyt uważnie słuchał, bębniąc palcami po kierownicy. Jeśli pojedą na komendę, będą musieli przejść przez całą procedurę, czyli minie przynajmniej dziesięć godzin, zanim zdołają tam wrócić.

Wtedy znów zadzwoniła komórka. Jeśli to Vigga, to po prostu odłoży słuchawkę. Co ona sobie myśli? Ma być do dyspozycji dzień i noc?

Ale to była Lis.

– Marcus Jacobsen chce cię widzieć w swoim gabinecie, Carl. Gdzie jesteś?
– Musi poczekać, Lis. Właśnie jadę na przeszukanie. Chodzi o artykuł w gazecie?

– Nie wiem na pewno, ale być może tak. Znasz go. Potrafi być taki oszczędny w słowach, kiedy źle o nas piszą.

– Powiedz mu więc, że Uffe Lynggaard się znalazł cały i zdrowy. I przekaż mu, że pracujemy nad sprawą.

– Jaką sprawą?

– Żeby te pieprzone gazety mogły napisać coś pozytywnego o mnie i o wydziale.

Następnie zawrócił samochód, zastanawiając się, czy nie włączyć policyjnego sygnału.

– Co tam mówiłeś, Assad?

– O papierosach.

– O co ci chodzi?

– Od jak dawna palisz tę samą markę, Carl?

Zmarszczył nos. Od jak dawna w ogóle istnieją lucky strike'i?

– Tego się tak po prostu nie zmienia, prawda? A u niej na stole leżało dziesięć paczek prince'ów. Całkiem nowych paczek. Ona miała takie żółte palce, a jej syn nie.

– Do czego zmierzasz?

– Ona paliła prince'y z filtrem, a syn nie palił w ogóle, tego jestem całkiem pewien.

– No i?

– Dlaczego więc na niedopałkach papierosów leżących w popielniczce na samym wierzchu nie było filtrów?

W tym momencie Carl włączył syrenę.

Tego samego dnia

Praca zajmowała jej dużo czasu, bo podłoga była gładka, a ci, którzy siedzieli na zewnątrz i kontrolowali ją na monitorach, nie powinni nabrać podejrzeń z powodu miarowych ruchów jej pleców.

Siedziała na ziemi na środku pomieszczenia przez większą część nocy, zwrócona tyłem do kamer, szlifując pozostałości długiego nylonowego włókna, które rozdarła wpół poprzedniego dnia. Jakkolwiek ironicznie by to brzmiało, ten nylonowy usztywniacz z kaptura jej kurtki pewnie umożliwi jej odejście z tego świata.

Położyła oba włókna na kolanach, wodząc po nich palcami. Jedno było niemal tak cienkie jak igła, drugiemu zaś nadała kształt zaostrego pilniczka. Pewnie właśnie tego użyje, kiedy już będzie gotowe. Bała się, że tym cienkim nie będzie w stanie zrobić wystarczająco dużego otworu w tętnicy. Poza tym jeśli to nie stanie się szybko, zdradzi ją krew na podłodze. Nawet przez chwilę nie miała wątpliwości, że zredukują ciśnienie w pomieszczeniu, gdy tylko to odkryją. Dlatego musi popełnić samobójstwo sprawnie i efektywnie.

Nie chciała umierać w tamten sposób.

Kiedy przez głośniki dobiegły ją głosy dochodzące z zewnątrz, włożyła włókna do kieszeni kurtki i zgarbiła się nieco, tak jakby przysnęła w tej pozycji. Kiedy tak siadywała, Lasse często do niej krzyczał, a ona nie reagowała, więc nie było w tym nic niezwykłego.

Siedziała tak ze skrzyżowanymi nogami, patrząc na długi cień, który rzucała w świetle reflektorów. Tam, na ścianie, siedziało jej prawdziwe „ja”. Rysująca się ostro sylwetka człowieka znajdującego się na skraju upadku. Opadające na ramiona, zmierzwiłone włosy, zniszczona kurtka kryjąca tyle co nic. Pozostałość z przeszłości, która zniknie, gdy wkrótce zgasną światła. Był 4 kwietnia 2007 roku. Zostało jej czterdzieści jeden dni życia, ale chciała popełnić samobójstwo pięć dni wcześniej, 10 maja. W tym dniu Uffe skończy trzydzieści cztery lata i kiedy podetnie sobie tętnice, będzie przy nim myślami i będzie słać mu wyrazy miłości i czułości oraz wyobrażenia, jak piękne mogło być życie. Jego jasna twarz stanie się ostatnim przeblyskiem jej świadomości. Uffe, jej ukochany braciszek.

– Teraz będzie się działo – usłyszała w głośnikach, jak kobieta krzyczy po drugiej stronie szyb. – Lasse będzie u nas za dziesięć minut, więc wszystko musi być gotowe. Zbieraj się, synu. – Była rozgorączkowana.

Za lustrzanymi szybami rozległo się chrobotanie i Merete spojrzała na śluzę. Ale wiadra się nie pojawiły. Jej wewnętrzny zegar też mówił, że jeszcze za

wcześniej.

– Ale mamo! – odkrzyknął chudy mężczyzna. – Potrzebny jest nam drugi akumulator! Ten tutaj jest rozładowany. Nie będziemy mogli spowodować wybuchu, jeśli go nie wymienimy. Tak mi powiedział Lasse parę dni temu.

Wybuchu? Przez ciało Merete przeszła fala chłodu. To już?

Padła na kolana i próbowała myśleć o Uffem, z całej siły trąc nożopodobnym włóknem o gładką betonową podłogę. Zostało jej może z dziesięć minut. Jeśli nacięcie będzie wystarczająco głębokie, może zdąży stracić przytomność w ciągu pięciu minut. Tylko o to chodziło.

Widząc, że nylonowe włókno zbyt powoli zmienia kształt, westchnęła głęboko i zaszlochała. Ciągłe było zbyt tępe. Kątem oka spostrzegła szczypce, których czubki się wyszczerbiły, gdy żłobiła swoje przesłanie w betonowej podłodze.

– Och – wyszeptała. – Jeden dzień więcej i zdążyłabym. – Po czym otarła pot z czoła i zbliżyła nadgarstek do ust. Gdyby dobrze chwyciła, może dałaby radę przegryźć tętnicę.

Skubnęła lekko ciało, ale nie udało jej się dobrze złapać. Obróciła nadgarstek i próbowała chwycić kłami, ale ręka była zbyt koścista i chuda. Przeszkadzała kość, a kły nie były wystarczająco ostre.

– Co ona tam robi?! – wrzasnęła czarownica piskliwie, przykładając twarz do szyby. Oczy miała szeroko otwarte – tylko one były widoczne, bo reszta ciała tonęła w mroku z oślepiającymi reflektorami w tle.

– Otwórz śluzę na oścież. Już! – zakomenderowała synowi.

Merete spojrzała na latarkę leżącą w pogotowiu przy otworze, który wydrapała pod trzpieniem drzwi śluzy. Rzuciła nylonowe włókno i na czworakach podpełzła do śluzy, nie zważając na grymasy kobiety. Wszystko w niej łąkało i błagało o życie.

Przez głośniki usłyszała, jak mężczyzna manipuluje przy drzwiach śluzy, po czym wepchnęła latarkę w dziurę w podłodze.

Rozległo się pstryknięcie i uruchomił się mechanizm obrotowy, a ona patrzyła na drzwi śluzy z tłukącym się w piersi sercem. Jeżeli latarka i trzpień nie wytrzymają, będzie zgubiona. Wyobrażała sobie, że ciśnienie rozerwie ją jak granat.

– Dobry, dobry Boże, nie dopuść do tego – płakała, czołgając się z powrotem po nylonowy usztywniacz i słysząc, jak trzpień uderza o latarkę. Odwróciła się, by to zobaczyć, i stwierdziła, że latarka nieco się poruszyła. Wtedy rozległ się dźwięk, którego nigdy wcześniej nie słyszała. Jak włączający się zoom aparatu. Szum jakiegoś urządzenia, które zostało z powodzeniem uruchomione. Potem usłyszała nagle uderzenie w drzwi śluzy. Zewnętrzne wrota śluzy zostały otwarte i teraz całe ciśnienie napierało na te wewnętrzne. Czyli teraz od najstraszliwszej śmierci, którą

mogła sobie wyobrazić, dzieliła ją tylko latarka. Ale latarka już się nie poruszyła. Może drzwi uchyliły się o setne milimetra, bo świszczący dźwięk powietrza wydostającego się z komory przybrał na sile, przechodząc w przeciągły gwizd.

Po kilku sekundach odczuła to w ciele. Zwróciła uwagę na pulsowanie w uchu i na lekki nacisk w zatokach czołowych jak przy zbliżającym się przeziębieniu.

– Mamo, ona zablokowała drzwi! – krzyknął mężczyzna.

– To wyłącz i włącz znów, idioto – warknęła.

Na moment ton gwizdu się obniżył, po czym usłyszała, jak mechanizm uruchamia się ponownie, a ton podwyższa.

Wiele razy próbowali bezskutecznie przywołać wewnętrzne drzwi służące do porządku, podczas gdy Merete szlifowała swoje nylonowe włókno.

– Musimy ją zabić teraz i pozbyć się jej, rozumiesz to?! – wrzasnęła na zewnątrz wiedźma. – Biegnij po młot, stoi za domem.

Merete utkwiała wzrok w szybie. Przez ostatnie lata była jej kratą, a jednocześnie ochroną przed tymi bydlakami z zewnątrz. Jeśli rozbiją szkło, będzie po niej. Ciśnienie wyrówna się w ciągu sekundy. Może nawet nie zdąży zauważyć, jak zniknie z tego świata.

Położyła ręce na kolanach i przyłożyła nylonowe ostrze do lewego nadgarstka. Tej tętnicy przyglądała się już tysiące razy. To właśnie w nią miała się wkłuć. Była wyrazista i dostępna pod delikatną, cienką skórą.

Zacisnęła dłoń i naparła, zamykając oczy. Nacisk na tętnicę nie był wystarczający. Bolało, ale skóra się nie poddała. Spojrzała na znak pozostawiony przez nylonowe włókno. Był szeroki, długi i wyglądał na głęboki, a nawet nie pojawiła się krew. Nylonowy nóż nie był po prostu wystarczająco ostry.

Upadła więc na bok, sięgając po leżące na ziemi włókienko o zastrzonym czubku. Otworzyła szeroko oczy, próbując ocenić dokładnie, w którym miejscu skóra wokół tętnicy wydaje się najcieńsza. Wtedy nacisnęła. Nie bolało tak, jak się obawiała, a krew momentalnie zabarwiła czubek włókna na czerwono, dając jej wszechogarniające poczucie bezpieczeństwa. Ze spokojem w sercu obserwowała sączącą się krew.

– Okaleczyłaś się, ty krowo! – krzyknęła kobieta, waląc w jeden z iluminatorów, a uderzenia odbiły się echem po pomieszczeniu. Ale Merete odcięła się od niej i nie czuła już nic. Położyła się spokojnie na podłodze, zwinęła swoje długie włosy na karku i wpatrywała się w ostatnią działającą świetlówkę.

– Wybacz, Uffe – szepnęła. – Nie mogłam czekać. – Uśmiechnęła się do kołyszącego się w jej wyobraźni obrazu Uffego, a on odwzajemnił uśmiech.

Pierwsze uderzenia młota obróciły wniwecz senne wyobrażenie. Spojrzała na lustrzaną szybę, która wibrowała po każdym ciosie. Szkło straciło od tego przezroczystość, ale poza tym nic się nie działo. Przy każdym uderzeniu rozlegał

się pełen wysiłku jęk. Spróbował stłuc drugi iluminator, ale on też nie ustąpił. Było jasne, że jego cienkie ramiona nie nawykły do posługiwania się tak ciężkim narzędziem. Przerwy między uderzeniami stawały się coraz dłuższe.

Uśmiechnęła się, spoglądając na swoje ciało leżące w rozluźnionej pozycji na ziemi. Czyli tak wyglądała ona, Merete Lynggaard, w chwili śmierci. Niedługo jej ciało zostanie poćwiartowane i przerobione na karmę dla psów, ale ta myśl nie robiła na niej wrażenia. Do tej pory jej dusza się uwolni. Czeka ją na nią nowe czasy. Doświadczyła piekła na ziemi, a większość swojego życia była w żałobie. Z jej powodu nacierpieli się ludzie. W kolejnym życiu nie może być gorzej, o ile w ogóle jest jakieś kolejne życie. A jeśli nie ma żadnego, to czego się bać?

Spojrzała w bok i zobaczyła, że czarno-czerwona plama na podłodze nie jest większa od dłoni. Odwróciła więc nadgarstek i obejrzała ranę. Krwawienie w zasadzie ustało. Kilka ostatnich kropeł wypłynęło, splotło się razem jak poszukujące się ręce bliźniąt, po czym powoli stężało.

Uderzenia na zewnątrz ucichły i jedyną rzeczą, jaką teraz słyszała, było wysączone przez szparę w śluzie powietrze i pulsowanie w uszach. Silniejsze niż wcześniej. Kiedy już zwróciła na to uwagę, poczuła naciągający ból głowy i stawów, jakby zbliżała się grypa.

Wzięła więc jeszcze raz nylonowy usztywniacz i włożyła go głęboko w dopiero co zamkniętą ranę. Obracała nim trochę w tę i z powrotem, kręciła w górę i w dół, żeby powiększyć otwór do odpowiedniego rozmiaru.

– Mamo, już jestem! – krzyknął głos. To był Lasse.

Przez system nagłaśniający głos jego brata wydawał się przestraszony.

– Chciałem wymienić akumulator, Lasse, ale mama kazała mi przynieść młot. Nie mogłem rozbić szyby, robiłem, co mogłem.

– Nie można jej rozbić w ten sposób – odparł. – Potrzeba większej siły. Chyba nie zniszczyłeś detonatorów?

– Nie, patrzyłem, gdzie uderzam – odpowiedział brat. – Naprawdę, Lasse.

Merete wyjęła nylonowy usztywniacz i spojrzała na zmatowiałe szkło, na którym rysy rozchodziły się we wszystkich kierunkach. Rana na nadgarstku krwawiła teraz bardziej, ale niewystarczająco mocno. Boże, dlaczego? Czyżby trafiła w żyłę, a nie w tętnicę?

Wkłuła się więc w drugą rękę. Zdecydowanie i głęboko. Krwawiło mocniej, Bogu dzięki.

– Nie mogliśmy powstrzymać policji od wejścia na nasz teren – powiedziała nagle czarownica na zewnątrz.

Merete wstrzymała oddech. Zobaczyła, jak krew nagle znajduje drogę ujścia i płynie szybciej. Policja? Byli tutaj?

Przygryzła usta. Poczowała, jak ból głowy przybiera na sile, a serce spowalnia.

– Wiedzą, że grunt należał do Hale'a – ciągnęła kobieta. – Jeden z nich

twierdził, że nie wie, że Daniel Hale zginął tu w pobliżu, ale kłamał, Lasse, widać to było po nim.

– Czego chcieli ode mnie? To ma coś wspólnego z tym facetem, o którym pisali w gazetach? Tym z nowego wydziału policji? – zapytał Lasse.

Zatkane uszy powodowały, że głosy dochodziły do niej jakby z daleka. A ona chciała słyszeć wszystko.

Teraz wydawało się, że kobieta na zewnątrz łka.

– Nie wiem, Lasse – powtarzała wielokrotnie.

– Dlaczego uważasz, że tu wrócą? – kontynuował. – Powiedziałaś przecież, że jestem na morzu.

– Tak, Lasse, ale oni wiedzą, w jakiej firmie pracujesz. Słyszeli o samochodzie, który przyjeżdża z firmy, ten czarny się z tym zdradził, a ten duński policjant był z tego powodu zły, to było widać. Pewnie już wiedzą, że nie było cię na morzu od wielu miesięcy. Że teraz pracujesz w dziale cateringu. Dowiedzą się o tym, Lasse, czuję to. Także o tym, że parę razy w tygodniu przysyłasz tu samochodami firmowymi nadwyżkę jedzenia. Wystarczy tam zadzwonić, Lasse, nie możesz temu zapobiec. I wtedy wrócą. Wydaje mi się, że pojechali tylko po nakaz rewizji. Pytali, czy mogą się rozejrzeć.

Merete wstrzymała oddech. Policja tu wróci? Z nakazem rewizji? Tak myślą? Popatrzyła na krwawiący nadgarstek i mocno przycisnęła ranę palcem. Krew ciekła w dół po kciuku, zbierając się w fałdach skóry pod nadgarstkiem, po czym kapała powoli na kolana. Zwolni nacisk, kiedy będzie pewna, że bitwa jest przegrana. Pewnie ją pokonają, ale póki co są pobici. Co za cudowne uczucie!

– Jaki powód podali, by obejrzeć dom? – spytał Lasse.

Ciśnienie w uszach Merete wzrosło. Niemal nie mogła go wyrównać. Próbowwała ziewać i nasłuchiwała z całych sił. Poczowała też nacisk wewnątrz, w biodrze. W biodrze i w zębach.

– Ten duński policjant twierdził, że ma brata w Novo Nordisk i że chciałby obejrzeć miejsce, z którego wywodzi się tak duże przedsiębiorstwo jak Interlab.

– Co za bzdury.

– Dlatego do ciebie zadzwoniłam.

– O której dokładnie tu byli?

– Nie minęło jeszcze dwadzieścia minut.

– Czyli mamy niecałą godzinę. Musimy też zgarnąć zwłoki i wywieźć, a tego nie zdążymy zrobić. Potrzeba nam czasu, żeby posprzątać i zmyć wszystko wodą. Nie, musimy odłożyć to na później. Teraz chodzi tylko o to, żeby niczego nie znaleźli i zostawili nas w spokoju.

Merete próbowała odsunąć od siebie słowo „zgarnąć”. To naprawdę o niej mówił Lasse? Jak człowiek może być tak odrażający i cyniczny?

– Przyjadą i was złapią, zanim zdążycie uciec! – krzyknęła. – Zgnijecie

w więzieniu, kanalie! Nienawidzę was, rozumiecie?! Nienawidzę was wszystkich!

Podniosła się powoli, a cienie za szybami rozproszyły się w roztrzaskanych szklanych powierzchniach.

Głos Lassego był lodowaty.

– Więc może wreszcie rozumiesz, czym jest nienawiść! Może to teraz rozumiesz, Merete?! – odkrzyknął.

– Lasse, a może już teraz wysadzimy dom w powietrze? – wtrąciła się kobieta.

Merete intensywnie nasłuchiwała.

Nastąpiła pauza. Pewnie się zastanawiał. Chodziło o jej życie. Namyslał się, jak najlepiej ją zabić. Ale nie tylko o nią tu chodziło. Ona została spisana na straty. Chodziło o nich samych.

– Nie, w tych okolicznościach nie możemy tego zrobić, trzeba poczekać. Może się nie zorientują, że coś jest nie tak. Jeśli teraz wysadzimy wszystko w powietrze, cały nasz plan legnie w gruzach. Nie dostaniemy ubezpieczenia, mamó. Będziemy musieli zniknąć. Na zawsze.

– Nie wytrzymam tego, Lasse – powiedziała kobieta

To zdychaj ze mną, więdźmo – pomyślała Merete.

Od czasu, kiedy patrzyła w oczy Lassego w trakcie ich spotkania w Café Bankeråt, nie słyszała, żeby przemawiał do kogoś tak czułym głosem.

– Wiem, mamó. Wiem o tym – odpowiedział. Przez chwilę brzmiał niemal jak człowiek, ale zaraz potem padło pytanie, które sprawiło, że jeszcze mocniej zacisnęła rękę na ranie: – Mówisz, że zablokowała służę?

– Tak. Nie słyszysz? Wyrównywanie ciśnienia przebiega zbyt powoli.

– W takim razie włączę regulator czasowy.

– Jak to, Lasse?! Przecież minie dwadzieścia minut, zanim dysze się otworzą. Nie ma innego sposobu? Ona się pocięła, Lasse. Nie możemy zablokować systemu wymiany powietrza?

Regulator czasowy? Czy nie mówili wcześniej, że mogą wyrównać ciśnienie, kiedy tylko chcą? Że ona nie zdąży zrobić sobie krzywdy, zanim całkowicie otworzą mechanizm? To były kłamstwa?

Czuła, jak narasta w niej histeria. Uważaj, Merete – przemknęło jej w głowie. Reaguj! Nie wsłuchuj się w siebie!

– Zablokować system wymiany powietrza? Co to da? – Lasse był wyraźnie poirytowany. – Powietrze zostało wymienione wczoraj. Minie przynajmniej osiem dni, zanim zostanie zużyte. Nie, włączam ten regulator.

– Jakież problemy?! – krzyknęła. – To gównó nie działa, Lasse?!

Spróbował udawać, że się z niej śmieje, ale nie dała się nabrać. Było jasne, że jest wściekły z powodu jej kpin.

– Możesz być spokojna – powiedział opanowany. – To skonstruował mój

ojciec. Była to najnowocześniejsza komora ciśnieniowa na świecie. Tutaj powstawały najdoskonalsze i najlepiej przetestowane obudowy do reaktorów. Większość pompuje wodę do pojemników i testuje ciśnienie od wewnątrz, ale w firmie mojego ojca poddawano je też działaniu ciśnienia z zewnątrz. Wszystko z największą ostrożnością. Regulator czasowy kontrolował temperaturę i wilgotność w pomieszczeniu, dostosowywał wszystkie wskaźniki, żeby ciśnienie nie wyrównywało się zbyt szybko. W przeciwnym razie w pojemnikach powstałyby pęknięcia podczas kontroli jakości. Dlatego to zajmuje trochę czasu, Merete! Dlatego!

Oni wszyscy byli psychicznie chorzy.

– Macie poważne problemy! – krzyknęła. – Jesteście chorzy! Jesteście zgubieni, zupełnie jak ja!

– Problemy? Zaraz będziesz je miała! – odrzyknął podnieconym głosem. Usłyszała chrobot i szybkie kroki na korytarzu, po czym na szybko zarysował się cień, a przez system nagłaśniający rozniósł się huk dwóch ogłuszających strzałów. Zobaczyła, że jedna z szyb po raz kolejny zmieniła barwę. Była teraz zupełnie biała i nieprzezroczysta.

– Lasse, o ile nie obrócisz tego domu w pył, to zostawiłam tu wystarczająco dużo wizytówek, których nie będziecie mogli usunąć. Nie ujdzie wam to na sucho. – Zaśmiała się. – Nie ujdzie wam. Pokrzyżowałam wam plany.

W następnej minucie usłyszała kolejnych sześć wybuchów. To były ewidentnie strzały padające parami. Ale obie szyby wytrzymały.

Krótko potem doszedł ucisk w stawie ramieniowym. Niezbyt duży, ale nieprzyjemny. To oraz ucisk w zatokach czołowych, nosowych i w stawie żuchwowym. Napięła się jej skóra. Jeśli takie były konsekwencje minimalnego wyrównywania ciśnienia spowodowanego świszczącym dźwiękiem i szparą w śluzie, w takim razie to, co ją czekało, gdy wyrównają ciśnienie do końca, będzie nie do wytrzymania.

– Policja jedzie! – krzyknęła. – Czuję to! – Schyliła głowę i spojrzała na swoją krwawiącą rękę. Zdawała sobie sprawę, że policja nie zdąży na czas. Wkrótce będzie musiała zdjąć palec z rany. Za dwadzieścia minut otworzą się dysze.

Poczuła ciepły strumień na drugiej ręce. Czyli pierwsza rana zdradziecko się otworzyła. Przepowiednia Lassego się sprawdzała. Kiedy wzrośnie ciśnienie w ciele, tryśnie z niej krew.

Wykręciła trochę ciało, by przycisnąć krwawiący nadgarstek kolanem, i przez sekundę się zaśmiała. To było zupełnie jak dziecięca zabawa z minionych czasów.

– Merete, aktywuję regulator czasowy – powiedział Lasse na zewnątrz. – Za dwadzieścia minut otworzą się dysze i zredukują ciśnienie w pomieszczeniu. Minie

jakieś pół godziny, zanim ciśnienie wyniesie jedną atmosferę. To prawda, że zdążysz do tej pory odebrać sobie życie, nie wątpię w to. Ale już tego nie zobaczę, Merete, rozumiesz? Nie zobaczę tego, bo szyby są już zupełnie nieprzezroczyste. A jeśli ja tego nie zobaczę, to nikt inny też nie. Zapieczętujemy komorę ciśnieniową, Merete. Mamy tu mnóstwo płyt gipsowych. Musisz umrzeć, w ten czy inny sposób.

Usłyszała śmiech kobiety.

– Chodź, braciszku, chodź mi pomóc – usłyszała słowa Lassego. Jego głos brzmiał teraz inaczej. Bardziej protekcyjnie.

Na zewnątrz znowu coś zaszurało i w pomieszczeniu zaczęło powoli robić się ciemno. Potem wyłączyli reflektory i ustawili przy oknach dodatkowe płyty, aż wreszcie zapadł zupełny mrok.

– Dobranoc, Merete – powiedział cicho na zewnątrz. – Niech cię pochłonie ogień piekielny. – Po czym wyłączył przycisk systemu nagłaśniającego i wszystko ucichło.

Tego samego dnia

Ciąg samochodów na autostradzie E20 był znacznie dłuższy niż zwykle. Choć syrena policyjna doprowadzała Carla do szału, ludzie w autach nic nie słyszeli. Siedzieli pogrążeni we własnych myślach, z włączonym na pełen regulator radiem, marząc, by znaleźć się daleko stąd.

Assad z wściekłości walił pięścią w deskę rozdzielczą. Ostatnie kilometry przed zjazdem pokonali poboczem, a samochody znajdujące się przed nimi musiały się stłoczyć, by ich przepuścić.

Gdy wreszcie zatrzymali się przed gospodarstwem, Assad wskazał ręką na drugą stronę szosy.

– Był tam wcześniej samochód? – zapytał.

Carl spojrział na auto, przejechawszy wzrokiem po szutrowej drodze prowadzącej do ziemi niczyjej. Stało schowane za krzakami, jakieś sto metrów dalej wzdłuż drogi. Zdaje się, że widać było przednią część maski stalowoszarej terenówki z napędem na cztery koła.

– Nie jestem pewien – powiedział, próbując na próżno zignorować dźwięk komórki dobiegający z wewnętrznej kieszeni marynarki. Wyciągnął ją i sprawdził numer. Dzwonili z Komendy Głównej.

– Mørck, słucham – powiedział, spoglądając na gospodarstwo. Wszystko wyglądało jak wcześniej. Żadnych oznak paniki czy prób ucieczki.

W słuchawce usłyszał zadowoloną z siebie Lis.

– Już działa, Carl. Wszystkie rejestry znów funkcjonują. Baba z ministerstwa spraw wewnętrznych wydusiła z siebie, jakie jest antidotum na to gówno, które puściła w obieg, a pani Sørensen wpisała już wszystkie kombinacje numeru przy nazwisku Lars Henrik Jensen, tak jak prosił Assad. Było ciężko. Uważam, że należy jej się od was spory bukiet, ale znalazła tego faceta. Tak jak Assad przypuszczał, dwie cyfry zostały zmienione. Jest zameldowany na Strøhusvej w Greve. – Podała numer.

Carl zerknął na kute ręcznie liczby na fasadzie domu. Tak, numer się zgadzał.

– Dziękuję, Lis – powiedział, próbując nadać głosowi rozentuzjasmowany ton. – Przekaż podziękowania pani Sørensen. Kawał dobrej roboty.

– Jest jeszcze coś, Carl.

Carl wziął głęboki wdech, patrząc, jak Assad lustruje swoim ciemnym wzrokiem rozciągający się przed nimi teren. Carl też to czuł. Sposób, w jaki ci ludzie się tu urządzili, był naprawdę dziwaczny. Zupełnie nienormalny.

– Lars Henrik Jensen: niekarany, z zawodu steward – paplała w tle Lis. – Pracuje dla armatora Merconi, a pływa przede wszystkim po Bałtyku. Właśnie rozmawiałam z jego pracodawcą. Mówił, że Lars Henrik Jensen odpowiada za catering na większości ich statków. Zdolny człowiek, jak twierdzą. Wszyscy mówią o nim Lasse.

Carl spuścił wzrok z gospodarstwa.

– Masz jego numer komórkowy, Lis?

– Tylko numer stacjonarny. – Podała go, ale nie zapisywał. Do czego miałby go użyć? Żeby zadzwonić i powiedzieć, że będą za dwie minuty?

– Nie masz numeru komórki?

– Pod tym adresem podany jest tylko numer jakiegoś Hansa Jensena.

Okej. Czyli tak się nazywał ten chudy. Wziął numer i jeszcze raz podziękował.

– Coś ciekawego? – zapytał Assad.

Wzruszył ramionami i wyciągnął dowód rejestracyjny samochodu ze schowka.

– Nic, czego byśmy już nie wiedzieli, Assad. Ruszamy?

Chudy chłopak otworzył drzwi niemal w chwili, gdy do nich zapukali. Nic nie powiedział, po prostu ich wpuścił, zupełnie jakby ich oczekiwali.

Miało to, zdaje się, wyglądać tak, jakby on i jego matka siedzieli zrelaksowani i jedli przy nakrytym ceratą stole stojącym dziesięć metrów w głąb pomieszczenia. Chyba ravioli z puszką, którą właśnie otworzyli. Gdyby tak dotknąć klusek, na pewno okazałyby się zimne jak lód. Jego nie nabiorą. Mydlenie oczu.

– Mamy nakaz rewizji – powiedział, wyjmując dowód rejestracyjny i wyciągając go na chwilę w ich stronę. Chudy skulił się na sam ten widok.

– Możemy się trochę rozejrzeć? – Ruchem ręki odesłał Assada do monitorów.

– Nie muszę odpowiadać na to pytanie, jak sądzę – powiedziała kobieta. Siedziała ze szklanką wody, sprawiając wrażenie wykończonej. Wyraz nieposłuszeństwa zniknął z jej oczu, ale nie wyglądała na przestraszoną, raczej na zrezygnowaną.

– Te monitory do czego służą? – zapytał, po tym jak Assad sprawdził toalety. Wskazał zielone światło sączące się spod materiału.

– Ach, Hans się tym zajmuje – odparła kobieta. – Mieszkamy tu na wsi, na odludziu, a tyle się słyszy. Chcemy więc zainstalować kilka kamer, żeby nadzorować teren wokół domu.

Zobaczył, jak Assad odchyła materiał i kręci głową.

– Są trzy, a żaden nic nie pokazuje, Carl – oznajmił.

– Czy mogę cię zapytać, Hans, dlaczego ekrany się świecą, chociaż nie są do niczego podłączone?

Chłopak spojrzał na matkę.

– Są zawsze włączone – odpowiedziała, jakby to w ogóle mogło dziwić. – Prąd płynie z gniazda.

– Z gniazda, coś podobnego! A gdzie ono jest?

– Nie wiem. Lasse to wie. – Spojrzała na niego tryumfalnie. Trafił w ślepy zaułek. Stał pośrodku, wpatrując się w jego strome ściany.

– Lasse nie jest teraz na morzu, wiemy to od jego pracodawcy. Gdzie w takim razie jest?

Uśmiechnęła się lekko.

– Jeśli Lasse nie pływa, to pewnie chodzi o kobiety. Nie miesza w to matki, swoją drogą słusznie.

Uśmiech zrobił się szerszy. Żółte zęby będą wkrótce gotowe, by go capnąć.

– Chodź, Assad – powiedział. – Nie mamy tu czego szukać. Rozejrzemy się teraz po innych budynkach.

Rzucił na nią okiem, gdy wychodził na zewnątrz. Jej ręka sięgała już po leżącą na stole paczkę papierosów. Po uśmiechu nie było śladu. A więc trafili na właściwy trop.

– Teraz przez cały czas zwracamy uwagę na to, co się dzieje wokół nas, Assad. Najpierw idziemy do tego budynku – powiedział, wskazując na gmach górujący nad pozostałymi.

– Ustaw się tu i patrz, czy wokół innych zabudowań coś się dzieje, rozumiesz, Assad?

Kiwnął głową.

Gdy Carl się odwrócił, za jego plecami rozległo się ciche, ale charakterystyczne kliknięcie. Zwrócił się w stronę Assada i ujrzał go z lśniącym, długim, dziesięciocentymetrowym nożem sprężynowym w dłoni. Gdyby użyć go właściwie, przeciwnik znalazłby się w tarapatach. Z kolei użyty niewłaściwie sprawiłby, że w tarapatach znaleźliby się wszyscy.

– Co ty, do cholery, wyprawiasz, Assad? Skąd to masz?

Wzruszył ramionami.

– Czary, Carl. Później zaczaruję go tak, że znów zniknie, gwarantuję ci.

– Lepiej, żeby tak było, do diabła.

W kontaktach z Assadem uczucie, że nigdy w życiu nie przeżył niczego podobnego, przestało w ogóle Carla opuszczać. Nielegalna broń? Jak, do diabła, mógł wpaść na coś takiego?

– Assad, stoimy na straży prawa, kapujesz? Ten nóż to fatalny pomysł z wielu względów. Daj mi go!

Wprawa, z jaką Assad jednym ruchem złożył nóż, była istotnie niepokojąca.

Carl zważył nóż w dłoni, zanim włożył go do kieszeni marynarki pod ostrzałem pełnych dezaprobaty spojrzeń Assada. Nawet jego stara, pocziwa

harcerska finka ważyła mniej.

Ogromna hala została zbudowana na odlanym z betonu podłożu, spękany przez mróz i napływającą wodę. Otwory okienne były czarne i poszarpane na brzegach, a belki z wielowarstwowego drewna podtrzymujące strop podniszczył wiatr i działanie powietrza. Przestrzeń była ogromna i zupełnie pusta, jeśli nie liczyć niewielkiej ilości złomu i kilkunastu wiader identycznych jak te, które widział na terenie całego gospodarstwa.

Kopnął jedno z nich, a ono zakręciło się w miejscu, wydzielając odór zgnilizny. Kiedy się zatrzymało, na podłożu pozostało kółko brejowatej substancji. Przyjrzał się jej. Czy były tam resztki papieru toaletowego? Pokręcił głową. Wiadra stały tam w każdą pogodę i pewnie ich zawartość nasiąkła deszczem. Wszystko mogło tak wyglądać i śmierdzieć po upływie odpowiedniego czasu.

Spojrzał na dno wiadra i rozpoznał logo armatora Merconi wytłoczone w plastiku. To pewnie w nich przywożono nadwyżkę jedzenia ze statków.

Wziął z kupy złomu porządny żelazny pręt i poszedł do leżącego najdalej budynku, zabierając ze sobą Assada.

– Stój tu – polecił mu, oceniając kłódkę, do której klucz rzekomo miał Lasse.

– Przyjdź po mnie, Assad, jeśli zauważysz coś dziwnego – ciągnął, wkładając żelastwo pod mocowanie kłódki. W starym samochodzie służbowym mieli pełną skrzynkę narzędzi, które otworzyłyby ją bez najmniejszego problemu. Jednak teraz musiał zacisnąć zęby i wybrać rozwiązanie siłowe.

Szarpał się tak przez pół minuty, aż Assad obrócił się i spokojniutko wyjął mu z ręki metalowy pręt.

Niech mu będzie – pomyślał Carl.

W okamgnieniu pałak kłódki upadł w żwir tuż przy jego nogach.

Kilka chwil później weszli do budynku, czujnie, ale na poły z poczuciem klęski.

Pomieszczenie przypominało to, w którym mieszkała matka, ale zamiast mebli na środku stało kilka różnokolorowych butli spawalniczych. Oprócz nich były tam ciągnące się chyba na sto metrów puste metalowe regały. W najodleglejszym kącie, obok drzwi, piętrzyły się jedna na drugiej płyty ze stali nierdzewnej. Poza tym nic specjalnego. Przyjrzał się drzwiom. Nie mogły prowadzić na zewnątrz, zwróciłby na to uwagę.

Podszedł do nich i złapał za uchwyt. Mosiężna, lśniąca klamka nie ustępowała. Spojrzał na zamek typu Gerda. Nosił ślady niedawnego użytkowania.

– Assad, podejdź tu! Weź ze sobą żelastwo! – krzyknął.

– Nie mówiłeś, że mam zostać na zewnątrz? – zapytał Assad, stając przed nim.

Carl wskazał na żelastwo, a potem na drzwi.

– Pokaż, co potrafisz.

Otworzył się przed nimi duszny pokój. Łóżko, stół, komputer, duże lustro, czerwony dywan, otwarta szafa z wiszącymi wewnątrz garniturami i paroma niebieskimi mundurami, umywalka ze szklaną półką i całym rzędem płynów po goleniu. Łóżko było pościelone, papiery ułożone starannie w stos. Nic nie wskazywało na obecność niezrównoważonej osoby.

– Carl, jak myślisz, czemu zamknął drzwi na klucz? – zapytał Assad, unosząc podkładkę na biurko i zaglądając pod spód. Następnie uklęknął i zajrzał pod łóżko.

Carl sprawdził resztę. Nie, Assad miał rację. Na pierwszy rzut oka nie było tu nic do ukrycia, po co zamykać na klucz?

– Tutaj musi coś być, Carl. W przeciwnym razie po co ten zamek?

Carl kiwnął głową i zanurkował do szafy. Znów ten zapach perfum. Niemal przyklejał się do ubrania. Postukał w tylną deskę, ale nic niezwykłego się nie wydarzyło. Tymczasem Assad uniósł dywan, pod którym nie znalazł poćwiartowanych części ciała.

Przeczesał wzrokiem sufit i ściany, po czym obaj w tej samej chwili skupili się na lustrze. Wisiało tak jakoś samotnie. Wokół niego była tylko kredowobiała, matowa ściana.

Carl popukał w ścianę kłykciami. Wyglądała na masywną.

Można by zdjąć lustro z haczyków – pomyślał i chwycił za ramy, ale lustro ani drgnęło. Wtedy Assad przyłożył policzek do ściany i zajrzał za nie.

– Chyba wisi na haku przymocowanym z drugiej strony. Tutaj widać taką jakby kłódkę.

Włożył palec za lustro i podniósł zapadkę kłódky, po czym chwycił za ramę i pociągnął. W lustrze mignęła panorama pokoju, kiedy odsunął je na bok, odsłaniając dużą na wysokość człowieka, czarną jak smoła dziurę w ścianie.

Kiedy następnym razem będziemy w terenie, przygotuję się – pomyślał Carl i oczyma wyobraźni zobaczył swoją kieszonkową latarkę leżącą na stosie papierów w szufladzie biurka. Sięgnął do pomieszczenia i usiłował wymacać na ścianie kontakt, myśląc przy tym tęsknie o swoim pistolecie. Przez chwilę poczuł ucisk w piersi.

Wziął głęboki wdech i nasłuchiwał. Nie, do cholery, przecież wewnątrz nie mogło nikogo być. W jaki sposób udałoby mu się zamknąć od środka, jeśli kłódka wisiała na drzwiach zewnętrznych? Chyba że brat albo matka Lassego Jensena otrzymali polecenie, aby go zamknąć w kryjówce, kiedy przyjedzie policja i zaczną węszyć?

Znalazł kontakt trochę dalej na ścianie i nacisnął, gotów, by odskoczyć, jeśli ktoś by tam na nich czekał. Minęła chwila, podczas której rozciągający się przed nimi widok pograżył się w migającej poświacie, zanim świetlówki zapaliły się na dobre.

Wtedy było już jasne.

Mają właściwego człowieka. Nie ma co do tego żadnych wątpliwości.

Poczuł, jak za jego plecami Assad bezszelestnie wsuwa się do pokoju, a on sam zbliżył się do tablicy korkowej i zdezelowanych stalowych stołów umieszczonych pod ścianą. Miał przed sobą zdjęcia Merete Lynggaard w różnych odślonach. Począwszy od jej pierwszego wystąpienia na mównicy, a skończywszy na domowej idylli na pokrytym liśćmi trawniku w Stevns. Chwile bez troski uchwycone przez kogoś, kto jej źle życzył.

Jego wzrok powędrował w dół, na jeden z metalowych stołów. Zarejestrował natychmiast, jak metodycznie Lasse, alias Lars Henrik Jensen, zmierzał do obranego przez siebie celu.

Na pierwszej kupce leżały papiery z Godhavn. Podniósł róg pierwszej z brzegu kartki i zobaczył oryginalne akta Larsa Henrika Jensena. Te, które zniknęły całe lata temu. Na wielu kartkach niezdarnie ćwiczył poprawianie numeru ewidencyjnego. Z czasem nabrał wprawy, bo po tej leżącej na samym wierzchu znać było mistrza. Tak, Lasse majstrował przy papierach, które zostały w Godhavn, i dzięki temu zyskał na czasie.

Assad wskazał kolejny stos. Była tam korespondencja między Lassem a Danielem Hale'em. Najwyraźniej Interlab nie otrzymał jeszcze pełnej kwoty za budynki, które Lasse przejął wiele lat wcześniej. Na początku 2002 roku Daniel Hale nadesłał więc faksem wiadomość, że zamierza wystąpić o nakaz sądowy. Chodziło o dwa miliony koron. Daniel Hale sam wydał na siebie wyrok, ale skąd mógł znać determinację swojego przeciwnika? Być może właśnie to żądanie dokładnie w tamtej chwili dało początek całej reakcji łańcuchowej.

Carl podniósł leżące na wierzchu papiery. Była to kopia faksu, wysłanego przez Lassego tego samego dnia, w którym zginął Hale. Oświadczenie i niepodpisana umowa.

„Mam pieniądze. Możemy podpisać umowę i dokończyć transakcję dzisiaj u mnie. Mój adwokat przyniesie wszystkie konieczne papiery, propozycję umowy prześlę zaraz faksem. Proszę nanieść swoje komentarze oraz poprawki i wziąć te papiery ze sobą” – brzmiała treść faksu. Tak, pomyślał o wszystkim. Gdyby dokumenty nie spaliły się w samochodzie, Lasse na pewno by się postarał, żeby zniknęły przed przyjazdem policji i ekipy ratunkowej. Carl zanotował datę i godzinę spotkania. Wszystko idealnie się zgadzało. Hale został zwabiony na swoją własną śmierć. Dennis Knudsen czekał na niego na Kappellev Landevej, trzymając nogę na pedale gazu.

– I tutaj, Carl – powiedział Assad, biorąc kartkę z kolejnego stosu. To był wycinek z „Gazety Gminy Frederiksborg”, która na samym dole strony odnotowywała śmierć Dennisa Knudsen. „Śmierć z przedawkowania narkotyków” – brzmiała zdawkowa informacja.

Czyli został odpowiednio zaklasyfikowany w statystykach.

Carl przejrzał uważnie kolejne kartki ze stosu. Nie ulegało wątpliwości, że Lasse Jensen zaoferował Dennisowi Knudsenowi sporo pieniędzy za sprowokowanie wypadku samochodowego. Nie było też wątpliwości, że to brat Lassego, Hans, wbiegł pod samochód Daniela Hale'a, zmuszając go tym samym, by zjechał na środek drogi. Wszystko zgodnie z umową, może oprócz tego, że Lasse nigdy nie zapłacił Dennisowi tego, co mu obiecał, a Dennis się wkurzył.

Dennis Knudsen w zaskakująco zgrabnie sformułowanym liście stawiał Lassemu ultimatum, że albo zapłaci te trzysta tysięcy koron, albo któregoś pięknego dnia Dennis dopadnie go na bezdrożach.

Carl pomyślał o siostrze Dennisa. Nie ma co, rozpacziała po cudownym młodszym braciszku.

Spojrzał na tablice korkowe i dostrzegł od razu, jak zepsuty ząb czasu zatruwał życie Lassego Jensena. Wypadek samochodowy, odmowa towarzystwa ubezpieczeniowego. Odmowa pomocy ze strony Funduszu Lynggaardów. Motywy się nawarstwiały wyraźne jak nigdy dotąd.

– Myślisz, że zwariował od tego wszystkiego w głowie? – zapytał Assad, podając mu jakiś przedmiot.

Carl zmarszczył brwi.

– Nie mam odwagi o tym myśleć, Assad.

Przyjrzał się uważnie przedmiotowi, który wręczył mu Assad. To był mały kompaktowy telefon komórkowy marki Nokia. Czerwony i nowiutki. Z tyłu krzywymi, drukowanymi literami było napisane „Sanne Jønsson”, pod napisem zaś widniało małe serduszko. Ciekawe, co powiedziałyby dziewczynka, gdyby się dowiedziała, że telefon jeszcze istnieje.

– Mamy tutaj wszystko – powiedział do Assada, pokazując ruchem głowy zdjęcia zapłakanej matki Lassego siedzącej na szpitalnym łóżku. Fotografie budynków w Godhavn i jakiegoś mężczyzny, którą tłustym drukiem podpisano „Zastępczy ojciec Szatan”. Stare jak świat wycinki z gazet wychwalające HJ Industries i ojca Lassego Jensena za jego jedyną w swoim rodzaju, pionierską działalność w branży duńskiego przemysłu precyzyjnego. Poza tym było tu co najmniej dwadzieścia zdjęć detali z promu Szlezwik-Holsztyn, plan rejsów, wymierzone odległości oraz liczba schodów prowadzących na pokład samochodowy. Był też harmonogram w dwóch kolumnach – jedna dla Lassego, druga dla jego brata. Czyli uczestniczyli w tym obaj.

– Co to znaczy? – zapytał Assad, wskazując na liczby.

Carl nie był pewien.

– To może znaczyć, że ją uprowadzili i zabili gdzieś indziej. Niestety obawiam się, że to może być wyjaśnienie.

– A co w takim razie znaczy to? – ciągnął Assad, pokazując na ostatni ze

stalowych stołów, na którym leżało kilka segregatorów i parę rysunków technicznych z jakimiś przekrojami.

Carl otworzył pierwszy segregator. Był podzielony zakładkami, a na samym początku widniał napis: „Podręcznik nurkowania – Akademia Marynarki Wojennej, sierpień 1985”. Przekartkował fragment, czytając nagłówki: fizjologia nurkowania, schematy zaworów, wynurzenie – tabele dekompresyjne, tabele tlenowe, prawo Boyle’a, prawo Daltona.

Totalna chińszczyzna.

– Czy trzeba znać zasady nurkowania, kiedy jest się stewardem, Carl? – zapytał Assad.

Carl potrząsnął głową.

– Może to po prostu hobby.

Przekartkował stos papierów i znalazł roboczą wersję instrukcji, napisanej starannym, pochyłym pismem.

„Wskazówki dotyczące testów ciśnieniowych obudów bezpieczeństwa, autor: Henrik Jensen, HJ Industries, 10.11.1986”.

– Dasz radę to przeczytać, Carl? – spytał Assad, wlepiając oczy w tekst. On najwidoczniej nie potrafił.

Na pierwszej stronie narysowano kilka diagramów i schematów układu rur. Prawdopodobnie chodziło o specyfikację zmian, które należało nanieść do istniejących już urządzeń, pewnie tych, które HJ Industries przejęło od Interlabu przy zakupie budynków.

Starał się rozszyfrować, najlepiej jak potrafił, zapisaną odręcznie kartkę, zatrzymując się na słowach „komora ciśnieniowa” i „zamknąć wewnątrz”.

Podniósł głowę i spojrzał na zrobione z bliska zdjęcie Merete Lynggaard wiszące nad stertą papierów. Słowo „komora ciśnieniowa” jeszcze raz z hukiem przetoczyło mu się przez głowę.

Na samą myśl przeszedł go zimny dreszcz. Czy to mogła być prawda? Myśl była nieopisanie przerażająca. Zaczął go zalewać pot.

– Co się dzieje, Carl? – spytał Assad.

– Wyjdź na zewnątrz i obserwuj cały teren. Natychmiast, Assad!

Jego kompan właśnie szykował się do powtórzenia pytania, gdy Carl obrócił się ku ostatniemu stosowi papierów.

– Idź już, Assad, i uważaj. Weź to ze sobą. – Podał Assadowi żelazny pręt, którym otworzyli drzwi.

Szybko przewertował stertę. Sporo matematycznych wyliczeń, pisanych głównie ręką Henrika Jensena, ale również przez innych. Nie było tam jednak nic, czego by szukał.

Jeszcze raz przyjrzał się ostremu jak brzytwa zdjęciu Merete Lynggaard. Prawdopodobnie zrobiono je z bardzo bliska, ale ona tego nie zauważyła, bo wzrok

miała zwrócony lekko w bok. Jej spojrzenie miało szczególny wyraz. Rodzaj żywotności i swawolności, które w jakiś sposób udzielały się obserwatorowi. Carl był pewien, że nie dlatego Lasse Jensen powiesił to zdjęcie. Wręcz przeciwnie. Brzeg zdjęcia był mocno podziurawiony. Pewnie wiele razy zdejmowano je i wieszano z powrotem.

Wyjął jedna po drugiej wszystkie cztery pinezki, którymi zdjęcie było przymocowane do tablicy korkowej, po czym chwycił fotografię i odwrócił ją.

Napis na odwrocie był dziełem szaleńca.

Przeczytał go kilkakrotnie.

„Te odrażające oczy wyskoczą ci z głowy. Twój żaloszny uśmiech utonie we krwi. Włosy ci wypadną, a myśli obrócą się w pył. Zęby zgniją. Nikt nie będzie cię pamiętał inaczej niż jako tę, którą jesteś: dziwką, suką, czarcim pomiotem i pierdoloną morderczynią. Zdychaj, Merete Lynggaard”.

A pod spodem dodano drukowanymi literami:

6.07.2002: 2 ATMOSFERY

6.07.2003: 3 ATMOSFERY

6.07.2004: 4 ATMOSFERY

6.07.2005: 5 ATMOSFER

6.07.2006: 6 ATMOSFER

15.05.2007: 1 ATMOSFERA

Carl się obejrzał. Miał wrażenie, jakby ściany wokół niego się zacieśniały. Podniósł rękę do czoła, myśląc intensywnie, aż niemal było słychać poruszające się w jego głowie trybiki. Mieli ją, był tego pewien. Czuł, że jest gdzieś w pobliżu. Według tych zapisków chcieli ją zabić za pięć tygodni, 15 maja, ale prawdopodobnie już to zrobili. Czuł, że on i Assad to sprowokowali. I że stało się to tutaj, na terenie gospodarstwa. Na pewno tutaj.

Co mam robić? Kto może coś wiedzieć? – pomyślał, przeszukując usilnie zasoby pamięci.

Chwycił komórkę i wystukał numer Kurta Hansena, swojego dawnego kolegi, który osiadł w Folketingu z ramienia partii Prawica.

Chodził wte i wewte, słysząc sygnał połączenia. Czas gdzieś uciekł, śmiejąc się z nich wszystkich, czuł to teraz wyraźnie.

Na sekundę przed przerwaniem połączenia głos Kurta Hansena z charakterystycznym chrząknięciem odezwał się w słuchawce.

Carl poprosił go, by się nie odzywał, tylko posłuchał i szybko kojarzył. Żadnych pytań, tylko odpowiedzi.

– Co się stanie, jeśli kogoś podda się ciśnieniu do sześciu atmosfer przez okres pięciu lat, a potem natychmiast się je zredukuje? – zastanawiał się Kurt. – Co za dziwne pytanie. Taka sytuacja jest chyba hipotetyczna, prawda?

– Kurt, po prostu odpowiedz. Jesteś jedyną znaną mi osobą, która wie coś

o tych sprawach. Nie znam nikogo innego z certyfikatem nurka zawodowego. Powiedz mi, co się wtedy zdarzy.

– No, umiera się.

– Tak, ale jak szybko?

– Nie mam pojęcia, ale to paskudna sprawa.

– Dlaczego?

– Człowieka rozsadza od środka. Pęcherzyki płucne rozsadzają płuca. Azot zawarty w kościach rozsadza tkankę, organy. Wszystko w ciele się rozszerza, bo wszędzie jest powietrze. Zatory, wylew krwi do mózgu, rozległe krwotoki, a nawet...

Carl powstrzymał go.

– Kto może pomóc w takiej sytuacji?

Wtedy Kurt Hansen ponownie odchrząknął. Może nie wiedział.

– Czy to rzeczywista sytuacja, Carl? – zapytał.

– Obawiam się, że tak.

– Więc powinieneś zadzwonić do bazy marynarki wojennej w Holmen. Mają tam przenośną komorę dekompresyjną. Model Duocom firmy Dräger. – Podał mu numer, a Carl się pożegnał.

Wprowadzenie ludzi z marynarki wojennej w szczegóły sprawy zajęło tylko chwilę.

– Pospieszcie się, to cholernie ważne – powiedział Carl. – Musicie zabrać ze sobą ludzi z młotami pneumatycznymi i ciężkim sprzętem. Nie wiem, na jakie możecie natrafić przeszkody. I poinformujcie Komendę Główną. Potrzebuję posiłków.

– Myślę, że rozumiem sytuację – brzmiała odpowiedź.

Do ostatniego z budynków zbliżyli się z ogromną ostrożnością. Wodzili czujnie oczyma po ziemi, sprawdzając, czy nie ma gdzieś świeżych śladów kopania. Przyglądali się ohydny plastikowym beczkom leżącym pod murem, jakby mogły zawierać bombę.

Również te drzwi były zamknięte na kłódkę, którą Assad wyłamał metalowym prętem. Wkrótce pewnie wejdzie to w zakres jego obowiązków.

W przedsionku hali panował słodkawy zapach. Coś jakby mieszanka wody kolońskiej z sypialni Lassego Jensena i zleżalego mięsa. Albo może raczej jak zapach dochodzący z klatki drapieźników w ciepły wiosenny dzień.

Na ziemi leżało mnóstwo pojemników różnej długości wykonanych z lśniącej stali nierdzewnej. Większość nie była w pełni wyposażona w instrumenty pomiarowe, ale niektóre tak. Ciągące się w nieskończoność półki na jednej ze ścian sugerowały, że spodziewano się dużej produkcji. Ta jednak nigdy nie nastąpiła.

Carl pokiwał do Assada, by ten podszedł z nim do kolejnych drzwi. Położył palec na ustach. Assad skinął głową, ściskając metalowy pręt tak mocno, że aż pobiełały mu kłykcie. Skurczył się trochę, jakby chciał uczynić z siebie mniejszy cel ataku. Sprawiało to wrażenie odruchu.

Carl otworzył kolejne drzwi. Wewnątrz paliło się światło. Lampy umieszczone w zbrojonym szkłe oświetlały korytarz. Po jednej stronie znajdowało się kilka drzwi do gabinetów bez okien, po drugiej zaś widniały drzwi prowadzące do kolejnego korytarza. Carl pokazał gestem, żeby Assad sprawdził gabinety, a sam wszedł do wąskiego, długiego przejścia.

Było tam paskudnie. Zupełnie jakby ktoś przez ten cały czas obrzucał ściany i podłogę gównem i brudem. W kompletnie innym duchu niż ten, który pragnął stworzyć założyciel fabryki, Henrik Jensen. Carl miał trudności, aby wyobrazić sobie inżynierów w białych kitlach w takich warunkach, jakie tu teraz zastał. Wielkie trudności.

Na końcu korytarza znajdowały się drzwi, które Carl ostrożnie otworzył, ściskając nóż sprężynowy w kieszeni marynarki.

Zapalił światło i stwierdził, że jest to magazyn, w którym znajduje się kilka stołów na kółkach, mnóstwo gipsowych płyt oraz rozmaitych butli z wodorem i tlenem. Instynktownie rozchylił nozdrza. Zapach prochu strzelniczego. Jakby całkiem niedawno wystrzelono tutaj z broni palnej.

– W gabinetach niczego nie ma – usłyszał za plecami ciche słowa Assada.

Carl kiwnął głową. Tutaj prawdopodobnie też nic nie było. Nic poza tym samym obrzydliwym wrażeniem, które odniósł w prowadzącym tutaj korytarzu.

Assad wszedł i się rozejrzył.

– Nie ma go tu, Carl.

– Ale to nie jego teraz szukamy.

Assad zmarszczył brwi.

– A kogo?

– Ćśśś – uciszył go Carl. – Słyszysz to?

– Co?

– Posłuchaj. Taki cichy świst.

– Świst?

Podniósł rękę, by go uciszyć, a sam zamknął oczy. Mógł to być wentylator gdzieś w oddali. Może woda płynąca w rurach.

– To powietrze tak robi, Carl. Jakby coś, w czym zrobiła się dziura.

– Tak, ale skąd to dobiega? – Carl powoli obrócił się wokół. Nie można było zlokalizować tego świstu. Pomieszczenie miało najwyżej trzy i pół metra szerokości i około sześciu długości, a jednak wydawało się, że świst dobiega zewsząd i znikąd zarazem.

Przyjrzał się metodycznie pokojowi. Po jego lewej stronie stały obok siebie cztery rzędy gipsowych płyt grube na szerokość jakichś pięciu płyt. Na przeciwległej ścianie znajdowała się jedna ustawiona ukośnie płyta. Ściana po prawej była goła.

Spojrzał na sufit i zobaczył cztery pasy z dziurkami, a między nimi wiązki przewodów i rur miedzianych ciągnących się z korytarza i dalej, nad gipsowymi płytami.

Assad też to zauważył.

– To znaczy, że za tymi płytami coś musi być, Carl.

Kiwnął głową. Może zewnętrzny mur, może coś innego.

Z każdą płytą, którą chwyтали i przynosili na przeciwległą ścianę, zdawało się, że dźwięk się przybliża.

W końcu stanęli przed ścianą, na której u góry pod sufitem znajdowała się duża czarna skrzynka, a poza tym przeróżne przełączniki, mierniki i przyciski. Po jednej stronie tego panelu kontrolnego mieściły się zagłębione w ścianie, łukowato zakończone drzwi składające się z dwóch pokrytych metalem części, a po drugiej dwa duże iluminatory z pancernego mlecznobiałego szkła, nad którymi przyklejono taśmą kable przeciągnięte między kilkoma sztyftami, które według jego wiedzy mogły być detonatorami. Pod każdym z iluminatorów znajdowały się kamery umieszczone na statywach. Nietrudno sobie wyobrazić, do czego służą i jaki był sens montowania detonatorów.

Pod kamerami leżało kilka małych, czarnych kulek. Zebrał je i stwierdził, że to naboje. Dotknął szyb w iluminatorach i zrobił krok do tyłu. Nie ulegało wątpliwości, że w ich stronę oddano kilka strzałów. Czyli Lasse i jego rodzina nie

wszystko mieli pod kontrolą.

Przyłożył ucho do ściany. Świst dochodził ze środka. Nie od drzwi, nie od okien. Po prostu stamtąd. Musiał to być wyjątkowo wysoki dźwięk, jeśli przenikał przez tak masywne zamknięcie.

– Wskazuje ponad cztery bary, Carl.

Spojrzał na manometr ciśnieniowy, w który stukał Assad. Zgadza się. A cztery bary to to samo co pięć atmosfer. Czyli z pomieszczenia zeszła już jedna atmosfera.

– Assad, myślę, że Merete Lynggaard jest wewnątrz.

Jego towarzysz stał przez chwilę spokojnie, oglądając łukowate, metalowe drzwi.

– Myślisz?

Kiwnął głową.

– Ciśnienie idzie w dół, Carl.

To prawda. Ruch igły był rzeczywiście widoczny.

Carl spojrzał na liczne kable. Cienkie przewody między detonatorami kończyły się izolowanymi końcówkami leżącymi na podłodze. Czyli zamierzali podłączyć do nich akumulator albo jakieś inne urządzenie detonacyjne. Czy właśnie tak zamierzali postąpić 15 maja, kiedy ciśnienie opadnie do jednej atmosfery zgodnie z napisem na odwrocie zdjęcia Merete Lynggaard?

Spojrzał wkoło, żeby się w tym wszystkim rozeznąć. Miedziane rury biegły wprost do pomieszczenia. Było ich może z dziesięć. Skąd można wiedzieć, które z nich redukuje ciśnienie, a które je podnoszą? Przecięcie jednej z nich było zbyt ryzykowne. To samo dotyczyło majstrowania przy kablach.

Podszedł do drzwi śluzy i przyjrzał się znajdującej się obok skrzynce z przełącznikami. Tutaj nie było żadnych wątpliwości, wszystko było napisane czarno na białym na sześciu przyciskach: górne drzwi otwarte. Górne drzwi zamknięte. Zewnętrzne drzwi śluzy otwarte. Zewnętrzne drzwi śluzy zamknięte. Wewnętrzne drzwi śluzy otwarte. Wewnętrzne drzwi śluzy zamknięte.

Teraz były zamknięte. Tak ma pozostać.

– Do czego to może służyć? – spytał Assad, niepokojąco bliski przekręcenia małego potencjometru z pozycji OFF na ON.

Gdyby tylko Hardy mógł na to spojrzeć. Jeśli istniało coś, w czym Hardy był lepszy niż większość, to miało to związek z przełącznikami.

– Ten kontakt został zamontowany na samym końcu – powiedział Assad. – Dlaczego te inne są zrobione z takiego brązowego? – Wskazał na kwadratową skrzynkę z bakelitu. – I dlaczego tamten jako jedyny jest z plastiku?

Faktycznie. Między tymi kontaktami było wiele lat różnicy.

Assad kiwnął głową.

– Myślę, że to pokrętko może powstrzymać cały proces albo w ogóle nie ma

znaczenia. – Czy można to było ująć bardziej niekonkretnie?

Carl wziął głęboki wdech. Niedługo minie dziesięć minut, odkąd rozmawiał z ludźmi z Holmen. Zanim tu dotrą, minie jeszcze więcej czasu. Jeśli Merete Lynggaard jest w środku, będą musieli zaryzykować.

– Przekręc to – polecił pełen złych przeczuć.

W tej samej sekundzie świst rozległ się w pomieszczeniu z pełną siłą. Serce Carla podskoczyło do gardła. Przez chwilę był pewien, że zwiększyli ciśnienie.

Spojrzał w górę i zidentyfikował cztery dziurkowane pasy na suficie jako głośniki. To stamtąd dochodziły świszczące dźwięki, wycieńczające i przenikliwe.

– Co się dzieje?! – krzyknął Assad i zakrył uszy rękami. Trudno było mu wobec tego udzielić odpowiedzi.

– Wydaje mi się, że włączyłeś nagłośnienie! – odkrzyknął Carl, zwracając twarz ku listwom pod sufitem. – Jesteś tam, Merete?! – krzyknął kilka razy i intensywnie nasłuchiwał.

Teraz słyszał już wyraźnie, że był to dźwięk powietrza przedostającego się przez wąski otwór. Zupełnie jak dźwięk wydobywający się spomiędzy zębów tuż przed gwizdnięciem. Do tego był stały.

Spojrzał zmartwiony na ciśnieniomierz. Wskazywał teraz ciśnienie prawie czterech i pół atmosfer. Szybko spadało.

Krzyknął jeszcze raz, tym razem z całej siły, a Assad zdjął ręce z uszu i krzyknął wraz z nim. Ich wspólny apel mógłby zbudzić umarłego – pomyślał Carl, mając w głębi ducha nadzieję, że sprawy nie zaszły tak daleko.

Wtedy z czarnego pudła pod sufitem rozległo się stuknięcie i na chwilę w pomieszczeniu zapanowała zupełna cisza.

Skrzynka na górze steruje redukcją ciśnienia – pomyślał, zastanawiając się, czy powinien pobiec do drugiego pokoju po coś, na czym mógłby stanąć, by ją otworzyć.

Właśnie w tej chwili usłyszał w głośnikach jęk. Przypominało to odgłos, jaki wydaje dręczone zwierzę albo cierpiący człowiek. Długi, jednostajny lament.

– Merete, to ty?! – krzyknął.

Czekali przez chwilę, aż usłyszeli dźwięk, który zinterpretowali jako „tak”.

Carl poczuł palenie w gardle. Merete Lynggaard jest w środku. Uwięziona od ponad pięciu lat w tych odrażających, beznadziejnych warunkach. A teraz pewnie bliska śmierci, podczas gdy on nie ma pojęcia, co robić.

– Co mamy robić, Merete?! – krzyknął i w tym samym momencie usłyszał potężny huk dochodzący od strony gipsowej płyty na przeciwległej ścianie. Zorientował się natychmiast, że przez płytę gipsową został oddany strzał, rozsiewając odłamki po całym pomieszczeniu. Poczul, jak jego ciało pulsuje w wielu miejscach i jak powoli wypływa z nich ciepła krew. Przez nieskończenie długi ułamek sekundy stał jak sparaliżowany, po czym rzucił się w tył do Assada

stojącego z krwawiącą ręką i wyrazem twarzy odpowiednim do sytuacji.

Kiedy leżeli na ziemi, płyta gipsowa opadła, ukazując tego, kto strzelał. Nie było trudno go rozpoznać. Nie licząc bruzd na twarzy, do których przez ostatnie lata przyczyniło się jego ciężkie życie i znękany umysł, Lasse Jensen wyglądał zupełnie tak, jak na zdjęciach z dzieciństwa.

Lasse wyszedł z kryjówki z dymiącą bronią i ocenił rozmiar szkód spowodowanych wystrzałem z tak chłodną obojętnością, jakby chodziło o zalaną piwnicę.

– Jak do mnie dotarliście? – zapytał, otwierając lufę broni, by włożyć do środka świeże naboje. Podszedł do nich. Nie było wątpliwości, że pociągnie za spust, kiedy będzie chciał.

– Jeszcze nie jest za późno, Lasse – powiedział Carl, unosząc się trochę z podłogi, żeby uwolnić spod siebie Assada. – Jeśli to teraz powstrzymasz, unikniesz kilku ładnych lat w więzieniu. Inaczej dostaniesz dożywocie za zabójstwo.

Facet się uśmiechnął. Nietrudno pojąć, że kobiety mogły mieć do niego słabość. Był diabłem w przebraniu.

– Czyli wielu rzeczy nie wiecie – odparł, kierując lufę wprost na skroń Assada.

Tak ci się wydaje – pomyślał Carl, czując, jak ręka Assada toruje sobie drogę do kieszeni jego marynarki.

– Wezwałem posiłki. Moi koledzy wkrótce tutaj będą. Daj mi strzelbę, Lasse, to wszystko jakoś się ułoży.

Lasse pokręcił głową. Nie wierzył w to.

– Zabiję twojego kumpla, jeśli nie odpowiesz. Jak mnie znaleźliście?

Mimo ogromnej presji, którą musiał w tej chwili odczuwać, wydawał się całkowicie opanowany. Pewnie był zupełnie szalony.

– Dzięki Uffemu – odparł Carl.

– Uffemu? – Wyraz twarzy Lassego się zmienił. Ta informacja po prostu nie pasowała do świata, którym samozwańczo rządził. – Bzdura! Uffe Lynggaard nic nie wie i do tego nie mówi. Przez ostatnie dni śledziłem prasę. On nic nie mówi, kłamiesz – ciągnął.

Assad dobrał się do noża sprężynowego, Carl to poczuł.

W dupie miał przepisy i pozwolenie na broń. Miał tylko nadzieję, że Assad zdąży użyć noża.

Z głośników nad nimi dobiegł jakiś dźwięk. Jakby kobieta siedząca w zamknięciu chciała coś powiedzieć.

– Uffe Lynggaard rozpoznał cię na zdjęciu – kontynuował Carl. – Tym, na którym ty i Dennis Knudsen stoicie obok siebie jako dzieci. Pamiętasz to zdjęcie, Atomosie?

Imię smagnęło go po twarzy jak bat. Widać było, jak we wnętrzu Lassego Jensena dochodzą do głosu lata cierpień.

Skrzywił się i kiwnął głową.

– No tak, o tym też wiesz! Czyli powinienem zakładać, że wiecie wszystko. W takim razie pewnie rozumiecie, że musicie pójść w ślady Merete.

– Nie zdążysz, pomoc już jest w drodze – powiedział Carl, nachylając się, by Assad mógł wyciągnąć nóż i otworzyć go jednym ruchem. Pytanie, czy psychopata zdąży do tej pory pociągnąć za spust. Jeśli wystrzeli jednocześnie z obu luf z bliskiej odległości, na nim i Assadzie będzie można postawić krzyżyk.

Lasse znów się uśmiechnął. Był już zupełnie spokojny. Cecha charakterystyczna psychopaty: nic go nie ruszało.

– Zdążę, nie bój się.

Szarpnięcie w kieszeni marynarki Carla i następujące po chwili kliknięcie noża sprężynowego zbiegło się z dźwiękiem, jakie wydaje mięso, kiedy wbija się w nie nóż. Przekrawanie ścięgien, nacinanie świeżych mięśni. Carl ujrzał krew na nodze Lassego w chwili, gdy Assad swoją zakrwawioną lewą ręką odepchnął w górę lufę strzelby. Huk, który rozległ się w uszach Carla, kiedy Lasse odruchowo strzelił, zagłuszył wszystkie dochodzące z zewnątrz dźwięki. Zobaczył, jak Lasse bezgłośnie pada do tyłu, a Assad rzuca się za nim z nożem przygotowanym do zadania ciosu.

– Nie! – krzyknął Carl, sam siebie źle słysząc. Spróbował się podnieść, ale w tym momencie zdał sobie sprawę ze skutków strzału, który go dosięgnął. Spojrzał w dół i zobaczył płynącą strużkami krew. Chwycił się więc za udo i zacisnął na nim palce, podnosząc się.

Assad, krwawiąc, siedział okrakiem na klatce piersiowej Lassego z nożem przy jego szyi. Carl tego nie słyszał, ale widział, jak Assad krzyczy do leżącego pod nim Lassego. Widział też, jak Lasse pluje Assadowi w twarz po każdym zdaniu.

Po chwili słuch w jednym uchu zaczął stopniowo powracać. Znajdujący się nad nimi przełącznik znowu zaczął wypuszczać powietrze z komory. Tym razem świszający dźwięk był o ton wyższy niż poprzednio. Czy może słuch płatał mu figle?

– Jak zatrzymuje się to gównno? Jak zamyka się wentyle? Gadaj! – krzyknął Assad, Bóg wie który raz, po czym Lasse wyrzucił z siebie porcję śliny. Dopiero teraz Carl się zorientował, że plucie było wynikiem zwiększonego naporu noża przyciskanego do szyi Lassego.

– Już nie takim podrzynałem gardła! – krzyknął Assad, zacinając go, aż po szyi pociekła mu strużka krwi.

Carl nie wiedział, co ma o tym myśleć.

– Nawet gdybym wiedział, nic bym nie powiedział – wysyczał spod niego

Lasse. Carl spojrzął na nogę Lassego. Krwawienie nie wydawało się intensywne. Tętno pozostało nienaruszone, mimo to rana nie była zupełnie niegroźna.

Spojrzał w górę na manometr, na którym ciśnienie opadało powoli, ale nieprzerwanie. Co, u diabła, z tą pomocą? Czyżby ludzie z Holmen nie zaalarmowali jego kolegów, jak o to prosił? Oparł się o ścianę, wyjął komórkę i wystukał numer telefonu alarmowego. Pomoc powinna się pojawić w ciągu paru minut. Jego koledzy i personel karetki będą mieli co robić.

Nie poczuł uderzenia na rękę. Zarejestrował po prostu, jak telefon spada na ziemię, a ręka opada wzdłuż tułowia. Nagłym ruchem odwrócił się i ujrzał, jak stojący za nimi chudy osobnik uderza Assada w skroń metalowym prętem, którym wyłamali zamek.

Upadł na bok bez słowa.

Wtedy brat Lassego stanął na telefonie komórkowym i deptał go, dopóki nie roztrzaskał go w drobny mak.

– O Boże, synku, jesteś poważnie ranny! – rozległo się z tyłu. Kobieta wjechała do środka na wózku. Na jej twarzy rysowało się autentyczne cierpienie. Nie zwróciła uwagi na leżącego na ziemi nieprzytomnego Assada. Nie widziała niczego poza krwią sączącą się przez spodnie syna.

Lasse uniósł się z trudnością i spojrzął wściekle na Carla.

– To nic takiego, mam – powiedział, wyciągając chusteczkę z kieszeni, po czym wyjął pasek ze spodni i zacisnął wokół uda. Brat mu w tym sekundował.

Przejechała obok nich i spojrzała na manometr.

– Jak się czujesz, ty ohydny krowo?! – krzyknęła w stronę szyby.

Carl spojrzął na Assada, który leżał na ziemi, oddychając płytko. Może przeżyje. Rozejrzał się po pomieszczeniu z nadzieją, że znajdzie nóż sprężynowy. Mógł leżeć pod Assadem. Może go zobaczy, kiedy chudy facet trochę się przesunie.

Zupełnie jakby brat Lassego to wyczuł. Odwrócił się do Carla z dziecinną miną. Jakby Carl chciał mu coś ukraść albo nawet zacząć go bić. Spojrzenie, którym obdarzył Carla, było owocem wielu lat samotnego dzieciństwa. Inne dzieci nie pojmowały, jak bezbronna może być nieskomplikowana jednostka. Podniósł metalowy pręt, mierząc w szyję Carla.

– Mam go zabić, Lasse, powiedz? Potrafię!

– Nikogo nie będziesz zabijał – warknęła kobieta, podjeżdżając bliżej.

– Usiądź, ty policyjna świni – zakomenderował Lasse, prostując plecy. – Idź po akumulator, Hans. Wysadzimy dom w powietrze. Tylko tyle możemy teraz zrobić. Pospiesz się! Za dziesięć minut stąd znikamy.

Załadował broń, nie spuszczając Carla z oczu, a on osunął się po ścianie i usiadł plecami zwrócony do drzwi służby.

Wtedy Lasse odkleił ładunki wybuchowe od szyb i sprawnym ruchem ręki

owinał śmiertelną płataninę kabli i detonatorów wokół szyi Carla niczym szalik.

– Nic nie czujesz, więc nie musisz się bać. W przeciwieństwie do niej. Ale tak właśnie ma być – powiedział Lasse zimno i przysunął butle z gazem do ściany komory ciśnieniowej tuż za Carlem.

Wtedy przyszedł jego brat z akumulatorem i zwojem kabla.

– Nie, zrobimy to inaczej, Hans. Wyniesiemy akumulator na zewnątrz. Masz go tylko podłączyć, o tak – powiedział Lasse i pokazał mu, jak podłączyć ładunki wybuchowe owinięte wokół szyi Carla do przedłużaczy, a potem do akumulatora. – Odetnij spory kawałek kabla. Powinien się ciągnąć aż na podwórze.

Zaśmiał się, patrząc wprost na Carla.

– Tak, podłączymy to do prądu na zewnątrz, żeby gnojkwowi urwało głowę, a butle wyleciały w powietrze.

– Ale co z nim? – spytał jego brat, wskazując na Carla. – Może przecież pozrywać kable.

– On?! – Lasse uśmiechnął się, odciągając akumulator na pewną odległość od Carla. – Tak, masz całkowitą rację. Będziesz go mógł za chwilę walnąć, żeby stracił przytomność.

Ton jego głosu się zmienił, gdy zwrócił się do Carla z malującą się na twarzy powagą.

– Jak mnie znalazłeś? Dennis Knudsen i Uffe, mówisz. Nie rozumiem. Jak powiązałeś ich ze mną?

– Popełniłeś tysiące błędów, palancie!

Lasse cofnął się trochę w głąb pomieszczenia. W jego oczach czaił się obłęd. Z pewnością za chwilę go zastrzeli. Spokojnie wyceluje i pociągnie za spust. Żegnaj, Carl! Nie zdoła zapobiec wysadzeniu wszystkiego w powietrze.

Carl spojrział ze spokojem w duszy na brata Lassego. Szamotał się. Nie mógł dojść do ładu z przewodami. Płatały się, kiedy próbował je rozwinąć.

W tej samej chwili poczuł, jak zraniona ręka Assada drga przy jego łydce. Czyli może nie jest aż tak ciężko ranny. Marna pociecha w tej sytuacji. Za chwilę i tak obaj zginą.

Carl zamknął oczy, próbując przypomnieć sobie kilka momentów ze swojego życia, które miały znaczenie. Po paru sekundach pustki w głowie otworzył oczy. Nawet tej pociechy nie mógł zaznać.

Czy w jego życiu naprawdę było tak mało wzlotów?

– Musisz stąd wyjść, mamó – usłyszał słowa Lassego. – Wyjedź na podwórze jak najdalej od murów. Wyjdziemy za minutę. I znikamy.

Kiwnęła głową. Po raz ostatni skierowała wzrok na jeden z iluminatorów i splunęła na szybę.

Kiedy mijała synów, spojrzała z pogardą na Carla i leżącego obok niego Assada. Gdyby tylko mogła ich kopnąć, zrobiłaby to. Ukradli jej życie tak jak inni,

którzy zdążyli to zrobić przed nimi. Tkwiła w permanentnym poczuciu goryczy i nienawiści. Nic nie mogło przebić się przez jej szklany klosz.

Nie zmieścisz się tu, jędzo – pomyślał Carl, widząc, jak wystająca noga Assada blokuje jej drogę.

Kiedy najechała na nogę Assada, ten wydał z siebie ryk, jednym ruchem wyprostował się i nagle stanął między kobietą a drzwiami. Obaj stojący przy szybach mężczyźni odwrócili się, a Lasse podniósł strzelbę, gdy Assad z sączącą się ze skroni krwią pochylił się za wózkiem inwalidzkim, chwycił za zdeformowane kolana kobiety i popędził ku obu braciom, używając wózka jako tarana. Wrażenia dźwiękowe były iście piekielne. Ryk Assada, krzyk kobiety, świst komory ciśnieniowej, po których rozległ się rumor wózka inwalidzkiego ścinającego z nóg obu braci.

Kobieta leżała z nogami uniesionymi w powietrze, gdy Assad rzucił się na nią, usiłując chwycić broń, z której Lasse próbował w niego mierzyć. Młody chłopak stojący z tyłu zaczął zawodzić, kiedy Assad chwycił jedną ręką za lufę, a drugą zaczął okładać Lassego po szyi. Po paru sekundach było po wszystkim.

Assad podniósł się, trzymając w dłoni strzelbę, odepchnął wózek, zmusił kaszlącego Lassego do powstania i przez chwilę stał, patrząc na niego.

– Gadaj, jak się zatrzymuje to gówno, no już! – krzyknął Carl, wstając.

Dostrzegł nóż sprężynowy leżący nieco dalej przy samej ścianie. Wyplątał się z kabli i detonatorów i podszedł, by go podnieść, podczas gdy chudy próbował postawić matkę na nogi.

– Gadaj! Już! – Carl przytknął nóż do policzka Lassego.

Dostrzegli to jednocześnie w jego oczach. Nie wierzył im. Jego mózg był owładnięty tylko jedną myślą: że Merete Lynggaard ma umrzeć w znajdującym się za nimi pomieszczeniu. W samotności, powoli i boleśnie – to był cel Lassego. Później on może ponieść karę. To już nie ma znaczenia.

– Wysadzimy w powietrze jego i jego rodzinę, Carl – powiedział Assad, mrużąc oczy. – Merete Lynggaard tam w środku i tak już niedługo pożyje. Nie możemy już nic dla niej zrobić, tak. – Wskazał na manometr, który pokazywał teraz sporo poniżej czterech atmosfer. – Zrobimy im to samo, co oni chcieli zrobić nam. A Merete wyświadczymy przysługę.

Carl spojrzał mu w oczy. Tam, w ciepłych oczach jego niewysokiego pomocnika zasiano ziarno autentycznej nienawiści, któremu niewiele było potrzeba, by wykiełkowało.

Carl pokręcił głową.

– Nie możemy tego zrobić, Assad.

– Owszem, Carl, możemy – odparł Assad. Wyciągnął wolną rękę ku Carlowi, powoli zabrał mu kable i detonatory i okręcił je wokół szyi Lassego.

Kiedy wzrok Lassego powędrował w stronę mozolącej się matki i brata

dygoczącego za jej wózkiem inwalidzkim, Assad posłał Carlowi spojrzenie, którego treść była jasna. Trzeba tak tym wszystkim pokierować, żeby Lasse im uwierzył. Bo Lasse nie będzie walczył, by uratować własną skórę. Będzie walczył o skórę matki i brata. Assad to dostrzegł. I tak faktycznie było.

Wtedy Carl uniósł ręce Lassego i podłączył izolowane końcówki do przedłużaczy zgodnie z jego własnymi wskazówkami.

– Usiądźcie w kącie – zakomenderował Carl kobiecie i jej młodszemu synowi. – Weź matkę, niech ci usiądzie na kolanach, Hans.

Młodszy syn popatrzył na niego z przestachem, uniósł matkę, jakby była piórkiem, i usiadł, opierając się plecami o ścianę.

– Wysadzimy całą waszą trójkę i Merete Lynggaard w powietrze, jeśli nam nie powiesz, jak się wyłącza tę twoją diabelską maszynę – powiedział Carl, przykładając jedną z końcówek do bieguna akumulatora.

Lasse oderwał oczy od matki i odwrócił głowę do Carla, z pałającym nienawiścią wzrokiem.

– Nie wiem, jak to się zatrzymuje – powiedział spokojnie. – Mogę się dowiedzieć z instrukcji, ale na to nie ma już czasu.

– Kłamiesz! Grasz na zwłokę! – wrzasnął Carl. Kątem oka spostrzegł, że Assad zastanawia się nad zadaniem mu ciosu.

– Skoro tak twierdzisz – powiedział Lasse i obrócił głowę do Assada, uśmiechając się.

Carl kiwnął głową. Nie kłamał. Był zimny jak lód, ale nie kłamał. Tak podpowiadało wieloletnie doświadczenie Carla. Lasse nie wiedział, jak wyłączyć urządzenie bez przeczytania instrukcji. Takie niestety były fakty.

Spojrzał na Assada.

– Wszystko okej? – zapytał, kładąc dłoń na lufie broni. W ostatnim momencie powstrzymał Assada, który chciał roztrzaskać twarz Lassego kolbą.

Assad kiwnął głową, patrząc gniewnie. Naboje nie poczyniły znaczących szkód w jego ramieniu, cios w skroń też nie. Został ulepiony z solidnej gliny.

Carl wyciągnął ostrożnie strzelbę z jego rąk.

– Nie mogę za dużo chodzić, Assad. Wezmę strzelbę, a ty biegnij po instrukcję. Już ją widziałeś. Pisana ręcznie, w środkowym pokoju. Leży na najdalszej stercie. Zdaje się, że na samym wierzchu. Weź ją i się pośpiesz!

Gdy Assad wyszedł, a Carl podetknął lufę pod brodę Lassego, ten się uśmiechnął. Jak gladiator oceniał siły rywala, aby wybrać do walki tego, który najlepiej do niego pasuje. Widać było, że uważa, iż Carl jest dla niego lepszym przeciwnikiem niż Assad. Carl zaś zrozumiał, że popełnił błąd.

Lasse wycofał się w stronę drzwi.

– Nie ośmielisz się mnie zastrzelić, ten drugi by potrafił. Idę, nie powstrzymasz mnie.

– Tak myślisz? – Carl podszedł do niego i chwycił go mocno za szyję. Jeśli facet jeszcze raz się ruszy, zarobi lufą w mordę.

Wtedy usłyszał w oddali dźwięk syren policyjnych.

– Leć! – krzyknął w tle brat Lassego, po czym wstał z matką w objęciach i kopnął wózek w stronę Carla.

W tej samej sekundzie Lassego już nie było. Carl chciał za nim pobiec, ale nie mógł. Najwyraźniej był mocniej ranny niż Lasse. Noga odmówiła mu po prostu posłuszeństwa.

Skierował broń w stronę kobiety i syna, pozwalając, by wózek przetoczył się obok i uderzył w ścianę.

– Patrz! – krzyknął chudy, wskazując długi przewód, który włókł za sobą Lasse.

I wszyscy w pomieszczeniu zobaczyli, jak kabel ślizga się po podłodze, kiedy Lasse najwyraźniej usiłował zderzyć z szyi ładunki wybuchowe, biegnąc przez korytarz. Widzieli, jak kabel się skraca, kiedy Lasse z trudem przedzierał się na zewnątrz. Nagle przewody przestały się rozwijać, przewróciły akumulator i pociągnęły go za sobą do drzwi. Gdy akumulator uderzył we framugę, wolny przewód dostał się pod spód, trafiając w drugi biegun.

Wybuch odczuli jedynie jako lekkie drgnięcie i stłumiony odgłos w oddali.

*

Merete leżała na ziemi i słuchała świstu, próbując tak ułożyć ręce, by naciskać oba nadgarstki naraz.

Po krótkim czasie skóra zaczęła ją swędzieć, poza tym jednak nic się nie działo. Przez chwilę czuła się, jakby ujrzała przed sobą wszystkie cuda świata, i krzyknęła w kierunku dysz na suficie, że tamci nic nie mogą jej zrobić.

Wiedziała, że cud się nie zdarzy, gdy w pierwszym zębie poluzowała się plomba. Przez kolejne minuty zastanawiała się, czyby nie puścić nadgarstków, bo ból głowy, bóle stawów i napięcie we wszystkich organach wewnętrznych wezbrały na sile i zaczęły się rozprzestrzeniać. Kiedy zwalniała ucisk z nadgarstków, nie czuła już nawet własnych dłoni.

Muszę się obrócić – pomyślała i wydała ciału rozkaz, by przewróciło się na bok, ale mięśnie nie miały już siły. Pojawiło się poczucie dezorientacji, mdłości i odruch wymiotny, przez który niemal się zadławiła.

Leżała tak skupiona, czując, jak wzmagają się skurcze. Najpierw w mięśniach pośladków, potem tułowia, wreszcie w klatce piersiowej.

To idzie zbyt wolno – krzyczało coś w niej, a ona znów próbowała poluzować żelazny ucisk wywierany na tętnice.

Po paru minutach ogarnęła ją maligna. Nie mogła skupić się na myślach o Uffem. Widziała kolorowe błyski, lśnienie i wirujące kształty, nic więcej.

Gdy wyskoczyła pierwsza plomba, Merete zaczęła zawodzić, przeciągle i monotonnie. Siły, które jeszcze w niej pozostały, zostały spożytkowane na tę skargę. Ale ona się nie słyszała. Świst dobiegający z położonych nad nią dysz był zbyt głośny.

Nagle powietrze przestało się sączyć, a dźwięk ucichł. Przez chwilę łudziła się, że nadeszła pomoc. Słyszała głosy na zewnątrz. Wołali ją, a jej jęk słabł. Jakiś głos zapytał, czy to Merete. Wszystko w niej wołało: „Tak, jestem tu!”. Może nawet powiedziała to na głos. Potem rozmawiali o Uffem, zupełnie jakby był zwyczajnym chłopcem. Wypowiedziała jego imię, ale brzmiało niewłaściwie. Wtedy rozległ się huk. Pozostał głos Lassego, który położył kres nadziei. Powoli nabrała powietrza, czując, jak ustępuje nacisk palców na nadgarstki. Nie wiedziała, czy dalej krwawią. Nie czuła bólu ani ulgi.

Po chwili znowu rozległ się świst z sufitu.

Gdy ziemia pod nią zadrżała, wszystko zrobiło się naraz zimne i gorące. Przez chwilę przypomniała sobie o Bogu i w myślach wyszeptała jego imię. W głowie pojawiła się jasność. Jasność, po której nastąpił gigantyczny łoskot i pojawiło się więcej światła wpadającego strumieniem do środka.

Wtedy straciła świadomość.

epilog

Odzew w prasie był nadzwyczajny. Pomimo smutnego finału samo dochodzenie i wyjaśnienie sprawy Lynggaard okazało się sukcesem. Piv Vestergård z Partii Danii była niezwykle zadowolona i chełpiła się tym, że to ona domagała się utworzenia nowego wydziału, wykorzystując równocześnie okazję, aby zatriumfować nad politykami, którzy nie podzielali jej wizji społeczeństwa.

Był to tylko jeden z powodów, dla których Carl usunął się w cień.

Trzy wizyty w szpitalu, wyłuskiwanie śrutu z nogi, jedno spotkanie z psycholog Moną Ibsen, które zresztą sam odwołał. Nic więcej z tego nie wynikło.

Teraz już znowu urzędowali w piwnicy. Na tablicy korkowej zawisły dwie foliowe torebki, obie wypełnione śrutem. Dwadzieścia pięć w torebce Carla, dwanaście w torebce Assada. W szufladzie biurka leżał nóż sprężynowy z dziesięciocentymetrowym ostrzem. Z czasem cały ten kram trafi pewnie do śmietnika.

Troszczyli się o siebie nawzajem, on i Assad. Carl – pozwalając Assadowi przychodzić i wychodzić, kiedy tylko chciał, a Assad – roztaczając w piwnicy atmosferę beztroski. Po trzech tygodniach zastoju, z fajkami, kawą Assada i kocią muzyką w tle, Carl sięgnął w końcu do sterty akt leżącej na rogu biurka i przejrzał ją.

Było do czego się zabierać.

– Idziesz po południu do Fælledparken, Carl? – zapytał stojący w drzwiach Assad.

Carl spojrział na niego apatycznie.

– Wiesz, pierwszy maja. Dużo ludzi na ulicach, tak, zabawa na całego. Tak się to mówi?

Pokiwał głową.

– Może później, Assad, ale jak chcesz, to możesz iść. – Spojrział na zegarek. Była dwunasta. Dawniej ludzie mieli w piątek prawo do wolnego popołudnia.

Ale Assad pokręcił głową.

– To nie dla mnie, Carl. Za dużo ludzi, których nie mam ochoty spotkać.

Carl skinął głową. Też miał ten problem.

– Jutro przejrzymy tę stertę tutaj – powiedział i postukał w nią. – Dobrze, Assad?

Wokół oczu Assada pojawiły się zmarszczki od uśmiechu, aż plaster na jego skroni niemal się oderwał.

– Bardzo dobrze, Carl! – odparł.

Wtedy zadzwonił telefon. Dzwoniła Lis, z tym co zwykle. Szef Wydziału Zabójstw chce go widzieć u siebie w gabinecie.

Carl otworzył dolną szufladę i wyciągnął cienką, plastikową koszulkę. Tym razem przeczuwał wyraźnie, że będzie mu potrzebna.

– Co słyhać, Carl? – Marcus Jacobsen już trzeci raz w tym tygodniu miał okazję usłyszeć odpowiedź na to pytanie.

Wzruszył ramionami.

– Nad jaką sprawą teraz pracujesz?

Znów odpowiedział wzruszeniem ramion.

Szef Wydziału Zabójstw zdjął okulary i położył je na kłębiącej się przed nim papierowej apokalipsie.

– Prokurator zawarł dziś porozumienie z obrońcami Ulli Jensen i jej syna.

– Aha.

– Osiem lat dla matki i trzy dla syna.

Carl kiwnął głową. Bez zaskoczenia.

– Ulla Jensen skończy pewnie pod nadzorem psychiatrycznym.

Ponownie skinął głową. Pewnie niedługo dołączy do niej syn. Jak to nieszczęsne stworzenie może wyjść cało z pobytu w więzieniu? Szef Wydziału Zabójstw spuścił głowę.

– Coś nowego u Merete Lynggaard?

Carl pokręcił głową.

– Trzymają ją cały czas w stanie śpiączki, ale nie ma większych nadziei. Jej mózg prawdopodobnie został trwale uszkodzony wskutek licznych zatorów.

Marcus Jacobsen pokiwał głową.

– Ty i eksperci od nurkowania z Bazy Marynarki Wojennej z Holmen zrobiliście, co w waszej mocy, Carl.

Rzucił Carlowi czasopismo. Na pierwszej stronie widniał norweski tytuł: „Nurkowanie”. Nie umieli już pisać po duńsku czy co?

– To norweskie czasopismo o nurkowaniu. Otwórz na stronie czwartej.

Zrobił to i przez chwilę przyglądał się zdjęciom. Stara fotka Merete Lynggaard. Zdjęcie zbiornika ciśnieniowego, który eksperci od nurkowania podłączyli do drzwi śluzy tak, by ratownik mógł wydostać kobietę z jej więzienia i umieścić w przenośnej komorze dekompresyjnej. Poniżej widniał krótki tekst o roli ratownika i przygotowaniach wewnątrz przenośnej komory, o funkcjonowaniu komory ciśnieniowej i o tym, że najpierw trzeba tam było trochę podnieść ciśnienie między innymi po to, by powstrzymać krwawienie z nadgarstków kobiety. Zilustrowali całość schematem budynku i przekrojem komory przenośnej Dräger Duocom z siedzącym wewnątrz ratownikiem, który podawał kobiecie tlen i udzielał jej pierwszej pomocy. Były jeszcze zdjęcia lekarzy stojących przed gigantyczną komorą dekompresyjną w Szpitalu Królewskim. A także portret bosmana Mikaela Overgaard, który asystował przy pacjentce znajdującej się w krytycznym stanie z powodu choroby dekompresyjnej. Wreszcie

było też kiepskiej jakości zdjęcie Carla i Assada zmierzających w stronę karetek.

„Wyjątkowa współpraca między ekspertami od nurkowania z Marynarki Wojennej a nowo powstałym wydziałem policji kończy najbardziej kontrowersyjną sprawę zaginięcia na terenie Danii w ostatnim dziesięcioleciu” – napisano dużymi literami.

– Tak – powiedział szef Wydziału Zabójstw, uśmiechając się czarująco. – W związku z tym skontaktował się z nami Centralny Zarząd Policji z Oslo. Chcieliby dowiedzieć się czegoś więcej o twojej pracy, Carl. Jesienią przyślą tu delegację, dlatego proszę cię, żebyś ich dobrze przyjął.

Poczuł, jak opadają mu kąciki ust.

– Nie mam na to czasu – zaprotestował. Nie będą mu się Norwedzy płatać po korytarzach w piwnicy, cholera jasna. – Weź pod uwagę, że jest nas w wydziale tylko dwóch. Zaraz, zaraz, a ile wynosi nasz budżet, szefie?

Marcus Jacobsen uchylił się zrecznie.

– Skoro już wróciłeś do formy i do pracy, nadszedł czas, żeby podpisać to, Carl. – Podał Carlowi ten sam durny wniosek o uczestnictwo w „kursach kwalifikacyjnych”.

Carl nie podniósł kartki.

– Nie chcę, szefie.

– Ale musisz, Carl. Dlaczego nie chcesz?

W tej chwili obaj myślimy o fajkach – pomyślał Carl.

– Jest wiele powodów – odparł. – Pomyśl o reformie systemu ubezpieczeń społecznych. Niebawem wiek przejścia na emeryturę wyniesie siedemdziesiąt lat w zależności od tego, na którym szczeblu drabiny się znajdziesz. A ja nie mam, cholera, ochoty zostać zramolałym policjantem, nie chcę też skończyć jako biurkowy wirtuoz. Nie chcę mieć wielu pracowników. Nie mam ochoty odrabiać lekcji, nie mam ochoty podchodzić do egzaminu, jestem na to za stary. Nie mam ochoty wyrabiać sobie nowych wizytówek, wreszcie – nie mam, ogólnie rzecz biorąc, ochoty na kolejny awans. Dlatego, szefie.

Szef Wydziału Zabójstw wyglądał na zmęczonego.

– Mówisz o rzeczach, które się nie zdarzą. Głupie gadanie, Carl. Jeśli chcesz być szefem Departamentu Q, musisz iść na te kursy.

Pokręcił głową.

– Nie, Marcus. Nie chcę już żadnych czytanek, nie mam ochoty. Wystarczy, że muszę przepytawać przybranego syna z matematyki. Chociaż i tak obleje. Oświadczam, że Departament Q jest i pozostanie pod kierownictwem podkomisarza kryminalnego, i tak będę dalej używał starego tytułu, koniec, kropka! – Carl uniósł do góry plastikową koszulkę. – Widzisz to, Marcus? – kontynuował, wyciągając papier z obwoluty. – To budżet Departamentu Q, dokładnie w wysokości zatwierdzonej przez Folketing.

Po drugiej stronie biurka rozległo się głębokie westchnienie.

Wskazał na najniższą linijkę. Pięć milionów koron rocznie.

– Według moich najbardziej optymistycznych obliczeń pomiędzy budżetem a sumą, którą dostaje mój wydział, są jakieś cztery miliony różnicy. Czy to się mniej więcej zgadza?

Szef Wydziału Zabójstw podrapał się w czoło.

– Co chcesz z tym zrobić, Carl? – zapytał wyraźnie poirytowany.

– Tobie chodzi o to, żebyś zapomniał o tym papierze, a mnie – żebyś zapomniał o tym kursie.

Zmiana koloru twarzy szefa Wydziału Zabójstw poprzedziła jego słowa wypowiedziane aż nazbyt opanowanym głosem.

– To szantaż, Carl. Tutaj się do tego nie posuwamy.

– Właśnie, szefie – odparł Carl, po czym wyłowił z kieszeni zapalniczkę i podpalił arkusz z budżetem. Płomień pochłoniął wszystko, cyfra po cyfrze, po czym Carl strzepnął popiół na broszurę o stołkach biurowych i podał zapalniczkę Marcusowi Jacobsenowi.

Kiedy zszedł do piwnicy, Assad klęczał nieobecny na swoim dywanie modlitewnym, więc Carl napisał kartkę i położył ją na ziemi tuż pod jego drzwiami. „Do zobaczenia jutro”.

Po drodze do Hornbæk zastanawiał się, co ma powiedzieć Hardy’emu o sprawie na Amager. Pytanie, czy w ogóle powinien coś mówić. Przez ostatnie tygodnie Hardy nie miewał się dobrze. Zmniejszyło mu się wydzielanie śliny i miał trudności z mówieniem. Nie był to stan permanentny, jak twierdzili lekarze, za to depresja Hardy’ego – owszem.

Z tego powodu przenieśli go do lepszej sali, w której mógł leżeć na boku i prawdopodobnie był w stanie dostrzec gdzieś w oddali czubki masztów statków na cieśninie Sund.

Rok temu siedzieli obaj w parku Bakken i zażerali się ile wlezie smażonym bekonem w sosie pietruszkowym, a Carl narzekał na Viggę. Teraz siedział tu na brzegu łóżka, nie mogąc sobie pozwolić na narzekanie na cokolwiek.

– Policja w Sorø musiała wypuścić tego człowieka w kraciastej koszuli, Hardy – powiedział wprost.

– Kogo? – zapytał Hardy zachrypniętym głosem, nie poruszając głową nawet o milimetr.

– Ma alibi. Ale wszyscy tam są pewni, że to właściwy facet. Ten, który strzelał do ciebie, do mnie, do Anker’a i popełnił morderstwa w Sorø. Ale i tak musieli go wypuścić. Przykro mi, że muszę ci to mówić, Hardy.

– Mam to w dupie. – Hardy przez chwilę zaniósł się kaszlem, po czym odchrząknął, a Carl przeszedł na drugą stronę łóżka i zamoczył pod kranem papierową chusteczkę. – Co będę z tego miał, że go złapią? – powiedział Hardy ze

śliną w kącikach ust.

– Złapiemy jego i innych, którzy byli w to zamieszani, Hardy – odparł Carl i wytarł jego wargi i podbródek. – Czuję, że niedługo będę musiał w to wkroczyć. To nie ujdzie płazem tym gnojkom, niech ich szlag.

– Dobrej zabawy! – odrzekł Hardy i przełknął ślinę, jakby musiał wziąć się w garść, żeby coś powiedzieć. – Przyszła tu wczoraj wdowa po Ankerze – powiedział. – Nie było miło, Carl.

Carl przypomniał sobie pełną goryczy twarz Elisabeth Høyer. Nie rozmawiał z nią od śmierci Ankera. Nawet na pogrzebie nie wypowiedziała do niego ani słowa. Od sekundy, w której dotarła do niej wiadomość o śmierci męża, wszystkie zarzuty kierowała pod adresem Carla.

– Mówiła coś o mnie?

Hardy nie odpowiedział. Leżał dłuższy czas, mrugając niespiesznie. Zupełnie jakby statki zabrały go w daleki rejs.

– Nadal nie chcesz mi pomóc umrzeć, Carl? – spytał wreszcie.

Carl pogładził go po policzku.

– Gdybym tylko mógł, Hardy. Ale nie mogę.

– W takim razie musisz mi pomóc wrócić do domu, obiecasz mi to? Nie chcę już tu dłużej być.

– Co na to twoja żona, Hardy?

– Nie wie o tym. Dopiero co podjąłem decyzję.

Wyobraził sobie Minnę Henningsen. Ona i Hardy poznali się, kiedy byli bardzo młodzi. Teraz ich syn mieszkał już poza domem, a ona nadal wyglądała młodo. Na pewno uwierał ją obecny stan rzeczy.

– Jedź do niej dziś i pogadaj, Carl. Wyświadczysz mi wielką przysługę.

Carl spojrział na statki.

Proza życia sprawi, że Hardy może pożalować tej prośby.

Już niebawem Carl zorientował się, że miał rację.

Minna Henningsen otworzyła drzwi, odsłaniając rozbawione towarzystwo za plecami, które nijak nie pasowało do nadziei Hardy'ego. Sześć kobiet w wystrzałowych ubraniach i fikuśnych kapelusikach, z szalonymi planami na resztę dnia.

– Carl, jest pierwszy maja. W naszym żeńskim klubie tak go obchodzimy. Nie pamiętasz? – Kiedy ciągnęła go za sobą do kuchni, ukłonił się po drodze kilku z nich.

Wyjaśnienie sytuacji nie zajęło mu dużo czasu, dziesięć minut później znów stał na ulicy. Trzymała go za rękę, opowiadając, jak jest jej ciężko i jak bardzo tęskni za swoim dawnym życiem. Potem położyła mu głowę na ramieniu i troszkę popłakała, próbując wyjaśnić, dlaczego nie ma siły zajmować się Hardym.

Kiedy już wytarła oczy, zapytała go z ostrożnym uśmiechem, czy nie miałyby

ochoty wpaść do niej któregoś wieczoru na kolację. Mówiła, że chce z kimś porozmawiać, ale przesłanie zawarte w tych słowach było tak niedwuznaczne i bezpośrednio, jak tylko mogło być.

Idąc Strandboulevarden, chłonał hałas dochodzący z Fælledparken. Impreza była w toku. Może ludzie znów zaczęli budzić się do życia.

Zastanawiał się, czy nie wpaść tam na piwo, by uczcić wspomnienia, ale jednak wsiadł do samochodu.

Gdybym nie szalał tak na punkcie tej głupiej psycholożki Mony Ibsen, a Minna nie była żoną mojego sparaliżowanego przyjaciela Hardy'ego, to przyjąłbym jej zaproszenie – zdążył pomyśleć, zanim usłyszał dzwonek telefonu.

To był Assad, bardzo podekscytowany.

– Hej, hej, trochę wolniej, Assad. Jesteś jeszcze w pracy? Możesz powtórzyć, co mówiłeś?

– Dzwonili ze Szpitala Królewskiego z informacją dla szefa Wydziału Zabójstw. Właśnie się dowiedziałem od Lis. Merete Lynggaard obudziła się ze śpiączki.

Wzrok Carla na chwilę się rozmył.

– Kiedy to się stało?

– Dzisiaj przed południem. Pomyślałem, że chciałbyś to wiedzieć.

Carl podziękował, odłożył słuchawkę i spojrzął na drzewa, unoszące ochoczo zielone, drżące gałęzie. Powinien się cieszyć z całego serca, ale tak nie było. Może Merete będzie leżeć jak warzywo przez resztę życia. Na tym świecie nic nie jest proste. Nawet wiosna nie trwa w nieskończoność, a najwięcej bólu sprawia ponowne jej doświadczanie. Tak, niedługo znów wcześniej będzie się robiło ciemno – pomyślał, nienawidząc swojego czarnowidztwa.

Jeszcze raz spojrzął ku Fælledparken i na wznoszącą się za nim w oddali chłodną szarość Szpitala Królewskiego.

Nastawił ponownie parkometr i obrał kurs na park i szpital. „Zrestartuj Danię” – brzmiało hasło majowego święta. Ludzie rozsiedli się na trawie z piwem, a na dużym ekranie mieszczącym się aż na budynku Łoży Wolnomularskiej wyświetlano pożegnalną mowę parlamentarzystki Jytte Andersen.

Tak jakby to mogło coś pomóc.

Kiedy on i jego koledzy byli młodzi, też tak przesiadywali ubrani w koszulki z krótkim rękawem, przypominając długonogie komary. Teraz łączną ilość ich tkanki tłuszczowej należało pomnożyć przez dwadzieścia. Dzisiaj ludzie, którzy szli protestować, żyli w przesadnej harmonii z samymi sobą. Rząd dał im ich opium: tanie fajki, tanią wodę, mydło i powidło. Jeśli ci ludzie na trawniku nie zgadzali się z rządem, to ten problem był jedynie przejściowy. Średnia długość życia drastycznie spada. Wkrótce nie będą nawet musieli się zżymać z powodu nadawanych w telewizji ćwiczeń gimnastycznych dla zdrowszych ludzi.

Tak, sytuacja była pod kontrolą.

Grupa dziennikarzy stała już w przejściu w pełnej gotowości.

Kiedy zobaczyli wychodzącego z windy Carla, rzucili się jeden przez drugiego, by zadać mu pytanie przed innymi.

– Panie Mørck – krzyknął jeden ze stojących najdalej. – Jak lekarze oceniają rozmiar uszkodzeń mózgu Merete Lynggaard? Wie pan?

– Czy pan komisarz odwiedził już Merete Lynggaard? – spytał inny.

– Hej, Mørck! Jak twoim zdaniem poradziłeś sobie z tą sprawą? Jesteś z siebie dumny? – rozległo się z boku. Zwrócił się w stronę, z której dobiegał głos, i spojrzał prosto w nabiegłe krwią, świńskie oczka Pellego Hytttesteda, podczas gdy pozostali dziennikarze mierzyli faceta wzrokiem, jakby nie był godzien swojej pracy.

Bo nie był.

Carl odpowiedział na kilka pytań i zatopił się we własnych myślach, a ucisk w klatce piersiowej przybrał na sile. Nikt go nie zapytał, dlaczego tu jest. On sam tego nie wiedział.

Być może spodziewał się na oddziale większego grona odwiedzających, ale oprócz przełożonej pielęgniarek z Egely siedzącej na krześle obok Uffego, nie rozpoznawał ani jednej twarzy. Merete Lynggaard stanowiła dobry materiał dla mediów, ale teraz była tylko kolejnym pacjentem w kartotece. Dwutygodniowa terapia hiperbaryczna, następnie tydzień w Centrum Traumatologii. Potem oddział intensywnej opieki medycznej na neurochirurgii, a teraz na neurologii.

Decyzja o wybudzeniu jej ze śpiączki została podjęta na próbę, powiedziała oddziałowa, gdy się do niej zwrócił. Przyznała, że wie, kim Carl jest. To on znalazł Merete Lynggaard. Gdyby był kimś innym, wyrzuciłaby go.

Carl przysunął się powoli do dwóch siedzących postaci, które popijały wodę z plastikowych kubków. Uffe pił oburącz.

Carl skinął do pielęgniarki z Egely, nie spodziewając się odzewu, ale ona wstała i podała mu rękę. Wyglądała na poruszoną, ale się nie odezwała. Usiadła z powrotem, wpatrując się w drzwi, za którymi była Merete, z dłonią na przedramieniu Uffego.

Na sali panowało wyraźnie spore ożywienie. Kilku lekarzy skinęło do nich głowami, chodząc wte i wewte, a po upływie godziny pielęgniarka zapytała ich, czy napiliby się kawy.

Carlowi się nie spieszyło. Grille organizowane przez Mortena Hollanda nie różniły się specjalnie od siebie.

Wziął łyk z kubka, przyglądając się profilowi Uffego, kiedy siedział spokojnie i patrzył na drzwi. Gdy zaślaniała je przechodząca pielęgniarka, jak najszybciej z powrotem wbijał w nie wzrok. Nawet na chwilę nie tracił ich z oczu.

Carl pochwycił spojrzenie przełożonej pielęgniarek z Egely i wskazał na

Uffego, pytając bezgłośnie za pomocą gestów, jak on się miewa. W odpowiedzi otrzymał uśmiech i kręcenie głową, co mogło oznaczać, że nie jest ani źle, ani dobrze.

Minęło kilka minut, zanim kawa zaczęła działać. Kiedy wrócił z toalety, krzesła na korytarzu były puste.

Podszedł więc do drzwi i uchylił je.

W pomieszczeniu było zupełnie cicho. Uffe stał w nogach łóżka, z ręką swojej towarzyszki na ramieniu, a pielęgniarka spisywała liczby, które odczytywała z cyfrowej aparatury.

Niemal nie było widać Merete Lynggaard pod prześcieradłem podciągniętym pod brodę i bandażami na głowie.

Leżała spokojnie, z rozchylonymi ustami i lekko drżącymi powiekami. Wybroczyny na jej twarzy najwyraźniej ustępowały, ale ogólne wrażenie było wciąż niepokojące. Tak jak kiedyś tryskała zdrowiem i energią, tak teraz sprawiała wrażenie wyniszczonej. Miała kredowoblada, cienką jak papier skórę i głębokie zapadliny pod oczami.

– Możecie do niej podejść – powiedziała pielęgniarka, wkładając długopis do kieszeni na piersi. – Zaraz znów ją obudzę. Nie ma pewności, czy zareaguje. Ma to związek z uszkodzeniem mózgu i czasem przebywania w śpiączce, ale też z wieloma innymi rzeczami. Nadal bardzo źle widzi na oboje oczu, wciąż jest sparaliżowana z powodu zatorów i cierpi jeszcze z powodu rozległych uszkodzeń mózgu. Ale wygląda na to, że nie jest bez szans. Wierzimy, że któregoś dnia znów będzie chodzić, ale pytanie brzmi, na ile będzie w stanie w przyszłości się komunikować. Zatory ustąpiły, pozostało za to milczenie. Afazja pewnie pozbawiła ją na zawsze zdolności mówienia. Prawdopodobnie powinniśmy się na to nastawić. – Pokiwała głową. – Nie wiemy, co myśli, ale trzeba mieć nadzieję.

Następnie podeszła do swojej pacjentki i nastawiła jedną z licznych kroplówek wiszących nad łóżkiem.

– No! Myślę, że za chwilę będzie z nami. Gdybyście czegoś od nas potrzebowali, pociągnijcie po prostu za ten sznurek. – I poszła do kolejnych pacjentów, stukając drewniakami.

Stali we troje, patrząc na Merete. Uffe zupełnie beznamiętnie, jego towarzyszka ze smutnym grymasem na ustach. Może byłoby lepiej dla wszystkich, gdyby Carl nigdy nie zajął się tą sprawą.

Minęła minuta, po czym Merete otworzyła powoli oczy najwyraźniej oślepiąca płynącym z zewnątrz światłem. Białka jej oczu wyglądały jak czerwono-brązowa siatka, a jednak widok przytomnej Merete niemal odebrał Carlowi dech. Zamrugała wielokrotnie, jakby próbowała skupić wzrok, ale najwidoczniej jej się to nie udało. Ponownie zamknęła oczy.

– Chodź, Uffe – powiedziała przełożona pielęgniarek z Egely. – Posiedź

trochę przy siostrze.

Prawdopodobnie zrozumiał, bo sam znalazł sobie krzesło i usiadł przy krawędzi łóżka z twarzą tak blisko twarzy swojej siostry, że jej oddech sprawił w ruch jego jasną grzywkę.

Pozostał tak przez jakiś czas, przyglądając się jej, po czym odchylił róg prześcieradła i odsłonił jej rękę. Ujął jej dłoń i siedział, spokojnie wędrując wzrokiem po jej twarzy.

Carl zrobił parę kroków w przód i stanął w nogach łóżka obok przełożonej pielęgniarek.

Widok milczącego Uffego trzymającego siostrę za rękę i przykładającego twarz do jej policzka był wyjątkowo wzruszający. W tej chwili wyglądał jak zagubiony szczeniak, który po bezowocnych poszukiwaniach wreszcie odnalazł źródło ciepła i bezpieczeństwa.

Po chwili Uffe cofnął się odrobinę, jeszcze raz żarliwie wpatrzył się w siostrę, po czym przyłożył wargi do jej policzka i pocałował ją.

Carl zauważył, jak jej ciało drgnęło lekko pod prześcieradłem, a rytm serca podniósł się trochę na aparaturze EKG. Przesunął wzrok na kolejny sprzęt rejestrujący. Tak, puls też się trochę zwiększył. Wydała z siebie głębokie westchnienie i otworzyła oczy. Tym razem cień Uffego przysłał światło, więc pierwszą osobą, którą ujrzała, był siedzący obok, uśmiechający się do niej brat.

Carl poczuł, jak sam otwiera szeroko oczy, gdy wzrok Merete stawał się coraz bardziej przytomny. Jej usta rozchyliły się, po czym zadrżały. Ale tam, między dwojgiem rodzeństwa, istniało jakieś napięcie, które uniemożliwiało im kontakt. Było to wręcz widać po Uffem, którego twarz powoli ciemniała, jakby wstrzymywał oddech. Po chwili zaczął się kiwać w przód i w tył, a w jego gardle zaczęły formować się tony skargi. Otworzył usta zagubiony i stłamszony. Zacisnął oczy i puścił dłoń siostry, przyciągając ręce do szyi. Dźwięki nie chciały nadejść, a wyraźnie o nich myślał.

W końcu wypuścił całe powietrze z płuc, jakby miał osunąć się na oparcie, rezygnując ze swojego celu. Ale pojawił się kolejny gardłowy dźwięk, tym razem wyższy.

– Mmm – powiedział, z wysiłkiem biorąc wdech. – Mmme – rozległo się po chwili. Merete wpatrywała się teraz intensywnie w brata. Nie ulegało wątpliwości, że wie, kogo ma przed sobą. Jej oczy zrobiły się szkliste.

Carl łąpał powietrze. Pielęgniarka obok niego zasłoniła usta rękami.

– Mmmerete – wydusił z siebie Uffe.

Strumień dźwięków zaszokował Uffego, który rozdziawił usta, ciężko dysząc, podczas gdy kobieta stojąca obok Carla zaszlochotała, kładąc mu dłoń na ramieniu. Wtedy ręka Uffego znów się uniosła i odnalazła dłoń Merete.

Chwycił ją i pocałował, dygocząc na całym ciele, jakby właśnie wyciągnięto

go spod lodu.

Merete nagłym ruchem odrzuciła głowę w tył. Jej oczy były szeroko otwarte, ciało napięte, wszystkie palce jej wolnej dłoni wygięte, jak pod wpływem skurczu. Sam Uffe odczytał to jako zły znak, a przełożona pielęgniarek natychmiast pociągnęła za sznurek.

Wówczas Merete wydała z siebie głęboki, głuchy dźwięk, a całe jej ciało się rozluźniło. Wciąż miała otwarte oczy i pochwyciła spojrzenie brata, po czym wydała jeszcze jeden płytki dźwięk, jak przy chuchaniu na zimną szybę. Teraz się uśmiechała. Wyglądało to tak, jakby dochodzący z jej wnętrza ton ją łaskotał.

Za ich plecami otworzyły się drzwi i do sali wbiegła pielęgniarzka, a wraz z nią młody lekarz o baczym spojrzeniu. Stanęli jak wryci przy łóżku, widząc odprężoną Merete Lynggaard trzymającą brata za rękę.

Spojrzeli badawczo na wszystkie sprzęty, nie znajdując najwidoczniej powodu do niepokoju, po czym skierowali wzrok na Carla i opiekunkę Uffego. Właśnie mieli zabrać się do zadawania pytań, kiedy z ust Merete Lynggaard znów wydobył się głos.

Uffe przyłożył ucho do ust siostry, ale słyszeli to wszyscy obecni w pomieszczeniu.

– Dziękuję, Uffe – powiedziała cicho i skierowała wzrok na Carla.

A Carl poczuł, jak ucisk w klatce piersiowej stopniowo ustępuje.

Wielkie podziękowania dla Hanne Adler-Olsen, Henninga Kurego, Elsebeth Wæhrens, Søren Schou, Freddy'ego Miliona, Eddiego Kirana, Hanne Petersen, Michy Schmalstieg i Karstena D. D. za niezbędne i wnikliwe komentarze. Dziękuję Gitte i Peterowi Q. Rannesom oraz Duńskiemu Centrum Pisarzy i Tłumaczy Hald za zapewnienie w decydujących chwilach spokoju niezbędnego do pracy. Dziękuję Peterowi Madsenowi za ilustracje do wydania specjalnego, a Peterowi H. Olesenowi i Jørnowi Pedersenowi za inspirację. Składam podziękowania Jørgenowi N. Larsenowi za zebranie informacji, Michaelowi Needergaardowi za wiedzę fachową na temat choroby dekompresyjnej. Dziękuję też K. Olsenowi i komisarzowi policji Leifowi Christensenowi za poprawki związane z tematyką policyjną. Wreszcie ogromne podziękowania dla mojej redaktorki Anne Christine Andersen za stworzenie zgranego i wyjątkowego duetu.

¹ W duńskiej tradycji politycznej każda partia ma oznaczenie literowe, które nie jest tożsame z inicjałami jej nazwy. Na przykład oznaczeniem Partii Socjaldemokratycznej (Socialdemokraterne) jest litera A (przyp. tłum.).

² Imię Børge jest uznawane przez Duńczyków za staromodne i nieco groteskowe, głównie ze względu na swoje brzmienie (przyp. tłum.).

